ST. FRANCIS COLLEGE, N.Y.
ATHOL SPRINGS, N.Y.

MEIR EZOFOWICZ

ELIZA ORZESZKOWA

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE ZE WSTĘPEM
AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO

TOM VIII

MEIR EZOFOWICZ

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

ELIZA ORZESZKOWA

MEIR EZOFOWICZ

WYDANIE DRUGIE

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

SKŁADY GŁÓWNE:
«THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC». NEW YORK
«KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC». KATOWICE

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1926

Wszystkim ziomkom moim, z dobrą wiarą i wolą pragnącym światła i pokoju, bez względu na to, gdzie i jak oddają oni cześć Bogu — powieść tę poświęcam.

Autorka.

WSTĘP.

U szczytów cywilizacji zbiegają się i zgodnie łączą z sobą różnorodne gałęzie wielkiego drzewa ludzkości. Oświata najlepszym jest apostołem powszechnego braterstwa. Wygładza ona chropowatości zewnętrzne i ścina wewnętrzne wybujałości; dozwala przyrodzonym cechom plemion różnych rozwijać się obok siebie we wzajemnem poszanowaniu; same nawet religijne wierzenia oczyszcza z narośli, wytworzonych przez zmienne czasy, a sprowadzając je do najprostszego ich wyrazu, sprawia, iż spotykają się one z sobą bez wstrętów i szkód.

Inaczej dzieje się w głębokościach, w społecznych dolinach, nad któremi nie świeci słońce wiedzy. Tam ludzie są jeszcze dziś takimi, jakimi byli w odległych stuleciach. Czas, kopiąc mogiły przodkom ich, nie zagrzebał wraz z nimi form i treści, które, wciąż odradzając się, tworzą pośród zdumionych społeczeństw niepojęte anachronizmy. Tam istnieją odrębności, ostremi kantami odpychające wszystko, co nie jest niemi; czołgają się nędze fizyczne i moralne, z imienia nawet nieznane tym, którzy stanęli u szczytów.

Tam są zbiorowiska ciemnych postaci, odskakujące od jasnego tła reszty świata, w mętnych zarysach sfinksów, strzegących grobów, i szeroko rozkładają się skamieniałości wiar, uczuć i obyczajów, istnieniem swem zdające się świadczyć o tem, że genjusze wielu stuleci jednocześnie nad światem panować mogą.

Patrycjat i plebs, przeistaczając z upływem czasu naturę swą i rację swego bytu, zamieniły dziś dawne swe role. Pierwszy stał się obrońcą i krzewicielem równości, drugi uparcie trwa przy wyróżnieniach i odrębnościach. I jeżeli niegdyś przemoc i ucisk przybywały od tych, którzy stali wysoko, ku tym, którzy w prochu i pokorze roili się na głębokościach, teraz z głębokości podnoszą się niezdrowe wyziewy te i ciężkie kamienie obrazy, które zatruwają życie i utrudniają drogi wybrańcom cywilizacji.

Nieszczęsne i unieszczęśliwiające doliny takie, otoczone i od reszty świata oddzielone grubym łańcuchem gór z mgieł i ciemności, istnieją w społeczeństwie izraelskiem, również jak i w innych, a nawet jest ich tam nierównie więcej, niż w innych. Zbyt przedłużone istnienie ich wynikiem jest wielu przyczyn dziejowych i cech plemiennych.

Dziś są one zjawiskami, wabiącemi ku sobie wzrok myśliciela i artysty niezmiernym wpływem, który wywierają dokoła. i niepospolitością kolorytu swego, na który składają się mroki tajemnicze i przerzynające je jaskrawe ognie. A jednak — któż bada je i zna? Ci nawet, których jedność krwi i tradycji pociągnąćby powinna ku miejscom tym, zagubionym w ciemnościach, nie posyłają ku nim malarzy, ni apostołów, nie zawsze nawet wierzyć chcą w ich istnienie.

Jakże, naprzykład, zdziwione byłoby towarzystwo izraelskie, zgromadzone w największem z miast krajowych, złożone z mężczyzn wykształconych, uczonych, oddających się zawodom, stojącym na czele umysłowości ludzkiej, i kobiet, które we wdzięku, wykwintności, dowcipie nie ustępują częstokroć najwydatniejszym postaciom kobiecym innych społeczeństw — jakże zdziwione byłoby towarzystwo to, ubrane w czarne fraki i jedwabne suknie, gdyby ktokolwiek opowiadać mu zaczął nagle o tem, co to jest Szybów, i co się dzieje w Szybowie!

Szybów? Na jakiej planecie znajduje się miejsce to? a jeżeli na naszej, jaka je zamieszkuje ludność? z białych, czarnych, czy brunatnych ludzi złożona?

Otóż, czytelnicy, podejmuję się zaznajomić was z tą głęboką, bardzo głęboką doliną społeczną, która nosi tylko co wymienioną nazwę. Niedawno odegrał się w niej dramat ciekawy, godny życzliwego spojrzenia waszego, silnego uderzenia serca i długiej, smętnej chwili zadumy. Że jednak, dla pełnego uwydatnienia faktów i postaci, należy ukazać je na tle, wśród którego powstały one i rozwinęły się, i w którego głębokich perspektywach mieszczą się żywioły, będące przyczyną ich bytu, pozwólcie, abym przed odsłonięciem zasłony, ukrywającej pierwsze sceny dramatu, opowiedziała wam, w krótkich rysach zawartą, historję małego miasteczka.

* *
*

Daleko, daleko od tej gałęzi kolei żelaznych, która przerzyna strony białoruskie, daleko nawet od przebiegającej je spławnej rzeczki Dźwiny, w jednym z najustronniejszych zakątów, jakie dotąd jeszcze istnieć mogą w Europie, pośród gładkich, cichych, rozległych równin, na zbiegu dwóch szerokich piaszczystych dróg, które, wywijając się z pod skłonów bladego nieba, znikają w głębinach czarnego lasu, szarzeje gromada kilkuset domostw mniejszych i większych, tak ściśle zbliżonych ku sobie, że, patrząc na nie, możnaby rzec, iż były one niegdyś w wielkiej jakiejś trwodze i zbiegły się raz, aby w skupionej gromadce móc łatwiej zamieniać się szeptami i łzami.

Jest to Szybów, miasteczko, zamieszkiwane przez izraelską ludność, wyłączniej jeszcze, niż wiele innych miejsc podobnych, całkiem prawie wyłącznie, bo, z wyjątkiem jednej tylko uliczki, znajdującej się na samym skraju miasteczka, przy której w kilku chatach i dworkach mieszka kilkudziesięciu bardzo ubogich mieszczan i bardzo cichych starych emerytów.

Jedyna też to jest uliczka, wśród której panuje cisza, i w lecie kwitną skromne kwiaty. Gdzie indziej niema kwiatów, ale panuje wielki i nieustanny gwar. Gwarzą tam ludzie i ruszają się nieustannie, zapobiegliwie, namiętnie we wnętrzach domostw i na ciasnych, błotnistych przejściach, noszących nazwę ulic, i na okrągłym, dość obszernym rynku, pośrodku miasteczka umieszczonym, dokoła którego otwierają się niskie drzwiczki cuchnących kramików, a na którym po całotygodniowych targach, sprowadzających okoliczną ludność, pozostaje niezmierzona i nieprze-

brana ilość błota i śmieci, nad którym nakoniec panuje wysoki, ciemny, dziwnego kształtu dom modlitwy.

Budowla ta jest jedynym z rzadkich już okazów architektoniki izraelskiej. Malarz i archeolog mogą zatrzymywać na niej wzrok swój z jednakową ciekawością. Od pierwszego zaraz rzutu oka poznać można, że jest to świątynia, jakkolwiek pozór czyni ją niepodobną do wszelkich innych świątyń. Cztery jej grube, wysokie, ciężkie ściany zarysowują monotonne linje ogromnego czworokąta i mają ciemnobrunatną barwę, przyoblekającą je piętnem powagi, starości i smutku.

Stare też to są, odwieczne ściany niezawodnie, bo podłużnemi pasy porasta je tu i owdzie zielonawy mech. U góry, wysoko, przerzyna je szereg długich, wąskich, głęboko osadzonych okien, przypominających kształtem swym strzelnice warownych murów; powyżej zaś całą budowlę okrywa dach, którego trzy ciężkie, jedno na drugie spadające piętra podobnemi wydają się do trzech brunatnych, omszonych, olbrzymich grzybów.

Wszystko, co tylko pokaźniejszy posiada pozór i do ogólnego użytku służy, skupiło się tu i chroni pod osłonę brunatnych ścian świątyni grzybiastego jej dachu. Tu, dokoła obszernych dziedzińców, stoją przyszkółki, chedery, miejsca zgromadzeń zwierzchności kahalnej; tu przysiadł niziuchny, czarny domek o dwóch okienkach, istna lepianka, którą od kilku już wieków i wielu pokoleń zamieszkują rabini, ze słynnej w gminie i daleko poza gminą rodziny Todrosów pochodzący; tu nakoniec panuje zawsze czystość wzorowa, a choć gdzie indziej, w jesiennej szczególniej i wiosennej porze, ludzie topią się niemal w błocie i zagrzebują w śmieciach, podwórze szkolne okrywają zawsze suche i białe kamienie; źdźbła słomy nawet trudnoby na nich dopatrzyć, bo jeśli znajdzie się jakie, wnet je podnosi ręka przechodnia, dbałego o piękność miejsc, ścielących się do stóp świątyni.

Jakie znaczenie Szybów posiada dla ludności izraelskiej, zamieszkałej w stronach białoruskich, a nawet dalej jeszcze, na szerokich przestrzeniach Litwy, wnieść można z kłopotliwego dość wydarzenia, które spotkało pewnego, bardziej wesołego niż mądrego, szlachcica w rozmowie z pewnym Żydkiem-faktorem, bardziej jednak dowcipnym, niż pokornym.

Żydek-faktor stał u drzwi gabinetu pańskiego, pochylony nieco ku pańskiemu obliczu, uśmiechniony, gotów zawsze do sprężystego poskoku, w celu usłużenia panu, i dowcipnego słówka, w celu obudzenia dobrego jego humoru.

Pan był w dobrym humorze i żartował z Żydka.

— Chaimku — mówił — czy byłeś ty w Krakowie?

— Nie byłem, jaśnie panie!

— Toś ty, Chaimku, bardzo niemądry!

Chaimek ukłonił się.

— Chaimku, czy byłeś ty w Rzymie?

— Nie byłem, jaśnie panie!

— Toś ty, Chaimku, bardzo niemądry!

Chaimek ukłonił się powtórnie, ale zarazem o dwa kroki bliżej do pana przystąpił. Na ustach zaigrał mu jeden z tych uśmiechów, właściwych ludziom jego plemienia, sprytnych, przebiegłych, o których powiedzieć na pewno nie można, czy się maluje w nich pokora, czy też tajemny triumf — pochlebstwo, czy szyderstwo.

— Przepraszam jasnego pana — rzekł zcicha — czy jasny pan był w Szybowie?

Szybów odległy był od miejsca, na którem toczyła się rozmowa, o jakich mil dwadzieścia.

Szlachcic odpowiedział:

— Nie byłem.

— A co teraz będzie? — ciszej jeszcze szepnął Chaimek.

Podanie zamilcza o tem, co na kłopotliwe zapytanie to odpowiedział wesoły szlachcic; ale z posłużenia się Szybowem, jako argumentem, odpierającym ubliżające twierdzenie, a raczej wywzajemniającym się za nie, wnieść można, iż dla Chaimka Szybów był tem, czem dla szlachcica były Kraków i Rzym, więc miejscem, skupiającem w sobie i przedstawiającem cywilne i religijne powagi.

Gdyby ktokolwiek zapytał był podówczas Żydka-faktora, dlaczego tak wysokie znaczenie przywiązuje do mieściny małej, zapadłej wśród głuchych równin — wymieniłby on prawdopodobnie dwa tylko nazwiska, będące nazwiskami dwóch tylko rodów, od wieków w Szybowie zamieszkałych: Ezofowiczów i Todrosów.

Pomiędzy dwoma rodami temi taka zachodziła różnica, i taki wytworzył się podział, że Ezofowicze przedstawiali, do wysokiego stopnia spotęgowany, żywioł świeckich świetności, jako to: licznego rozrodzenia się i zestosunkowania, bogactwa i bystrej zręczności w robieniu interesów i powiększaniu majątku — Todrosowie zaś przedstawicielami byli żywiołu duchowego: pobożności, religijnej uczoności, surowej aż do ascetyzmu czystości życia.

Być może nawet, iż Chaimek, zapytany o przyczynę znaczenia przywiązywanego do małej mieściny, zapomniałby wymienić Ezofowiczów; jakkolwiek bowiem bogactwem i wpływami rodu tego chlubili się Izraelici wszyscy na wiele dziesiątków mil dokoła, niby jedną ze swych chwał narodowych, blask ten jednak, czysto światowy, bladł przy promieniach duchowej świętości, któremi otoczone było od niezmiernie dawna imię Todrosów.

Todrosowie uważani byli oddawiendawna przez całą ludność izraelską, Białoruś i Litwę zamieszkującą, za skończony wzór i nienaruszoną arkę prawowierności religijnej. Czy było tak w istocie?

Znajdowali się tu i owdzie uczeni talmudyści, którzy na wzmiankę o talmudycznej prawowierności Todrosów uśmiechali się jakoś dziwnie i gdy się zeszli z sobą, smutnie coś o niej szeptali. Wiele, wiele do myślenia dawała uczonym talmudystom owa sławiona prawowierność talmudyczna Todrosów. Stanowili oni przecież ogromną mniejszość; kilku ich było zaledwie lub kilkunastu wątpiących wobec wierzących tłumów.

Tłumy wierzyły, wielbiły i do Szybowa dążyły, jako do miejsca uświęconego, z pokłonem, po naukę, radę, pociechy i leki.

Nie zawsze przecież Szybów posiadał taką siłę prawowierności. Owszem, pierwszymi założycielami jego byli odszczepieńcy, przedstawiciele w Izraelu ducha opozycji i rozbioru, karaici. Niegdyś, bardzo dawno temu, nawrócili oni byli na wiarę swą możny lud, zamieszkujący płynącą winem i złotem ziemię Chersonesu i stali się jej królami.

Potem, ze wspomnieniami królowania tego, z jedyną religijną i prawodawczą księgą swą, biblją, powędrowali w świat podwójni wygnańcy Palestyny i Krymu, a mała cząstka ich, sprowadzona na Litwę przez w. księcia litewskiego Witolda, posunęła się aż na Białoruś i tam osiadła w gromadce domków i lepianek, którą zwano Szybowem.

Natenczas w piątkowe i sobotnie wieczory panowała w miasteczku głucha cisza i ciemność; karaici bowiem, wbrew talmudystom, nie spotykali świętego dnia sabatu światłem rzęsistem, gwarnem weselem i obfitemi ucztami, ale witali go ciemnością, milczeniem, smutkiem i rozmyślaniem nad upadkiem świątyni chwały i mocy ojczystej.

Wtedy, z czarnych wnętrzy domostw, z za małych mętnych okienek, wypływały nazewnątrz przyciszone, przeciągłe,

śpiewne i żałosne dźwięki, któremi ojcowie opowiadali dzieciom swym o prorokach, którzy nad rzekami Babilonu tłukli harfy swe i ucinali palce u rąk, aby nikt zmusić ich nie mógł do śpiewu w niewoli o błogosławionej krainie Chawili, kędyś na południu Arabji położonej — w której dziesięć pokoleń izraelskich mieszkało w swobodzie, w szczęściu i pokoju, nie znając co to kłótnie albo miecz; do śpiewu o świętej rzece Sabbationu, kryjącej tułaczy izraelskich przed oczyma ich wrogów.

Przyszła jednak pora, w której tu i owdzie w piątkowe wieczory okienka domów błyskać poczęły światłami i rzucać nazewnątrz gwar głośnych rozmów i chóralnych modlitw: — rabbinici przybywali. Czciciele talmudycznych powag, przedstawiciele ślepej wiary w podania ustne, zebrane i przekazane przez Tanaitów i Gaonów, nachodzili i wypierali z siedlisk garstkę kacerzy i rozbitków. Pod wpływem najścia tego gmina karaicka topniała zwolna; ostatni cios zadał jej mąż, znany w dziejach Izraelitów polskich, Michał Ezofowicz, Senior.

Pierwszy to był Ezofowicz, którego imię wyłoniło się z cieniów niewiadomości. Rodzina jego, niezmiernie dawno w Polsce osiadła, jedną z tych była, które za królów Jagiellonów, pod wpływem praw i zwyczajów, wytworzonych niezwykle wysokim na one czasy stanem oświaty w Polsce, życzliwemi węzły połączyły się z miejscową ludnością. Senjorem, czyli starszym nad Żydami wszystkimi, Litwę i Białoruś zamieszkującymi, mianował go król Zygmunt I-szy dyplomem, którego ustęp główny brzmiał jak następuje:

«My, Zygmunt, z Bożej łaski i t. d., wiadomo czynimy wszystkim Żydom, zamieszkałym w państwie, Ojczyźnie naszej... Zważywszy na wierne ku nam zasługi Żyda, Michała Ezofowicza, i bacząc, abyście w sprawach waszych z Nami w niczem nie doznawali przeszkody i opóźnienia, według sprawiedliwości stanowimy: aby Michał Ezofowicz wszystkie wasze sprawy przy Nas załatwiał i był nad wami wszystkimi starszym, a wy macie za jego pośrednictwem do Nas się udawać i być jemu we wszystkiem uległymi. Będzie on was sądził i rządził wami, według zwyczaju waszego prawa, a winnych karał z przyzwoleniem Naszem, każdego według zasługi...»

Z kilku wzmianek, które czyni o nim historja, łatwo poznać w Senjorze człowieka silnej i sprężystej woli. W pewną siebie dłoń ujął on powierzone mu nad współwyznawcami rządy, a na tych, którzy poddać się im nie chcieli, na karaitów mianowicie, rzucił klątwę, wyłączającą ich z pośród społeczeństwa

izraelskiego i odbierającą im prawo do współplemiennej pomocy i przyjaźni.

Pod uderzeniem ciosu tego egzystencja dawnych mieszkańców Szybowa, dość smutna, uboga i bezczynna przedtem, ostatecznemu uległa rozprzężeniu. Potomkowie chazarskich władców, kacerze, stanowiący, jak zwykle bywa, wśród społeczeństwa swego ogromną mniejszość i będący przedmiotem niechęci i wstrętu dla niego, znękani i biedni, z upartem swem a wyłącznem przywiązaniem do biblji w sercu, ze swemi poetycznemi legendami na ustach, opuścili miejsce, które im dało chwilowy przytułek.

Rozeszli się w świat szeroki i nieprzyjazny, za cały ślad dwuwiekowego pobytu swego w szarej gromadce domostw, rzuconej wśród białoruskich rozłogów, pozostawiając kilka rodzin wytrwalszych, namiętniej przywiązanych do starych grobów, które schroniły kości ich ojców, i do wzgórza, usianego gruzami świątyni ich, obalonej przez zwycięskich rabbinitów.

Rabbinici objęli Szybów w posiadanie zupełne i, co prawda, czynnością swą, zapobiegliwością, ścisłą spójnością działań swych, które źródło siły swej czerpały z bezprzykładnej niemal wzajemnej pomocy, zamienili szarą mieścinę z miejsca ciszy, smutku i ubóstwa, w miejsce ruchu, gwaru, zachodu i bogactw.

Wogóle zresztą dobrze się działo w czasach onych Żydom, poddanym władzy Senjora. Oprócz materjalnych powodzeń, świtać dla nich zaczęła nadzieja wydźwignięcia się z umysłowej ciemnoty i ze społecznego poniżenia. Senior posiadać musiał umysł bystry i jasny, skoro z za wiekowych uprzedzeń i przesądów dojrzeć potrafił ducha czasu i potrzeby ludu swego. Nie przez fanatyzm religijny zapewne, ale dla czysto administracyjnych lub i szerzej społecznych celów odrzucił on był karaitów od Izraelowego łona; jakkolwiek bowiem rabbinitą był, więc obowiązanym do bezwarunkowej czci i wiary względem religijnych powag, sceptycyzm, najlepsza ta, a może i jedyna, droga ku mądrości, nawiedzał niekiedy umysł jego.

W jednem z podań swych do króla, odpierając zarzuty, które czyniono sprawiedliwości dokonywanych przezeń sądów, smutnie i nieco ironicznie pisał:

«Księgi nasze różnie i różnie nakazują; nie wiemy często, jak postąpić, kiedy Gamaljel tak, a Eljezer inaczej rozkazuje.

W Babilonie jedna, w Jerozolimie druga jest prawda [1]). My słuchamy drugiego Mojżesza [2]), a nowi nazywają go kacerzem. Zachęcam ja uczonych do pisania takich mądrych rzeczy, aby rozumni i głupi słuchać ich mogli».

Była to właśnie pora, w której na Zachodzie, wśród Izraelitów, osiadłych w Hiszpanji i Francji, podniósł się wielki spór o to, czy nauka świecka wzbroniona lub dozwolona ma być wyznawcom Biblji i Talmudu. Zdania ważyły się, lecz długo ważyć się nie mogły, gdyż stronnicy bezwarunkowego wyłączenia się Izraela z pośród umysłowych prac i dążeń ludzkości stanowili większość ogromną.

Na społeczeństwo każde nachodzą niekiedy chwile takiego zapadania w ciemność. Zdarza się to wtedy najczęściej, gdy żywotność i energja narodu zmęczoną uczuje się długiem pasmem dokonanych wysileń i przetrwanych męczarni, osłabioną potokami wylanej krwi. Żydzi zachodni, po kilku stuleciach istnienia w trwodze, tułactwie, we krwi i ogniu, przebywali w wieku XVI chwilę taką.

Dalekiemi już były od nich czasy te, w których z łona ich powstawali sławni doktorowie umiejętności świeckich, miłowani przez ludy, poważani przez samych królów; daleką od nich, zapomnianą już, wzgardzoną była szeroka i wysoka myśl Majmonidesa, który, oddając należną cześć prawodawcy izraelskiemu, wielbił też i greckich mędrców; który naukę biblijną i talmudyczną oprzeć i utrwalić usiłował na podstawach prawd matematycznych i astronomicznych; który otwarcie wyznawał pragnienie zawarcia 2500 arkuszy talmudu w jednym chociażby, byle jasnym jak dzień rozdziale; który, mniemań nierozsądnych religijnemi nawet nie usprawiedliwiając wierzeniami, utrzymywał, że «oczy umieszczone są zprzodu głowy człowieka, nie zaś ztyłu, dlatego, aby wolno mu było patrzeć przed siebie», i przepowiadał, za prorokiem Jezajaszem, «że świat cały napełni się kiedyś wiedzą tak, jak wodą napełnione są otchłanie morza».

Cztery wieki minęły, odkąd znikła z powierzchni świata poważna, słodka, wielce sympatyczna postać izraelskiego myśliciela, który zresztą był jednym z największych wogóle myślicieli średnich wieków. Olbrzyma z orlim wzrokiem i płomiennem

---

[1]) Dwa wydania talmudu: babilońskie i jerozolimskie, niezupełnie z sobą zgodne.

[2]) Majmonides.

sercem zastąpiły karły o piersi zmęczonej i przesyconej goryczą, z okiem spoglądającem na świat mętnie, ciasno, podejrzliwie.

«Strzeż się mądrości greckiej — wołał do syna swego Józef Ezobi — albowiem podobna ona jest do sodomskiej winnicy, lejącej w głowę człowieka pijaństwo i grzech». «Obcy ludzie wciskają się w bramy Syjonu!» — wyrzekał Abba-Mari, na wieść o młodzieży żydowskiej, uczącej się u innowierczych mistrzów. A wszyscy społem, rabini i naczelnicy gmin żydowskich na Zachodzie, wydają rozkaz, aby nikt przed skończeniem 30 lat życia nie śmiał się krzątać około nauki świeckiej. Ten tylko bowiem, powiadają, który napełnił już umysł swój biblją i talmudem, posiada prawo ogrzewania się przy obcych płomieniach».

— «Rabbi! — odpowiadali na to śmielsi nieco, lubo niemniej poddający się kornie rozporządzeniu duchownych zwierzchników swych — a jakoż będziemy badali wiedzę świecką po 30 latach naszego życia, skoro do czasu tego umysły nasze stępieją, pamięć umęczy się i nie będziemy już mieli ochoty i siły młodości?»

Stało się przecież tak, jak nakazanem było. Umysły ich stępiły się, pamięć zmęczona omdlała, opadły z nich siły i chęci młodości. Grób Majmonidesa, milczący i nieruchomy, stał pośród morza ciemności, które rozlało się na lud, przez niego wiedziony ku światłu.

Na pamięć jego rzucono klątwę, a zuchwała ręka starła mu z grobowca napis, pełny wdzięczności i chwały, zastępując go słowami suchemi i okrutnemi, jak ciemnota i fanatyzm:

«Tu spoczywa Mojżesz Majmonides, wyklęty kacerz».

Takież same spory, w tymże samym czasie powstały i wśród Izraelitów, w Polsce osiadłych; tylko że nie tyle znużeni udręczeniami, których doświadczyli nieskończenie mniej, niż współbracia ich na Zachodzie, swobodniejsi, pewniejsi praw swych do bytu i przyszłości, mniej też namiętny wstręt okazywali oni do «obcych płomieni».

Owszem, utworzyło się wśród nich dość liczne stronnictwo, które wielkim głosem wołało o naukę świecką, a pobratanie się z resztą ludności w umysłowych trudach i dążeniach. Jednym z ludzi, stojących na czele stronnictwa tego, był Senjor litewski, Ezofowicz.

Za jego to staraniem wydana została przez synod żydow-

ski, w czasie tym zgromadzony, odezwa do wszystkich Żydów polskich, której główny ustęp brzmiał, jak następuje:

«Jehowa ma liczne sefiroty; Adam miał różne doskonałości wypływy; Izraelita też na jednej nauce (religijnej) przestawać nie powinien. Pierwsza jest święta nauka, ale dlatego czyliż nie mamy mniej smacznego jeść jabłka?... Byli Żydzi u królów na dworze, Mardocheusz był uczonym, Ester była mądrą, Nehemjasz był radcą perskim — i lud wybawili z niewoli. Uczcie się, bądźcie użytecznymi królowi i panom, a będą was szanować. Ile gwiazd na niebie, ile piasku w morzu, tyle jest Żydów na świecie; ale nie świecą oni jako gwiazdy, lecz każdy ich depcze jako piasek... Jednak rzuca wiatr nasiona różnych drzew, i nikt się nie pyta: skąd najpyszniejsze drzewo ma pochód; czemużby i z nas cedr libański, miasto tarniny, powstać nie mógł?»

Mąż, pod którego natchnieniem napisana została odezwa, wzywająca Żydów polskich, aby obracali się twarzami w stronę, z której nadchodziły światła przyszłości, spotkał się oko w oko z człowiekiem zapatrzonym w przeszłość i ciemność.

Był nim, świeżo przybyły z Hiszpanji do Polski, a w Szybowie osiadły, Nehemjasz Todros, potomek owego słynnego Todrosa Abulafii Haleviego, który, przez czas jakiś słynąc z talmudycznej mądrości swej i prawowierności, dał się potem unieść ponurym tajemnicom kabalistyki, i wspierając ją powagą swą, przyczynił się znacznie do wytworzenia w Izraelu jednego z najsroższych obłędów, jakiemu duch narodu ulec może.

Wieść niesie, że tenże Nehemjasz Todros, noszący tytuł książęcy, Nassi, pierwszy przywiózł do Polski księgę Zohar, zawierającą w sobie wykład, a raczej kwintesencję, zgubnej doktryny, i że odtąd datuje się w Polsce pomieszanie nauk talmudycznych z kabalistyką, które coraz ogólniej i szkodliwiej działać miało na umysły i życie Żydów polskich.

Historja milczy o rozterkach i walkach, wznieconych innowacją tą wśród ludu, który już wybić się miał z ogarniających go długo ciemności; ale podania, świątobliwie przechowywane w łonach rodzin, opiewają, iż w walce, którą długo i zawzięcie toczyła się pomiędzy Michałem Ezofowiczem, Żydem zdawna polskim, a Nehemjaszem Todrosem, hiszpańskim przybyszem, pierwszy zwyciężony został.

Strawiony zgryzotą, którą sprawiał mu widok ludu jego, zwracającego się na drogi błędne, gnębiony intrygami, wzniecanemi przeciw niemu przez posępnego przeciwnika, umarł on

w sile wieku. Imię jego przechowywane było w rodzie Ezofowiczów z pokolenia w pokolenie. Wszyscy oni szczycili się wspomnieniem tem, jakkolwiek z upływem czasu coraz mniej rozumieli istotne jego znaczenie.

Od czasu to owego datuje się wielka powaga Todrosów i stopniowe zmniejszanie się wpływów moralnych, wywieranych przez Ezofowiczów. Ci ostatni, wyparci przez pierwszych z dziedziny szerokich, społecznych działań, wszystkie zdolności swe zwrócili na pole starań i zabiegów, mających na celu dobro materjalne.

Spławne rzeki okrywały się rok rocznie statkami, będącemi ich własnością, a niosącemi ku dalekim portom ogromne zasoby przeróżnych przedmiotów handlu; dom ich, stojący wśród lichej mieściny, stawał się coraz bardziej głównem ogniskiem krajowego kredytu i przemysłu; ku nim, jak ku nowoczesnym Rotszyldom, zwracali się wszyscy ci, którzy dla powodzenia zamiarów swych i przedsiębiorstw potrzebowali złotej podpory.

Ezofowicze dumni byli zdobytą potęgą kruszcu i przestali całkiem troszczyć się o inną, o tę potęgę wpływów na ducha i los narodu, którą posiadał pradziad ich, a którą na zawsze, zda się, wydarli im z rąk Todrosowie, ci Todrosowie, którzy ubodzy wiecznie, nędzarze niemal, zamieszkujący lichą chatkę, u stóp świątyni przysiadłą, gardzący wszystkiem, co miało pozór wykwintu, piękna, a choćby wygody, słynęli przecież szeroko na wsze strony kraju i pociągali ku sobie najpobożniejsze westchnienia, najgorętsze marzenia i tęsknoty ludu swego. I raz tylko w ciągu dwóch wieków jeden jeszcze Ezofowicz pokusił się, nie już tylko o materjalne, ale i o moralne dostojeństwo.

Zdarzyło się to w końcu zeszłego stulecia. W Warszawie zasiadał wielki sejm czteroletni. Odgłosy toczonych tam obrad doszły aż do białoruskiej mieściny. Ludność, zamieszkująca ją, ciekawie nadstawiała ucha, słuchała, czekała. Z ust do ust biegła wieść, nabrzmiała nadzieją i trwogą: radzą tam i o Żydach!

— Co tam o nas gadają? co tam o nas piszą? — zadawali sobie wzajem pytania długobrodzi przechodnie ciasnych uliczek Szybowa, ubrani w długie chałaty i w wielkie futrzane czapki. Ciekawość wzrastała z dniem każdym tak bardzo, że aż powstrzymywała, w sposób zupełnie niezwykły, ruch pieniężnych i handlowych interesów.

Niektórzy puszczali się nawet w daleką i trudną podróż do Warszawy, aby znaleźć się bliżej źródła, z którego wycho-

dziły wiadomości, a znalazłszy się tam, przesyłali współbraciom, pozostałym w białoruskiej mieścinie, długie listy, zmięte i wyplamione dzienniki, kartki powydzierane z rozlicznych broszur i książek.

Z pomiędzy tych wszystkich, którzy pozostali w miasteczku, najpilniej i najniespokojniej nadstawiali ucha dwaj ludzie: Nochim Todros, rabin, i Hersz Ezofowicz vel Józefowicz, bogaty kupiec.

Stosunek wzajemny tych dwóch ludzi zawierał w sobie głuchą, tajemnie wrzącą niechęć. Nie lubili się. Napozór zostawali ze sobą w zgodzie, ale przy każdej ważniejszej sposobności wychodził najaw i burzliwie nieraz wybuchał antagonizm, istniejący pomiędzy prawnukiem Michała Senjora, Majmonidesowego ucznia, a potomkiem Nehemjasza Todrosa, fanatyka kabalisty.

Raz nakoniec przybyła z Warszawy do Szybowa kartka papieru, zżółkłego i zmiętego w długiej podróży, a na niej wypisane były następujące wyrazy:

«Wszelkie różnice w ubiorze, języku i obyczajach, pomiędzy Żydami a miejscową ludnością zachodzące, znieść. Wszystko, co się religji tyczy, pozostawić nietykalnem. Sekty nawet tolerować, jeżeli te nie będą wpływały szkodliwie na moralność. Żadnego Żyda, zanim dojdzie do lat 20-tu życia, do chrztu nie przyjmować. Prawo do nabywania gruntów Żydom udzielić, a nawet tych, którzyby się rolnictwem zatrudniać chcieli, na pięć lat od podatków uwolnić i inwentarzem rolnym obdarzyć. Wzbronić zawierania małżeństw przed rokiem 20-tym dla mężczyzn, a 18-tym dla kobiet».

Kartkę tą noszono po ulicach, placach i domach, czytano po sto razy, powiewano nią w powietrzu, niby chorągwią triumfu lub żałoby, dopóty, aż w tych tysiącach rąk nieszczęśliwych i drżących rozpadła się ona w drobne szmatki, ulotniła się w żółtawy pył i — znikła.

Zdania jednak o tem, co przeczytane zostało, ludność Szybowa nie wyrażała zrazu. Część jej, znacznie mniejsza, pytające spojrzenia zwróciła ku Herszowi; inna, ogromnie większa, badała twarz Reb Nochima.

Reb Nochim wyszedł przed próg swej lepianki i, chude ręce swe, na znak zgrozy i rozpaczy, wznosząc nad głową, okrytą siwemi włosy, zawołał po razy kilka:

— A gzejre! a core!

— Nieszczęście! nieszczęście! biada! — powtórzył za nim

tłum, zalegający w dniu owym podwórze świątyni. Ale w tej samej chwili Hersz Ezofowicz, stojący u samych drzwi domu modlitwy, założył białą rękę na szeroki pas atłasowego chałata, drugą powiódł po bujnej rudawej brodzie, podniósł wysoko głowę, okrytą cenną bobrową czapką, i niemniej donośnie od rabina, innym tylko wcale głosem, zawołał:

— Bytochou! a trejst!

— Nadzieja! nadzieja! radość! — nieśmiało trochę, zcicha, i z ukośnem na rabina wejrzeniem, powtórzyła za nim nieliczna gromadka jego przyjaciół.

Ale stary rabin słuch miał dobry: usłyszał. Biała broda jego zatrzęsła się, czarne oczy rzuciły w stronę Hersza wejrzenie pełne błyskawic.

— Rozkażą nam brody golić i krótkie suknie nosić! — zawołał żałośnie i gniewnie.

— Rozum nasz uczynią dłuższym i serce w piersiach naszych rozszerzą! — odpowiedział mu od drzwi świątyni doniosły głos Hersza.

— Zaprzęgną nas do pługów i każą nam uprawiać krainę wygnania! — krzyczał Reb Nochim.

— Otworzą przed nami skarby ziemi i rozkażą jej, aby ojczyzną nam była! — wołał Hersz.

— Zabronią nam koszery zachowywać i z Izraela uczynią cedr libański, miasto tarniny!

— Twarze synów naszych brodami porosną, zanim wolno im będzie żony pojąć sobie!

— Kiedy pojmą oni swe żony, rozum w ich głowach i siła w ich rękach będą już wyrosłe!

— Rozkażą nam grzać się przy obcych płomieniach i pić z sodomskiej winnicy!

— Przybliżą do nas Jobel-ha-Gadel, święto radości, w którem jagnię bezpiecznie spoczywać będzie obok tygrysa!

— Herszu Ezofowiczu! Herszu Ezofowiczu! przez usta twoje mówi dusza pradziada twego, który wszystkich Żydów zaprowadzić chciał do cudzych płomieni!

— Reb Nochim! Reb Nochim! przez oczy twoje patrzy dusza twego pradziada, który wszystkich Żydów zatopił w wielkich ciemnościach!

Tak wśród ogólnej, głębokiej ciszy tłumu, zdala od siebie stojąc, rozmawiali z sobą dwaj ci ludzie.

Głos Nochima stawał się coraz cieńszym i ostrzejszym, Hersza — brzmiał coraz silniejszemi, głębszemi tony. Żółte po-

liczki starego rabina okryły się plamami ceglastych rumieńców, twarz Ezofowicza zbladła. Rabin trząsł nad głową wyschłemi dłońmi, rzucał postać wtył i naprzód, a srebrna broda jego rozwiała mu się na oba ramiona; kupiec stał prosto i nieruchomo, w szarych oczach jego błyskało gniewne szyderstwo, a ręka, za pasem tkwiąca, odbijała białością od głębokiej czerni atłasu.

Parę tysięcy oczu szybkiemi spojrzeniami biegało od twarzy jednego z dwóch przywódców ludu ku twarzy drugiego, parę tysięcy ust drżało, lecz — milczało.

Nakoniec rozszedł się po podwórzu świątyni przeszywający powietrze, ostry, przeciągły krzyk Reb Nochima:

— A gzejre, a core! — jęczał starzec z łkającą piersią i załamanemi nad głową rękoma.

— Bytochou! a trejst! — podnosząc w górę białą rękę i głosem radością brzmiącym wykrzyknął Hersz.

Tłum milczał jeszcze chwilę i stał nieruchomy, potem głowy jego pochylać się zaczęły ku sobie nakształt fal, kołysanych w przeciwne strony i, nakształt wód szemrzących, szemrać poczęły usta, aż nagle parę tysięcy rąk podniosło się w górę z gestem trwogi i bólu i parę tysięcy piersi wydało chóralny ogromny okrzyk:

— A gzejre, a core!

Reb Nochim zwyciężył.

Hersz powiódł okiem dokoła. Stronnicy jego otaczali go ścieśnionem kołem. Nie powtarzali wprawdzie okrzyków tłumu, ale — milczeli. Pospuszczali głowy i nieśmiałe wzroki utkwili w ziemi.

Po ustach Hersza przeleciał uśmiech wzgardliwy — i kiedy lud, tłumną, jęczącą falą, cisnął się do świątyni, kiedy Reb Nochim, biegnąc na czele jego, potrząsał wciąż nad siwą głową żółtemi rękoma i przed progiem świątyni jeszcze rozpoczynał wielkim głosem modlitwę, odmawianą zazwyczaj w godzinę niebezpieczeństwa, kiedy nakoniec brunatne ściany domu modlitwy rozbrzmiały ogromnym, łkającym okrzykiem: «Boże, ratuj naród Twój! zbaw od zagłady ostatki Izraela!» — młody kupiec stał długo nieruchomy, z głęboką zadumą w ziemię wpatrzony, potem wolnym krokiem przeszedł ogromny rynek miasteczka i zniknął w głębi stojącego przy nim obszernego i pokaźnego domu.

Dom to był najobszerniejszy i najokazalszy w tem miasteczku, nowy jeszcze zupełnie, bo przez Hersza samego zbudo-

wany, żółtemi ścianami i jasnemi oknami błyszczący. We wnętrzu jego, w izbie dużej, na bardzo prostym drewnianym sprzęcie Hersz przesiedział długo, z chmurnym wzrokiem i z czołem w dłoniach ukrytem. Podniósł potem głowę i zawołał:

— Frejda! Frejda!

Na wołanie to otworzyły się drzwi sąsiedniej izby i, w złotem oświetleniu ogniska, szeroko tam płonącego, ukazała się w progu młoda, wysmukła kobieta. Na głowie miała ona wielki biały zawój, biały fartuch spadał od szyi jej, zdobnej w kilka sznurów pereł, aż ku dołowi kwiecistej spódnicy. Ogromne czarne oczy świeciły wesoło i płomiennie pośród ściągłej, łagodnej twarzy. Stanęła naprzeciw męża i zapytywała go wzrokiem tylko.

Hersz wskazał jej oczyma ławę, na której też wnet usiadła.

— Frejdo! — zaczął — czy ty słyszałaś o tem, co u nas dziś działo się w miasteczku?

— Słyszałam — odpowiedziała zcicha — brat mój, Joze, zachodził do mnie i mówił, że ty bardzo kłócił się dziś z Rebem Nochimem.

— On chce mnie zjeść, tak jak pradziad jego zjadł mego pradziada.

W czarnych oczach Frejdy odmalowała się trwoga.

— Hersz! — zawołała — ty z nim nie kłóć się! on wielki i święty! — za nim wszyscy będą.

— Nu — po chwili milczenia odpowiedział z uśmiechem mąż — już ty nie lękaj się! Teraz już inne czasy idą! on mnie nic nie zrobi! A ja nie mogę zamykać moich ust, kiedy moje serce krzyczy głośno na mnie, żebym ja gadał! i ja nie mogę patrzeć na to, jak ten człowiek mówi, że to, co dobre, jest złe, a głupi naród patrzy w oczy i krzyczy potem to, co i on, choć nic nie rozumie. Nu! a skąd on ma co rozumieć? Czy Todrosy uczyli jego kiedy rozpoznawać złe od dobrego, i to, co było, oddzielać od tego, co będzie?

Po chwilowem milczeniu Hersz zaczął znowu:

— Frejda!

— Co, Herszu?

— Czy ty nie zapomniałeś jeszcze tego, co ja tobie opowiadałam o Michale Senjorze?

Kobieta splotła nabożnie ręce.

— Na co ja miałam zapominać? — zawołała. — Ty mnie piękne historje o nim opowiadał!

— To był wielki, bardzo wielki człowiek! Todrosy go zjedli. Żeby go oni nie zjedli, onby wielkie rzeczy dla Żydów zrobił. Ale to nic. Ja jego zapytam się, jak on chciał robić; to on mnie nauczy — i ja zrobię!

Frejda zbladła.

— A jak ty jego zapytasz się — szepnęła z trwogą — kiedy on już dawno nie żyje!

Tajemniczy uśmiech przeleciał po cienkich wargach kupca.

— Już ja wiem jak! Czasem Pan Bóg tak daje, że i ci, którzy dawno nie żyją, gadać mogą i uczyć prawnuków swoich.

— Frejda! — zaczął po chwili — czy ty wiesz, co Michał Senior zrobił, gdy poczuł, że Todrosy zjedzą go, i że on umrze wprzód, nim inne czasy przyjdą?

— Nu, co on zrobił?

— On zamknął się w izbie sam jeden i długo tam siedział, nic nie jedząc, i nic nie pijąc, i nie śpiąc, i — tylko pisał. A co on pisał? tego jeszcze nikt nie dowiedział się, bo on pisanie swoje gdzieś schował bardzo głęboko; a kiedy jemu już źle przyszło, i on poczuł, że będzie po nim, to on swoim synom powiedział: «Ja napisał wszystko, co ja wiedział, i co czuł, i co ja zrobić myślał; ale pisanie moje schowałem przed wami, bo teraz takie czasy przyszły, że ono na nic się nie przyda. Todrosy panują i długo panować będą, i tak zrobią, że ani wy, ani wasze dzieci i wnuki pisania mego zobaczyć nie zechcą; a gdyby i zobaczyli, toby rozszarpali je i wiatrom dali na zniszczenie, i mówiliby, że Michał Senjor był kofer (niedowiarek), i wyklęliby go tak, jak wyklęli drugiego Mojżesza. Ale przyjdzie znów czas jaki, że praprawnuk mój będzie bardzo chciał pisanie moje mieć, żeby u niego zapytać się, co myśleć i jak robić, żeby Żydów z niewoli Todrosów wybawić i do tego słońca zaprowadzić, przy którem grzeją się inne narody. Ten pra-prawnuk mój, co tego bardzo zechce, pisanie moje znajdzie, a wy tylko wszyscy mówcie w godzinę śmierci waszej, najstarszym synom waszym, że ono jest, i że w niem bardzo dobre rzeczy napisane stoją. I niech tak będzie z pokolenia na pokolenie. Ja wam tak rozkazuję: Pamiętajcie posłusznymi być temu, którego dusza zasłużyła sobie na to, żeby być nieśmiertelną!» [1]).

---

[1]) Doktryna Mojżesza Majmonidesa o nieśmiertelności duszy ludzkiej, według której człowiek każdy kształceniem umysłu swego i doskonałością moralną nieśmiertelność sobie zdobywać musiał, a karą złych czynów jego miało być — niecestwo.

Hersz skończył mówić. Frejda siedziała nieruchoma, wpatrzona w twarz męża wzrokiem pełnym ciekawości.

— Ty tego pisma będziesz szukał? — zapytała zcicha.

— Ja jego będą szukał — powtórzył mąż — i ja je znajdę, bo ja jestem ten pra-prawnuk, o którym mówił Michał Senjor, kiedy umierał. Ja pisanie to znajdę. Ty, Frejdo, szukać mi pomagaj.

Kobieta stanęła, wyprostowana, rozpromieniona radością.

— Ty dobry jesteś, Hersz! — zawołała z głębi piersi — ty dobry jesteś, że mnie, kobietę, do takich ważnych interesów i do takich wielkich myśli przypuszczasz!

— A czemubym ja ciebie przypuszczać do nich nie miał? Czy ty domu mego źle pilnujesz, albo dzieci moje źle hodujesz? Ty wszystko dobrze robisz, Frejdo, i twoja dusza taka piękna, jak twoje oczy!

Szkarłatnym płomieniem oblała się biała twarz młodej Izraelitki. Spuściła oczy, ale koralowe usta jej szeptały zcicha niedosłyszalne wyrazy jakieś — miłości czy dziękczynienia.

Hersz powstał.

— Gdzie my pisania tego szukać będziemy? — zapytał w zamyśleniu.

— Gdzie? — powtórzyła kobieta.

— Frejda — mówił mąż — Michał Senjor pisania swego schować nie mógł w ziemi, bo on wiedział, że, gdyby je schował w ziemi, robakiby je zjadły, albo zamieniłoby się ono w proch. Czy to pisanie jest w ziemi?

— Nie — odpowiedziała kobieta — jego w ziemi niema!

— I w ściany on go schować nie mógł, bo on wiedział, że ściany spróchnieją prędko, i że je zrzucą, ażeby nowe postawić. Ja te nowe ściany sam stawiał i w starych ścianach szukał bardzo, ale pisania w nich żadnego nie było.

— Nie było! — z żalem ozwała się Frejda.

— I w dachu on go schować nie mógł, bo on wiedział, że dach zgnije, i że jego rozrzucą, żeby nowy zrobić. Jak ja urodził się, to już na starym domu naszym był dziesiąty może dach, ale mnie zdaje się, że pisania tego w dachu żadnym nie było.

— Nie było! — powtórzyła kobieta.

— To gdzie ono może być?

Zamyślili się oboje. Nagle, po długiej chwili, kobieta zawołała:

— Hersz! ja już wiem! to pisanie jest tam!

Mąż podniósł głowę. Kobieta wyciągniętym palcem wskazywała wielką oszkloną szafę, stojącą w rogu izby i zapełnioną od góry do dołu wielkiemi księgami, w szarej, opylonej oprawie.

— Tam? — zapytał Hersz wahającym się głosem.

— Tam — stanowczo powtórzyła kobieta. — Czy ty mnie nie mówił, że to są książki Michała Senjora, i że je tu wszyscy Ezofowiczowie na pamiątkę po nim chowali, ale, że ich nikt nigdy nie czytał, bo takich książek Todrosy czytać nie pozwalają!

Hersz powiódł dłonią po czole; kobieta mówiła dalej:

— Michał Senjor mądry był człowiek, i przed oczyma jego widna była przyszłość. On wiedział, że tych książek długo nikt czytać nie będzie, i że ten tylko, kto czytać ich zechce, będzie tym prawnukiem jego, co innych czasów doczeka i pisanie jego znajdzie!

— Frejdo! Frejdo! — zawołał Hersz — ty jesteś mądra kobieta!

Pod śnieżnym zawojem czarne oczy kobiece skromnie spuściły się ku ziemi.

— Herszu! ja pójdę zobaczę dzieci nasze i zakołyszę najmłodsze, które zapłakało. Rozdam robotę sługom naszym i zgasić każę ognisko, potem przyjdę tu pomagać tobie w robocie twojej.

— Przyjdź! — rzekł Hersz, a gdy kobieta odchodziła do izby, w której gwarzyły głosy dzieci i domowników, wiódł za nią wzrokiem i półgłosem mówił:

— Mądra żona droższa jest nad złoto i perły. Przy niej serce męża spokojne!

Wróciła po chwili, zasunęła rygle u drzwi i zcicha zapytała męża:

— A gdzie klucz?

Hersz znalazł klucz od szafy pradziada, otworzył ją, i zaczęli oboje zdejmować z półek wielkie księgi. Kładli je potem na ziemi, przysiadali nad niemi i powoli, z uwagą nadzwyczajną, odwracali jedną po drugiej karty, zżółkłe od wielkiej starości.

Chmury pyłu podnosiły się ze stosów papieru, nietkniętych przez wieki ręką niczyją, osiadały na śnieżnym zawoju Frejdy i szarą warstwą przysypywały złotawe włosy Hersza. Oni jednak pracowali niezmordowanie, a z tak uroczystym wyrazem na twarzach, że mogło się zdawać, iż rozkopywali grób pra-

dziada, aby wydobyć z niego, zagrzebane z nim razem, wielkie jego myśli.

Dzień już miał się ku końcowi, kiedy nareszcie z piersi Hersza wydobył się krzyk, podobny do tego, jakim ludzie witają szczęście i zwycięstwo. Frejda nic nie rzekła, tylko z ziemi powstała i splecione ręce wyciągnęła wysoko nad głowę, dziękczynnym ruchem.

Potem widziano Hersza, modlącego się długo i żarliwie przed oknem, z którego widać było wschodzące na niebo pierwsze gwiazdy nocy. Potem przez całą noc w oknie tem światło nie zgasło, a przy stole, z głową na obu dłoniach wspartą, Hersz wczytywał się w żółte jakieś, wielkie, rozwarte przed nim arkusze.

O świcie zaś, zaledwie wschodni kraniec nieba płonąć począł różowemi barwami, wyszedł przed próg domostwa swego, ubrany w płaszcz podróżny i wielką swą czapkę bobrową, wsiadł na wóz, usłany słomą, i odjechał.

Odjeżdżając, był tak zamyślony, że ani dzieci swych, ani domowników, tłoczących się w sieni domu, nie żegnał, tylko głową skinął ku Frejdzie, która stała na ganku w białym zawoju swym, zróżowionym od światła jutrzenki, i czarnemi oczyma, pełnemi smutku i dumy zarazem, długo ścigała odjeżdżającego męża.

Dokąd Hersz pojechał? Za góry, za lasy, za rzeki... w daleką stronę kraju, kędy, wśród bagnistych równin i czarnych borów Pińszczyzny, mieszkał wymowny poplecznik sprawy równouprawnienia i cywilizacji Żydów polskich, poseł sejmowy, Butrymowicz.

Szlachcic, karmazyn to był i — myśliciel. Widział jasno i daleko; nie tajne mu były, tajne dla innych, związki, czynniki i konieczności dziejowe.

Kiedy Hersz, wprowadzony do wnętrza szlacheckiego dworu, stanął przed poważnem obliczem mądrego posła, pokłonił mu się i w sposób następujący mowę swą zaczął:

— Jestem Hersz Józefowicz, kupiec z Szybowa, pra-pra-wnuk Michała Ezofowicza, co nad wszystkimi Żydami starszym był i nazywał się, według rozkazu samego króla, Senjorem. Przyjechałem ja zdaleka. A poco ja tu przyjechałem? Poto, żeby zobaczyć wielkiego posła i pogadać z wielkim autorem, z którego słów spadł na oczy moje i twarz blask taki jasny, jak od promieni słońca. Blask ten jest bardzo wielki, ale mnie nie oślepił, bo, jak roślinka ziemska okręca się kolo gałęzi wysokiego

dębu, tak ja chcę, żeby myśl moja okręciła się około twej wielkiej myśli i żeby one obie rozpostarły się nad ludźmi jako tęcza, po której nie będzie już na świecie kłótni, ani ciemności!

Kiedy na przemowę tę poseł odpowiedział uprzejmie i zachęcająco, Hersz ciągnął dalej:

— Jasny pan to powiedział, że trzeba zrobić wieczną zgodę pomiędzy dwoma narodami, które na jednej ziemi toczą ze sobą wojnę?...

— Powiedziałem to — potwierdził poseł.

— Jasny pan to powiedział, że Żyd, porównany z chrześcijaninem we wszystkiem, nigdy szkodliwy nie będzie?

— Powiedziałem to.

— Jasny pan to powiedział, że Żydów ma za obywateli polskich, i że trzeba, ażeby oni dzieci swoje do świeckich szkół posyłali, i żeby oni mieli prawo ziemię kupować, i żeby między nimi skasowane były różne rzeczy, które ani dobre są, ani rozumne?

— Powiedziałem to — powtórzył poseł.

Wtedy wysoki, okazałej postaci Żyd, z dumnem czołem i rozumnem wejrzeniem, pochylił się szybko i, zanim poseł miał czas obejrzeć się i obronić, rękę jego do ust przycisnął.

— Ja tu przybysz — rzekł zcicha — gość w tym kraju, młodszy brat...

Wyprostował się potem i, sięgnąwszy do kieszeni atłasowego ubrania, wydobył z niej zwój zżółkłego papieru.

— Oto co ja panu przywiozłem — rzekł — to droższe dla mnie nad wszystko złoto, perły i diamenty...

— Cóż to jest? — zapytał poseł.

Hersz uroczystym tonem odpowiedział:

— Testament przodka mego, Michała Ezofowicza, Senjora.

Przez całą noc siedzieli we dwóch i przy świetle świec woskowych czytali. Potem przestali czytać, a zaczęli rozmawiać. Rozmawiali zcicha, z blisko ku sobie pochylonemi głowami, z twarzami pałającemi. Potem, przy świetle dnia już, powstali obaj razem, jednocześnie, wyciągnęli ku sobie dłonie i spoili je w silnym uścisku.

O czem przez noc całą czytali, o czem mówili, co uradzili, jakie uczucia zapału i nadziei połączyły ich ręce uściśnieniem przymierza? Nikt nie dowiedział się nigdy. Zapadło to w tę ciemną noc tajemnic dziejowych, na której dnie skryło się przed

nami wiele słonecznych pragnień i myśli. Przeciwności je tam strąciły. Skryły się one, lecz nie przepadły.

Zapytujemy siebie nieraz: skąd błyskawice te myśli i pragnień, których nikt wprzódy nie znał? a nie wiemy, że źródłem ich bywają często chwile, których na kartach żadnych nie zapisał żaden kronikarz...

Nazajutrz przed ganek szlacheckiego dworu zajechała sześciokonna karoca. Wsiadł do niej dziedzic dworu wraz z izraelskim gościem swym, i pociągnęli w drogę daleką, do stolicy kraju.

Z Warszawy wrócił Hersz do Szybowa w parę miesięcy. Wróciwszy, ruszał się po miasteczku i okolicy żwawo i gorliwie, mówił, opowiadał, tłumaczył, przekonywał, jednał stronników dla przygotowujących się zmian i przekształceń we wszechstronnem życiu swojego ludu. Potem wyjeżdżał, znowu wracał i wyjeżdżał... Trwało to lat parę.

Nagle Hersz z podróży jednej, ostatniej, wrócił zmieniony bardzo, z mętnym wzrokiem i z czołem zoranem troską. Wszedł do domu swego, ciężko się opuścił na ławę i, podparłszy głowę ręką, głośno wzdychał.

Frejda stała przed nim zasmucona, niespokojna, lecz cicha i cierpliwa. Pytać nie śmiała. Oczekiwała spojrzenia i zwierzenia męża. On podniósł nakoniec wzrok mętny, smutny i wymówił:

— Wszystko przepadło!

— Dlaczego przepadło!? — zcicha szepnęła Frejda.

Hersz uczynił ręką giest, oznaczający upadanie czegoś wielkiego.

— Kiedy budowla jaka rozpada się w kawałki — rzekł — tym, którzy w niej mieszkają, belki padają na głowy i pył zasypuje oczy...

— To prawda! — potwierdziła kobieta.

— Jedna wielka budowla rozpadła się... belki pospadały na wszystkie wielkie zadania i wielkie prace nasze, a proch przysypał je... na długo!

Wstał potem, spojrzał na Frejdę oczyma, w których wielkie łzy stały, i rzekł:

— Trzeba schować testament Senjora, bo on znów na nic się nie przyda... Chodź, Frejdo, schowamy go bardzo głęboko... może go prawnuk jaki nasz szukać będzie i znajdzie...

Od tego dnia Hersz starzał się widocznie. Oczy jego gasły, plecy garbiły się. Siadywał często na ławie godzinami całemi,

przechylając postać całą z boku na bok, wzdychając głośno i zcicha powtarzając:

— A gzejre, a core! Nieszczęście, nieszczęście! biada! — Dokoła smutnego człowieka tego cicho i troskliwie krążyła smukła postać niewieścia, w kwiecistej sukni i białym zawoju. Czarne oczy jej często napełniały się łzami, a krok był tak ostrożny i lekkim, że perły nawet, zdobiące jej szyję, nie przerwały nigdy zadumy jego najlżejszem dzwonieniem.

Niekiedy Frejda ze zdumieniem patrzała na męża. Smutek jego zasmucał ją, ale nie rozumiała go dobrze. Nad czem biadał? Bogactwa jego nie zmniejszyły się, dzieci wzrastały zdrowo, wszystko było jak przedtem, jak przed dniem owej wielkiej kłótni z Reb Nochimem i wynalezienia owych starych, zżółkłych papierów!

Nie rozumiała dobrze kobieta, kochająca i roztropna, lecz cały świat swój widząca w czterech ścianach swego domu, że duch męża jej porwany został w krąg wielkich idei i upodobał sobie w płomiennym tym świecie, a wygnany z niego siłą wrogich wypadków, uleczyć się nie mógł z tęsknoty i żalu po nim. Nie wiedziała ona, że są na ziemi tęsknoty i żale, nie tyczące się ani rodziców, ni dzieci, ni żony, ni majątku, ni domu własnego, i że z takich tęsknot i żalów duchowi ludzkiemu, który zaznał ich raz, uleczyć się najtrudniej...

W czarnej lepiance Reb Nochima tymczasem rozlegały się zkolei wykrzyki radości.

— Geuło, geuło! — wołał do ludu stary rabin, dowiedziawszy się, że «wszystko przepadło», że zatem ci, którzy mieli rozkazywać Żydom, aby brody golili i krótkie suknie nosili, krajowym językiem mówili i w szkołach krajowych się uczyli, roli się imali i w dziecinnym wieku małżeństw nie zawierali — rozkazywać już prawa nie mają.

— Geuło, geuło! Zbawione są brody i długie chałaty; zbawione są kahały, heremy, koszery; zbawione od zetknięcia się z nauką Edoma święte księgi Miszny, Gemary i Zohar! Zbawione od ciągnięcia pługu dłonie wybranego ludu! Zbawiony więc jest od zagłady lud Izraela!

Radował się Todros i do radowania się wzywał, wierzącą w mądrość jego i świętość, swą trzodę. Triumfował, ale chciał triumfować bardziej jeszcze.

Zniszczyć Ezofowiczów znaczyłoby to: zniszczyć prąd, dążący w przyszłość i walczący z tym, który usiłował wciąż zamienić lud w skamieniałość przeszłości. Któż wie, co stać się

może kiedyś? czy z przeklętego rodu tego nie powstanie kiedyś człowiek, dość mocny, aby zniszczyć całą, długowiekową robotę Todrosów? Wszak gdyby wypadki wzięły były inny obrót, dokonałby już tego Hersz sam, wraz ze swymi możnymi przyjaciołmi Edomitami!

Na Hersza Józefowicza, jak niegdyś na przodka jego Michała, posypały się ze stron wszystkich oskarżenia, niechęci, przeciwności wszelkiego rodzaju.

W domu modlitwy wykrzykiwano nań głośno, że sabatów nie strzeże; że z gojami się przyjaźni i, do stołu z nimi zasiadając, trefne mięso spożywa; że w sprawach spornych sądów żydowskich unika, a do krajowych się udaje; że rozporządzeń kahalnej zwierzchności nie słucha i nieraz nawet głośno przyganiać im śmie; że powag izraelskich nie szanuje, Reb Nochimowi należnej czci nie oddając...

Dumnie bronił się Hersz, odpierając niektóre czynione sobie zarzuty, do innych przyznając się, lecz usprawiedliwiając je pobudkami, których przecież ani lud, ani przodownicy jego za słuszne uznać nie chcieli.

Trwało tak dość długo, wkońcu trwać przestało. Umilkły obwinienia, znikły intrygi; umilkł, bo też i zniknął moralnie, ten, kto był ich przedmiotem.

Zestarzały przedwcześnie, zgorzkniały, zmęczony jałowemi walkami, Hersz zamknął się szczelnie w obrębie prywatnego życia, zajmował się znowu handlem i różnemi interesami, które jednak nie szły mu tak dobrze, jak innym, bo nie posiadał, tak jak inni, sympatji i pomocy swych współbraci.

Co czuł, o czem myślał w tych ostatnich latach życia swego, nikt nie wiedział, bo nie zwierzał się z tem nikomu. Przed śmiercią tylko miał on z Frejdą długą rozmowę. Dzieci jego były jeszcze zbyt małe, aby powierzyć im mógł tajemnicę zawiedzionych pragnień swych, zmarnowanych starań i stłumionych bólów. Przekazywał ją im przez usta swej żony.

Ale czy Frejda zrozumiała i zapamiętała słowa konającego męża? czy chciała i potrafiła powtórzyć je potomkom jego? niewiadomo. To tylko pewna, że ona jedna pozostała w posiadaniu wiadomości o miejscu, w którem ukryty został testament Senjora, owo pisanie odwieczne, będące dziedzictwem nietylko rodu Ezofowiczów, ale całego izraelskiego ludu, dziedzictwem nieznanem i zaniedbywanem, lecz w którem, kto wie, mieściły się może skarby stokroć większe, niż te, które napełniały śpichrz i skrzynie bogatej kupieckiej rodziny.

Ostatnie żądania i myśli Seniora spały więc kędyś w ukryciu, czekając znowu śmiałej i wiedzy chciwej ręki jakiego prawnuka, któryby przebudzić je i najaw wydobyć zapragnął; a w miasteczku tymczasem, po śmierci Hersza, nie pozostał już ani jeden duch, tęskniący za światłością, ani jedno serce, któreby uderzało dla czegoś więcej, niż dla własnej żony, własnych dzieci i własnego przedewszystkiem majątku.

Gwarno tam stało się od zabiegów i starań, mających za cel jedyny pieniężne zdobycze, ciemno od mistycznych trwóg i rojeń, ciężko i duszno od nieubłaganej, drobiazgowej, bezdusznej prawowierności.

W oczach jednowiernego plebsu w kraju całym ludność Szybowa uchodziła za potężną materjalnie i moralnie, mądrą, przeprawowierną, świętą niemal...

Nad całą tą głęboką, zapadłą doliną społeczną zawisła chmura, złożona z najciemniejszych żywiołów, jakie istnieją w ludzkości, a jakiemi są: cześć dla litery, z której duch uleciał, kazuistyka sroga, gruba niewiedza, podejrzliwe i nienawistne obwarowanie się przeciw wszystkiemu, co płynęło z szerokich, słonecznych, lecz «cudzych» światów.

I.

Było to przed trzema laty.

Wilgotne mgły podnosiły się z błotnistych ulic miasteczka i ciemnym czyniły, przezroczysty gdzie indziej, zmierzch gwiaździstego wieczora. Marcowe powiewy, wraz z wonią świeżo zoranych gruntów, leciały nad niskiemi dachami, lecz nie mogły rozegnać mętnych i duszących wyziewów, kłębiących się u drzwi i okien domów.

Miasteczko jednak, pomimo mgły i wyziewów, które je napełniały, miało pozór wesoły i świąteczny. Z za szarych, kłębistych zasłon tysiące okien błyskało oświetleniem rzęsistem, a z za oświetlonych okien wydobywały się nazewnątrz odgłosy gwarnych rozmów lub zbiorowych modłów.

Ktokolwiekby, przechodząc ulicami, zajrzał zkolei przez to i owo okno do wnętrza tego i owego domostwa, ujrzałby wszędzie wesołe rodzinne sceny.

Pośrodku izb mniejszych lub większych rozpościerały się długie stoły, świątecznie nakryte i zastawione, dokoła nich krzątały się kobiety w barwistych czepcach, przynosząc, ustawiając i, z uśmiechami na twarzach, podziwiając umieszczone na stołach dzieła rąk własnych; brodaci mężowie, trzymając w ramionach małe dzieci, przykładali usta swe do ich pulchnych policzków, lub, z głośnem cmokaniem, podrzucali je aż pod niskie sufity, ku wielkiej uciesze doroślejszych i dorosłych członków rodziny; inni zasiadali przy ławach w licznej gromadce i z ży-

wemi gestami gwarzyli o sprawach minionego tygodnia; inni jeszcze stali twarzami zwróceni ku ścianom, a szybkiemi ruchy podając postacie swe wtył i naprzód, żarliwą modlitwą gotowali się na spotkanie świętego dnia sabatu.

Był to bowiem wieczór piątkowy.

I jedno tylko znajdowało się miejsce w całem miasteczku, w którem panowała ciemność, pustka i cisza. Była niem mała, szara chatka, pochyłą, niziuchną ścianą jakby przylepiona do niezbyt wysokiego wzgórza, które wznosiło się z jednej strony miasteczka i stanowiło naokół, pośród ogromnej równiny, jedyną wypukłość gruntu.

Wzgórze to zresztą nie było naturalne. Podanie niosło, iż usypali je tu niegdyś dłońmi własnemi karaici i wznieśli na niem swoją świątynię. Dziś świątyni kacerskiej nie było już ani śladu; wzgórze, nagie i piaszczyste, osłaniało od wichrów i śnieżnych zamieci małą tylko lepiankę, która też, jakby kornie i wdzięcznie, tuliła się do stóp jego. Nad dachem jej, na pochyłości wzgórza, rosła wielka grusza dzika. W gałęziach jej wiatr zcicha szumiał, i migotało kilka małych gwiazd.

Znaczna przestrzeń gruntów pustych, albo pod uprawę jarzyn zoranych, oddzielała miejsce to od miasteczka. Cisza nad niemi panowała głęboka, i leciały tylko niewyraźne, przytłumione echa dalekiego gwaru; po czarnych w zmierzchu zagonach czołgały się i ciężko ku chatce płynęły, wydobywające się z uliczek miasteczka, grube szlaki pary i mgły.

Wnętrze chatki, z za dwóch malutkich okienek, sklejonych z drobnych, różnokształtnych szkielek, ukazywało się czarne jak przepaść, a w czarnem wnętrzu tem brzmiał i nazewnątrz z niego wychodził zgrzybiały, trzęsący się, lecz donośny głos męski:

— Za dalekiemi morzami, za wysokiemi górami — mówił z pośród grubych ciemności głos ten — płynie rzeka Sabbatjon... Nie wodą ona płynie, nie mlekiem i nie miodem! Płynie ona żwirem żółtym i wielkiemi kamieniami.

Chrypiący, trzęsący się, zgrzybiały głos umilkł, i w czarnej otchłani, widnej z za dwóch małych okienek, przez chwilę panowało głębokie milczenie. Przerwały je tym razem dźwięki zupełnie inne:

— Zejde! mów dalej!

Wyrazy te wymówione zostały głosem dziewiczym, dziecięcym prawie, lubo przeciągłym i zamyślonym.

Zejde (dziadek) zapytał:

— A czy oni jeszcze nie idą?

— Nie słychać! — odparł, bliżej okna odzywający się, głos dziewczęcy.

W głębi czarnej otchłani zaczęło się znowu chrypiące i drżące opowiadanie:

— Za świętą rzeką Sabbatjonem mieszkają cztery pokolenia... cztery pokolenia izraelskie: Gad, Assur, Dan i Nepthali... Te pokolenia uciekły tam od strachów i ucisków wielkich, a Jehowa... niech będzie pochwalone święte imię Jego... schował ich przed nieprzyjaciółmi za rzekę ze żwiru i kamieni... A ten żwir tak wysoko podnosi się, jak bałwany wielkiego morza, a te kamienie tak huczą, jak wielki las, kiedy nim wielkie burze kołyszą... A jak przychodzi dzień sabatu...

Tu nagle urwał się znowu głos zgrzybiały a po krótkiej chwili zapytał ciszej:

— Jeszcze nie idą?

Długo nie było odpowiedzi. Mogło się zdawać, że druga istota, znajdująca się w czarnem wnętrzu lepianki, przed daniem odpowiedzi nadstawiała ucha, słuchała.

— Idą! — wymówiła nakoniec.

W głębi czarnego wnętrza rozległ się przyciszony, przewlekły jęk.

— Zejde! mów dalej! — rzekł bliżej okna głos dziewczęcy, tak samo czysty i dźwięczny, jak wprzódy, mniej tylko dziecięcy w tej chwili, silniejszy.

Zejde nie mówił dalej.

Od strony miasteczka ku lepiance, przypartej do wzgórza, leciał i zbliżał się wciąż trzask dziwny. Złożony on był z biegu kilkudziesięciu par nóg ludzkich, z piskliwych krzyków i srebrnych, zanoszących się śmiechów dziecinnych.

Wkrótce na pustej przestrzeni ukazał się w zmierzchu wielki punkt ruchomy, toczący się jakby po powierzchni czarnych gruntów. Zaraz też punkt ten znalazł się tuż obok lepianki, rozproszył się na kilkadziesiąt drobnych cząstek, które wszystkie, z krzykiem, piskiem, śmiechem i wrzaskiem nieopisanym, rzuciły się do ścian pochyłych i niskich okienek.

Były to dzieci, chłopcy różnego wieku. Najstarszy z nich mógł mieć lat czternaście, najmłodszy — pięć. Ubioru ich w ciemności dojrzeć nie było podobna, ale z pod małych czapek, albo wielkich splątanych włosów, oczy ich połyskiwały blaskiem namiętnej swawoli i innych jeszcze może, żywo, rozbudzonych uczuć.

— Gut Szabes! Karaime! — wrzasnęła jednogłośnie zgraja ta, stukając pięściami we drzwi, z wewnątrz zaryglowane, i wstrząsając ramami okien, w których słabej oprawie dzwonić poczęły drobne szyby.

— A czemu ty światła w sabat nie zapalasz? A czemu ty jak djabeł w czarnej norze siedzisz? Kofer, apikores! niedowiarku! odszczepieńcze! — krzyczeli starsi.

— Batlen, kabcan, miszugener! Hultaj! żebrak! warjat! — z całej piersi wrzeszczeli młodsi.

Łajania, śmiechy i trzęsienie drzwiami i oknami wzmagały się z każdą chwilą, gdy we wnętrzu lepianki ozwał się znowu głos dziewczęcy, spokojny jak wprzódy i dźwięczny, ale tak silny, że przebił sobą kipiącą dokoła wrzawę.

— Zejde! mów dalej!

— Aj! aj! aj! aj! — odpowiedział z głębi głos zgrzybiały — jak ja będę mówić, kiedy oni tak krzyczą! tak krzyczą! i tak łają!

— Zejde! mów dalej!

Tym razem głos dziewczyny brzmiał niemal rozkazująco. Nie był już wcale dziecinny. Czuć w nim było ból, wzgardę i walkę o zachowanie spokoju.

Jak smutny śpiew, wmieszany w ryk i wycie wzburzonych żywiołów, tak w dziką wrzawę dziecięcej tłuszczy, łającej, miaucząccej, wyjącej i śmiejącej się, wmieszały się drżące, jękliwe słowa:

— A w święty dzień sabatu, Jehowa — niech będzie pochwalone święte imię Jego — daje spoczynek świętej rzece Sabbatjonowi... Żwir przestaje płynąć, jak wielkie bałwany, i kamienie nie huczą, jak las... tylko z nad rzeki, co leży i nie rusza się, powstaje wielka mgła, taka wielka, że aż wysokich obłoków dosięga i chowa znów przed nieprzyjaciółmi cztery pokolenia izraelskie: Gad, Assur, Dan i Nepthali...

Niestety! dokoła lepianki z pochylemi ścianami i czarnem jak otchłań wnętrzem nie płynęła święta rzeka Sabbatjon, i ani bałwaniącym się żwirem, ani wysoką mgłą nie zasłaniała mieszkańców jej przed nieprzyjaciółmi!

Nieprzyjaciele ci byli mali, ale było ich wielu. Z ostatecznem wysileniem złośliwej swawoli kilkunastu z nich targnęło ramami lichych okienek, kilka szybek dźwięknęło silniej i rozleciało się w kawałki. Chóralny krzyk triumfu rozległ się daleko po polu z jednej strony, po pustych gruntach z innej. Przez po-

zostałe po szybach otwory posypały się do wnętrza chatki grudki ziemi i drobne kamyki.

Głos zgrzybiały, bardziej jeszcze usunięty w głąb, jakby istota ludzka, do której należał, tuliła się gdzieś w najdalszym kącie, trzęsąc się i chrypiąc coraz bardziej, krzyczał:

— Aj! aj! aj! aj! Rybono szel olom!

Głos dziewiczy, dźwięczny zawsze, powtarzał nieustannie:

— Zejde! sza! Zejde, nie krzycz! Zejde, nie lękaj się!

Nagle ztyłu dziecięcej zgrai, uczepionej do ścian, drzwi i okien lepianki, ktoś donośnie i nakazująco zawołał:

— Sztyl szgocym! a co to wy wyrabiacie tutaj, niegodziwe bachory! precz!

Dzieci umilkły nagle i odpadać zaczęły jedne po drugich od belek, klamek i ram.

Człowiek, który donośnym i rozkazującym dźwiękiem głosu swego sprawił to uciszenie się, wysoką miał i kształtną postawę. Długie ubranie jego obcisłe było i dostatnio obłożone futrem. Twarz jego w zmroku wydawała się białą, a oczy połyskiwały tak ogniście, jak młode tylko oczy połyskiwać mogą.

— A co wy tu wyrabiacie! — powtórzył głosem gniewnym i stanowczym — czy tu, w tej chacie, wilki mieszkają, żeby tak na nich krzyczeć, i łajać, i okna im tłuc?

Chłopcy milczeli zrazu i skupili się w jedną, ścisłą gromadkę. Po chwili wszakże, jeden z nich, najwyższy wzrostem i najśmielszy snadź także, sarknął:

— A czemu oni w szabas światła nie zapalają?

— A co wam do tego? — rzekł przybyły.

— Nu, a co tobie do tego? — bronił się krnąbrny chłopiec — my tu co tydzień przychodzim i tak samo robim... to i co?

— Ja wiem, że wy co tydzień tak robicie... to ja i pilnował, żeby was kiedy tu złapać... ot i dopilnował... nu, gej do domów! żywo!

— A czemu ty, Meir, sam do swego domu nie idziesz? Twoja bobe i twój zejde dawno już rybę bez ciebie jedzą... czemu ty nas stąd pędzasz, a sam sabatu nie pilnujesz?

Oczy młodego mężczyzny ogniściej jeszcze zapłonęły. Uderzył nogą o ziemię i takim gniewnym głosem krzyknął, że młodsze dzieci rozbiegły się wnet w różne strony, i tylko najstarszy chłopak, jakby na wzgardę dla otrzymywanych przestróg i połajań, pochwycił grudkę błotnistej ziemi i z zamachem cisnąć ją miał do wnętrza chaty.

Ale dwie silne dłonie porwały go za rękę i za kołnierz od spencerka.

— Chodź! — rzekł młody przybyły — już ja ciebie sam do domu odprowadzić muszę.

Chłopiec wrzasnął zrazu i targnął się. Ale trzymała go dłoń silna, i silny, spokojny już głos nakazał mu milczenie. Umilkł i, trzymany wciąż za odzież, pochylił głowę.

Dokoła chatki było już cicho zupełnie. Z głębi ciemnego wnętrza wychodziły ciężkie, chrapliwe westchnienia bardzo starej piersi jakiejś, a u samego już okienka, o kilku stłuczonych szybkach, zabrzmiał stłumiony głos dziewczęcy:

— Dziękuję!

— Zostańcie w pokoju! — odpowiedział młody mężczyzna i oddalił się, wiodąc z sobą swego małego więźnia.

Więzień i karciciel przebyli w milczeniu parę uliczek miasteczka i, wszedłszy na plac środkowy, zmierzali ku jednemu z mieszczących się przy nich domostw.

Domostwo to było niskie, długie, zaopatrzone w podjazd, oparty na drewnianych słupach, i w głęboką sień, przez całą długość domu ciągnącą się, co wszystko zdaleka już zapowiadało tak zwany dom zajezdny.

To też okna, umieszczone z jednej strony budowli, a należące do izb, przeznaczonych dla podróżnych gości, ciemne były zupełnie. W innych zato, w tych, które znajdowały się tuż naprzeciw mizernych, źle pobielonych słupów podjazdowych, i o pół łokcia zaledwie wzniesione były nad ziemię, przysypaną grubą warstwą siana, słomy i wszelkiego rodzaju śmiecia — mętnie z za brudnych szyb połyskiwały sabatowe światła.

Zajezdny dom ten był własnością Jankla Kamionkera, męża zajmującego wysoki urząd w zarządzie kahalnym, a wśród ludności izraelskiej miasteczka i okolic wysoko poważanego, dla wielkiej nabożności, uczoności i nie mniejszej też umiejętności, z jaką wiódł interesa swe i powiększał swój majątek.

Młody mężczyzna wraz z dzieckiem, które prowadził za rękę, i które zresztą nietylko nie zdawało się zmartwione swem położeniem, ale owszem podskakiwało, idąc, co kilka kroków, i nuciło sobie swobodnie — przebył miękki od śmiecia i elastycznie pod stopami uginający się grunt, wśród słupów podjazdowych i okien oświetlonych położony; wszedł do głębokiej sieni, w której ciemnych zapadłościach koń jakiś uderzał kopytem o ziemię, i krowa jakaś zapewne głośno przeżuwała; omackiem wynalazł drzwi, ku którym wstępowało się po trzech spróchniałych,

chwiejących się schodkach, i napół je otworzywszy, wepchnął przywiedzionego malca do wnętrza mieszkania.

Uczyniwszy to, nie cofnął się jednak, ale wsunął głowę przez napół otwarte drzwi i zawołał:

— Rebe Jankiel! ja tobie Mendla przyprowadził. Połaj go, albo ukarz swoją ojcowską ręką. On włóczy się w ciemnościach po miasteczku i na niewinnych ludzi napada!

Przemowa ta, donośnym głosem wypowiedziana, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Z wnętrza mieszkania wychodziło tylko nazewnątrz nieustające i zawodzące mruczenie półgłosem i żarliwie modlącego się człowieka.

Przez drzwi, które młody człowiek trzymał wciąż napół otwarte, widać było izbę dość dużą, o ścianach bardzo brudnych i ogromnem piecowisku, czarnem od pyłu i sadzy. Pośrodku izby stał długi stół, nakryty płótnem wątpliwej czystości, lecz rzęsiście oświetlony siedmiu płomykami świec, palących się w zawieszonym u sufitu świeczniku.

Uczta sobotnia jeszcze nie była się rozpoczęła, bo, jakkolwiek z dalszego wnętrza mieszkania dochodził wielki gwar głosów kobiecych i dziecięcych, znamionujący liczną rodzinę, w izbie z piecowiskiem i długim stołem nikogo nie było, prócz człowieka, który stał w kącie, plecami odwrócony do drzwi od sieni, a twarzą do ściany.

Człowiek ten był średniego wzrostu, bardzo chudy i nadzwyczaj giętki. Mówiąc: s t a ł, nie dobrze określamy położenie jego postaci, na które wszakże odpowiednie wyrażenie znaleźćby trudno. Nie chodził on wprawdzie i nie skakał, a jednak w ustawicznym i gwałtownym zostawał ruchu. Głowę swą, okrytą silnie rudemi włosy, rzucał wtył i naprzód, pochylał giętką i cienką swą postać aż prawie do samej ziemi, i odrzucał ją znów wtył z nadzwyczajną szybkością.

Od gwałtownych ruchów tych szeroko rozwiewały się białe fałdy tałesu, którym był okryty; trzęsły się i rozwiewały długie przewiązki, ściskające rękę jego nieco powyżej pięści; trzęsła się i za ramiona rozwiewała długa, gęsta, ruda broda; opadała mu prawie na czoło tefila, spoczywająca, a raczej podskakująca na jego głowie. Z gwałtownemi ruchami temi zgadzały się też odgłosy, wychodzące z ust jego i piersi, to szemrzące zcicha, to wybuchające namiętnemi krzyki, to wylewające się przeciągłem, żałosnem, zawodzącem śpiewaniem.

Młody człowiek, stojący u progu, dość długo patrzał na

postać tę, modlącą się tak całą duszą, albo raczej całem swem ciałem. Czekał widocznie przerwy w modlitwie lub jej końca.

Wiadomo jednak było powszechnie, że długo czekaćby musiał ten, ktokolwiek chciałby widzieć Reb Jankla, kończącego modły swe, gdy raz modlić się zaczął.

Oczekującemu na to w tej chwili młodemu człowiekowi na sercu snadź leżała złośliwa swawola małego Mendla. Był on może zresztą z natury już swej niecierpliwy i porywczy.

— Rebe Jankiel — rzekł głośno po dość długiej chwili — twój syn włóczy się po nocach i na niewinnych ludzi napada!

Nie było odpowiedzi.

— Rebe Jankiel, twój syn łaje niewinnych ludzi bardzo brzydkiemi wyrazami!

Reb Jankiel modlił się wciąż z jednaką gorliwością.

— Rebe Jankiel! twój syn biednym ludziom biedne, małe ich szyby po nocach tłucze!

Rebe Jankiel przewrócił kilka kart dużej księgi, którą trzymał w obu rękach i śpiewnie, triumfująco, rozgłośnie zawiódł:

— Śpiewajcie Panu pieśń coraz nową, albowiem On stworzył wszystkie cuda! Śpiewajcie! grajcie na arfach, grajcie z głośnem przyśpiewywaniem! W trąby i rogi dzwońcie przed Królem, Panem!...

Ostatnim wyrazom towarzyszyło zamknięcie się drzwi od sieni. Młody człowiek szybko zbiegł z kołyszących się pod stopami jego schodków i, opuściwszy ciemną ogromną sień, brnął znowu po wyścielającem podjazd śmiecisku.

Kiedy mijał ostatnie z oświetlonych okien, do uszu jego doszedł śpiew, półgłosem nucony. Zatrzymał się; i każdy, na miejscu jego znajdując się, uczyniłby to samo. Śpiew to był męski, młody, czysty jak dźwięk pereł, miękki jak szmer skargi, nabrzmiały prośbą, smutkiem i tęsknotą.

— Eljezer! — szepnął przechodzień i stanął u niskiego okna.

Okno to miało szyby czystsze daleko od tych, które znajdowały się w innych oknach, — zupełnie nawet czyste. Widać było przez nie malutką izdebkę, w której, oprócz stołu i szafy z księgami, nic więcej nie było.

Na stole paliła się mała, żółta świeczka, a przy stole, łokciami na nim wsparty i z głową w dłoniach, siedział młody, dwudziestoletni chłopak, z nadzwyczaj białą, ściągłą, łagodną twarzą.

Na twarzy tej nie było śladu rumieńca, ale wydatne usta

jego, wolne od wszelkiego zarostu, posiadały koralową barwę. Z ust tych wychodził ów śpiew prześliczny, który zwrócićby mógł na siebie zachwyconą uwagę największego choćby z mistrzów muzyki.

Nie dziw też! Eljezer, syn Jankla, był kantorem gminy szybowskiej, piewcą ludu i Jehowy.

— Eljezer! — powtórzył się za oknem szept miękki i przyjazny.

Śpiewak szept ten usłyszeć musiał, bo szyby w oknie były pojedyńcze, a on blisko nich siedział; podniósł też powieki i zwrócił ku oknu źrenice błękitne, omglone, łagodne i smutne. Nie przerwał jednak śpiewu swego, ale owszem podniósł w górę obie dłonie, białe jak alabaster, i w ekstatycznej postawie tej, z zachwyconym wyrazem twarzy, zanucił głośniej:

— Ludu mój! zrzuć z siebie kurzawę dróg ciężkich! powstań i przywdziej szatę piękności swojej! Pośpiesz, ach, pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Jedyny! Niepojęty! Boże ojców naszych!

Stojący u okna młody człowiek nie wzywał już więcej po imieniu piewcy, modlącego się za lud swój. Odszedł z ostrożnem uszanowaniem, tłumiąc odgłos swych kroków, a idąc pustym, ciemnym placem ku znajdującemu się nieopodal wielkiemu, rzęsiście oświetlonemu domowi, spoglądał na kilka gwiazd, blado, z za wilgotnej, dusznej mgły nad placem świecących, i zcicha, w głębokiej zadumie nucił:

— Pośpiesz! ach, pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Jedyny! Niepojęty! Boże ojców naszych!

II.

Wielki, rzęsiście oświetlony dom, stojący naprzeciw brunatnej świątyni i całą szerokością placu od niej oddzielony, był tym samym, który zbudował był Hersz Ezofowicz, i w którym żył z piękną żoną swą Frejdą. Stuletnie ściany jego, oddawna już poczerniałe od słót i kurzawy, stały jednak prosto i wysokością swą górowały nad wszystkiemi innemi w całem miasteczku.

Od godziny już, we wnętrzu domu tego, w izbie dużej i ostawionej staroświeckiemi, niezmiernie prostemi ławami i stołami, odbywał się obchód spotkania świętego dnia sabatu.

Z pomiędzy kilkudziesięciu osób różnej płci, które przybywały stopniowo i napełniały izby, powstał gospodarz domu i naczelnik rodziny, Saul Ezofowicz, syn Hersza, i przybliżył się

do ogromnego stołu, nad którym wisiały dwa ciężkie szczerosrebrne, siedmioramienne świeczniki.

Starzec ten, z którego pochylonej nieco, lubo barczystej postaci, zoranej twarzy i brody białej jak mleko, odgadnąć można było ośmdziesiąt zgórą lat wieku, wziął z ręki najstarszego z synów swoich, siwiejącego już męża, płomyk migocący na długim kiju i, podnosząc go ku świecom, umieszczonym w świecznikach, suchym od starości, lecz silnym jeszcze głosem zawołał:

— Błogosławiony bądź, Boże, Panie świata, któryś oświecił nas przykazaniami Twojemi i rozkazał nam zapalać światła w dzień sabatu!

Zledwie to wymówił, w świecznikach zapłonęło kilkanaście świateł, a z kilkudziesięciu piersi wybuchnęło zbiorowym okrzykiem:

— Pójdźmy! pójdźmy spotkać oblubienicę! Z witaniem dobę sabatu spotkajmy!

...Zapłoń! zapłoń! światło królewskie! Z gruzów swych powstań, stolico! Dosyć ci mieszkać w dolinie płaczu!

...Ludu mój! strząśnij z siebie kurzawę dróg ciężkich! Przyodziej się szatą piękności swojej! Pośpiesz, ach, pośpiesz z ratunkiem ludu swego, Boże ojców naszych!

...Pójdźmy! pójdźmy spotkać oblubienicę! Z witaniem dobę sabatu spotkajmy!

Długi, śpiewny, gorący gwar modlitw, które następowały jedna po drugiej, napełniał wielką izbę i wezbranemi falami rozchodził się poza okna, daleko po obszernym, ciemnym i pustym placu.

Dosłyszał go już zdala młody człowiek, w zamyśleniu plac przebywający, i przyśpieszył kroku. Kiedy, przeszedłszy ganek, wzniesiony nad ziemię kilku schodami, oraz długą wąską sień, rozdzielającą dom na dwie połowy, otworzył drzwi do izby, która płonęła cała od świateł — modlitwy zamieniły się już były na rozmowy, a zgromadzone towarzystwo, ze śladami jeszcze uroczystego nastroju ducha na twarzach, lecz i z wesołemi już uśmiechami, stało przy ławach i stołkach, otaczających stół długi, z wielką obfitością zastawiony.

Towarzystwo to składało się z różnych postaci i fizjognomij. Byli tam dwaj synowie Saula, przy ojcu swym mieszkający, Rafał i Abram, siwiejący już, czarnooczy, o surowych i zamyślonych twarzach mężowie; i zięć Saula, jasnowłosy, blady, ze szklisto-łagodnem okiem Ber; były córki, synowie i wnuczki

gospodarza domu, niewiasty dojrzałe, z okazałemi kibiciami i wysokiemi czepcami na starannie uczesanych perukach, lub młode dziewczęta, o śniadych licach i ogromnych warkoczach, z pod których błyskały młode oczy, rozweselone świętem i strojem świątecznym.

Kilku młodych mężczyzn, do rodziny należących, i kilkanaścioro dzieci najróżniejszego wieku otaczało niższy koniec stołu; w miejscu najpokaźniejszem stał stary Saul i z wyrazem oczekiwania na twarzy spoglądał na drzwi, wiodące do dalszych izb domostwa. Po chwili w drzwiach tych zjawiły się dwie kobiece postacie: od jednej z nich posypały się i zaiskrzyły tęczowe, olśniewające niemal, blaski.

Była to kobieta bardzo, bardzo stara, wysoka jednak i bynajmniej nie zgarbiona, owszem trzymająca się prosto i wyglądająca silnie. Głowę jej otaczał zawój barwisty, którego końce spięte były nad czołem ogromną klamrą z diamentów. Diamentowe spięcie zamykało naszyjnik, który, z mnóstwa sznurów ogromnych pereł złożony, opadał na pierś jej aż po związanie śnieżnego fartucha, okrywającego z przodu kwiecistą, szeleszczącą ciężkim jedwabiem, spódnicę.

Diamentowe też zausznice, tak długie, że aż dotykały ramion kobiety, a tak ciężkie, że przytrzymywać je trzeba było nićmi, uczepionemi do jej zawoju, mieniły się i migotały blaskami brylantów, szmaragdów, rubinów, i za każdem poruszeniem, z dźwięcznym szmerem uderzały o perły i połyskujący z za nich gruby złoty łańcuch.

Podobną ilością kosztownych i świetnych ozdób jaśnieć mogą tylko książęce niewiasty na balach, albo — święte relikwje w świątyniach. Stuletnia ta izraelska niewiasta, przybrana we wszystkie kosztowności, od wieków nabywane i zgromadzane w jej domu, była snadź dla wszystkich tych ludzi, pośród których teraz wchodziła, wysoką cześć budzącą relikwją rodzinną.

Kiedy, prowadzona przez jedną z prawnuczek swoich, dziewczynę o smagłej twarzy i kruczym warkoczu, stanęła na progu izby, wszystkie oczy zwróciły się ku niej, wszystkie usta uśmiechnęły się i zaszemrały:

— Bobe! Elte Bobe! Babka! Prababka!

Większość osób wymówiła wyraz ostatni, albowiem więcej tu było prawnuków i pra-prawnuków, niż wnuków. Jeden tylko gospodarz domu i naczelnik rodziny całej rzekł do niewiasty zcicha:

— Mame!

Dziwnie słodko jakoś i uroczyście zarazem zabrzmiał wyraz ten, dziecięcym ustom zwykły, na zwiędłych, żółtych wargach Saula, poruszających się wśród białego jak mleko zarostu. Pod białemi też jak mleko włosami, okrytemi aksamitną jarmułką, przy wymawianiu wyrazu tego wygładziło się zorane czoło jego.

Lecz gdzież podziały się smagłe, gładkie lica, czarne, ogniste oczy i smukła kibić Frejdy, cichej, roztropnej, pracowitej żony i powiernicy Hersza Ezofowicza? Przeżyła już ona je oddawna, tak, jak przeżyła męża pana i zarazem przyjaciela swego. Z upływem czasu, kibić jej, cienka niegdyś i wysmukła, rozrosła się i przybrała kształt pnia, który wypuścił z siebie wiele silnych i urodzajnych gałęzi.

Twarz jej pokryta była teraz takiem mnóstwem drobniutkich zmarszczek, że wśród nich ani najmniejszego gładkiego miejsca wynaleźć nie byłoby podobna; oczy zmniejszyły się, zapadły i spoglądały z za pomarszczonej, z rzęs ogołoconej powieki spłowiałą, bladożółtawą źrenicą.

Ale na twarzy jej, zmiętej w dłoni czasu, rozlewał się spokój niezmącony i słodki. Małe złotawe źrenice, spoglądały dokoła z uśmiechającą się ciszą ducha, usypiającego wśród błogich dla niego szmerów; cichy uśmiech słodkiego usypiania okrążył żółte, zaledwie widne wargi, które oddawna już milknąć poczęły, otwierając się coraz rzadziej, dla wymawiania coraz krótszych wyrazów.

Teraz ramieniem, ubranem w biały, bufiasty rękaw, otaczając szyję hożej i silnej dziewczyny, stanęła ona przy rodzinnym stole i, z za mrużącej się od rzęsistych świateł powieki, powiódłszy spojrzeniem po twarzach wszystkich otaczających, wymówiła głośnym szeptem:

— Wo yz Meir?

Prababka przemówiła...

Zgromadzenie całe poruszyło się od słów jej, niby drzewa od powiewu wiatru. Mężczyźni, kobiety i dzieci oglądali się jedni na drugich, i po wielkiej izbie rozszedł się szept zbiorowy:

— Wo yz Meir?

Wśród wielkiej ilości zebranych tu członków rodziny nieobecność jednego z nich zauważoną nie została.

Stary Saul nie powtórzył pytania matki, ale czoło jego zmarszczyło się bardziej jeszcze, a oczy z surowym i gniewnym nieco wyrazem patrzały na drzwi od sieni.

Drzwi te otworzyły się w tej chwili. Do izby wszedł wy-

soki i kształtny mężczyzna, w długiem ubraniu, obłożonem u szyi i piersi kosztownem futrem. Wszedł, zamknął drzwi za sobą i stanął przy progu, onieśmielony jakby, czy zawstydzony. Spostrzegł, że spóźnił się, że wspólne rodzinne modlitwy odmówione zostały bez niego, że oczy dziada jego, Saula, dwóch stryjów i kilku starszych kobiet spotkały go wejrzeniem surowego wyrzutu i badawczego pytania.

Tylko złotawe źrenice prababki nie błysnęły na widok wchodzącego gniewem i niepokojem: owszem, powiększyły się i zajaśniały radością. Zmarszczone powieki jej nawet drżeć i mrużyć się przestały, a żółte, wąskie wargi poruszyły się i wymówiły takim, jak wprzódy, szeptem, głośnym choć bezdźwięcznym:

— Ejnkylchen! kindleben! wnuczku! dzieciątko!

Na dźwięk szeptu tego, brzmiącego radością i pieszczotą, zamknęły się usta Saula, które otwierały się już były dla wymówienia surowych słów zapytania lub wyrzutu; spuściły się też ku stołowi pytające i gniewne oczy dwóch synów jego. Spóźnionego przybysza powitało tylko ogólne milczenie, które jednak przerwała znowu prababka, powtarzając raz jeszcze:

— Kindleben!

Saul wyciągnął ręce nad stołem i półgłosem podał obecnym motyw modlitwy, odmawianej przed ucztą sobotnią.

— Błogosławiony niech będzie Pan... — zaczął.

— Błogosławiony niech będzie... — rozszedł się po izbie gwar przytłumiony, i wszyscy stali przez minut kilka dokoła stołu, modlitwą poświęcając znajdujące się na nim potrawy i napoje.

Przybyły młody człowiek nie połączył się jednak z chórem ogólnym, lecz, usunąwszy się w głąb izby, odmawiał opuszczone przez się dnia tego modlitwy sobotniego Kiduszu. Czyniąc to, nie dokonywał ciałem swem żadnych poruszeń, ręce spokojnie miał skrzyżowane na piersi, a wzrok nieruchomo utkwiony w okno, za którem wisiała głęboka ciemność wieczora.

Oblicze jego, ściągłe i łagodnie zarysowane, okryte było bladością, właściwą naturom nerwowym i namiętnym. Bujne, ciemnopłowe włosy, ze złotemi odblyskami, opadały mu na białe czoło, z pod którego oczy, głęboko osadzone, z wielką, szarą błyszczącą źrenicą, patrzyły wejrzeniem zamyślonem i trochę smutnem.

W całym zresztą wyrazie twarzy młodego człowieka tego

mieszały się z sobą cechy chmurnego prawie smutku i dziecięcej nieledwie nieśmiałości. Czoło i oczy jego zdradzały tajemną myśl jakąś dolegliwą, niespokojną, ale cienkie usta posiadały zarys miękkiej czułości i zaledwie dostrzegalnie drżały od chwili do chwili, jakby pod wpływem tajemnie doznawanej obawy.

Zwierzchnią wargę i krańce policzków okrywał mu gęsty puch złotawy, objawiający, iż dosięgnął on lat dziewiętnastu lub dwudziestu wieku, pory więc życia, która dla wcześnie dojrzewających mężów izraelskiego plemienia uważana bywa za pozwalającą już, a nawet zmuszającą niejako, do zajęcia się na własną rękę rodzinnemi i życiowemi sprawami.

Kiedy młody człowiek ukończył swe modlitwy i zbliżył się do stołu, aby zająć przy nim zwykłe swe miejsce, z pośród zgromadzonych odezwał się głos chrapliwy nieco i zanoszący się w taki sposób, jakby mówiący człowiek każdy wyraz swój nie wymawiał, lecz wyśpiewywał:

— A gdzie ty, Meir, był dziś tak długo? co ty tak późno robił w mieście, kiedy już sabat rozpoczął się, i nikomu nic robić nie wolno? Dlaczego ty dziś sobotniego Kiduszu z całą swoją familją nie odprawił? Czemu u ciebie czoło takie blade i oczy takie smutne, kiedy dziś sabat, wesoły dzień, w niebie cała niebieska familja cieszy się, a na ziemi wszyscy pobożni ludzie cieszyć się powinni i dusze swoje utrzymywać w wielkiej radości?

Wszystko to wypowiedziane zostało przez człowieka dziwnie wyglądającego.

Był to człowieczek raczej mały, chudy, suchy, z wielką głową, jeżącą się twardemi, ciemnemi włosami, z twarzą ciemną, okrągłą, opatrzoną wielkim splątanym zarostem, wielką brodą, zdradzającą śmiertelny wstręt do grzebienia i szczotki i okrągłemi oczyma, które z za wypukłej powieki ruszały się z szybkością nieporównaną, rzucając dokoła przelotne, ostre błyski.

Chudość i suchość ciała człowieka tego uwydatnione były strojem, dziwniej jeszcze, niż on sam, wyglądającym. Był to też strój prostoty niezwykłej, bo składający się z jednej koszuli tylko, a raczej z woru, który, zszyty z szarego szorstkiego płótna, u szyi i w pasie grubym sznurem z konopi przewiązany, opadał aż do ziemi i nawpół przykrywał ciemne, bose zupełnie nogi.

Kim był człowiek ten w stroju ascety, z oczyma fanatyka, a z ustami pełnemi wyrazu mistycznego, głębokiego, pijanego niemal rozradowania?

Był to Reb Mosze, melamed, czyli nauczyciel religji i hebrajskiego języka, doskonały pobożny; w wichry, słoty, mrozy i upały jednostajnie bosonogi, w płócienny swój wór przyodziany; na wzór ptaków niebieskich, żyjący nie wiedzieć czem — ziarnem jakiemś chyba, tu i owdzie rzuconem; prawe oko zresztą i prawa ręka wielkiego rabina szybowskiego, Izaaka Todrosa, i pierwszy po rabinie tym przedmiot czci i podziwu dla gminy całej.

Usłyszawszy tłumnie wychodzące z ust melameda, a ku sobie zwrócone pytania, Meir Ezofowicz, prawnuk Hersza, a wnuk starego Saula, nie usiadł jeszcze przy stole, ale wyprostowany, ze spuszczonym ku ziemi wzrokiem, głosem przytłumionym widoczną nieśmiałością, odpowiedział:

— Rebe! ja nie był tam, gdzie weselą się, albo dobre interesa robią. Ja był tam, gdzie ciemno, i gdzie w ciemnościach bardzo biedni ludzie siedzą i płaczą...

— Nu — zawołał melamed — a gdzie to dziś smutno być może? Dziś sabat, wszędzie jasno i wesoło... gdzie dziś może być ciemno?

Kilku starszych członków rodziny podniosło głowy i chóralnie powtórzyło zapytanie:

— Gdzie dziś może być ciemno?

I wnet potem chóralne znowu wybuchnęło pytanie:

— Gdzieś ty był, Meir?

Meir nie odpowiadał. Na twarzy jego, o spuszczonych powiekach, malowała się nieśmiałość i wewnętrzne wahanie.

Nagle jedna z dziewcząt, siedzących u niższego końca stołu, ta sama, która przed chwilą wprowadziła była do rodzinnego koła starą prababkę, dziewczyna ze smagłą twarzą i czarnem figlarnem okiem, zawołała wesoło, uderzając w dłonie:

— Ja wiem, gdzie dziś jest ciemno!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej, i wszystkie usta zapytały:

— Gdzie?

Pod wpływem ściągniętej na siebie powszechnej uwagi Lija zarumieniła się i ciszej już, z niejakiem zawstydzeniem, rzekła:

— W chacie Abla karaima, tej, co tam przy karaickim pagórku stoi.

— Meir! czy ty był u karaimów?

Pytanie to wymówione zostało przez kilkanaście głosów,

z pośród których wyróżniał się wszakże, wszystkie inne przenosząc, piskliwy, ostry głos melameda.

Na onieśmieloną dotychczas twarz młodego człowieka wybijać się począł wyraz przykrego i gniewnego nieco rozdrażnienia.

— Ja u nich nie był — odpowiedział głośniej już nieco, niż wprzódy — ale ja ich od wielkiej napaści obronił.

— Od napaści? od jakiej napaści? a kto na nich napadał? — drwiącym tonem zapytał melamed.

Tym razem Meir podniósł powieki i błyszczące źrenice utkwił w twarzy pytającego.

— Reb Mosze! — rzekł, — ty wiesz, kto na nich napadał. Napadali na nich twoi uczniowie... Oni tak co piątek robią... a dlaczego oni nie mają tak robić, kiedy wiedzą...

Zatrzymał się i spuścił znowu oczy. Obawa i gniewne uczucie walczyły w nim widocznie.

— Nu! co oni wiedzą? dlaczego ty, Meir, nie skończył? Co oni wiedzą? — śmiał się Reb Mosze.

— Wiedzą, że ty, Reb Mosze, pochwalisz ich za to...

Melamed podniósł się nieco na krześle, oczy jego zaiskrzyły się i szeroko rozwarły. Wyciągnął ciemną, chudą rękę i chciał coś mówić, ale nie dopuścił go tym razem do słowa silny już i dźwięczny głos młodego człowieka.

— Reb Mosze — mówił Meir, pochylając nieco przed melamedem głowę, która widocznie z trudnością podawała się kornym pokłonom. — Reb Mosze, ja szanuję ciebie... ty mię uczył... ja ciebie nie pytam, dlaczego ty swoim uczniom nie zabronisz biednym ludziom w ciemnościach gwałty wyrządzać... ale ja sam na te gwałty patrzeć nie mogę... mnie serce boli, jak na nie patrzę, bo do głowy mi myśl przychodzi, że z takich złych dzieci będą źli ludzie; i że kiedy one teraz trzęsą biedną chatą starca i kamienie na niego przez okna rzucają, to potem domy podpalać i ludzi zabijać będą! Oniby dziś tę biedną chatę rozwalili i tych biednych ludzi pozabijali, żebym ja tam nie przyszedł i nie obronił... ale ja przyszedłem i obroniłem...

Przy ostatnich wyrazach Meir usiadł za stołem na przeznaczonem dla siebie miejscu. Nie było już na twarzy jego obawy, ni nieśmiałości.

Głęboko snadź czuł słuszność swej sprawy, bo śmiałym wzrokiem spojrzał dokoła, i tylko usta jego zadrżały, w sposób właściwy naturom świeżym i wrażliwym. W tejże jednak chwili

stary Saul i dwaj synowie jego podnieśli ręce w górę i jednogłośnie wymówili:

— Sabat!

Głosy ich były uroczyste, a wzroki, które na Meira zwracali, surowe i niemal gniewne.

— Sabat! Sabat! — podskakując na krześle swem i szeroko rozrzucając rękoma podchwycił i krzyczał melamed. — Ty, Meir, w święty wieczór sabatu, zamiast Kidusz odmawiać i ducha swego wielką radością napełniać i oddawać jego w ręce anioła Matatrona, co pokolenia Jakóba przed Bogiem broni, ażeby on je oddał w ręce Sar-ha-Olama, co jest aniołem nad aniołami i książęciem świata, ażeby Sar-ha-Olam oddał go dziesięciu sefirotom, co takie wielkie siły są, że cały świat stworzyły, ażeby przez te dziesięć sefirotów duch twój dostał się aż do wielkiego tronu, na którym siedzi sam En-Sof, i z nim pocałunkiem miłości złączył się — ty, Meir, zamiast to wszystko robić, chodził bronić jakichś ludzi od jakichś napaści, domu ich pilnował i życia ich strzegł! Meir! Meir! ty sabat naruszył! tobie trzeba iść do szkoły i przed całym ludem oskarżyć się głośno, że ty wielkie grzechy i wielkie zgorszenia wyrabiasz!

Przemowa ta melameda wywarła na zgromadzeniu całem silne wrażenie. Saul i synowie jego wyglądali groźnie; kobiety zdumione były i przerażone; w czarnych oczach Lii, która pierwsza zdradziła tajemnicę stryjecznego brata, kręciły się nawet łzy.

Tylko zięć Saula, łagodny, błękitnooki Ber, spoglądał na oskarżonego ze smutnem jakby współczuciem, a kilku młodych ludzi, rówieśników Meira, lub młodszych od niego, patrzali w twarz jego jak w tęczę, z ciekawością i niepokojem przyjaznym.

Meir odpowiedział drżącym trochę głosem:

— W świętych księgach naszych, Reb Mosze, w Torze, ani w Misznie, niema nic o sefirotach, ani o En-Sofie. Ale tam zato wyraźnie stoi, że Jehowa, choć sabat święcić rozkazał, pozwolił jednak, aby dwudziestu ludzi naruszyło go dla ratowania jednego człowieka.

Samo już odpowiadanie melamedowi, doskonalemu pobożnemu i prawej ręce rabina Todrosa, było zuchwalością niesłychaną i zdumiewającą. Cóż dopiero, gdy w odpowiadaniu tem mieściło się niewyraźne chociażby zaprzeczenie sądom jego! To też wypukłe oczy melameda o mało nie wystąpiły ze

swych zagłębień, tak roztworzyły się szeroko i tak rozjątrzonem spojrzeniem okryły pobladłą nieco wśród utarczki twarz Meira.

— Karaimy! — krzyczał, miotając się na swym stołku i rękoma chwytając się brody swej i włosów — ty karaimów ratował! odszczepieńców! niedowiarków! wyklętych! Naco ich ratować? Dlaczego oni w sabaty świateł nie zapalają i w ciemnościach siedzą? Dlaczego oni zwierzęta i ptaki, co do jedzenia służą, nie zprzodu, ale ztyłu szyi zarzynają? dlaczego oni Miszny, Gemary i Zoharu nie znają?

Zachłysnął się z uniesienia wielkiego i umilkł, a w przerwie tej ozwał się czysty i dźwięczny głos Meira:

— Rebe! oni są bardzo biedni!

— En-Sof mściwy jest i nieubłagany!

— Oni cierpią wielkie prześladowania od ludu!

— Niepojęty ich prześladuje! — krzyczał Rebe.

— Przedwieczny prześladować nie każe. Rabbi Huna powiedział: jeżeli prześladujący sprawiedliwym nawet jest, a prześladowany złoczyńcą. Przedwieczny ujmuje się za prześladowanym.

Reb Mosze płomienne miał rumieńce na ciemnych policzkach.

Oczy jego zdawały się zjadać, pożerać bladą twarz młodzieńca, o pałającem, śmiałem już teraz wejrzeniu i ustach drżących mnóstwem niedopowiedzianych, przemocą w piersi tłumionych wyrazów.

Zebranie całe miało pozór zdumienia, przerażenia, smutku. Sprzeczka podobna z melamedem jednym wydawała się grzechem, innym jeszcze niebezpieczeństwem dla zuchwalego młodzieńca, lub i dla całej jego rodziny.

To też Saul z pod siwych swoich brwi najeżonych wlepił groźne wejrzenie w twarz wnuka i przeciągle ku niemu syknął:

— Szaaa!

Meir pochylił przed dziadem głowę na znak pokory i poddania się, a jeden z synów Saula, dla złagodzenia gniewu Reb Mosza, a zapewne też i dla własnego zbudowania, zapytał go: jakie różnice zachodzą pomiędzy powagą i świętością ksiąg talmudycznych a Zoharu, księgi kabały, i czy doskonały pobożny zajmować się powinien badaniem pierwszych raczej, czy drugich?

Wysłuchawszy zapytania tego, melamed obu łokciami szeroko rozparł się na stole, oczy swe nieruchomo i z wyrazem

głębokiego namysłu utkwił w przeciwległej ścianie i zwolna, uroczystym głosem mówić zaczął:

— Szymon ben Jochai, wielki rabbi, co żył okropnie dawno temu i wiedział wszystko, co w niebie i na ziemi dzieje się, powiedział: talmud — to nikczemna niewolnica, a kabała — to wielka królowa. Czem Talmud napełniony? On napełniony bardzo małemi, podrzędnemi rzeczami. On uczy, co czyste jest, a co nieczyste; co pozwolone, a co niepozwolone; co skromne, a co nieskromne. A czem Zohar, księga balsku, księga kabały, napełniony? On napełniony wielką nauką: czem jest Bóg i jego sefiroty. On ich wszystkich imiona zna i naucza, co oni robią i jak oni świat budują. W nim napisano, że Bóg nazywa się En-Sof, a drugie jego imię — Notarikon, a trzecie jego imię — Gomatria, a czwarte jego imię — Zirufh. A sefiroty, co są wielkiemi niebieskiemi siłami, nazywają się: źródło człowiecze, narzeczona, biała głowa, wielka twarz, mała twarz, lustro, piętro niebieskie, piętro ziemskie, lilja i ogród jabłeczny. A Izrael nazywa się Matrona, a Bóg dla Izraela nazywa się Ojciec. Bóg, En-Sof, nie stworzył świata, tylko stworzyły jego siły niebieskie, sefiroty. Pierwszy sefirot urodził z siebie siłę boską, drugi wszystkich aniołów i torę (biblję), z trzeciego wyszli prorocy. Czwarty sefirot urodził z siebie boską miłość, a piąty boską sprawiedliwość, a szósty taką siłę, co wszystko rwie, drze i niszczy. Z siódmego sefirota urodziła się piękność, z ósmego wspaniałość, z dziewiątego przedwieczna przyczyna, a z dziesiątego — takie oko, co nad Izraelem ciągle czuwa i za nim po wszystkich drogach jego chodzi i nóg jego strzeże, ażeby nie zraniły się, a głów — aby na nie wielkie nieszczęścia nie spadały.

Tego wszystkiego uczy Zohar, księga kabały, i ona jeszcze uczy, skąd te sefiroty wzięły się i jak one rozdzielają się, i jak z liter, które składają ich imiona, i z tych, które imiona Boga składają, wszystkie tajemnice świata odgadywać: i to jest wielka nauka, pierwsza nauka dla każdego Izraelity! Wiem ja, że wielu Izraelitów mówi, iż talmud ważniejszy; ale oni wszyscy, co tak mówią, głupi są i nie wiedzą o tem, że póty ziemia trząść się będzie od wielkich boleści, i póty Bóg i Izrael, Ojciec i Matrona, nie połączą się pocałunkiem miłości, dopóki niewolnica nie ustąpi przed królową, talmud przed kabałą. A kiedy ta pora przyjdzie? Ona przyjdzie wtedy, jak na świecie zjawi się Mesjasz. Wtedy będzie dla wszystkich ludzi pobożnych i uczonych wielkie święto radości! Wtedy Pan Bóg każe ugotować rybę — Lewjatana, co taka wielka jest, że na niej cały świat

stoi, i wszyscy do wielkiej uczty usiądą i rybę tę jeść będą: pobożni i uczeni od głowy, a lud prosty i nieuczony od ogona!...

Skończył melamed, odetchnął głęboko po długiem mówieniu i, spuściwszy wzrok ku stołowi, spadł nagle z mistycznych wysokości ku ziemskim realnościom.

Na talerzu bowiem przed nim woniała pieprzem i korzeniami różnemi część wybornej ryby, nie Lewjatana jeszcze wprawdzie, ale zawsze smacznego wielce jakiegoś mieszkańca wód; melamed zaś, w ascetyczny sposób całe życie swe pędząc, uczty sobotnie lubił i obficie ich używał, przekonany był bowiem, że utrzymywanie ciała i ducha swego we wszechstronnej radości obowiązkiem było, do sabatu przywiązanym tak samo, jak długie i żarliwe modły.

Z resztą więc mistycznej ekstazy w okrągłych oczach i z błogim uśmiechem na ustach, począł ciemnemi rękoma rozrywać i do ust nosić podany sobie przysmak.

Zgromadzenie przecież całe długo jeszcze po umilknięciu jego — milczało. Mądra przemowa jego sprawiła na wszystkich prawie obecnych silne wrażenie.

Stary Saul słuchał jej z wyrazem głębokiego uszanowania na twarzy. Grube zmarszczki, okrywające jego czoło, drgnęły kilka razy, jakby pod wpływem tajemniczej, nerwowej trwogi. Synowie jego utkwili w stół zamyślone oczy i w skupieniu ducha rozważali mądre nauki Reb Mosza, mimowoli może szukając w mrocznych tych przepaściach rozbujałej fantazji ludzkiej przewodniego promyka, któryby je widniejszemi nieco uczynił.

Kobiety posplatały pobożnym gestem dłonie na piersiach, przechylały na znak podziwu głowy swe z jednej strony na drugą i uśmiechnionemi od zachwytu usty szeptały cichuteńko:

— Uczony człowiek! Mądry człowiek! Doskonały pobożny! Prawdziwy uczeń wielkiego rabbi Izaaka!

Ktokolwiekby jednak badał w tej chwili uważnie fizjognomje osób stół obsiadujących, spostrzecby musiał dwa spojrzenia, które, szybkie jak błyskawice, nie wszystkim obecnym dostrzegalne, strzeliły wzajem ku sobie w czasie przemowy melameda.

Spojrzenia te były Bera i Meira. Pierwszy rzucił ku drugiemu smutnym wzrokiem, drugi odbłysnął mu oczyma pełnemi powściąganego gniewu i szyderstwa.

Kiedy melamed mówił o rybie Lewjatanie, tak wielkiej, że cały świat stoi na niej, a którą, w dzień Mesjaszowy, uczeni spożywać będą od głowy, a nieuczeni od ogona — po cienkich, inteligentnych wargach Meira przemknął uśmiech. Był to uśmiech podobny do sztyletu. Ukłuł on z pewnością boleśnie tego, na czyich ustach się ukazał, zdawało się też, iż radby był ukłuć i tego, kto go wywołał.

Ber na uśmiech ten odpowiedział westchnieniem. Ale dostrzegli go trzej czy czterej młodzi ludzie, którzy, naprzeciw Meira siedząc, często nań z wyrazem pytania w oczach spoglądali; dostrzegli go, i po twarzach ich przebiegły jakby odblaski, lub echa Meirowego uśmiechu...

Po chwilowej ciszy, przerywanej tylko dzwonieniem noży o talerze i głośnem poruszaniem się szczęk melameda, stary Saul głos zabrał:

— Wielkie to są rzeczy, mądre i bardzo straszne rzeczy, o których nam Reb Mosze — niech dzięki jemu będą! — opowiedział. Słuchajcie uczonych mężów, którzy wielką mądrością swoją utrzymują chwałę i moc Izraela, bo napisane stoi, że «uczeni są fundamentem świata». Kto szanuje ich i o mądre rzeczy, które oni wiedzą, często ich zapytuje, temu przebaczone będą wszystkie grzechy jego życia.

Reb Mosze podniósł twarz z nad talerza i ustami pełnemi jadła, które spożywał, wybełkotał:

— Dobre czyny człowieka sprowadzają na niego nieprzerwany potok łaski i przebaczenia. One otwierają przed nim tajemnice nieba i ziemi i duszę jego noszą pomiędzy sefiroty! — Pełne czci i skupienia ducha milczenie odpowiedziało słowom tym; lecz po kilku sekundach przerwał je, u niższego końca stołu, brzmiący, dźwięczny głos młodzieńczy.

— Reb Mosze! a co nazywa się dobrym czynem? Co czynić trzeba, aby duszę od grzechu wybawić i ściągnąć na siebie wielki strumień łaski? — głośno zapytał Meir.

Melamed podniósł wzrok na pytającego. Spojrzenia ich spotkały się znowu ze sobą. Bure oczy melameda zaiskrzyły się gniewnie i groźnie; po szarych, przezroczystych źrenicach młodzieńca przelatywały srebrne błyski jakby tajonych uśmiechów.

— Ty, Meir, uczniem moim byłeś i o takie rzeczy pytać się teraz możesz! Czy ja wam nie mówiłem i nie powtarzałem tysiące tysięcy razy, że najlepszym uczynkiem człowieka jest zagłębianie się w świętej nauce? Kto robi to, temu wszystko przebaczone będzie, a kto tego nie robi, ten przeklęty zostanie

i od łona Izraela i od świata czystych duchów odepchnięty, choćby ręce jego i serce czyste były jako śnieg...

Wymówiwszy to, zwrócił się do Saula i, ciemnym palcem swym wskazując Meira, rzekł:

— On nic nie umie i nic nie wie! on zapomniał już wszystkiego, czego ja go nauczył!

Starzec pochylił nieco przed mełamedem zbróżdżone czoło i pojednawczym głosem rzekł:

— Przebacz jemu, Rebe, to jeszcze dziecko! Jak jemu rozum do głowy przyjdzie, on pozna, że usta jego były bardzo zuchwałe, kiedy on śmiał sprzeciwiać się tobie, i on będzie z pewnością taki uczony i taki pobożny, jak byli wszyscy ludzie z familji naszej...

Wyprostował się, duma zaświeciła mu w przymglonych od starości oczach.

— Słuchajcie mię, dzieci, wnuki i prawnuki moje! — wyrzekł. — Familja nasza, familja Ezofowiczów, to nie byle jaka familja. My, dziękować Bogu — niech pochwalone będzie święte imię Jego! — wielkie bogactwa mamy w skrzyniach i na wicinach naszych; ale większe jeszcze są te bogactwa, które my mamy w przeszłości familji naszej. Pra-pradziad nasz był Seniorem, starszym nad wszystkimi Żydami, co w kraju tym mieszkali, i bardzo ulubionym od samego króla; a ojciec mój, Hersz, wielki Hersz, miał przyjaźń z największymi panami, i oni go do swoich karet sadzali i, dla wielkiej mądrości jego, wozili go do króla i do sejmu, co wtedy w Warszawie siedział...

Umilkł starzec na chwilę i rozjaśnionemi dumą i triumfem oczyma spoglądał dokoła. Zgromadzenie całe utkwiło weń oczy, jak w tęczę; mełamed schmurzył się i zwolna popijał wino ze sporego kielicha, a stara, drzemiąca już prababka obudziła się nagle i, z za mrużących się powiek błyskając złotawą źrenicą, głośnym swym, bezdźwięcznym szeptem zawołała:

— Hersz! Hersz! mój Hersz!

Po chwili Saul znowu zaczął mówić:

— W naszej familji jest jeden wielki skarb, taki skarb, jakiego niema w całym Izraelu. A skarb ten to długie pisanie, które zostawił pradziad nasz, Michał Senjor, i w którem bardzo wielkie i mądre rzeczy napisane stoją... Żebyśmy to mądre pisanie mieli, tobyśmy bardzo szczęśliwi byli; w tem tylko bieda, że niewiadomo, gdzie to pisanie jest...

Od czasu, jak Saul mówić począł o mądrem pisaniu dziada

swego, pomiędzy patrzącemi na niego kilkudziesięciu parami oczu dwie pary źrenic zaiskrzyły się namiętnem, ale całkiem sprzecznem uczuciem. Były to oczy mełameda, który chichotał zcicha i zjadliwie, i Meira, który wyprostował się na swem siedzeniu i z palącą ciekawością wpatrywał się w twarz opowiadającego.

— Pisanie to — mówił dalej Saul — dwieście lat leżało schowane, i nikt go nie tknął. A kiedy dwieście lat skończyło się, znalazł je mój ojciec, Hersz. Gdzie on je znalazł, tego nikt nie wie, tylko jedna ta stara prababka...

Tu palcem wskazał na swą matkę i dokończył:

— I ona jedna wie, gdzie on to pisanie znowu schował, ale ona tego jeszcze nikomu nie powiedziała...

— A dlaczego ona tego nikomu nie powiedziała? — chichocząc wciąż zjadliwie i zcicha, zapytał mełamed.

Saul odpowiedział smutnym głosem:

— Reb Nochim Todros — niech błogosławiona będzie pamięć jego! — mówić jej o tem zabronił.

— A dlaczego wy, Reb Saulu, nie szukaliście sami pisania tego?

Saul jeszcze smutniej odrzekł:

— Reb Baruch Todros, syn Reb Nochima, i Reb Izaak, — niech sto lat żyje! — syn Reb Barucha, szukać mi go zabronili!

— I niech nikt go nie szuka! — wykrzyknął z całej siły mełamed, podnosząc wysoko rękę, uzbrojoną w widelec — niech nikt nie szuka pisania tego, bo ono pełne jest wielkiego bluźnierstwa i plugastwa! Rebe Saulu! nakaż ty dzieciom, wnukom i prawnukom swoim, aby pisania tego nie szukali, a jeżeli je znajdą, ażeby je ogniowi na pożarcie dali! Bo kto pisanie to znajdzie i głośno ludowi przeczyta, na tego padnie h e r e m, ten wyrzucony będzie z łona Izraelowego. Tak mówił Reb Nochim i Reb Baruch — niech błogosławiona będzie pamięć ich! Tak mówi Reb Izaak — niech sto lat żyje! — W pisaniu tem klątwa jest i wielkie nieszczęście dla tego, kto je znajdzie!

Głębokie milczenie nastąpiło po słowach tych, z nadzwyczajnem uniesieniem przez mełameda wymówionych, a wśród milczenia tego dało się słyszeć długie, drżące, namiętne westchnienie.

Wszyscy obejrzeli się wkoło siebie, chcąc dowiedzieć się, czyja pierś wydała ten szmer rozrywającego jakiegoś pragnie-

nia; lecz nikt nie dowiedział się o tem. Ujrzano tylko Meira, jak w wyprostowanej postawie, z pobladłą twarzą, gorejącemi oczyma wpatrywał się w twarz prababki. Ona, jakby odczuwając ten przeszywający wzrok ulubionego dziecięcia, podniosła zmarszczone powieki i wymówiła:

— Meir?

— Bobe? — odparł wezwany, głosem nabrzmiałym miękką pieszczotą.

— Kindleben! — szepnęła prababka i, uśmiechając się błogo, usnęła znowu.

Uczta sobotnia bliska już była końca, gdy u stołu zaszedł wypadek, który dziwnym wielce wydawaćby się musiał wszelkiemu obcemu oku, ale dla zgromadzonych tu osób stanowił zwykły i powszedni widok.

Reb Mosze, któremu ciemne policzki pałały od kilku kielichów wina, gościnnie mu przez gospodarzy podawanych, porwał się nagle ze swego stołka i kilku szerokiemi susami, z głośnym okrzykiem i twarzą ku sufitowi wzniesioną, wyskoczył na środek izby.

— Sabat! Sabat! Sabat! — krzyczał, gwałtownemi ruchy trzęsąc głową i ramionami. — A symche, a symche! — powtarzał — cała niebieska familja raduje się i tańczy w niebie! — Dawid tańczył i skakał przed arką przymierza; dlaczegożby doskonały pobożny tańcem i skakaniem serca swego rozradować nie miał?

Tańczył i skakał, wzdłuż i wpoprzek przebiegał szerokiemi kroki przestrzeń, znajdującą się dokoła stołu, przysiadał do ziemi, pochylał się, a potem coraz bardziej wyprężał w górę ramiona i twarz ku sufitowi podnosił. Coraz też ciężej i głośniej ciężkie nagie stopy jego, plączące się w wąskiej pochwie płóciennej, opadały na drżącą pod niemi podłogę.

Dla wszelkiego obcego oka ciekawy byłby widok uczuć, które odbijały się na twarzach ludzi obecnych temu ekstatycznemu tańcowi.

Stary Saul i synowie jego spoglądali na tańczącego z nadzwyczajną powagą i uwagą. Najlżejsze drgnienie uśmiechu nie poruszyło ich ustami. Zdawaćby się mogło, że na szalone skoki melameda patrzyli, jak wierzący zwykli są patrzeć na dokonywanie mistycznego, lecz świętego obrządku. Wprawdzie, w przyćmionem latami, lecz mądrem jeszcze oku Saula migotały od chwili do chwili światełka jakieś, do tajonych, przykrych uśmie-

chów szyderstwa podobne; lecz nikt ich dostrzec nie mógł, bo starzec przykrywał napół źrenice swe zżółkłemi powiekami.

Ber z płowemi włosy i szklistem wejrzeniem siedział wyprostowany i poważny także, lecz czoło jego zmarszczyło się w sposób niemal bolesny, a oczy tkwiły w ziemi.

Meir na obu dłoniach wsparł głowę i zdawać się mogło, że nie słyszał i nie widział, lub usiłował nie słyszeć i nie widzieć tego, co działo się dokoła.

Kobiety zato dziwowały się wielce tańcowi Reb Mosza, kołysały postacie swe w takt wybijany przez bose stopy jego, cmokały zachwyconemi usty i oczyma dawały sobie wzajem znaki podziwu i uwielbienia.

Przy niższym końcu stołu, tam, gdzie siedzieli najmłodsi chłopcy i młode, hoże dziewczyny, słychać było cichutki szmer przemocą tłumionych w piersi chichotów...

Zmęczył się nakoniec Reb Mosze, wyczerpały się siły jego, aż drgające od uniesienia i zapału ciało runęło ciężko na ziemię, u podnóża wielkiego pieca z zielonych cegieł. Podniósł się jednak po chwili, odetchnął ciężko, zaśmiał się głośno i rękawem szarej, szorstkiej swej koszuli ocierać począł pot, bujnemi kroplami opływający mu szkarłatne czoło i policzki.

Wtedy powstała od stołu Sara, córka Saula, i poczęła wszystkim obecnym podawać do umycia rąk pełen wody srebrny dzbanek i srebrną miednicę. Szepcząc dziękczynne modlitwy, obecni ręce swe oblewali wodą i ocierali ręcznikiem, wiszącym na ramieniu Sary, białym jak śnieg i w hafty zdobnym. Uczta sobotnia skończona była.

W kilka minut potem sprzątnięto ze stołu wszystkie okrywające go naczynia. Towarzystwo całe, podzieliwszy się na kilka grup, napełniło się gwarem głośnych i ożywionych rozmów.

Meir, który przez kilka chwil stał samotnie u okna, z zamyśleniem wpatrując się w ciemności wieczora, zbliżył się do najpoważniejszej wiekiem grupy, która zgromadziła się dokoła najparadniejszego w izbie miejsca, przyozdobionego staroświecką kanapę, z wielką żółtą poręczą.

Tu Abram i Rafał, synowie Saula, i Ber, zięć jego, zdawali sprawę ojcu z interesów w ciągu tygodnia dokonanych; zapytywali go o rady i prosili o pomoc.

Tu brzmiały nazwy liczb przerozmaitych, przy wyliczaniu nabytych beczek zboża i zapłaconych za nie pieniędzy, i poruszały się szybko palce kilku par rąk. Tu, przy wzmiankach

o zagranicznych portach i panujących w nich cenach zboża i drzewa, zapalały się oczy uczuciem nadziei, obawy i żądzy zysku.

Stary Saul wyglądał tak, jakby teraz dopiero znalazł się we właściwym sobie żywiole. Jakkolwiek wysokie i mądre nauki mistycznych mędrców gminy obudzały w nim cześć i trwogę, interesa świeckie zdawały się być umysłowi jego bliższemi, żywotniejszemi i lepiej znanemi. W oku jego, które zabłysło bystrą i ożywioną myślą, nie było już znać starości, i tylko białe włosy jego i biała długa broda czyniły go podobnym do patrjarchy i dostojnika, rozdzielającego pomiędzy członków rodziny swej rady, pochwały i sądy.

Meir stał przez minut kilka przy gromadce tych ludzi, rozprawiających o handlu, zyskach i stratach, z wyrazem twarzy obojętnym. Znać było, że w sprawach podobnych nie brał on nigdy osobistego udziału, i że świeżej natury jego nie dotknęła jeszcze i nie napoczęła gryząca gorączka zysku. Z niejakiem zdziwieniem popatrzał na flegmatycznego Bera, który zdawał się być w tej chwili przemienionym w innego człowieka.

Opowiadając teściowi o sprawach swych i zamiarach handlowych i przekładając mu konieczną potrzebę, w jakiej zostawał, zaciągnięcia u braci swej żony znacznej pożyczki, stał się on wymownym, ruchliwym, zapalczywym niemal. Oczy jego płonęły, usta ruszały się z niezmierną szybkością, ręce drżały.

Meir oddalił się i stanął przy grupie innej.

W grupie tej, zebranej u końca drugiego stołu, zasłanego jeszcze białym obrusem, panował melamed. Otaczało go osób kilkanaście, a on, jak zwykle, obu łokciami rozpierając się na stole, uroczyście i wśród skupionej uwagi słuchaczy, prawił:

— Wszystko, co jest na świecie, każdy człowiek, i każde zwierzę, i każda trawa, i każdy kamień, korzenie swe mają wysoko, w kraju tym, gdzie mieszkają duchy. I dlatego cały świat jest jak drzewo ogromne, którego korzenie znajdują się pomiędzy owemi duchami. I jest on jak ogromny łańcuch, którego ostatnie koła wiszą tam, gdzie mieszkają duchy. I jest on jak ogromne morze, które nigdy nie wysycha, bo leci w nie strumień nieprzebrany duchów i ciągle je napełnia...

Meir odszedł od grupy, słuchającej melameda, i zbliżył się ku oknu. Tam dwaj młodzi ludzie, z czołami w dłoniach, z głębokiem zamyśleniem, rozprawiali o tem, gdzie i jak napisane stoi,

że człowiek, który, w noc świąteczną idąc, cienia swego nie ujrzy, w tym samym roku umrze?

Meir obejrzał się dokoła. W przyległej izbie starsze niewiasty, zebrawszy się skupionem kółkiem, toczyły głośną rozmowę o gospodarstwie swem i wielkim rozumie swoich małych dzieci; młode dziewczęta, przysiadłszy w kąciku, nisko przy ziemi, szeptały pomiędzy sobą, rozplatały długie swe warkocze, chichotały i nuciły zcicha.

Z twarzy Meira było widać, że nie czuł się on pociąganym do żadnej z licznych gromadek ludzkich, dom napełniających. Znajdował się pomiędzy swoimi, pomiędzy tymi, którzy najbliżsi mu byli krwią i sercem, a jednak... Możnaby rzec, iż znajdował się na pustyni, tak samotnie stanął na środku izby i takiem smutnem, znudzonem okiem powiódł dokoła.

Wkrótce nie było go już w izbie. Zstępował ze schodów ganku i przez plac ciemny kierował się ku długiemu, niskiemu domostwu Reb Jankla...

* * *

Po rzęsiście oświetlonych, obszernych, czystych i ładnych izbach domu dziada jego mieszkanie Reb Jankla, posiadacza największej w Szybowie oberży, handlarza gorzałką i urzędnika kahału, wydać się musiało Meirowi ciasnem, ciemnem, brudnem i smutnem.

Kiedy tam, u Saula, uczta sobotnia zaledwie przed chwilą ukończona została, tu oddawna już sprzątnięto z rodzinnego stołu wieczerzę, która krótko trwała, bo była szczupłą i odbywała się w posępnem milczeniu, przerywanem tylko gderliwem swarzeniem się i złośliwemi ucinkami ojca rodziny.

Wiadomo było zresztą powszechnie, że Reb Jankiel skąpy był, wielkie pieniądze zbierał, a o porządki i wygody domowe mało dbał, bo sam w domu przebywał bardzo rzadko, trudniąc się dzierżawieniem gorzelni i karczem po wsiach sąsiednich, a do miasteczka zaglądając wtedy tylko, gdy wymagały tego religijne obchody albo kahalne interesa.

Żona jego, Jenta, i dwie dorosłe jej córki trudniły się gospodarstwem oberży, pełniły funkcje i zajmowały stanowiska pierwszych służebnic domu.

Przyjazne gwarne pogadanki, które napełniały ściany Ezofowiczów, nie były tu znane. Dostatek ukazywał się tylko

wtedy, gdy Reb Jankiel przyjmował dostojnych gości jakich: świętego rabina, którego był ulubieńcem, kahalnych swych kolegów lub bogatych kupców. Czystość i wesołość nigdy się tu nie ukazywały.

W pierwszej izbie, do której wszedł Meir, przez drzwi otwierające się do przepaścistej, ciemnej sieni, dopalał się na stole jeden tylko ogarek żółtej świeczki, tkwiący w otłuszczonym mosiężnym lichtarzu. Zapach jadła, niedawno sprzątniętego ze stołu, mieszał się tu ze stęchlizną brudnych ścian i tłuszczowemi wyziewami okopconego komina. Cicho tu było i pusto zupełnie.

W drugiej zato izbie, w której żadne światełko już się nie paliło, rozlegało się głośne chrapanie pana domu, zasypiającego już snem twardym.

W trzeciej, małej i tak zastawionej łóżkami i kuframi, że zaledwie wyminąć je było podobna, przy chwiejnem światełku lampy, płonącej na piecu, obwieszonym suszącemi się szmatami, Meir ujrzał niewyraźną wśród mroku postać niewieścią, która, kołysząc nogą kolebkę, cichem nuceniem usypiała dziecię, zcicha też płaczące.

Powitał ją przechodzący skłonieniem głowy i przyjaznem słowem. Pozdrowiła go wzajemnie i, wśród miarowego stuku kolebki, jako też chrapania kilku śpiących w izbie osób, nuciła dalej.

Za niskiemi drzwiczkami słychać było stłumiony gwar rozmawiających męskich głosów. Meir otworzył drzwiczki te i znalazł się w izdebce Eljezera, kantora o białej twarzy i cudownym głosie.

Eljezer nie był sam jeden. Wraz z nim przy stole, na którym paliła się żółta świeczka, siedziało kilku młodych ludzi, którzy należeli do rodziny Ezofowiczów i razem z Meirem jedli dnia tego wieczerzę.

Meir odetchnął szerzej, dlatego może, iż w izdebce kantora mniej duszne i cuchnące, niż w innych częściach mieszkania tego, panowało powietrze, albo, że znalazł się wśród twarzy, na które patrzeć lubił, i które też na widok jego oświeciły się przyjaznemi uśmiechy.

Eljezer podniósł turkusowe swe oczy na twarz przybyłego, gdy ten w milczeniu zajął miejsce przy stole.

— Meir! — rzekł miękkim głosem.

— A co? — zapytał gość.

— Ty dziś nie miałeś cierpliwości i niepotrzebne rzeczy melamedowi gadałeś! Mnie o tem oni już opowiedzieli.

Wskazał na obecnych młodych chłopców. Meir przenikliwy i drwiący nieco wzrok utkwił w białej twarzy piewcy.

— Czy ty, Eljezerze, naprawdę mówisz, że te rzeczy, które ja dziś melamedowi powiedziałem, niepotrzebne były i złe? — zapytał zwolna.

Kantor pochylił głowę.

— One były dobre — rzekł — ale ty ich nie powinieneś mówić, bo na ciebie za to wielkie nieprzyjemności spaść mogą.

Zaśmiał się młody człowiek z przymusem jakoś i smutnie.

— Nu! — rzekł z determinacją — niech spadają! ja dłużej wytrzymać nie mogę i, milcząc, patrzeć i słuchać, jak oni wszystkim nam zawrót w głowach robią...

— Dziecko! dziecko! a co ty na to poradzisz? — ozwał się za rozmawiającymi głos przeciągły i leniwy.

Obejrzeli się. Był to flegmatyczny Ber, który wszedł przez niskie drzwiczki, starannie zamknął je za sobą i, odpowiedziawszy w powyższy sposób na porywczy wykrzyk młodzieńca, położył się, z twarzą, ku sufitowi zwróconą, na łóżku Eljezera.

Obecni zwykli snadź byli widywać go pomiędzy sobą, nie okazali bowiem na widok jego najmniejszego niezadowolenia ani zmieszania: owszem, rozmowa toczyła się dalej.

Jeden z młodych chłopców, krewnych Meira, napół z powątpiewaniem i śmiechem, napół z obawą i przejęciem się, zaczął powtarzać kantorowi słowa melameda o En-Sofie i sefirotach, o dniu Mesjaszowym i ogromnej rybie, Lewjatanie. Drugi zapytał Eljezera: co myśli o tem, że dość jest zagłębiać się w naukę Miszny i Zoharu, aby występki swe mieć odpuszczone?

Eljezer słuchał w milczeniu i z pochyloną twarzą. Długo nie odpowiadał, potem podniósł zwolna głowę i rzekł:

— Czytajcie torę! tam napisane stoi: Jeden jest Bóg, Jehowa! Nie znajduje On zadowolenia swego w ofiarach waszych, śpiewach i kadzidłach, ale żąda od was, abyście miłowali prawdę, bronili uciśnionych, nauczali ciemnych i leczyli chorych, bo te są pierwsze powinności wasze!

Dwaj młodzi ludzie roztworzyli oczy.

— No! — zawołali jednogłośnie — czy melamed nieprawdę mówił?

Eljezer milczał znowu długo. Widać było, że radby był nie

odpowiadać. Ale młode niecierpliwe ręce szarpały go za rękaw odzieży, domagając się odpowiedzi.

— Nieprawdę! — odrzekł nakoniec nieśmiałemi usty.

W tej chwili Meir położył mu dłoń na ramieniu.

— Eljezer! — rzekł — tyś mnie tak samo powiedział dwa lata temu, kiedy z wielkiego miasta, gdzie ciebie śpiewać uczyli, wróciłeś. Ty wtedy otworzyłeś oczy moje, co same już zaczynały szukać światła, i nauczyłeś mię, że my nie jesteśmy prawdziwi Izraelici, że wiara nasza nie jest już tą wiarą, którą nam dano na górze Synai, że judaizm zmącił się i zabrudził, jak woda, kiedy w nią garść błota rzucą, i że od tego błota poczerniały głowy nasze i serca. Ty mnie to powiedziałeś, Eljezerze, i ja — przejrzałem. Od tego czasu ja kocham ciebie, jak brata, który dopomógł mi wyjść z ciemnicy, ale od tego czasu także ja czuję na sercu wielką ciężkość i wielką tęsknotę...

— Eljezer uczył ciebie, Meierze, i Eljezer milczy... a ty, uczeń jego, gadać zaczynasz — ozwał się głos Bera, w którego leniwych dźwiękach przebrzmiewało szyderstwo.

— Żebym ja umiał gadać! — zawołał młody człowiek z roziskrzonem okiem — i żebym ja wiedział, co i jak robić!

I po chwili dodał ciszej:

— Ale ja ani gadać, ani robić nie umiem... ja mam tylko w sercu wielką nienawiść dla tych, co oszukują, i wielką miłość dla oszukiwanych...

— I wielką zuchwałość! — wtrącił niedbale wyciągnięty wciąż na łóżku, Ber.

— Zuchwałości ja dotąd nie miałem, ale... ale, żebym tylko wiedział, co zrobić, tobym ją miał!

Przez kilka chwil panowało milczenie. Przerwał je Meir:

— Ty szczęśliwy jesteś, Eljezerze!

— A czemu ja szczęśliwy?

— Na szerokim świecie byłeś, rozumne rzeczy widziałeś, mądrych ludzi słuchałeś... Ach! żeby to i mnie na szeroki świat!...

— Eljezer! opowiedz nam co o szerokim świecie — ozwali się dwaj młodzi chłopcy. W oczach ich, wlepionych w twarz kantora, malowała się ciekawość i dziwna tęsknota.

Eljezer jedyny był wśród młodzieży szybowskiej młodzieńcem, który widział «świat szeroki». Zawdzięczał to cudownemu głosowi swemu, dla którego ukształcenia wysłano go na naukę do wielkiego miasta.

Wszystko, co miał do opowiedzenia, opowiedział był już

współtowarzyszom swym oddawna. Zasób to zresztą nie był wielki. Ale oni słuchaliby go chętnie, choćby codzień jedno tylko i to samo opowiadać miał.

Jak wygląda wielkie miasto? jakie tam wysokie domy stoją i piękne pojazdy po ulicach jeżdżą? jacy ludzie bogaci, grzeczni i uczeni w domach tych mieszkają, i ilu pomiędzy nimi znajduje sie Izraelitów, którzy moc pieniędzy, piękne pokoje, bogate suknie i wielki szacunek u ludzi mają?

A dlaczego wszyscy ich szanują? czy dlatego, że oni bogaci? nie; bo i w Szybowie bogaci kupcy są, a puryce wtedy tylko szacunek im okazują, kiedy potrzebują ich pieniędzy, a kiedy nie potrzebują, to bardzo brzydko i ze wzgardą do nich i o nich mówią.

Ich szanują dlatego, że oni wiele uczyli się i umieją, a nietylko Miszny i Gemary uczyli się, ale różnych innych, bardzo pięknych i potrzebnych nauk.

A dlaczego w Szybowie niema szkoły takiej, któraby nauk tych uczyła, i dlaczego rabin Izaak i Reb Mosze mówią, że te nauki to sodomska winnica i cudze płomienie, i że każdy prawy Izraelita uciekać od nich powinien?

— Eljezer! jak to tam wielkie wozy bez koni po świecie chodzą, i kto je tak mądrze wymyślił?

— Eljezer! czy tam wszyscy Izraelici koszery zachowują?

— Eljezer! co tam mówią o naszych rabinach Todrosach?

— Źle mówią.

Wielkie zdziwienie! Izraelici sami na szerokim świecie źle mówią o Todrosach? w En-Sofa ani w Sefirotów, ani w całą kabałę nie wierzą?

— A co oni mówią o talmudzie?

— Oni o talmudzie mówią, że ta piękna i mądra księga jest przez mądrych i świętych ludzi napisana, tylko że ją skrócić trzeba i wiele z niej powyrzucać; bo teraz czasy nastały inne, i to, co było niegdyś potrzebne, teraz już jest szkodliwe.

Wielkie znowu zdziwienie! Talmud trzeba skrócić, bo Gemary trudno bardzo uczyć się, i ona pamięć i rozum u dzieci zabija.

Prawda! pytający pamiętają sami, jak im trudno było uczyć się Gemary, i jak melamed bił ich srodze za to, że ona im do głowy wchodzić nie chciała, i jak oni od tego słabli na pamięci

i rozumie, a mały Lejbele, syn biednego krawca, został nawet od tego na zawsze głupim i chorym!

— A kto to niegdyś skrócił talmud i uczynił go łatwiejszym do uczenia się?

— Skrócił go wielki i święty mędrzec, Mojżesz Majmonides, którego potem rabini wyklęli.

Rabini wyklęli wielkiego i świętego mędrca! Rabini więc mogą być źli i niesprawiedliwi, i nie zawsze wierzyć trzeba w to, co mówią!

— A co napisał więcej Mojżesz Majmonides?

— On napisał jeszcze More Nebuchim, przewodnik dla zbłąkanych... mądrą i piękną księgę, którą czytając, chce się człowiekowi płakać z czułości i śmiać się z radości!

— A masz ty tę książkę, Eljezer?

— Mam.

— A skąd ty ją masz?

— Dał mi ją jeden mądry Izraelita, który tam w wielkiem mieście... jest wielkim adwokatem.

— Eljezer, przeczytaj nam co z tej książki!

W taki sposób naiwnym umysłom tym, mimowiednie tęskniącym za słońcem i szerokiem łonem całej ludzkości, objawiał się cząstkowo i chaotycznie świat wirujących po szerokich przestworzach zjawisk i myśli.

Nie wyrabiały się z tego wcale jakieś stałe przekonania, nie wysnuwała się jasno przewodnia nić innego, lepszego życia; ale w sumienia wchodziły wątpliwości, w piersi pragnienia, młode oczy przysłaniały się smutkiem myśli, poczynającej czuć swe kajdany.

Późno już było, gdy po długiej rozmowie młodzieńcy powstali z siedzeń swych i stanęli naprzeciw siebie, z pobladłemi twarzami i gorejącym wzrokiem. Po chwilowem milczeniu Meir ozwał się:

— Eljezerze! czy my nigdy wielkim głosem nie krzykniem do ludu, aby obejrzał się i przejrzał? Czy my zawsze gnić będziemy, jak robaki przysypane ziemią, i patrzeć, jak lud cały dusi się i gnije?

Eljezer spuścił ku ziemi łzawe oczy, wzniósł w górę białe ręce i harmonijnym głosem swym wyrzekł:

— Ja za lud mój codzień śpiewam i płaczę przed Panem!

Meir uczynił gest niecierpliwości, a w tejże chwili Ber, podnosząc się ciężko z łóżka, zaśmiał się grubym, posępnym śmiechem.

— Śpiewaj i płacz! — rzekł do Eljezera — ciebie twój srogi ojciec takim wielkim strachem napełnił, że ty nic innego zrobić nigdy nie będziesz mógł...

Potem położył dłoń na ramieniu Meira i dodał:

— Ten tylko zuchwały jest i — przeciwko wodzie popłynie. Ale woda mocniejsza od człowieka... Gdzie ona go zaniesie?

Opuszczając mieszkanie Jankla, Meir zobaczył znowu w jednej z izb tę samą, co wprzódy, postać niewieścią, siedzącą nad kolebką uśpionego dziecka. Pochyliła się ona tylko i, obu łokciami o brzeg kolebki wsparta, drzemała. Światełko lampki, płonącej na piecu, padało teraz wprost na nią, oświecało szafirowy podarty kaftan, który odkrywał plecy jej i piersi, nie okrywając ramion, ociągniętych rękawami grubej koszuli.

Na głowie miała jeszcze czepiec świąteczny z wielkim zmiętym kwiatem, którego czerwona barwa dziwnie odbijała przy zżółkłej, pomarszczonej skórze niskiego czoła i zwiędłych policzków.

Nie stara to była jeszcze niewiasta, ale spracowana, sterana, znękana. Jedno na nią spojrzenie wystarczało, aby przekonać się, iż jej życie upływało wśród trudów i upokorzeń, i że nie odświeżyła go nigdy żadna kropla domowego szczęścia.

Patrząc na nią, łatwo też było zgadnąć, iż nie dożyje ona, jak Frejda, żona heretyka Hersza, stuletniej rocznicy swych urodzin i że nie będzie zwolna i słodko usypiała do snu wiecznego, wśród błogiego sercu jej gwaru licznych wnuków i prawnuków. Jenta, żona pobożnego Reb Jankla, była duchem zabitym w zmordowanem ciele...

Kiedy kroki odchodzących gości, mieszając się czas jakiś z chrapaniem kilku osób głęboko uśpionych, umilkły, Eljezer stanął w niskich drzwiach swej izdebki i przez kilka sekund spoglądał zdala na drzemiącą matkę.

— Matko! — ozwał się zcicha — czemu ty się spać nie położysz? Mała Chajka zasnęła dawno i płakać już nie będzie. Połóż się i ty, matko... spocznij.

Szept syna dosięgnął drzemiącej głowy Jenty. Podniosła powieki, zwróciła wzrok smętny ku wysmukłemu młodzieńcowi, którego delikatna twarz świeciła wśród zmroku bielą alabastru i — o, dziwy! małe, mrużące się jej oczy mrużyć się przestały, a z bezbarwnych źrenic wymknęło się światełko radości.

— Eljezer! chodź tu! — szepnęła.

Młodzieniec zbliżył się i usiadł na krawędzi łóżka.

— Jak ja mogę zasnąć? — szeptały do niego zwiędłe wargi kobiece — kiedy moja głowa taka biedna! Chajka chora i co moment zapłakać może, a jak ona zapłacze głośno, Jankiel obudzi się i w wielką złość wpadnie!

— Śpij, matko! — odszepnął syn — ja tu posiedzę i Chajkę kołysać będę...

Żółta, pomarszczona twarz, z wielką czerwoną różą nad czołem, pochyliła się i spoczęła, nie na wysoko usłanych, brudną bielizną okrytych poduszkach, ale na kolanach siedzącego obok młodzieńca.

Eljezer wsparł ramię o krawędź kolebki, czoło złożył na dłoni i dumał. Niekiedy poruszał nogą bieguny kolebki i zcicha nucił.

— Oj! biedna, biedna moja głowa! — szeptała przez sen, drzemiąca na kolanach syna, o żółtej twarzy kobieta.

— Biedna głowa twoja, o Izraelu! — w zadumie szeptały różowe usta czuwającego nad kolebką młodzieńca.

* * *

Kiedy to działo się w mieszkaniu Reb Jankla, mała zwinna postać ludzka mknęła w ciemnościach przez obszerny podwórzec szkolny, ku stojącej przy nim niskiej chatce rabina Izaaka Todrosa i zniknęła za jej niskiemi drzwiami, które zamknęły się za nią z głośnem skrzypnięciem.

Skrzypnięciu temu odpowiedział z wnętrza chatki głos męski, o czystem, lecz niskiem, basowem brzmieniu:

— Czy to ty, Mosze?

— Ja, Nassi! sługa twój wierny! nędzny podnóżek stóp twoich! Niech sen twój nawiedzają aniołowie pokoju! niech każde tchnienie ust twoich będzie przyjemne tobie, jako oliwa zaprawiona mirrą! A kiedy ty spać będziesz, niech dusza twoja kąpie się z wielką rozkoszą w strumieniu duchów!

Basowy głos, wychodzący z wnętrza ciemnej izby, znajdującej się za malutką, również ciemną sionką, zapytał:

— A gdzie ty tak długo był, Mosze?

Człowiek, znajdujący się w sionce, odpowiedział:

— Ja wieczerzę sobotnią jadł w domostwie Ezofowiczów. U Ezofowiczów święcą sabaty ze wspaniałością wielką, i ja do

nich na sobotnie wieczerze często chodzę, ażeby duszę swoją w wielkiej wesołości utrzymywać.

— Ty dobrze robisz, Mosze, że w sabat duszę swoją w radości utrzymujesz. A co tam u nich słychać?

— Źle słychać, Nassi! Między różami i liljami lęgnie się tam bardzo brzydki robak!

— Jaki to robak?

— Robak taki, co świętą wiarę naszą gryzie i z Izraela zrobić może lud goimów i chazarników!

— A w czyjem sercu lęgnie się ten brzydki robak?

— On lęgnie się w sercu Meira Ezofowicza, wnuka bogatego Saula.

— Mosze! czy ty zobaczył robaka tego własnemi oczyma i posłyszał go własnemi uszyma! Mów, Mosze! Na mojej głowie leży wielki ciężar wszystkich dusz, co są w tej gminie, i ona o wszystkiem wiedzieć powinna.

W sionce panowało przez chwilę milczenie. Człowiek, który tam wśród głębokich ciemności siedział w skromnej postawie u zamkniętych drzwi świętego rabina, zbierał snadź myśli swe i wspomnienia. Po chwili, chrapliwym swym i śpiewnie zanoszącym się głosem, mówić zaczął:

— Ja na własne oczy widziałem i na własne uszy słyszałem. Meir Ezofowicz nie odprawiał dziś sobotniego Kiduszu z całą familją swoją i przyszedł do domu wtedy, kiedy sabat dawno już był się zaczął. Ja jego zapytałem, co on robił, a on mnie powiedział, że bronił od wielkich napaści chatę Abla karaima i wnuczki jego, Gołdy...

Umilkł; basowy głos we wnętrzu zamkniętej izby wymówił:

— On bronił odszczepieńców i naruszył sabat!

— On w święty dzień sabatu duszy swojej w radości nie utrzymuje. Smutny przyszedł i smutny był przez całą wieczerzę. A dlaczego on smutny? Bo dusza jego rwie się do goimów i do ich nauki...

— Niech wyklęta będzie nauka ta! niech Izrael ucieka od niej! i niech nie przebaczy jej Pan! — wymówił za drzwiami głos basowy.

— On mówił, że w świętych księgach Izraela niema nic napisanego o En-Sofie, ani o sefirotach, i że Przedwieczny odszczepieńców prześladować nie każe.

— Obrzydliwości leją się z ust młodzieńca tego. W ciało jego przeszła dusza jego pradziada, Hersza Ezofowicza.

— Nassi! — głośniej niż dotąd zawołał Mosze. Niewyraźne mruknięcie za drzwiami zachęciło go do dalszego mówienia:

— On szukać będzie pisania Michała Ezofowicza, Senjora... ja to z oczu jego widział; i on pisanie to znajdzie! A jak on je znajdzie i ludowi głośno przeczyta, zbuntuje się przeciw twoim naukom duch Izraela!

Długie po słowach tych nastąpiło milczenie, aż głos basowy ozwał się znowu:

— Kiedy on pisanie to znajdzie, spocznie na głowie jego ciężka prawica moja i w proch ją rozsypie... Mosze! a on co robił po wieczerzy?

— On poszedł do domu Reb Jankla i z kantorem Eljezerem długo rozmawiał; ja przechodził tamtędy i przez okno widział.

— Mosze! a kto tam był więcej?

— Byli tam: Chaim, Mendel, Arjel i Ber, zięć Saula.

— A co oni pomiędzy sobą mówili?

— Nassi! dusza moja weszła w ucho moje, kiedy ja pod ich oknem stał... Oni bardzo narzekali, że ich w wielkiej ciemności trzymają, i że prawdziwa wiara Izraela zbrudziła się, jak woda, kiedy w nią kto rzuci garść błota... A Eljezer mówił, że on na to wielkie skargi przed Pana zanosi, śpiewając i płacząc; a Meir mówił, że śpiewać i płakać niedość, ale trzeba do ludu wielkim głosem krzyknąć, i zrobić coś, ażeby on inny był, niż jest...

— Pokolenie jaszczurcze!... — mruknął głos z głębi chaty.

— Nassi! kto jest pokoleniem jaszczurczem? — pokornie zapytał Mosze.

Po chwilowem milczeniu odpowiedziano w ciemnościach:

— Ród Ezofowiczów!

III.

Parę miesięcy minęło. Ciepły dzień majowy kończył się wieczorem wonnym i pogodnym.

Niewiele przed zachodem słońca, brzegiem wąskiej uliczki, najuboższemi z pomiędzy wszystkich domostwami ostawionej, postępowały zwolna dwie istoty. Jedną z nich była koza, biała jak śnieg, drugą — dziewczyna wysmukła i chuda. Koza szła

naprzód, podskakiwała co chwila, aby uczepić się gałęzi drzew, rosnących tu i owdzie. Wydawała się zwinną, swawolną i szczęśliwą.

Idąca za nią dziewczyna poważna była i zamyślona. Wiek jej trudnoby określić: mogła mieć lat trzynaście, albo siedmnaście. Jakkolwiek bowiem wysoka była, kształty ciała jej, drobne, suche, z powstrzymanem może rozrostem, wydawały się dziecinnemi. Ale chód jej i wyraz twarzy posiadały powagę i smutek wczesnej dojrzałości.

Na pierwszy rzut oka wydawała się brzydką. Nie przyozdabiał jej wcale, wdzięków jej, jeżeli miała jakie, nie uwydatniał strój ubogi, złożony ze spłowiałej sukni perkalikowej, z pod której wąskich fałd ukazywały się stopy, nawpół tylko okryte obuwiem grubem i płytkiem, a której stanik luźny i obwisły krył się u szyi pod kilku sznurami drobnych, w różne kształty połamanych, korali.

Od czerwoności jedynej tej zbytkownej ozdoby jej stroju żywo odbijała głęboka śniadość, okrywająca chude i zapadłe nieco jej policzki; pod gęstemi brwiami wielkie, głęboko osadzone oczy patrzały czarną jak aksamit źrenicą, a nad wąskiem, ciemnem czołem wiły się splątanemi kędziory włosy hebanowej czarności.

W całej postaci dziecka tego, czy tej kobiety, było coś dumnego i dzikiego zarazem. Szła wyprostowana, poważna, zamyślonym wzrokiem śmiało patrząca kędyś wdal; lecz przy każdym żywszym usłyszanym szmerze ludzkich głosów przystawała i, przycisnąwszy się do płotu albo ściany, spuszczała oczy, nie trwożnie, posępnie raczej i niechętnie, tak, jakby wszelkie spotkanie się z ludźmi przykrem jej być musiało.

Jedna tylko biała koza nie sprawiała jej obecnością swą żadnej przykrości. Owszem, dziewczyna wiodła za nią od chwili do chwili bacznem wejrzeniem, a gdy zwinne stworzenie oddalało się od niej zbytecznie, przywoływała je ku sobie przyciszonemi, krótkiemi wykrzyki. Wzajemnie koza zrozumiała ją snadź dobrze i, wołaniu jej posłuszna, wracała ku niej, z pytającem jakby beczeniem.

U końca ciasnej, biednej uliczki błysnęła świeża, majowa, rosą operlona i słońcem pozłocona, zieloność. Była to łączka niewielka, tuż za miasteczkiem leżąca, z jednej strony otoczona brzozowym gajem, z drugiej otwierająca się na ogromne rozłogi pól, za któremi, w głębokiej dali, siniał długi pas wielkich borów.

Na widok łączki dziewczyna nie przyśpieszyła kroku, owszem, zwolniła go, a po chwili, przywoławszy ku sobie kozę swą i ręką ująwszy jeden z małych jej rożków, stanęła — stanęła i patrzała na ruchliwą scenę, która odbywała się na łączce i od której dolatywał uszu jej gwar, zmieszany z dziecięcych śmiechów, krzyków i ze zwierzęcych beczeń.

Zrazu scena ta wydawała się tylko tłumnem i chaotycznem migotaniem stworzeń mlecznej białości i pstrokatych postaci dziecinnych po zielonem tle. Po dłuższem dopiero patrzeniu rozeznać było można kilkanaście małych dziewcząt, spędzających z pastwiska kilkadziesiąt kóz.

Dziewczęta były swawolne i śpieszyły się do domów; kozy były uparte i chciały pozostać na łące: pomiędzy jednemi a drugiemi zawiązywały się uporne walki, w których zwierzęta odnosiły nad dziećmi najczęściej zwycięstwa.

Wymykały się one z rąk przewodniczek swych i, w zwinnych podskokach, biegły ku porastającym gdzie niegdzie łąkę krzaczystym leszczynom. Dziewczęta goniły je, a dogoniwszy i pochwyciwszy obu rękoma długie pasmo szorstkiej ich sierści, nie wiedziały, co czynić dalej.

Jedne przyzywały na pomoc towarzyszki swe, również jak one zajęte i zakłopotane; inne zabiegały drogę nieposłusznym pupilom i, gdy już znajdowały się naprzeciw nich, wyciągały przed siebie oba ramiona obrończym gestem; inne jeszcze topiły obie ręce w kędziorach swych włosów i wydawały rozgłośne krzyki rozpaczy, albo padały na ziemię i, tarzając się po miękkiej murawie, zanosiły się swawolnemi śmiechy.

Krzyki te, śmiechy i wołania, połączone z przeciągłem beczeniem kóz, pochwytywały powiewy ciepłych wiatrów, lecące nad łąką, i niosły pomiędzy posępne uliczki miasteczka, na szerokie, złote błonia, w dalekie głębie gaju. W pozłoconem też powietrzu migotały i przelatywały, krzyżując się z sobą, nagie, drobne stopy, depczące zieloną trawę, małe głowy, okryte włosami wszech odcieni, od czarności hebanu do czerwoności miedzi i bladej żółtości lnu.

Wysmukła, poważna dziewczyna, przebywająca, wraz ze swawolną, lecz posłuszną swą kozą, ciasną uliczkę, ku łące wiodącą, stojąc, przypatrywała się ruchliwej i gwarnej scenie wzrokiem obojętnym. Znać było, że nie nęciła jej tam wesołość, ani pociągała ciekawość.

Jak wprzódy szła, tak teraz stała spokojnie i poważnie. Zdawała się czekać czegoś, zniknięcia może z zielonego kawałka

gruntu migoczących tam głów i ustania brzmiących okrzyków dziecinnych.

Krzyki te zlały się po chwili w jeden chóralny okrzyk. Zwiastował on radość i triumf powszechny. Po długich walkach, gonitwach i wysileniach, kozy opanowane nakoniec zostały, ani jedna z nich nie zatrzymywała się już przy ponętnych krzakach leszczyny, lecz wszystkie znalazły się w mocy swych przewodniczek, które teraz już w jedną spójną zebrały się gromadkę.

Jedne z nich wiodły uparte i do buntu zawsze gotowe stworzenia za krótkie ich rożki, ciągnąc je z całej siły za sobą i przechylając głowy ich aż prawie do ziemi; inne, obu ramionami objąwszy ich szyje, biegły wraz z niemi krokiem podskakującym i śpiesznym; inne jeszcze, najśmielsze i najsilniejsze, dosiadły ich grzbietów i, unoszone przez osobliwych wierzchowców tych, ściśniętemi pięściami trzymające się najdłuższych pasem ich sierści, pełnym kłusem leciały ku miasteczku. Cała ta kawalkata, tłumna i głośna, wcisnęła się w jedną z szerszych ulic miasteczka i zniknęła w kłębach kurzawy.

Zielona łączka była teraz pusta i cicha; lekki wiatr tylko szemrał w gałęziach brzóz i leszczyny, a od zachodzącego słońca opuszczał się na nią przezroczysty obłok różowy.

Śniada dziewczyna uwolniła z objęcia szyję swej kozy, śpieszniejszym niż wprzódy postąpiła krokiem, i po chwili znalazła się na skraju łączki.

Tu jednak stanęła i wzrok utkwiła w punkt jeden, jakby z nagłem osłupieniem radości. Punktem tym był gruby pień brzozowy, obalony przez wichry, i u samego podnóża gaju leżący, a na którym, z dużą księgą, na kolanach roztwartą, siedział młody mężczyzna.

Osłupienie dziewczyny krótko trwało. Z oczyma utkwionemi w schyloną nad księgą twarz młodzieńca, prosta i lekka, przeszła ona całą szerokość łąki, a stanąwszy tuż przy pniu, na którym on siedział, pochyliła się, rękę jego w swe ciemne dłonie pochwyciła i do ust swych poniosła.

Zatopiony w czytaniu młody człowiek podniósł szybko głowę, zdumionym wzrokiem okrył twarz dziewczyny, cofnął szybko rękę swą z jej uścisku i zapłonił się gorącym rumieńcem.

— Ty mnie nie znasz? — wyrzekła dziewczyna stłumionym nieco, ale nie drżącym bynajmniej, głosem.

— Nie! — odpowiedział młody człowiek.

— A skąd możesz mię znać? ale ja znam ciebie. Jesteś Meir Ezofowicz, wnuk bogatego Saula. Widuję cię często, jak siedzisz na ganku pięknego domu swego, albo jak z tą książką przechodzisz koło karaimskiego wzgórza...

Wszystko to wymówiła głosem pewnym, z wyprostowaną swą i poważną postawą. Na twarzy jej nie ukazał się najlżejszy wyraz zmieszania lub nieśmiałości, nie wybił się na nią najsłabszy cień rumieńca. Tylko czarne jej źrenice jakby się powiększyły i zapłonęły gorącym blaskiem, a blade usta przybrały zarys łagodny i miękki.

— A któż ty jesteś? — zcicha zapytał Meir.

— Jestem Gołda, wnuczka Abla karaima, pogardzonego i prześladowanego przez wszystkich twoich...

Teraz dopiero głos jej drgnął, i ozwało się w nim parę brzmień posępnych.

— Wszyscy twoi prześladują Abla karaima i wnuczkę jego, Gołdę, a ty ich bronisz. Ja tobie dawno podziękować chciałam!

Meir spuścił powieki. Białe czoło jego okrywała wciąż różowa barwa rumieńca.

— Żyjcie w spokoju, ty i dziad twój, Abel — wymówił zcicha — niech nad biednym domem waszym rozpostrze się prawica Przedwiecznego, który kocha i broni tych, co cierpią...

— Dziękuję tobie za dobre słowa twoje — cicho już szepnęła dziewczyna; zarazem osunęła się na trawę u nóg młodzieńca i, podnosząc nieco splecione ręce, szeptała dalej:

— Ty Meir, dobry jesteś, rozumny i piękny. Imię twoje znaczy «światłość», i mnie przed oczyma robiło się światło, ile razy ja zobaczyłam ciebie. Ja dawno chciałam ciebie znaleźć i porozmawiać z tobą, i powiedzieć, że, choć ty wnuk bogatego kupca, a ja wnuczka biednego karaima, co koszyki plecie, my jednacy w oczach Przedwiecznego Pana, i mnie wolno na ciebie oczy podnieść i, na twoją światłość patrząc, być szczęśliwą!...

I wyglądała w istocie szczęśliwą. Śniade, zapadłe jej policzki teraz dopiero oplynęły łuną płomiennego rumieńca, wargi purpurą zaszły i drgały, a w czarnych oczach, wzniesionych ku twarzy młodzieńca i napełnionych uwielbieniem namiętnem, stały dwie łzy srebrne.

Meir słuchał jej ze spuszczonym wzrokiem, a gdy umilkła, podniósł powieki, popatrzał na nią przez chwilę i szepnął zcicha:

— Jaka ty wdzięczna jesteś, Gołdo, i — piękna.

Po raz pierwszy w ciągu rozmowy swej z Meirem Gołda oczy spuściła i machinalnie zgarniać poczęła ku sobie wysokie trawy, o puszystych kiściach, rosnące dokoła.

Meir patrzał na nią długo w milczeniu. Przedziwna niewinność serca objawiała się w zawstydzeniu, które mu wciąż rumieńcami okrywało czoło, i w nieśmiałej radości, od której zdwojonym blaskiem świeciły szare źrenice jego, kłoniące się wciąż ku ziemi.

— Usiądź tu przy mnie — rzekł nakoniec cichym głosem.

Dziewczyna podniosła się z ziemi i usiadła na wskazanem jej miejscu. Odzyskała już całą śmiałość swą i powagę; milcząc, patrzała na młodzieńca, który nie patrzał na nią.

Milczeli długo. Milczenie też panowało dokoła; tylko nad głowami ich szemrały zcicha wysmukłe brzozy, a wkoło pobliskiej sadzawki, porosłej łozą, błotne ptactwo odzywało się rzadkiem, krótkiem krakaniem i gwizdem.

Meir, patrząc wciąż na ścielące się u stóp jego gęste trawy, pierwszy przemówił:

— Dlaczego tak późno wypędzasz kozę swą na pastwisko?

Gołda odpowiedziała:

— Bo nie chcę przychodzić wtedy, kiedy są tu ze swemi kozami inne dziewczęta.

— Czy i one prześladują cię także?

— Śmieją się ze mnie, gdy mnie zobaczą, przezywają mnie różnemi brzydkiemi nazwiskami i odpędzają mię od siebie, żebym blisko nich nie była.

Meir podniósł na dziewczynę wzrok, w którym malowała się litość.

— Czy ty, Gołdo, boisz się tych dziewcząt?

Gołda poważnie, na znak przeczenia, wstrząsnęła głową.

— Ja ze strachem razem wyrosłam — odpowiedziała — on mój brat i z nim oswoiłam się. Ale kiedy do domu powracam, stary zejde pyta się: — Czy tam kogo nie spotkałeś? czy tobie kto co złego nie zrobił? — Ja przed nim kłamać nie mogę, a jak powiem prawdę, stary zejde smuci się bardzo i płacze...

— Czy zejde sam cię wychował?

Twierdząco skinęła głową.

— Ojciec mój umarł, i matka moja umarła, kiedy ja jeszcze od ziemi nie odrosłam tyle nawet, co ten maleńki krzaczek. Zejde innych dzieci nie miał: wziął mnie do siebie i hodował, i kołysał mnie, kiedy ja chora byłam, i nosił po chacie na rękach

swoich, i bardzo całował! a jak ja wyrastałam, prząść mię nauczył i czytać w biblji, i wszystkie piękne historje znać, co je karaimi przynieśli sobie z dalekiego świata... Zejde dobry jest, zejde kochany i taki stary, taki stary... i taki biedny... Włosy jego są jak śnieg od starości, a oczy od płaczu jak korale... Ja często u nóg jego leżę, i kiedy on koszyki plecie, głowę moją trzymam u niego na kolanach, a on swoją starą ręką, co bardzo trzęsie się, po włosach mię gładzi, wzdycha i mówi: — Jossejme! jossejme! (sierota).

Mówiąc to, siedziała w pochylonej nieco postawie, z łokciem opartym o kolana, a policzkiem ukrytym w dłoni; kołysała się zlekka i nieruchomym wzrokiem patrzała wdal.

Meir wpatrywał się teraz w twarz jej, jak w tęczę, a gdy wymówiła ostatni wyraz, miękkim, litością nabrzmiałym głosem, powtórzył za nią:

— Jossejme!

W tejże chwili, o kilkadziesiąt kroków za nimi, w gęstwinie gaju ozwało się po kilka razy beczenie kozy. Meir obejrzał się.

— Czy twoja koza nie zabłądzi w lesie? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała spokojnie dziewczyna — ona daleko ode mnie nie pójdzie, a jak ją zawołam, wróci do mnie. To moja siostra.

— Strach twój brat, a koza twoja siostra! — z uśmiechem rzekł młody człowiek.

Dziewczyna zwróciła zwolna głowę w stronę gaju i wydała parę krótkich, urwanych okrzyków. Natychmiast w gęstwinie zaszumiał bieg szybki i pomiędzy zielonemi splotami brzozowych gałęzi stanęło mlecznobiałe, o długiej sierści stworzenie. Stanęło i patrzało na siedzącą obok siebie parę ludzi czarnemi oczyma.

— Chodź tu! — zawołała Gołda.

Koza zbliżyła się i stanęła tuż przed nią. Prawie aż ciemnopomarańczowa ręka Gołdy przesunęła się po wyciągniętej jej szyi; pogładził ją też Meir, uśmiechając się. Koza wydała krótki wykrzyk, poskoczyła i w mgnieniu oka zawiesiła się na gałęzi rozrosłej leszczyny.

— Jak ona posłuszna! — rzekł Meir.

— Ona mię bardzo kocha — poważnie odpowiedziała Gołda — jak zejde mnie, tak ja ją wyhodowałam. Ona była maleńkiem koźlęciem, kiedy zejde przyniósł ją raz do domu i mnie darował: a ja ją potem na rękach moich nosiłam i z rąk moich

karmiłam; a kiedy ona była chora, śpiewałam nad nią tak, jak zejde śpiewał niegdyś nade mną.

Mówiąc to, uśmiechała się, miała pozór dziecka, i wyglądała najwięcej na lat czternaście.

— A chciałabyś ty mieć znowu małe koźlątko? — zapytał Meir.

— Czemu nie? — odpowiedziała — chciałabym bardzo. Jak zejde kiedy dużo koszyków sprzeda, a ja dużo wełny naprzędę... kupim sobie znów na targu takie małe koźlątko...

— A dla kogoż ty wełnę przędziesz?

— Są takie dobre kobiety, co mi ją dają. Hana, żona Witebskiego, ciotka twoja, Meir, Sara, żona Bera, dają mi prząść wełnę, a potem płacą mi miedzianemi, czasem i srebrnemi, pieniędzmi...

— To ty, Gołdo, przychodzisz czasem do naszego domu brać wełnę do przędzenia od Sary, żony Bera?

— Przychodzę.

— A czemu ja ciebie nigdy nie widziałem?

— Bo oni mię pod wielkim sekretem wołają i robotę dają. Ber i żona jego Sara są bardzo litościwi ludzie, ale nie chcą, żeby się kto dowiedział, że oni zejde i mnie znają i nam pomagają. Ja do nich wtedy przychodzę, kiedy nikogo niema w domu, chyba jedna Lijka, twoja siostra stryjeczna, Meir, i zawsze tak idę, żeby mnie czarny człowiek nie zobaczył...

— Jaki czarny człowiek? kto ten czarny człowiek? — z zadziwieniem zapytał Meir.

— Rabi Izaak Todros! — bardzo cichym, tajemniczym szeptem odpowiedziała Gołda.

Na dźwięk wymówionego przez Gołdę imienia, twarz Meira, rozpromieniona wprzódy, litościwa napół, a napół zapłoniona wzruszeniem, nerwowo drgnęła. Umilkł nagle i wpatrzył się w daleki punkt przestrzeni oczyma, w których zagrały posępne światła. Zamyślił się tak, że aż głęboka zmarszczka powstała mu na białem czole. Zdawało się, iż nagle zapomniał o tem, że nie był sam jeden.

— Meir — ozwał się tuż przy ramieniu jego szept łagodny — o czem ty tak zamyśliłeś się, i czemu oczy twoje zrobiły się takie smutne? Imię twoje znaczy: «światłość». Czy tobie nie świeci zawsze słońce pociech i radości?

Młody człowiek, nie zmieniając kierunku spojrzenia, w zadumie wstrząsnął powoli głową.

— Nie! — odszepnął — na mojem sercu leży wielki smutek!

Dziewczyna pochyliła się ku niemu blisko.

— Meir! — zawołała — a skąd u ciebie ten smutek na sercu?

Milczał chwilę, potem zwolna odpowiedział:

— Stąd, że są u nas czarni ludzie, i że u nas wszędzie tak czarno... tak czarno!...

Dziewczyna spuściła na dłoń czoło i, jak smutne echo, powtórzyła:

— Oj, czarno!

Meir zamyślonemi oczyma patrzał wciąż wdal, w stronę, kędy długi szlak lasu oddzielał złotą równinę od liljowego skłonu nieba.

— Gołdo! — ozwał się półgłosem.

— Co, Meir?

— Czy ty nigdy nie chciałaś wiedzieć i widzieć, co tam, za tym lasem gęstym i wysokim, dzieje się daleko... daleko na szerokim świecie?

Dziewczyna milczała. Z postawy jej, pochylonej ku młodzieńcowi, i oczu jej, szeroko rozwartych, płomiennych, poznać było można, że kiedy patrzała na niego, nic już więcej na całym szerokim świecie wiedzieć nie chciała.

Ale Meir mówił dalej:

— Jabym od ptaka skrzydeł sobie pożyczył, aby tam, za ten las, daleko polecieć...

— Czy tobie piękny dom bogatego Saula nie miły? czy tobie nie miłe twarze braci, krewnych i przyjaciół twoich, że tybyś skrzydłami ptaka chciał odlecieć? — z stłumionem uniesieniem żalu, czy przestrachu, szepnęła dziewczyna.

— Miły mi dom dziada mego Saula — odszepnęły usta zadumanego młodzieńca — i miłe twarze wszystkich braci i krewnych moich... Ale jabym chciał za ten las polecieć, ażeby wszystko wiedzieć i bardzo mądrym stać się, a potem tu powrócić i wszystkim tym, co w ciemnościach siedzą i w kajdanach chodzą, powiedzieć, jak oni mają zrobić, żeby z ciemności wyjść i kajdany swoje z siebie otrząsnąć...

— I ja bardzo ciekawy — mówił dalej po chwili milczenia — jabym chciał wiedzieć, jakim sposobem gwiazdy po niebie chodzą, i trawy z ziemi wyrastają... jak wszystkie narody na ziemi żyją, i jakie są rozumne i święte ich księgi? i jabym chciał wszystkie rozumne księgi te przeczytać i z nich nauczyć się myśli

Bożej i doli ludzkiej, ażeby dusza moja stała się tak pełną wiedzy, jak pełną wody jest wielka przepaść morza... Ja taki ciekawy... ja takbym chciał...

Urwał nagle, bo westchnienie, wybuchające z głębin piersi ognistej, przejętej niewysłowioną tęsknotą i nienasyconem pragnieniem, głos mu przerwało.

Po chwili milczenia dodał ciszej:

— Jabym chciał być taki szczęśliwy, jak był rabbi Akiba...

— A kto to taki był Rabbi Akiba? — nieśmiało zapytała Gołda.

Zadumane oczy Meira rozświeciły się i błysnęły:

— To był wielki człowiek, Gołdo! ja jego historję często sobie czytam, i teraz ją czytałem, kiedy ty do mnie przyszłaś...

— I ja dużo wiem pięknych historyj — rzekła Gołda — one w mojej duszy wyrastają, jak czerwone i pachnące róże! Daj ty mi, Meir, jeszcze jedną taką różę: niech ona przede mną świeci, kiedy ja na ciebie patrzeć nie będę mogła...

Spojrzenia ich spotkały się. Miękki uśmiech okrążył usta Meira.

— Umiesz po hebrajsku? — zapytał.

Śpiesznie skinęła głową, na znak twierdzenia.

— Umiem; zejde nauczył...

Meir odwrócił parę kart wielkiej księgi, która na kolanach jego leżała, i głośno czytać zaczął:

«Kolba Sabua był to człowiek bogaty. Pałace u niego były wysokie, jak góry, a suknie jego od złota błyszczały, a w jego ogrodach rosły cedry pachnące, palmy z szerokim liściem, i kwitły wonne róże Saronu.

«Ale piękniejsza od pałaców wysokich, od cedrów pachnących i ponsowych róż, piękniejsza od wszystkich dziewic w Izraelu, była córka jego, Rachela.

«Kolba Sabua miał tyle trzód, ile jest gwiazd na niebie, a trzody te pasał młodzieniec ubogi, co wzrost miał wysoki jako cedr młody, a twarz bladą i smutną, jak u człowieka bywa, który duszę swoją z ciemnicy wybawić chce, a nie może.

«Młodzieniec ten nazywał się Józef Akiba i mieszkał na wysokiej górze, po której pasły się trzody pana jego.

«I zdarzyło się raz, że piękne Rachela przyszła do ojca swojego, upadła przed nim na ziemię, nogi jego całowała, bardzo płakała i mówiła: — Ja chcę pójść za Akibą i mieszkać w tej ni-

skiej, czarnej chatce, co stoi tam na wierzchołku góry, i w której on mieszka!

«Kolba Sabua był człowiekiem dumnym i twardego serca. Wielkim on uniósł się gniewem na córkę swoją, piękną Rachelę, i zakazał jej myśleć o młodym pasterzu.

«Ale piękna Rachela wyszła z wysokiego pałacu, nic nie zabrawszy z sobą, prócz czarnych oczu swoich, które jak wielkie brylanty błyszczały łzami, i czarnych swych włosów, co podnosiły się nad jej czołem, jak wielka korona. I poszła na wysoką górę, do czarnej chatki weszła i powiedziała: — Akibo! oto żona twoja do domu twego wchodzi!

«Akiba był w wielkiej radości, wypił z oczu Racheli jej łzy brylantowe, a potem bardzo piękne rzeczy zaczął jej mówić. Mądre słowa jak miód lały się z ust jego, a ona słuchała i szczęśliwą była, i powiedziała: — Akibo! ty będziesz wielką gwiazdą, co nad drogami Izraela zaświeci!

«Kolba Sabua był człowiekiem dumnym i twardego serca. Nie posłał on córce swej na wysoką górę żadnej sukni, i mówił:

«— Niechaj pozna głód i zobaczy nędzę!

«Piękna Rachela poznała głód i zobaczyła nędzę. Był taki dzień, że nie miała nawet co włożyć w usta Akiby i zamyśliła się bardzo nad tem, że mąż jej głodny.

«Akiba mówił: — Nic to, że ja głodny! — i zaczął jej znowu mądre rzeczy opowiadać, ale ona wstała, z wielkiej góry zbiegła, do miasteczka weszła i zawołała: — Kto mi da miarę jagieł za tę czarną koronę, co ją na głowie noszę! — I dali jej miarę jagieł a czarną koronę, co piękniejsza była niźli brylanty i perły, z czoła jej zdjęli.

Wróciła na górę, do małej chatki weszła i powiedziała: — Akibo! usta twoje mam już czem nakarmić, ale dusza twoja głodna i pokarmu dla niej ja nie dostanę! Idź ty w świat i karm duszę swoją wielką mądrością, co z ust uczonych płynie. Ja tu zostanę, przed progiem domu twego usiądę, prząść wełnę i pasać trzody będę i patrzeć na tę drogę, którą ty kiedyś powrócisz, jak słońce, które powraca na niebo, aby ciemności nocy rozpędzić.

«Akiba poszedł...»

Tu głos czytającego urwał się, i oczy jego opuściły karty książki, tuż bowiem przy jego ramieniu ozwał się zdziwiony jakby i pytający szept:

— Akiba poszedł? — wymówiła Gołda z szeroko roztwartemi oczyma i oddechem zapartym w piersi.

— Akiba poszedł! — powtórzył Meir i znowu czytać zaczął:

«Piękna Rachela przed progiem domu jego usiadła, wełnę przędła, trzodę pasła i na tę drogę patrzała, którą powrócić miał on, jasny cały od wielkiej mądrości.

«Siedm lat przeszło. I był wieczór taki, w którym miesiąc cały leje na ziemię morze srebrnej światłości, a drzewa i trawy stoją cicho i nie ruszają się, jakby wionął na nie duch Przedwiecznego, co światu niesie pokój i ciszę.

«Tego wieczora z za wysokiej góry wyszedł człowiek wysoki i blady. Nogi jego trzęsły się jako liście, gdy niemi wiatr miota, a ręce podnosiły się do nieba. A kiedy on zobaczył małą, biedną chatkę, łzy wielkim strumieniem puściły się mu z oczu, bo był to Akiba, mąż pięknej Racheli.

«Akiba stanął przy oknie chatki swojej, które otwarte było, i słuchał, jacy tam w niej ludzie gadali.

«Gadała tam żona jego Rachela z bratem swoim, którego ojciec jej przysłał był do niej.

«— Powróć do domu Kolby Sabuy — mówił jej brat; a ona odpowiedziała:

«— Czekam tu na Akibę i domu jego strzegę.

«Brat mówił:

«— Akiba nie wróci już nigdy. On porzucił ciebie i wielki wstyd tobie zrobił.

«Ona odpowiedziała:

«— Akiba mnie nie porzucił. Ja jego sama posłałam do źródła mądrości, ażeby on z niego pił.

«— On ze źródła mądrości pije, a ty kąpiesz się we łzach, i ciało twoje wysycha z nędzy!

«— Niech oczy moje ze łzami wypłyną, i niech ciało moje zje nędza: ja domu męża mego strzec będę. I żeby teraz stanął przede mną ten, dla którego miłość w mojem sercu czuję i powiedział: — Rachelo! wróciłem do ciebie, abyś nie płakała dłużej, ale ze źródła mądrości mało jeszcze piłem! — powiedziałabym jemu: — Idź i pij więcej!

«Blady podróżny, co stał pod oknem, które otwarte było, jak posłyszał to, co mówiła Rachela, zbladł jeszcze bardziej, zatrząsł się mocno, odszedł od małej chatki swojej i wrócił tam, skąd był przyszedł.

«Znowu przeszło lat siedm. I nadszedł dzień taki, w którym

słońce leje na ziemię potoki złotych jasności, a drzewa szumią i kwiaty kwitną, i ptaki śpiewają, i ludzie śmieją się, jakby powiał na nich duch Przedwiecznego, który niesie światu życie i radość.

«Na drodze, co wysoką górą podnosiła się do niskiej chaty pasterza, szumiała wielka gromada ludzi. Pośrodku niej szedł człowiek wysoki; twarz jego jaśniała, jako słońce, wielką mądrością, a z ust jego padały słowa, słodkie jak miód, a wonne jak mirra. Lud kłaniał się przed nim nisko, słowa jego chciwemi uszami chwytał i z wielką dla niego miłością wołał: — O, Rabbi!

«Ale przez gromadę ludu przebiegła kobieta i, upadłszy na ziemię, objęła kolana mistrza. Wrzeciono ona w ręku swych trzymała, łachmany ją okrywały, twarz jej była chuda, bo przez lat czternaście zjadała ją nędza, i oczy głęboko zapadłe, bo przez lat czternaście wypływały łzami.

«— Idź precz! żebraczko! — krzyknął lud na kobietę; ale mistrz podniósł ją z ziemi i do piersi swej mocno przycisnął: bo był to Józef Akiba, a kobieta była żoną jego, Rachelą.

«— Oto zdrój, co smutne serce me poił nadzieją, kiedy głowa moja, w tęsknocie i pracy wielkiej, nurzała się w źródle mądrości.

«Tak mistrz do ludu powiedział i chciał na głowę Racheli włożyć koronę ze złota i pereł.

«— Ty, Rachelo — rzekł — zdjęłaś niegdyś z głowy swojej piękny swój warkocz, aby głodne usta moje nakarmić; ja teraz czoło twoje przyozdobię bogatym wieńcem!

«Ale ona zatrzymała ramię jego i, podnosząc nań oczy, które znowu pięknemi stały się, jak przed wielu laty, rzekła:

«— Rabbi! chwała twoja jest moją koroną!»

. Skończył czytać młodzieniec i powolne spojrzenie zwrócił na siedzącą obok niego dziewczynę.

Gołda miała twarz całą w płomieniu i we łzach.

— Piękna historja? — zapytał Meir.

— Piękna! — odpowiedziała i, z policzkiem opartym na dłoni, kołysała przez chwilę wysmukłą swą kibić, jakby w rozmarzeniu lub zachwyceniu. Nagle łzy oschły na jej oczach, pobladła i wyprostowała się.

— Meir! — zawołała — żebyś ty był Akibą, a ja córką bogatego Kolby Sabuy, jabym dla ciebie to samo zrobiła, co piękna Rachela!...

Powolnym gestem ujęła w obie ręce pyszny warkocz he-

banowej czarności, który niedbale zwisał jej na plecy i, okręcając go wkoło głowy, rzekła:

— I ja mam taką samą, jak Rachela, czarną koronę!

Potem podniosła na Meira źrenice swe głębokie i płomienne, i śmiało, poważnie, bez uśmiechu, rumieńca i uniesienia, rzekła:

— Jabym dla ciebie, Meir, i oczy moje z głowy mojej wyjęła! A nacoby mi oczy, kiedybym na ciebie patrzeć nie mogła!

Gwałtowny rumieniec wytrysnął na twarz młodzieńca, ale nie był to już wstyd, było to wzruszenie. Dziewczyna była taka naiwna, taka dzika i zarazem taka piękna w swym ogromnym potarganym warkoczu nad czołem i z namiętnemi słowami na śmiałych, poważnych ustach...

— Gołdo! — rzekł Meir — ja przyjdę kiedy do waszego domu i starego dziada twego nawiedzę!

— Przyjdź! — odpowiedziała — z tobą razem przyjdzie do domu naszego wielka światłość!

Słońce zaszło już było prawie za wysoki obłok z purpury i fioletu. Mała sadzawka z za splotów wysokich łóz świecila zdala liljową szybą. W stronę tę padło spojrzenie Gołdy i zatrzymało się na wodzie i wzrastającej dokoła zieloności.

— Czego ty, Gołdo, tak patrzysz na tę sadzawkę? — zapytał Meir, który wzroku swego od twarzy jej oderwać już nie mógł.

— Jabym chciała gałęzi tych, co tam rosną, dużo naścinać — odpowiedziała.

— A na co tobie te gałęzie? co ty z nich robić będziesz?

— Jabym je do domu zaniosła. Żejde z nich kosze i kobiałki robi, a potem je na targu chłopom sprzedaje i za to chleb, a czasem i ryby za to kupuje. Teraz już dawno zejde nie ma z czego koszów robić i bardzo smuci się...

— A dlaczegoż ty ich sobie nie weźmiesz, kiedy one tobie potrzebne?

— Mnie brać ich nie wolno!

— Czemu nie wolno? Wszystkim z całego miasteczka wolno paść tu trzody i ścinać gałęzie. Ta łąka i ten gaj do szybowskiej gminy należą.

— To co, że należą? Mnie nie wolno. My w talmud nie wierzym, w sobotę świateł nie palim... nam nic nie wolno!

Meir podniósł się z siedzenia nagłym ruchem.

— Chodź! — rzekł do Goldy — naścinaj sobie gałęzi tych, ile zechcesz; ja będę stał przy tobie... i już ty niczego nie bój się!

Twarz Goldy zajaśniała radością. Wzięła z rąk Meira składany nóż, który on jej podał, i pobiegła ku sadzawce. Teraz, gdy czuła się bezpieczną, pod osłoną silnego a drogiego ramienia, gdy uśmiechnęła się jej nadzieja sprawienia radości staremu dziadkowi, ruchy utraciły powagę, która dawała jej pozór dojrzałej kobiety. Biegła, oglądając się wciąż na Meira, który szedł za nią, i wołając kozy swej, która biegła ku niej z przeciwnego krańca łąki.

Stanęli nad wodą. Najgęstsze łozy rosły w wodzie już o kilka kroków od mokrego brzegu. W mgnieniu oka Golda zrzuciła ze stóp swych płytkie swe obuwie i, zakładając nieco długą swą suknię za przewiązanie fartucha, aby uczynić ją krótszą, wbiegła do wody.

Meir został na brzegu i patrzał na dziewczynę, która, podnosząc ramiona, ciemnemi rękoma ścinała szybko giętkie gałęzie. Śmiała się przytem; usta jej, roztwierając się w uśmiechu, ukazywały rząd zębów białych jak perły; blaski jaskrawych obłoków oblewały ciemną twarz jej różową łuną i złociły owiniętą wkoło jej czoła czarną koronę.

Meir nie spuszczał z niej wzroku i uśmiechał się także. W pobliżu biała koza stanęła też w zielonych krzakach i, wyciągając szyję, patrzała na panią swą, stąpającą po liljowej wodzie. Nagle Golda wydała głośny okrzyk i pochyliła się.

— A co tam? — zapytał Meir.

Z zielonej gęstwiny, w której skryła się całkiem postać dziewczęcia, ozwał się głos wesoły:

— Tu, Meir, piękne są kwiaty!

— A jakie to kwiaty?

Wysmukła kibić wychyliła się naprzód z zieleni, wygięła się ku brzegowi i, wyciągając szczupłe ramię, podawała stojącemu u brzegu mężczyźnie szerokolistną, żółtą lilję wodną.

Meir pochylił się nieco, aby dosięgnąć podawanego mu kwiatu, lecz nagle ramię Goldy drgnęło, różowa twarz jej pobladła, oczy jej otworzyły się szeroko z uczuciem zgrozy.

— Czarny człowiek! — szepnęła, zarazem upuściła do wody lilję i, z cichym krzykiem trwogi, zanurzyła się całkiem w nadwodnej zieleni.

Meir obejrzał się. O kilkanaście kroków za nimi wycho-

dziła z gęstwiny gaju i szybko przesuwała się łąką dziwna jakaś postać.

Był to człowiek średniego wzrostu, bardzo chudy, z bardzo ciemną twarzą, z czarnemi, siwiejącemi już nieco włosami i z czarną, siwiejącą brodą, opadającą mu do pasa. Ubrany był w długą, wąską suknię, z grubego, wyszarzanego sukna; szyja jego, naga i żółta, wychylała się z za roztwartej grubej koszuli. Trzymał się bardzo pochyło i szedł bardzo prędko. Kroki jego nie czyniły żadnego szelestu, bo na nogach miał płytkie, znoszone obuwie.

W obu rękach niósł ogromną więź różnobarwnych ziół dzikich; nad głową jego i za nim leciała gromada ptaków, które znały go snadź dobrze, bo niekiedy na czarnych włosach jego, lub zgarbionych plecach, siadać próbowały.

Kiedy człowiek ten, nie patrząc na Meira, mijał go o kilka kroków, młodzieniec machinalnie pochylił głowę nisko, na znak pokory i czci. Wnet przecież podniósł ją. Twarz jego była blada, brwi ściągnęły się z tłumioną boleścią.

Posępnym wzrokiem powiódł za przygarbioną postacią, cicho mknącą przez łąkę — i przez zaciśnięte od gniewu, czy bólu, zęby wymówił:

— Rabbi Izaak Todros!

IV.

Rabbi Izaak Todros nosił na powierzchowności swej a może i w duchowym swym ustroju, wybitne ślady kilkowiekowego przebywania przodków jego w palącym klimacie Hiszpanji.

Tułaczy lud, zdumiewająco wytrwały w zachowywaniu cech wyróżniających go z pośród plemion innych, siłą niezwalczonych wpływów przyrody zaczerpnął przecież tu i owdzie coś z widnokręgów różnych, po których rozsiewała go dola wygnańcza.

Istnieją tu i wśród ogólnych podobieństw różnice ważne: ludzie względnie niedawno przybyli z południa lub wschodu, — i ci, nad którymi od wieków rozciąga się niebo blade, i wieją mroźne wichry; duchy powolne — i namiętne, mistyczne — i zatopione w rzeczywistości; włosy czarne, jak najczarniejsze pióra krucze — i oczy błękitne, jak barwa pogodnych obłoków; czoła

białe — i śniade; organizmy silne, hartowne — i ciała chude, suche, nerwowe, drgające namiętnością, napojone marzeniem, trawione fantazją.

Najśniadszą z pośród śniadych twarz, najczarniejsze z najczarniejszych włosów i oczy, najnamiętniejszego z najbardziej marzeniem rozebranego ducha z pośród wszystkich ognistych duchów posiadał Izaak Todros.

Jakie właściwie stanowisko zajmował on w swej gminie, i na czem wspierało się ono? Kapłanem nie był: rabini kapłanami nie są, a żaden naród może tak daleki nie jest z natury swej, jak izraelski, od teokratycznych rządów i poddaństw. Administratorem gminy swej nie był także, sprawami cywilnemi jej bowiem trudnili się urzędnicy kahału; rabini zaś odgrywają w składzie kahału jedynie rolę strażników religji, przepisów jej i obrządków.

Posiadał on przecież wyższe nad wymienione powyżej godności: pochodził ze starożytnego książęcego rodu; pomiędzy przodkami swymi liczył wielu mędrców dawnych, a niedawnych świątobliwych i czczonych rabinów; był doskonałym pobożnym, więc cadykiem chachamem, ascetą, cudotwórcą niemal, a także głęboko, niezmiernie uczonym.

To ostatnie stosowało się do uczoności religijnej tylko, ale była też to w oczach gminy szybowskiej uczoność jedyna.

Uczoność ta obejmowała nieporównaną znajomość ksiąg świętych: tory czyli biblji najmniej, talmudu więcej, najwięcej kabały.

Izaak Todros był najbieglejszym kabalistą czasów najnowszych, i stanowiło to kamień węgielny, na którym wspierała się budowa jego wielkości.

Ktoś, nieobeznany choćby trochę z rzeczami dotyczącemi wiary izraelskiego plebsu, przypuści zapewne, że ludność szybowska była odłamem licznej a posępnej sekty chasydów, która na czele wszystkich nauk duchownych i świeckich stawia kabałę.

Nie: mieszkańcy Szybowa nie uważali się za odszczepieńców, owszem, szczycili się tem, iż są prawowiernymi talmudystami i rabinitami. Ale należeli oni do tych, licznych zresztą w najniższych warstwach społecznych, talmudystów, którzy do tory i talmudu przyłączyli kabałę, uznali ją za księgę świętą i rozmiłowali się w niej z namiętnością, usuwającą w cień dwie księgi pierwsze.

Zresztą przeleciał też nad ludnością szybowską i chasy-

dyzm, zetknął się z nią zbliska i pozostawił wśród niej liczne ślady. Znaczna część ludności tej była w istocie chasydzka, nie wiedząc o tem sama; a wieść niosła, że dziad Izaaka Todrosa, ów Reb Nochim, który to staczał walki o ideje z Herszem Ezofowiczem, był czas jakiś uczniem Beszta, założyciela dziwnej tej sekty, widywał go często i — jakkolwiek nie przyłączył się do niej całkiem — wniósł w gminę, której duchowym przewodnikiem był, wiele z zasadniczych jej pierwiastków.

Głównemi pierwiastkami temi są: nieograniczona cześć dla Kabały, bałwochwalcze niemal wielbienie cadyków i wstręt pobożny, głęboki, niezłomny ku Edomitom (obcym narodom) i ich naukom.

Pierwiastki te zwiększały się i rozrastały coraz bardziej za sprawą syna Nochimowego, Borucha, a wnuk jego, Izaak, ujął w dłonie dostojeństwo, przez przodków dzierżone w czasie ich największego rozkwitu.

Religja więc szybowskich mieszkańców nie była mozaizmem, ani talmudyzmem, ani chasydyzmem, ale chaotycznem pomieszaniem wszystkiego tego, pomieszaniem, które panowało na przestrzeni wielu dziesiątków mil dokoła Szybowa, a najwyższy wyraz swój znajdowało w osobie szybowskiego rabina.

Rabbi Izaak miał ciemne czoło, zorane całe głębokiemi brózdami, które powstały na niem wtedy, gdy myślą wytężoną przenikać usiłował tajemnice nieba i ziemi, zapomocą odpowiedniego układania liter, składających imiona Boga i aniołów. Miał on też w czarnych jak węgle swych oczach błyski ponure, lub zachwycone, które rozpalały się przy rozpamiętywaniu niezmiernej zgrozy i nieporównanych rozkoszy nadprzyrodzonego świata.

Plecy jego przygarbione były od pochylania się nad księgami, ręce drżały od nieustannych wzruszeń umysłu, bojującego z widmami, ciało wyschłe i policzki głęboko wklęsłe od udręczeń duchowych i umartwień fizycznych.

Celibat, post i bezsenne noce wypisane były na ciemnej powierzchowności człowieka tego, zarówno jak mistyczna ekstaza, tajemna groza i przebaczenia nie znająca nienawiść ku wszystkiemu, co żyło, wierzyło, pragnęło inaczej, niż on.

Zamłodu żonaty był, a raczej ożeniono go, wtedy jeszcze, gdy najmniejszy włosek dojrzałości męskiej nie ukazywał się na policzkach jego.

Wkrótce rozwiódł się z żoną, która krzątaniem się swem

mąciła mu nabożne skupienie lub podnoszenie ducha; troje dzieci jego wzrastało w domu brata jego, a on sam, pustelnik, w niskiej swej czarnej chatce żył cały wyprężonem do ostatnich granic życiem fantazji, namiętnych modłów i przepaścistych mistycznych rozmyślań.

Pod względem cielesnym żył on darami, które przysyłali mu żarliwi czciciele jego. Dary to zresztą powszednie były i drobne; wielkich, kosztownych podarków Rabbi Izaak nie przyjmował, ani nawet zapłaty żadnej nie brał za udzielanie rad, leków i przepowiedni przybywającym do niego wiernym.

Ale codziennie, przed wschodem słońca, przez dziedziniec szkolny przesuwały się nieśmiałe jakieś postacie i na ławce drewnianej, stojącej u okna chaty, stawiały, bez szelestu żadnego, gliniane naczynia, napełnione jadłem, i kładły kromki chleba lub świątecznego ciasta.

Rabbi w tej porze zwykle odmawiał poranne modlitwy, albowiem była to pora, w której barwę białą od bladoblękitnej rozróżnić już można, w której zatem wszelki prawowierny Izraelita poranne Szemy i Tefile odmawiać powinien.

Potem otwierał okno i z pod żółtych powiek długo źrenicą ognistą, pływającą po zaczerwienionych od trudu białkach ocznych, patrzał na różowe blaski jutrzenki. Tam, w tej stronie, Wschód był daleki, Jeruzalem, niewidzialne już gruzy Salomonowej świątyni, Palestyna, płacząca po synach swych, i więdnące od smutku palmy Syjonu...

Niekiedy ogień, płonący w oczach rabina, gasł w łzie, która, spływając, chłodziła spalone od pożarów wewnętrznych jego policzki... Chłodziły je też czasem wiatry mroźne i wilgotne mgły; ale Izaak Todros przez mgły i tumany deszczowe lub śnieżne długo zawsze co ranek patrzał ku Wschodowi... Potem pochylał się i brał z ławy przygotowane dla niego przez pobożną rękę pożywienie.

Nie spożywał go nigdy całkiem, bo chleb i ciasto łamał w drobne okruchy i pełnemi garściami rzucał je ptakom, których gromady wielkie zlatywały wtedy z sąsiednich dachów, z ulic, zewsząd, aby przezroczystą oponą ruchliwych skrzydeł przysłonić małe otwarte okienko.

Niektóre z nich porywały okruchy i odnosiły do gniazd swych, z radosnym szczebiotem; inne, nasyciwszy się, wlatywały w okienko i obsiadały gromadnie czarne i przygarbione ramiona karmiciela swego.

Pod niską strzechą chatki gnieżdżące się licznie jaskółki

wychylały się też z gniazd swych i, spuszczając ku niemu dzioby swe, patrzały nań śmiałemi oczyma. Wtedy ciemna twarz rabina stawała się trochę mniej ciemną i czasem, rzadko kiedy przecież, uśmiech łagodny igrał po wargach jego, zaciśniętych i gęstemi włosami obrosłych.

Ptaki znały go dobrze i zbliska, nietylko te, które zamieszkiwały miasteczko, ale i te także, których pełen był gęsty gaj brzozowy.

Izaak Todros wychodził często do gaju i zagłębiał się niekiedy aż w sąsiadujące z nim ogromne puszcze sosnowe. Co czynił tam? Karmił ptaki, które, spostrzegłszy go, zlatywały się wnet ze stron wszystkich i towarzyszyły mu przez cały ciąg jego przechadzki.

Modlił się wielkim głosem nieraz, podnosząc w górę trzęsące się ręce i odgłosami namiętnych swych krzyków wywołując chóry ech leśnych; szukał nakoniec różnych traw i ziół dzikich, które zrywał ogromnemi więziami i do małej swej chaty z sobą unosił.

Rośliny te posiadały lecznicze własności, których znajomość spadała w rodzinie Todrosów z ojca na syna. Byli oni wszyscy z rodzaju pierwotnych tych lekarzy, których pełne były wieki średnie, i którzy sztukę leczenia cierpień cielesnych otrzymywali, nie od akademji żadnej, ale z rąk dzikiej natury, badanej fantastyczną i ciekawą raczej, niż umiejętną, myślą.

Jeden zresztą z dalekich przodków Izaaka Todrosa słynnym był niegdyś w Hiszpanji lekarzem, wtedy, gdy w niedoli izraelskiego ludu zaszedł był krótki przestanek jakiś, i gdy wolno im było wraz z innemi narody czerpać wszechstronne życiowe pokarmy ze źródeł wszelakich.

Przestanek to był krótki, po którym zniknęli ze świata sławni i istotnie uczeni izraelscy lekarze; ale ten z nich, który nosił imię Todrosa Haleviego, przekazał wiadomości swe synom swoim, i powędrowały one potem z pokolenia w pokolenie, przeinaczając się na różne sposoby, stroiąc się w liczne fantastyczne szaty, układając się w dziwne, cudowne legendy, których bohaterami były skromne rośliny te, ze skromnemi barwami, a przejmującą wonią, po których deptały wzgardliwe stopy niebacznych przechodniów.

Izaak Todros wyszukiwał pilnie i skrzętnie zbierał drogocenne te przedmioty starej wiedzy i długich podań swych rodzinnych; unosił je z sobą i — wróciwszy do niskiej lepianki swej, rozkładał je cienkiemi warstwami na brudnej podłodze

ciasnej izby, aby rzadkie tu i ubogie promienie słońca, padając na nie, przenikały je nawskroś dobroczynną swą siłą.

Zawsze też, a w letniej i jesiennej porze najczęściej, atmosfera małej izdebki rabina przejęta była cała silnemi i dusznemi woniami suszących się ziół i kwiatów dzikich.

Blade barwy uwiędłych roślin smętnie jaśniały na otaczającem tle ścian szarych od pyłu, przez dziesiątki lat gromadzącego się w grube warstwy, i wśród śmiecia, zalegającego kąty i przysypującego grubo podłogę, wyglądały jak tęskne, z zielonych rajów porwane, diamenty.

Izdebka to zresztą była przypominająca surowe cele pustelników i anachoretów. Nic w niej nie było, prócz niskiego, twardego łoża, białego stołu, umieszczonego przy jednem z okienek, pary stołków drewnianych i kilku mocnych desek, wprawionych w ścianę i założonych księgami.

Wśród ksiąg tych znajdowało się dwanaście tomów ogromnej wielkości, odwiecznym drukiem napełnionych i w zżółkły pergamin oprawnych. Był to talmud.

Powyżej leżały: Ozar-ha-kabod, dzieło skreślone przez jednego z przodków Izaaka, przez owego Todrosa Haleviego, który pierwszym talmudystą był, w kabałę wierzącym; Toldot-Adam, epopeja, opiewająca dzieje pierwszego człowieka i wygnańca; Sefer Jezira (Księga Stworzenia), apokaliptyczny obraz powstania świata; Kaarat Kezef, w którym Ezobi przestrzega Izraelitów przed zgubnemi wpływy wszelkiej świeckiej nauki; Szyur-Koma, plastyczny opis Boga, oświecający czytelników o fizycznej Jego postaci, olbrzymich rozmiarach głowy, nóg, rąk i szczególniej brody Bożej, posiadającej, według twórcy dzieła tego, 10.500 parasangów długości.

Ale, na najwyższem miejscu złożona i częstem używaniem najbardziej zniszczona, znajdowała się tam Księga Blasku, Zohar, najobszerniejsza i najgłębsza zarazem rozprawa o Chochma-Nistarze (kabale), którą, w imieniu żyjącego przed wielu wiekami rabina, Szymona-ben-Jochai, wydał w wieku XIII Mojżesz z Leonu.

Taki był księgozbiór Izaaka Todrosa, nad którym spędzał on bezsenne noce, czerpiąc z niego wielką uczoność i mądrość swoją, trawiąc nad nim wszystkie siły swego ciała.

Z niego to ulatującą wonią upajał on ducha swego mistycznemi wzruszeniami i gorzkim, ostrym jadem bezbrzeżnych wstrętów do wszystkiego, co obce było lub niechętne zawiera-

jącemu się w nim światu, pełnemu nadprzyrodzonych blasków i ciemności.

Nad nim to przesiadywał on noce, nietylko powszednie i zwykłe, ale nawet świąteczne; tylko że w świąteczne noce nie bywał sam jeden, lecz przy nogach jego siadywał uczeń i ulubieniec jego, Reb Mosze, melamed, ażeby ucinać, gdy zajdzie tego potrzeba, czarny knot żółtej lojówki; pobożnemu bowiem, który w noc świąteczną czyta księgi święte, objaśniać świecy nie wolno, i trzeba, ażeby podówczas znajdowała się obok niego uważna, zastępcza ręka.

Czytywał więc rabin w noce świąteczne Szyur-Komę i Zohar, a siedzący obok niego mały człowieczek w grubej koszuli podnosił się kiedy niekiedy z niskiego siedzenia swego, ożywiał ciemniejący płomyk żółtej świecy i okrągłe oczy swe w twarz mistrza wpijał, czekając, że lada chwila kreślone, ustawiane i przestawiane ręką jego litery imion Boskich, Notarykon i Gematria, ułożą słowo, które wielkich cudów dokonywać będzie i odkryje przed ludźmi wszystkie tajemnice nieba i ziemi.

Izaak Todros, wracając wnet po zachodzie słońca do domu, z wielką wiązką dzikich roślin w dłoniach, znalazł wiernego czciciela swego, siedzącego w kącie ciemnej sionki. W skurczonej postawie siedząc, opierał on twarz na obu dłoniach i pogrążał się w rozmyślaniach głębokich.

— Mosze! — ozwał się rabin, szybko i cicho przesuwając się przez sionkę.

— Co rozkażesz, Nassi? — pokornym głosem zapytał Mosze.

— Idź, Mosze, zaraz do starego Saula i powiedz jemu, że rabin Izaak Todros jutro domostwo jego nawiedzi.

Skurczona i szarzejąca w ciemnym kącie postać porwała się, jak sprężyną z ziemi poruszona, i bosemi stopami pomknęła szybko przez plac ku wysokiemu domostwu Saula. Tu, wpadłszy na ganek i przebiegłszy długi korytarz, melamed otworzył nawpół drzwi i, wychylając głowę do obszernej izby, zawołał donośnym i triumfalnym głosem:

— Rebe Saul! Ciebie wielkie szczęście i wielki honor spotyka! Rabbi Izaak Todros, doskonały pobożny i pierwszy mędrzec świata, jutro dom twój nawiedzi!

Z głębi obszernej bawialnej izby bogatego kupca suchy od starości, lecz silny, głos odpowiedział:

— Ja, Saul Ezofowicz, dzieci, wnuki i prawnuki moje cze-

kać będziemy nawiedzin rabbi Izaaka z wielką radością i z wielkiem pragnieniem w sercu. Niech sto lat żyje!

— Niech sto lat żyje! — powtórzyła wychylająca się przez drzwi twarz ciemna z okrągłemi oczyma i zniknęła.

Drzwi zamknęły się. Stary Saul siedział na kanapie i czytał Zohar, którego jednak głębokich objawień pomimo największych wysileń objąć nie mógł umysł jego, do świeckich interesów przywykły. Zbróżdżone czoło jego chmurnem nagle stało się, i niepokój zamigotał mu w oczach.

Zwrócił się ku starszemu z synów swych, Rafałowi, który, przy stole pobliskim siedząc, spisywał w rachunkowej książce cyfry kosztów i zysków miesiąca, i zapytał:

— Czego on tu przyjdzie?

Rafał wzruszył ramionami na znak niewiadomości.

— Czy on do nas przyczepkę jaką ma? — zapytał znowu starzec.

Rafał, podnosząc twarz z nad rachunkowej książki, odpowiedział:

— Ma.

Saul drgnął.

— Nu! — zawołał — a co za przyczepka może być? Czy kto z naszej familji zgrzeszył?

Rafał rzucił krótko:

— Meir!

Twarze ojca i syna stały się smutne i niespokojne. Izaak Todros nawiedzał zwyczajnie członków gminy swej bardzo rzadko i wtedy tylko, gdy szło o ważne jakieś religijne sprawy lub przekroczenia.

A i te jeszcze nawiedziny rzadkie spotykały tylko najdostojniejszych i najwpływowszych członów gminy. Biedny, szary lud oblegał sam lepiankę rabina i na każde skinienie jego przylatywał z niewysłowioną radością lub trwogą.

* * *

Rabin Izaak Todros ascetą był i mamoną gardził. Zaszczytów jednak żadnych i oznak czci, któremi go otaczano, nie odrzucał, i wtajemniczeni w głębie myśli jego i uczucia wiedzieli o tem, że je lubił bardzo, a nawet dopominałby się ich stanowczo, gdyby ktokolwiek pomyślał kiedy o odmówieniu mu ich lub uszczupleniu.

Dlatego cały lud ubogi i wszyscy, którzy mu się szczególniej przypodobać pragnęli, dawali mu tytuł książęcy, mówiąc do niego «Nassi»; dlatego też wszelkie przejście jego przez miasteczko, będące zawsze dla ludności wypadkiem o tyle ciekawym, o ile uroczystym, otaczane było pewnym, dość poważnym, ceremonjałem.

Parę godzin jeszcze brakło do południa, gdy Saul Ezofowicz, stojąc u okna bawialnej izby, niespokojnym nieco wzrokiem i z pod zjeżonych brwi spoglądał na orszak, zwolna przez plac sunący.

Spoglądali też nań członkowie rodziny jego, synowie, synowe, córka, zięć i najstarsze z wnuków, wszyscy świątecznie przybrani, z uroczystemi twarzami zgromadzeni tu, aby powitać w progach domu swego najwyższą dostojność gminy.

Przez plac, od szkolnego dziedzińca ku domostwu Ezofowiczów, sunęła gromadka ludzi czarno ubranych. Pośrodku, z postacią, jak zwykle, podaną naprzód, w wyszarzanem odzieniu swem i grubej koszuli, całkiem odkrywającej długą, żółtą szyję, szedł Izaak Todros zwykłym swym, prędkim, cichym krokiem.

Z dwóch stron jego postępowali dwaj urzędnicy kahału: mały i giętki Rebe Jankiel, ze swą białą, piegami okrytą twarzą i rudą jak ogień brodą, i Dawid Kalman, jeden z dostojników miasteczka, morejne, bogaty handlarz bydłem, wysoki, wyprostowany, poważny, biały, z rękoma w kieszeniach atłasowego chałatu, z uśmiechem słodkiej błogości na pulchnych wargach.

Za trzema ludźmi tymi i po obu ich stronach cisnęło się jeszcze kilkanaście głów, mniej lub więcej nisko lub wysoko trzymających się, i twarzy, mniej lub więcej uśmiechnionych i kornych.

Całe towarzystwo to wyprzedzał Rebe Mosze, w sposób taki, że twarzą zwrócony był ku twarzy rabina, a plecami ku celowi wycieczki. Nie szedł więc, ale cofał się, przyczem podskakiwał, w ręce klaskał, ku ziemi nisko się pochylał, o nierówności gruntu zaczepiał nagie swe stopy, potykał się, skakał znowu, twarz ku obłokom podnosił i wydawał urywane krzyki radości.

W pewnej nakoniec odległości postępowała za orszakiem grupa, złożona z kilkudziesięciorga dzieci różnego wieku, które przypatrywały się orszakowi z zaciekawieniem nadzwyczajnem, a widząc taniec i skoki melameda, poczęły go naśladować, ska-

cząc także, gestykulując, padając na ziemię, klaszcząc w ręce i napełniając powietrze wrzaskiem nieopisanym.

Po chwili otwarły się z łoskotem drzwi bawialnej izby Ezofowiczów, i wpadł przez nie mełamed, zaczerwieniony, zziajany, potem oblany i nadzwyczajną radością rozpromieniony. Cieszył się szczerze, rozgłośnie, namiętnie. Z czego?... Biedny mełamed!

— Rebe Saul! — zawołał ochrypłym od krzyczenia głosem — spotykaj wielkie szczęście i wielki honor, które do ciebie przychodzą!

Z twarzy Saula odgadnąć można było, że tajemny niepokój walczył w nim z istotnie uczuwaną radością. Ale co się tyczy rodziny jego, której członkowie poprzyciskali się do ścian i sprzętów, ta cieszyła się już widocznie i bardzo, promieniała chlubą i uczuwaną błogością, z wyjątkiem Bera, niemego, apatycznego, jak zwykle bywał, gdy nie szło mu o interesa handlowe i pieniężne.

Stary Saul stanął przed samym progiem bawialnej swej izby; na ganku zaś Rebe Jankiel i morejne Kalman ujęli rabina pod obie ręce, podnieśli prawie nad ziemię suchą jego postać i — przeniósłszy ją przez korytarz i próg, naprzeciw Saula postawili. Poczem ukłonili się nisko, opuścili dom i na ganku usiedli, oczekując chwili, w której wracającemu orszakowi towarzyszyć mieli.

Saul tymczasem pochylił przed gościem swym siwą, poważną głowę. Naśladowały go wszystkie osoby, otaczające dokoła ściany izby.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia wspaniałość Przedwiecznego! — wymówił.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia... — powtarzać zaczął za Saulem chór głosów męskich i żeńskich. Ale w tejże chwili Izaak Todros podniósł nieco w górę wskazujący palec, strzelił dokoła pałającą źrenicą i syknął:

— Szaaa!

W izbie zrobiła się cisza grobowa.

Palec gościa zatoczył szerokie koło, wskazując tem cały szereg postaci, stojących pod ścianami.

— Weg! (precz) — zawołał podniesionym głosem.

W izbie zaszeleściły suknie i szybkie stąpania; zamigotały zmartwione i przelęknione twarze; tłocząc się, wcisnęli się wszyscy obecni we drzwi, prowadzące do wnętrza mieszkania, i zniknęli.

W pustej zupełnie izbie pozostali dwaj tylko ludzie: srebrnowłosy, barczysty patrjarcha i suchy, ognistooki mędrzec.

Kiedy mędrzec krótkim rozkazem i nakazującym gestem odpędzał od oblicznośći swej rodzinę jego, synów siwiejących, córki poważne i urodziwe dziewice, siwe brwi Saula drgnęły i zjeżyły się znowu na chwilę. Zawrzała snadź w nim duma rodowa i ojcowska.

— Rabbi! — rzekł przyciszonym nieco głosem, i z mniej niskim niż wprzódy ukłonem — racz zająć pod dachem moim miejsce, które ci się najwygodniejszem wydaje.

Nie dał gościowi książęcego tytułu, nie nazwał go «Nassi!»

Rabbi Izaak chmurnie nań spojrzał, przesunął się przez izbę i usiadł na kanapie z wysoką, żółtą poręczą.

Nie był w tej chwili przygarbiony: owszem, usiadł prosto i sztywnie, ze wzrokiem wlepionym nieruchomo w twarz starca, który zajął miejsce naprzeciw.

— Ja ich wypędził! — rzekł, wskazując na drzwi, przez które wypłynęła z izby gromadka rodzinna. — Na co ty ich tu zebrał? Ja chcę z tobą tylko pogadać!

Saul milczał.

— Ja tobie nowinę przynoszę — wyrzucił znowu rabin prędko i chmurnie. — Wnuk twój, Meir, nieczystą ma duszę. On kofer (niedowiarek)!

Saul milczał jeszcze, tylko zmarszczone jego powieki drgały nerwowo nad spłowiałą od lat źrenicą.

— On kofer! — głośniej powtórzył rabin — on brzydkie słowa na religję naszą wymawia, mędrców nie szanuje, sabaty narusza i z odszczepieńcami przyjaźń trzyma!

— Rabbi! — zaczął Saul.

— Ty słuchaj, kiedy ja mówię! — przerwał mu gwałtownie rabin.

Zacisnęły się wargi starca tak, że zniknęły całkiem wśród mlecznego zarostu.

— Ja przyszedł tobie powiedzieć — zaczął znowu Todros — że ty wnuka swego źle trzymasz, i że to jest twoja wina, jeśli on taki. Czemu ty jego nie pozwalałeś melamedowi ćwiczyć i bić, kiedy on do chederu chodził, Gemary uczyć się nie chciał, a z gadania melameda śmiał się czasem i innych do śmiechu kusił? Czemu ty jego posyłałeś do Edomity, co tam pomiędzy ogrodami mieszka, żeby on jego uczył czytania i pisania w języku gojów i innych jeszcze edomickich obrzydliwości? Czemu

ty jego nie skarcił swoją ojcowską ręką wtedy, kiedy on sabat naruszył i przy twoim stole melamedowi sprzeciwiał się? Czemu ty duszę jego grzeszną swoją miłością psujesz, do świętych nauk go nie skłaniasz i na wszystkie jego obrzydliwości patrzysz tak, jakbyś ślepym był?

Zmęczył się rabbi długiem mówieniem i, sapiąc, odpoczywał.

Wtedy stary Saul przyciszonym nieco głosem mówić zaczął:

— Rabbi! niech serce twoje rozgniewane na mnie nie będzie. Ja inaczej robić nie mogłem, niż robiłem. Dziecko to jest synem syna mego, najmłodszego z pomiędzy wszystkich dzieci moich, i który bardzo prędko z oczu moich zniknął. Po śmierci ojca jego i matki ja to dziecko do domu swego wziąłem i chciałem, żeby ono nigdy nie przypomniało sobie, że jest sierotą. Ja wdowcem już wtedy byłem i sam jego na ręku swoich hodowałem. I hodowała go także stara prababka jego, któraby duszę swoją przed Panem położyła, żeby tylko dla duszy jego szczęście kupić. On w koronie jej głowy pierwszym jest brylantem, a teraz usta jej nie otwierają się już z wielkiej starości dla nikogo, tylko dla niego. Oto, Rabbi, wszystkie przyczyny są, dla których ja jemu pozwalał więcej, niż innym dzieciom moim, i słabszą ręką jego trzymał; dla których bolała mnie bardzo dusza, kiedy melamed w chederze łajał jego i bił, tak jak inne dzieci. Ja wtedy zgrzeszyłem, do chederu jak szalony wpadłem, melamedowi brzydkich słów nagadałem i chłopca z sobą zabrałem. Ja zgrzeszyłem, Rabbi, bo melamed jest mądry i święty człowiek; ale niechaj grzech ten zniknie z oczu twoich, Rabbi, kiedy to pomyślisz sobie o tem, że ja na te sińce, co na ciele swojem nosił syn syna mego, patrzeć nie mogłem i milczeć! Kiedy sińce te nosiły na sobie dzieci syna mego Rafała, i syna mego Abrama, i syna mego Efroima, ja milczałem; bo ojcowie ich żyli, dziękować Bogu, i sami nad dziećmi swemi czuwali; ale jak ja zobaczyłem je na plecach i na ramionach sieroty... Rabbi! ja zapłakałem, krzyknąłem wielkim głosem i — zgrzeszyłem!

— Nie jedyny to grzech twój! — wyrzekł Rabbi, który mowy Saula wysłuchał z nieruchomą surowością i powagą sędziego, — a poco ty jego do Edomity na naukę posyłał?

— Rabbi! — odparł Saul — a jakżeby on potem dał sobie radę na świecie, gdyby nie rozumiał mowy, którą wszyscy ludzie w tym kraju gadają, i nazwiska swego podpisać nie umiał na kontrakcie, ani na wekslu żadnym? Synowie moi, Rabbi, i star-

sze wnuki moje wielkie interesa prowadzą, i on prowadzić je będzie, jak tylko ożeni się... Całe dziedzictwo ojca jego do niego należy. On będzie bogaty, i z wielkimi panami trzeba jemu będzie rozmawiać. A jakżeby on z nimi rozmawiał, gdybym ja jego do Edomity na naukę nie posyłał?

— Niech przepadnie Edom z plugawą nauką swoją i niech nie przebaczy mu Pan! — mruknął rabin; po chwili zaś dodał:

— A dlaczego ty syna swego uczonym nie zrobiłeś, tylko na kupca go kierowałeś?

— Rabbi! — odparł Saul — familja Ezofowiczów jest familją kupiecką. My kupcy z ojca na syna, i taki już u nas obyczaj.

Mówiąc to, podniósł nieco głowę dotąd pochyloną. Przy wspomnieniu o rodzie swym uczuł się dumnym i śmielszym. Ale nic dorównać nie może wzgardzie i szyderstwu, jakiemi syknęły usta rabina, gdy wymówił za Saulem:

— Familja Ezofowiczów!

— Familja Ezofowiczów! — powtórzył głośniej — była zawsze ziarnkiem pieprzu na podniebieniu Izraela...

Saul podniósł nagle głowę.

— Rabbi! — zawołał — w niej były brylanty, na które patrząc, Edomici sami w poszanowaniu mieć zaczynali cały Izrael...

Drgnęła i zakipiała pomiędzy dwoma ludźmi tymi stara nienawiść wzajemna Ezofowiczów i Todrosów.

— W waszej familji — mówił rabin — jest jedna brzydka dusza, która chodzi od jednego do drugiego Ezofowicza i oczyścić się nie może. Bo tak napisano jest: wszystkie dusze, które z sefirotów wypłynęły, jak krople wody wypływają z pochylonej butelki, odbywają ibur-gilgul, podróż po ciałach, z jednego do drugiego przechodząc, aż oczyszczą się ze wszystkich grzechów i nazad do sefirotów powrócą. Kiedy człowiek pobożny i świątobliwy jest, dusza jego powraca do sefirotów, a kiedy tam powróci, to na jej miejsce inna dusza idzie na świat i ciało sobie bierze. I póty bieda, smutek, boleści i grzechy mieszkać na ziemi będą, póki wszystkie dusze, od sefirotów oderwane, ibur-gilgul nie odbędą i przez ciała nie przejdą. A jak one mogą wszystkie przez ciała przejść, jeśli na ziemi będzie wiele obrzydliwych, nieczystych i nauki świętej nieszanujących? Ci obrzydliwi trzymają sobie ciągle ciała, z jednego do drugiego przechodząc, a tam wysoko inne dusze czekają, żeby oni ciała od siebie

uwolnili i dla nich je zostawili. One muszą czekać, bo tyle ciał razem na świecie być nie może, ile jest dusz między sefirotami. I sam Mesjasz czeka, bo on wprzódy na świat nie przyjdzie, nim ostatnia dusza w ciało nie wejdzie i ibur-gilgul nie zacznie. Obrzydliwi, zajmując ciągle ciała jedno po drugiem, nie dopuszczając do nich dusz oczekujących, odsuwają w daleką przyszłość jobel-ha-gadel — dzień Mesjaszowy — wielkie święto radości! W waszej familji jest taka obrzydliwa dusza. Ona wstąpiła naprzód w ciało Michała Senjora, potem była w ciele Hersza, a teraz ona we wnuku twoim, Meirze, siedzi! Ja duszę tę, pyszną i buntowniczą, poznałem w oczach i na twarzy wnuka twego, i dlatego moje serce odwróciło się od niego!

W czasie, gdy Todros wykładał siedzącemu naprzeciw starcowi doktrynę wędrówki dusz i jej następstw, w starcu tym zaszła uderzająca zmiana. Wprzódy był on już ośmielił się znacznie, a nawet podnosił głowę z niejaką dumą i godnością; teraz pochylił się znowu nisko; smutek i trwoga zagrały wśród zmarszczek twarzy jego.

— Rabbi! — ozwał się z pokorą, — błogosławiony bądź za to, że odkrywasz przed oczyma mojemi świętą mądrość swoją! Słowa twoje są prawdziwe, a oczy twoje umieją poznawać dusze, co w ciałach ludzkich mieszkają. Ja tobie, Rabbi, taką rzecz opowiem. Kiedy maleńkiego Meira przywiózł do mnie syn mój, Rafał, ja wziąłem dziecko z rąk jego i bardzo całowałem, bo mnie wydało się, że on do Benjamina mego, a swego ojca podobny; ale stara prababka odebrała go ode mnie, postawiła go przed sobą na ziemi i bardzo jemu przypatrywać się zaczęła, a potem wielkim głosem krzyknęła: «On nie do Benjamina, ale do mego Hersza podobny!» Łzy ciekły z jej starych oczu, usta jej powtarzały: «Hersz, Hersz, mój Hersz!» a dziecko ona do piersi swej przyciskała i powiedziała: «To moje kindleben najulubieńsze! to oko w mojej głowie i brylant w tej koronie, co mi ją wnuki i prawnuki moje robią, bo on do Hersza mego podobny!» I ona za nim przepadała, i teraz jego jednego tylko zna i do siebie woła, bo on do męża jej, Hersza, bardzo podobny.

— Dusza Michała weszła w ciało Hersza, a z ciała Hersza przeszła do wnuka twego Meira — powtórzył rabin i dodał: — Pyszna to, buntownicza dusza! niema w niej pokory i spokoju!

Złagodzonym zdawał się być Todros pokorą Saula i uznaniem, jakie on okazał słowom jego.

— Dlaczego ty go nie żenisz, kiedy jemu duże już włosy urosły na brodzie i twarzy? — zapytał.

— Rabbi! ja go chciałem żenić z córką pobożnego Jankla, ale dziecko u nóg moich leżało i prosiło, żebym ja jego nie przymuszał...

— Dlaczego ty stopy swojej nie postawiłeś wtedy na plecach jego i nie zrobiłeś tak, żeby on był tobie posłuszny?

Saul opuścił powieki i milczał. Czuł się winnym. Miłość dla wnuka-sieroty wprowadzała go wciąż na drogi grzechu.

Todros mówić znowu zaczął:

— Ożeń ty go jak najprędzej, bo napisane jest, że kiedy u młodego człowieka włosy rosną na brodzie i twarzy, a on żony jeszcze nie ma, to dusza jego w nieczystość wpadnie... Dusza wnuka twego wpadła już w nieczystość... ja wczoraj widziałem go sam na sam z dziewczyną...

Saul niespokojnie podniósł na mówiącego oczy.

— Ja jego widziałem — ciągnął rabin — jak on na łące z karaimką rozmawiał.

— Z karaimką! — powtórzył Saul głosem zdumienia i przerażenia pełnym.

— On na brzegu sadzawki stał i z jej ręki brał jakieś kwiaty, a na ich twarzach ja czytałem, że dusze ich obejmował nieczysty ogień...

— Z karaimką! — powtórzył raz jeszcze Saul, jakby uszom swoim wierzyć nie chciał.

— Z kacerką! — wyrzekł rabin.

— Z żebraczką! — wymówił Saul i energicznie podniósł głowę.

— Rabbi! — zaczął — już ja teraz będę z nim inaczej! Ja nie chcę, żeby na starość wstyd mi oczy wyjadał, dlatego, że wnuk mój z żebraczkami nieczyste przyjaźni trzyma. Ja jego ożenię!

— Ty go skarć! — zawołał rabin. — Ja dlatego tu przyszedłem, żeby tobie powiedzieć, abyś ty nogę na plecach jego postawił i pychę jego zgiął w łęk. Ty go nie żałuj! bo pobłażanie twoje dla niego będzie wielkim grzechem, którego nie przebaczy tobie Pan. A jeżeli ty sam jego nie skarcisz, ja oprę rękę moją na jego głowie, i wtedy będzie wam wielki wstyd, a jemu takie nieszczęście, że w proch on rozsypie się, jak nędzny robak!

Na słowa te, wymówione groźnym głosem, Saul drgnął. Przeróżne uczucia walczyły wciąż w piersi tego starca: tajemny wstręt do Todrosa i głęboka cześć dla uczoności jego, duma i obawa, rozgniewanie srogie na wnuka i miłość dla niego. Groźba rabina dotknęła ostatniej struny tej.

— Rabbi! — zawołał — przebacz ty mu! to jeszcze dziecko! Jak on ożeni się i interesa prowadzić zacznie, on zrobi się innym! Jak on urodził się, ojciec jego napisał do mnie: «Ojcze! jakie imię ty chcesz, aby wnuk twój nosił?» A ja odpisałem: «Niech imię jego będzie Meir, czyli światłość, aby on przede mną i przed Izraelem całym wielką światłością świecił!...»

Nie mógł mówić dłużej, bo wzruszenie głos mu zatamowało, i dwie łzy stoczyły się po obwisłych, pomarszczonych policzkach.

Rabin wstał z kanapy, podniósł wskazujący palec w górę i wymówił:

— Tylko ty pamiętaj o rozkazaniach moich! Ja tobie każę, abyś ty stopę swoją na plecach jego postawił, a ty rozkazania mego słuchaj, bo napisane jest, że «uczeni są fundamentem świata!»

Rzekłszy to, posunął się ku drzwiom, u których oczekujący nań Rebe Jankiel i Kalman morejne pchwycili go znowu pod oba ramiona, przenieśli przez korytarz i progi i u stóp ganku na ziemi postawili.

I znowu sunęła przez plac, w stronę szkolnego podwórza kierując się, czarna gromada ludzi; znowu melamed, cofając się przed rabinem, skakał, tańczył, w ręce klaskał i krzyczał; i znowu gromada dzieci, postępując za orszakiem w pewnem oddaleniu, naśladowała nauczyciela swego, jak on skacząc, krzycząc, w ręce klaszcząc, niekiedy też padając i rozdzierając powietrze płaczliwemi wrzaski.

A w bawialnej izbie Ezofowiczów stary Saul siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy we drzwiach przeciwległych stanęła stara Frejda.

Promienie słoneczne, wpadające przez okno, rozpaliły tęczowe blaski w złocie i brylantach, któremi była okryta, a ona, tocząc dokoła izby przymrużoną złotawą źrenicą, wymówiła, zwykłym swym szeptem, głosu pozbawionym:

— Wo is Meir?

V.

Meir nieobecny był w domu w czasie odwiedzin rabina. Wcześnie bardzo dom opuściwszy, skierował się ku najbardziej oddalonym od środkowego placu uliczkom miasteczka. Tu znalazł się wśród domostw malutkich, nadzwyczaj ubogich, z których żadne nie miało więcej, niż po dwa drobne okienka. Przed progami tych lepianek stały szerokie, cuchnące kałuże; owiewało je dokoła duszące, ciężkie powietrze.

Z czarnych kominów wydobywały się cienkie bardzo nici dymu, zdradzające szczupłością swą szczupłość gotowanej tam strawy; przegnile i upadające płoty otaczały malutkie podwórka, zasypane śmieciem; tu i owdzie ukazywały się z za nich wąskie zagonki ziemi, porosłe zrzadka mizernem warzywem.

Przed niskiemi drzwiami kobiety chude, z ciemnemi, zbolałemi twarzami, w szafirowych kaftanach i zrudziałych perukach, prały w baljach szarą, grubą bieliznę; zgarbione i zgrzybiałe niewiasty, siedząc na ławkach, robiły pończochy z błękitnej lub czarnej wełny; dziewczęta, młode, ale opalone, w brudnej odzieży i z roztarganemi włosami, doiły chude kozy.

Była to dzielnica miasteczka, zamieszkiwana przez najniższą warstwę ludności szybowskiej, przybytek ubóstwa, nędzy nawet, brudu i chorób.

Przy środkowym placu stojące domostwa Ezofowiczów, Kalmanów, Witebskich i Kamionkerów pałacami rozkoszy wydawać się mogły wobec siedlisk tych ludzkich, których sam zewnętrzny widok przywodził na myśl wyobrażenie ziemskiego czyśćca.

Nie dziw. Tam, przy placu, mieszkali kupcy i uczeni, arystokracja zatem wszelkiej izraelskiej gminy; tu gnieździła się rzemieślnicza i wyrobnicza ludność, gmin, zarabiający na życie pracą rąk, nie głowy, gmin, z pośród którego nikt prawie wywieść się nie mógł z żadnej starożytnej rodziny, ani pochlubić się posiadaniem w swym rodzie — bogacza lub uczonego.

Jakkolwiek wczesny to był jeszcze poranek, wszędzie tu już rozpoczęta była praca codzienna. Z za mętnych szybek drobnych okienek widać było, podnoszące się wciąż i opadające, rękawami koszul okryte, ramiona krawców i szewców.

Za cienkiemi ścianami dzwoniły narzędzia blacharzy i stukały młoty kowali; z chaty fabrykanta świec łojowych wydobywały się nieznośne, tłuszczem przejęte, wyziewy.

Niektórzy z mieszkańców, korzystając z kilku promieni wschodzącego słońca, które zaglądały na ich uliczkę, pootwierali okienka swe, a przechodzień mógł ujrzeć przez nie izby malutkie, z czarnemi ścianami, natłoczone ludnością, która, ruszając się na podobieństwo mrówek, dotykała niemal głowami czarnych belek sufitów.

Wychodził też przez okienka te gwar, złożony z modlących się głosów męskich, z wrzaskliwych kłótni kobiecych i wrzaskliwszych jeszcze dziecinnych płaczów.

Wszakże malutkie tylko dzieci rozdzierały krzykami swemi duszne powietrze czarnych i natłoczonych izdebek, starsze zaś, wielką gromadą wyleglszy na ulicę, odbywały wśród niej krzykliwe gonitwy, lub, z zatopionemi w gęstych kędziorach rękoma, tarzały się po piaszczystym gruncie.

Podrastający chłopcy, nie w krótkich spencerkach już, pozbawionych rękawów, jak dzieci młodsze, ale w szarej, długiej odzieży, stali przed progami chatek, o ściany ich oparci, bladzi, mizerni, osowiali, z pootwieranemi szeroko ustami, jakby dochodzące ku nim rzadkie promienie słoneczne i powiewy świeże wciągać pragnęli do wyziębłych i chorych swych piersi.

Ku jednemu z wyrostków takich, u ścian domów stojących, zbliżył się Meir.

— Nu! Lejbele — rzekł — ja przyszedłem, żeby ciebie zobaczyć! czy ty zawsze taki chory jesteś i tak jak sowa na świat oczy wytrzeszczasz?

Widać było, że Lejbele był chory i wzrokiem osowiałym na świat patrzał, bo, z rękoma wsuniętemi w rękawy ubogiej odzieży i do piersi przyciśniętemi, drżał od zimna, choć ranek był ciepły, a na przemówienie Meira nie odpowiedział ani słowa, tylko usta szerzej otworzył i oczy swe, o wielkich, czarnych, martwych źrenicach, bezmyślnie w twarz mówiącego wlepił.

Meir położył dłoń na jego głowie.

— Czy byłeś wczoraj w chederze? — zapytał.

Chłopiec jeszcze bardziej trząść się zaczął, ale ochrypłym głosem odpowiedział:

— Aha!

Oznaczało to twierdzenie.

— I znowu cię tam bili?

Łzy napełniły martwe oczy dziecka, wciąż ku twarzy wysokiego młodzieńca wzniesione.

— Bili! — wymówił.

Pierś jego załkała pod cisnącemi ją, w rękawy schowanemi rękoma.

— A śniadanie ty jadłeś?

Dziecko przecząco wstrząsnęło głową.

Meir wziął z pobliskiego ubogiego stragana wielką chałę (bułkę), za którą rzucił straganiarce miedziany pieniądz, i dał ją dziecku. Lejbele pochwycił chałę w obie dłonie i chciwie pożerać zaczął; a w tejże chwili wyskoczył z chatki wysoki, chudy, giętki człowiek, z gęstym czarnym zarostem, z bladą, stroskaną twarzą, i rzucił się ku Meirowi. Pochwycił naprzód rękę jego i do ust ją poniósł, a potem wyrzuty czynić mu zaczął.

— Morejne! — zawołał — na co ty jemu chałę dałeś? ty odwrócić od niego powinieneś twarz swoją! To takie głupie, paskudne dziecko! uczyć się nie chce i wstyd mnie robi! Mełamed — niech sto lat żyje! — męczy się bardzo, żeby jemu głowę oświecić; ale to taka głowa, co nic nie rozumie! Mełamed jego bije, i ja jego biję, żeby nauka do głowy jemu lazła — a co to jemu pomaga? Nic nie pomaga! On alejdyk gejer (próżniak) jest, osieł, paskudztwo!

Meir patrzał na chłopca, pożerającego wciąż bułkę.

— Szmulu! — rzekł — on nie jest próżniak, ani osieł, ale — chory!

Szmul wzgardliwie machnął ręką.

— Jaki on chory? — krzyknął — on chorować zaczął wtedy, jak jego do nauki popędzili! Wprzód był zdrów, wesoły i rozumny! Ach! jakie to było piękne i rozumne dziecko! Czy ja mógł spodziewać się takiego nieszczęścia! Co z nim teraz zrobiło się!

Meir wciąż gładził dłonią roztargane włosy bladego dziecka z idjotycznym wzrokiem.

Wysoki, cienki Szmul pochylił się znowu i pocałował go w rękę.

— Morejne! — rzekł — ty bardzo dobry jesteś, kiedy litujesz się nad tem głupiem dzieckiem!

— Na co ty mię, Szmulu, morejnem nazywasz? — zaczął Meir.

Przerwał mu Szmul pośpiesznie:

— Ojcowie ojców twoich byli morejnami; zejdę twój

i stryjowie twoi morejnami są, i ty, Meir, prędko morejnem będziesz!

Meir ze szczególnym jakimś uśmiechem głową wstrząsnął.

— Ja, Szmulu, nigdy morejnem nie będę! — rzekł — mnie tego honoru nie zrobią i ja... jego nie chcę!

Zastanowił się Szmul i pomyślał.

— Ja, słyszał! ty, Meir, z wielkim rabinem naszym i kahalnymi zgody nie trzymasz!

Meir spojrzał dokoła, jakby całą tę nędzę, której obrazy go otaczały, wzrokiem objąć pragnął.

— Jacy wy biedni! — wymówił, nie dając Szmulowi bezpośredniej odpowiedzi.

Słowa te dotknęły snadź bardzo drażliwej struny życia Szmula, bo aż zatrzęsły się mu ręce, i zaiskrzyły oczy.

— Aj, jacy my biedni! — zajęczał — ale najbiedniejszy z tych, co na tej uliczce mieszkają, jest chajet (krawiec) Szmul! Starą, ślepą matkę, i żonę, i ośmioro dzieci utrzymać trzeba. A z czego ja ich utrzymywać będę? u mnie majątku żadnego niema, prócz dwóch tych rąk, które dzień i noc szyją, jeżeli tylko jest co szyć...

Mówiąc to, wyciągał i pokazywał Meirowi dwie ręce swoje, istne ręce nędzarza: ciemne, brudne, chude, igłą wskroś nakłute, bliznami od nożyc pokryte, a drżące teraz od żalu...

— Morejne! — mówił coraz ciszej, i coraz bliżej pochylając się nad słuchacza swego — nam ciężko żyć, bardzo ciężko... wszystko u nas drogo kosztuje, a co *nam płacić trzeba,* gwałt! Urzędnicy cesarscy podatki od nas biorą; od koszernego mięsa podatkowe my płacim; i od świec tych, co je w szabasy palim, płacim; i bractwu pogrzebowemu płacim; i na urzędników kahalnych płacim; i... na co my nie płacim? Aj wej! Z tych domków naszych biednych rzeki pieniędzy płyną... a skąd my je bierzem? Z potu naszego my bierzem je, z krwi naszej i z wnętrzności dzieci naszych, co z głodu wysychają! Ty mnie pytałeś się niedawno, morejne: dlaczego u mnie w chacie tak brudno i tyle śmiecia? A jak w niej nie ma być brudno, kiedy nas jedenaścioro w jednej małej izbie mieszka, a w sionce stoją dwie kozy, co nas mlekiem swojem żywią? Ty mię pytałeś się, morejne: dlaczego moja żona taka chuda i stara, choć lat jej jeszcze niewiele, i dlaczego moje dzieci tak ciągle chorują? Morejne! Koszerne mięso u nas bardzo drogie, i my jego nigdy nie jemy... chleb jemy z cebulą i kozie mleko pijem... na szabas

wtedy tylko u nas ryba była, kiedy ty, Morejne, zaszedłeś do nas i srebrny pieniądz nam daleś! My biedni... bardzo biedni na całej tej uliczce; ale najbiedniejszy ze wszystkich jest chajet Szmul ze swoją matką ślepą, ze swoją żoną bardzo chudą i z ośmiorgiem swoich dzieci...

Żałośnie wstrząsał głową chajet Szmul i patrzał w twarz Meira swemi czarnemi oczyma, w których malowało się, jakby osłupiałe nad własną nędzą zdziwienie.

Meir, z dłonią złożoną wciąż na głowie bladego dziecka, dogryzającego swej bułki, słuchał z uwagą mowy nędzarza. Usta jego ułożyły się w zarys litości; ale ściągnięte brwi i spuszczone powieki nadawały twarzy jego wyraz gniewnej zadumy.

— Szmulu — rzekł zcicha — a dlaczego ty tak często roboty nie masz?

Szmul zmieszał się widocznie i, podniósłszy rękę ku głowie, przekrzywił jarmułkę, przykrywającą czarne, splątane jego włosy.

— Ja tobie powiem — ciągnął zcicha Meir — tobie roboty nie dają dlatego, że ty od tych materyj, z których suknie każą ci szyć, duże kawałki odkrawasz i bierzesz je sobie...

Szmul obu już rękoma schwycił za jarmułkę.

— Oj, biedna moja głowa! — jęknął — Morejne! co ty na mnie powiedziałeś! usta twoje bardzo brzydką rzecz na mnie powiedziały!

Podskoczył, potem schylił się ku ziemi i znów podskoczył i zawołał:

— Nu, prawda! Morejne! ja otworzę serce moje przed tobą! ja kawałki materji odcinał i zabierał... a dlaczego ja to robił? bo moje dzieci były gołe! ja je niemi okrywał! i jak moja ślepa matka chora leżała, ja je sprzedał i mięsa kawałek dla niej kupił... Morejne! niech twoje oko ze złością na mnie nie patrzy! Żebym ja był taki bogaty, jak Reb Jankiel i morejne Kalman, żebym ja tyle pieniędzy miał, ile oni ich biorą dla siebie z pracy naszych rąk i z potu naszego czoła — jabym nie kradł!

— A na co Reb Jankiel i morejne Kalman biorą dla siebie wasze pieniądze? — z zamyśleniem zaczął Meir i chciał dalej mówić, ale Szmul wyprostował się i przerwał mu nagle:

— Nu! oni mają prawo! oni są nad nami starsi! Co oni zrobią, to święte! Kto ich słucha, to jakby samego Pana Boga słuchał!

Smutnie jakoś uśmiechnął się Meir i sięgnął ręką do kie-

szeni. Szmul ścigał ruch ten wzrokiem, który roziskrzył się nagle. Błyszczała w nim chciwość.

Meir położył na otwartem oknie nędznej chatki parę srebrnych monet; Szmul rzucił się ku niemu i ręce jego całował.

— Ty dobry jesteś, morejne; ty zawsze wszystkim biednym ludziom pomagasz! Ty i nad mojem głupiem dzieckiem litość masz!

Ochłonąwszy nieco z uniesienia wdzięczności, wyprostował się i począł Meirowi na ucho szeptać:

— Morejne! ty dobry jesteś i wielkiego bogacza wnuk, a ja biedny, głupi chajet! ale ty jesteś jak miód na moich ustach, i ja przed tobą całe serce moje otworzyć muszę. Ty źle robisz, że z wielkim rabinem naszym i kahalnymi zgody nie trzymasz! Nasz rabin to taki wielki rabin, że drugiego takiego na całym świecie niema! Jemu Pan Bóg wielkie rzeczy objawił; on samą kabałę Masjat[1]) rozumie. Za nim wszystkie ptaki latają, jak on na *nich* zawoła, i wszystkie choroby on umie leczyć, i wszystkie serca ludzkie przed nim otwierają się! Każde tchnienie ust jego święte jest; a jak on modli się, to dusza jego z samym Panem Bogiem całuje się! A ty, morejne, odwrócił od siebie serce jego.

Z powagą wielką mówił to nędzarz Szmul i pokłuty igłą, sczerniały swój palec w górę wznosił uroczystym gestem.

— A kahalni — ciągnął dalej — to bardzo pobożni ludzie są, wielcy bogacze. Ich także szanować trzeba i słuchać, i choćby oni co złego zrobili, oczy zamykać. Oni mogą ciebie przed Panem Bogiem oskarżyć i przed ludźmi. Pan Bóg rozgniewa się, jak ich skargę posłyszy, i karę na ciebie spuści; a ludzie powiedzą, że ty bardzo zuchwały jesteś, i odwrócą od ciebie twarze swoje!

Trudnoby odgadnąć, jakie wrażenie wywierały na Meira pokorne i zarazem poważne przestrogi Szmula. Trzymał on wciąż dłoń swą na głowie małego Lejbele i wpatrywał się w twarz jego o pięknych rysach i ogromnych czarnych źrenicach, tak, jakby w dziecku tem bladem, chorowitem, zidjotyzowanem i drżącem widział upostaciowanie całej tej licznej rzeszy izraelskiego ludu, która, przegryzana nędzą i chorobami,

---

[1]) Najwyższa część kabały, ucząca zapomocą kombinowanych liter i wyrazów cuda czynić i tajemnice odgadywać.

wierzyła jednak i wielbiła ślepo, kornie, lękliwie i niezmordowanie.

Skinął potem głową zwolna, przyjaźnie i odszedł. Szmul biegł za nim kilkanaście kroków jeszcze.

— Morejne! — jęczał — nie gniewaj się ty na mnie, że ja przed tobą serce moje otworzyłem! Bądź ty mądrym. Niech na ciebie uczeni i bogacze skargi do Pana Boga nie wznoszą! bo lepiej takiemu człowiekowi, co pod ziemią leży, niż takiemu, na którego głowie oprą oni swoje rozgniewane ręce!

Wrócił potem i do lepianki swej wszedł, i nie zauważył, że Lejbele nie stał już przy ścianie domu. Gdy tylko Meir się oddalił, blade dziecko od ściany odeszło i za nim podążyło.

Z rękoma wsuniętemi wciąż w rękawy nędznej odzieży, z otwartemi usty, dziecię nędzarza Szmula postępowało krok w krok za idącym w zamyśleniu, pięknym, wysokim młodzieńcem, przez całą długość ulicy. U końca jej dopiero zatrzymało się, jakby lękając się iść dalej, i gardłowym, ochrypłym głosem wymówiło:

— Morejne!

Meir obejrzał się. Przyjazny uśmiech oświecił mu twarz, gdy zobaczył dziecko, które aż tu za nim przyszło.

Czarne, martwe źrenice dziecięce podniosły się ku jego twarzy, z szarego rękawa wysunęła się ku niemu mała, chuda ręka.

— Chały! — wymówił Lejbele.

Meir zaczął upatrywać stragan. Stało tam wzdłuż uliczki pełno ubożuchnych straganików, przy których kobiety, osłaniające łachmanami wychudłe swe ciała, sprzedawały bułki, twarde jak kamienie, drobne główki cebuli i czarne a wstrętne wyroby jakieś z miodu i maku.

Z białej dłoni Meira do chudych i czarnych rąk dziecięcych przeszła znowu wielka, pleciona chała.

Lejbele pochwycił ją, poniósł do ust obu rękoma i — odwróciwszy się, wracał do domu, środkiem ulicy idąc, powoli, prosto i poważnie.

Po chwili Meir znalazł się na środkowym placu miasteczka. Zdawać się mu mogło, że z otchłani wyszedł na światło dzienne. Słoneczny blask zalewał okrągłą przestrzeń, wysuszał znajdujące się tu i owdzie kałuże błota i rozpalał złote iskry w oknach domów, otaczających rynek.

Na dziedzińcu pobożnego Reb Jankla wznoszono budynek jakiś nowy i obszerny; rudy gospodarz nadzorował sam robot-

ników, radując się widocznie tem pomnażaniem dobra swego; stuk siekier i zgrzytanie pił napełniały życiem otoczenie niskiego domu, przed którego sklepioną sienią stało parę powozów przejezdnych gości.

Dalej nieco, na ganku domu swego, stał, lśniący od atłasów, morejne Kalman; jedną ręką podnosił do uśmiechnionych warg cygaro a drugą głaskał złociste włosy dwuletniego dziecka, które, siedząc na ławie w ganku, trzymało w ręku kawał chleba, obficie posmarowanego miodem, i obmazywało nim sobie pulchną, śmiejącą się do wspaniałego ojca twarzyczkę.

Na dziedzińcu Ezofowiczów słonecznie też było, gwarno i wesoło.

Pośrodku dwaj barczyści tracze piłowali drzewo, przygotowywane na zimę; wśród miękkich odpadków drzewnych bawiło się kilkoro dzieci, czysto odzianych, i stroiło sobie głowy wieńcami z wiórów; u studni dziewka służąca, hoża i wesoła, czerpała wodę, głośno przemawiając się z traczami; przez otwarte okno domostwa widać było poważne głowy Rafała i Abrama, którzy z wielkiem zajęciem rozprawiali o interesach, i Sarę, stojącą przy szeroko rozpalonem ognisku kuchennem, i ładną Liję, która przed małem lusterkiem zaplatała swe ogromne warkocze.

Gdy Meir wchodził w bramę, tracze przerwali robotę swą, uśmiechnęli się ku niemu i przyjaźnie skinęli głowami. Pochodzili oni z tej samej uliczki, ubogiej i brudnej, którą on opuścił był przed chwilą, lecz znali go widać dobrze.

— Gut morgen! — zawołali.

— Gut joer (dobrego roku) — wesoło odpowiedział im Meir.

— Nie pomożesz nam dziś w robocie naszej? — zapytał żartobliwie jeden z robotników.

— Czemu nie? — odpowiedział Meir i zbliżył się do pracujących.

Widać było, że praca fizyczna ulubionem była i częstem zajęciem Meira, i że robotnicy dziada jego przyzwyczajeni byli do tego, iż dzielił on ją z nimi. Jeden z nich ustępował już mu miejsca swego przy kłodzie drzewa, kiedy przez otwarte okno wychyliła się Lijka i, kończąc zaplatanie czarnego warkocza, zawołała:

— Meir! Meir! gdzie ty tak długo był? Zejde dawno już wołał ciebie.

Kwadrans zaledwie minął od wizyty rabina; Saul pochylał jeszcze głowę na dłonie w gniewnej i smutnej napoły zadumie; a o kilka kroków od niego stara Frejda siedziała u okna otwartego na plac, oblana cała złotem słońca i migotliwemi iskrami diamentów.

Ciekawy wielce był proces duchowy, który odbywał się w starej, lecz krzepkiej jeszcze piersi Saula. W głębi duszy nie lubił on Izaaka Todrosa.

Nie rozumiejąc dobrze głębszego znaczenia działań i stanowiska przodka swego, Michała, ani ojca, Hersza, wiedział przecież o tem, że posiadali oni szerokie wpływy pomiędzy «swymi» i ogólny szacunek możnych, choć «obcych» ludzi; dumny był więc obu rodowemi wspomnieniami temi, a niewyraźna też świadomość krzywd, które wyrządzili tym gwiazdom rodu jego przodkowie Izaaka Todrosa, budziły w nim do tego fanatyka głuchą, dobrze nieokreśloną niechęć.

Obok tego, bogaty sam i bogactwem swem chlubiący się wielce, czuł on dla ubóstwa i, jak wyrażał się w głębi duszy swej, dla niechlujstwa Todrosów tajemną wzgardę. Wszystko to jednak było niczem, w porównaniu ze czcią, uczuwaną dla świętej, mądrej i głębokiej nauki, której głównym przedstawicielem był wielki rabin.

Sam on z żarliwą pobożnością zajmował się czytywaniem ksiąg świętych; do ksiąg tych jednak nie przywykł był umysł jego, przez długie lata zaprzątany czem innem.

Czytał je, ale bardzo mało zawiły i tajny sens ich rozumiał; a im mniej rozumiał, tem więcej czcił, i tem większe było w nim wrażenie grozy i pokory. Teraz groza ta i pokora stanęły naprzeciw miłości istotnej, tkliwej nawet, dla wnuka-sieroty, i toczyły z nią walkę.

— Co jemu z tego przyjdzie? czy on z tego korzyść jaką będzie miał? — myślał stary Saul, i gniewnem spojrzeniem spotkał wchodzącego wnuka.

Meir wszedł do bawialnej izby nieśmiałym nieco krokiem. Wiedział o odwiedzinach rabina, domyślał się ich celu: lękał się gniewu, a bardziej jeszcze smutku starego dziada.

— Nu — ozwał się starzec — choć tu bliżej! ja tobie piękne rzeczy powiem, z których ty wielką radość będziesz miał!

A kiedy Meir stanął o parę kroków przed nim, wlepił weń wzrok z pod brwi zjeżonych i rzekł:

— Ja ciebie zaręczę, i ty za dwa miesiące musisz być żonaty!

Meir zbladł, ale milczał.

— Ja ciebie z córką Jankla Kamionkera zaręczę!

Po tych słowach dość długie panowało milczenie. Pierwszy przerwał je Meir.

— Zejde! — rzekł cichym, lecz stanowczym, głosem — ja córki Kamionkera za żonę nie wezmę!

— Dlaczego? — tłumiąc gniew, zapytał Saul.

— Dlatego, zejde — ośmielając się wciąż, rzekł młody człowiek — że Kamionker jest zły i niesprawiedliwy człowiek, i ja z nim w pokrewieństwa żadne wchodzić nie chcę!

Saul wybuchnął. Łajał wnuka za zuchwalstwo sądów jego i wychwalał pobożność Reb Jankla.

— Zejde! — przerwał Meir — on biednych ludzi krzywdzi!

— A co tobie do tego? — krzyknął dziad.

Tym razem oczy młodzieńca błysnęły gorąco.

— Zejde! — zawołał — on do swoich kieszeni bierze dużo potu i pracy tych nieszczęśliwych, co tam na końcu miasteczka mieszkają, i oni przez niego złodziejami są, kiedy u nich dzieci gołe, a Reb Jankiel za to nowe domy sobie buduje! I on w karczmach tych i browarach, które od panów w dzierżawie trzyma, brzydkie rzeczy robi! Chłopów szynkarze jego poją i oszukują, a wódki pędzi on więcej, niż pozwolono... Zejde! ty nie patrzaj na to, jak on modli się, ale na to, jak on robi; bo napisano jest: «Niepotrzebne mi modlitwy, ani ofiary wasze! kto uciska biednego, ten krzywdzi Stwórcę!»

Saul bardzo był rozgniewany, ale cytata wnuka złagodziła go nieco, bo pragnął on gorąco widzieć go uczonym i biegłym w znajomości ksiąg świętych.

— No — mruknął gniewnie, ale bez uniesienia — to co, że Reb Jankiel chłopów poi i wódki pędzi więcej, niż pozwolono jest! Ty nie wiesz jeszcze, co to takiego interes, i jak on się robi. Jak ty ożenisz się z córką Reb Jankla, i on cię do interesów swoich przypuści, będziesz tak samo pędził i sprzedawał wódkę!

— Zejde! — szybko odparł Meir — ja wódki ani pędzić, ani sprzedawać nie będę! Ja do tego ochoty nie mam żadnej!

— A do czego ty ochotę masz?... ty do niczego ochoty nie masz!...

Nie dokończył jeszcze wyrazów tych stary Saul, gdy Meir

pochylił się ku ziemi, ramionami kolana jego objął i, usta swe do nich przyciskając, mówić zaczął:

— Zejde, puść mię stąd! pozwól mi w świat szeroki! Ja pójdę uczyć się! ja uczyć się chcę, a tu oczom moim ciemno! Ja ciebie już o to dawno, dwa lata temu, prosiłem, ale ty na mnie zagniewałeś się i kazałeś zostać! Ja zostałem, zejde, bo ja ciebie szanuję i rozkazania twoje są dla mnie święte. Ale teraz, zejde, puść ty mię stąd!... Jeżeli pójdę w świat z pozwoleniem i błogosławieństwem twojem, uczonym zrobię się, powrócę tu, i wtedy naprzeciw wielkiego rabina stanę i będę wiedział, jak mu pokazać, że on mały jest... Teraz...

Nie pozwolił mu Saul mówić dalej.

— Szaaa! — zawołał.

Przejęła go trwogą sama wzmianka o tem, iż wnuk jego stanąć może do walki z wielkim rabinem.

Ale Meir wyprostował się i, z czołem w ogniu, a łzami na rzęsach, mówił dalej:

— Zejde! przypomnij ty sobie historję Rabbi Eljezera. Kiedy on młody był, ojciec go w świat puszczać nie chciał; on ziemię orał i patrzał na ciemne lasy, co przed nim świat zaciemniały, a serce jego ciekawość i tęsknota gryzły tak, jak teraz moje serce gryzą... I nie wytrzymał on tej zgryzoty i uciekł... Uciekł on do Jerozolimy... poszedł do wielkiego mędrca, co wtedy na cały świat słynął, i powiedział mu: — Niech ja będę twoim uczniem, a ty bądź moim mistrzem!

Stało się, jak powiedział.

A kiedy w kilka lat później ojciec jego, który nazywał się Hyrkanos, do Jerozolimy przyjechał, zobaczył tam pięknego młodzieńca, który, na wielkim rynku, z wysokości do ludu bardzo mądrze mówił, a lud słuchał *jego*, i dusza roztapiała mu się, jak miód, z wielkiej słodyczy, i wszystkie głowy chyliły się nisko przed młodzieńcem i wołały: — Oto nasz mistrz! — Hyrkanos dziwował się bardzo mądrym słowom tego, co stał na wysokości, i wielkiej miłości, którą dla niego cały lud miał. I spytał się człowieka, przy którym stał: — Jak się nazywa młodzieniec ten, co stoi na wysokości, i gdzie mieszka jego ojciec? bo chcę pójść i pokłonić się temu, którego wnętrzności syna takiego wydały. — A człowiek, którego on zapytał się, odpowiedział: — Młodzieńcowi temu na imię Eljezer, gwiazda nad głową Izraela, a ojciec jego nazywa się Hyrkanos.

Kiedy Hyrkanos to usłyszał, krzyknął wielkim głosem, do młodzieńca pobiegł i ramiona swoje przed nim otworzył. I była

wtedy wielka radość w sercach ojca i syna, a lud cały pokłonił się Hyrkanosowi za to, że wnętrzności jego takiego syna z siebie wydały...

Saul słuchał opowiadania tego bardzo uważnie, z twarzą napoły chmurną jeszcze, napoły rozjaśnioną.

Drogie mu były ojczyste podania, i lubił słyszeć je w ustach najulubieńszego z wnuków; jednak nie wahał się ani przez chwilę z odpowiedzią. Przymrużył nieco oczy, pokręcił głową i zaczął:

— Żeby w Jerozolimie nauczał teraz wielki jaki mędrzec izraelski, jabym sam, bez twego proszenia, posłał cię do niego na naukę. Ale na Jerozolimie spoczęła mściwa prawica Pana... ona już nie nasza... będzie ona kiedyś znów nasza... jak przyjdzie wielki dzień Mesjaszowy; ale teraz tam umierać tylko Izraelicie słodko i dobrze, a uczyć się niema gdzie i u kogo. A w cudzy świat, po cudze nauki, ja ciebie nie poślę... one Izraelicie niepotrzebne. Ty od Edomity nauczyłeś się już tyle, ile ci potrzeba, abyś w cudzym świecie mógł interesa prowadzić... A i za to ja miałem już od wielkiego rabina wymówkę... A dla mnie jego wymówki to wielki wstyd i wielka zgryzota... bo choć to mądry i wielki rabin jest, ale moja dusza cierpi, kiedy on do mego domu przychodzi łajać mię, jak melamed małe dzieci w chederze łaje...

Zasępił się stary, mówiąc to, i ponuro w ziemię patrzał. Meir stał przed nim, jak skamieniały, i tylko we wzroku jego, szklisto w przestrzeń wpatrzonym, malowała się bezdnia smutnych i buntowniczych uczuć.

— Zejdź! — odezwał się nakoniec wpół prosząco, wpół porywczo — więc ty mi rzemieślnikiem pozwól być! Ja będę z biednymi ludźmi na jednej ulicy mieszkał, razem z nimi rękoma memi pracował i dusze ich od grzechu strzegł. A kiedy oni spytają się mię o co, odpowiem im zawsze: tak, albo nie! kiedy im chleba zabraknie, rozdzielę pomiędzy nich wszystek ten chleb, który będzie w moim domu!

Znowu czoło jego zapałało, i łzy błysnęły na rzęsach. Ale Saul podniósł na niego wzrok osłupiały od zdziwienia i po chwili dopiero odpowiedział:

— Kiedy ty będziesz miał dwa, albo trzy lata więcej, wtedy poznasz, jaki ty głupi byłeś, kiedy do mnie takie rzeczy gadałeś. W familji Ezofowiczów nie było nigdy rzemieślnika żadnego i, dziękować Bogu, nigdy nie będzie. My kupcy z ojca na syna, i pieniędzy u nas dość, a z ojca na syna coraz wię-

cej. I ty kupcem będziesz, bo Ezofowicz każdy kupcem musi być...

Ostatnie wyrazy wymówił stanowczym głosem; po chwili, łagodniej nieco, ciągnął dalej:

— Ja tobie łaskę chcę zrobić... Kiedy ty nie chcesz żenić się z córką Reb Jankla, już ja ci pozwolę nie żenić się z nią... ale ja ciebie zaręczę z córką Elego Witebskiego, wielkiego kupca. Tobie smutno za nauką, nu! to ja tobie dam żonę edukowaną... ją rodzice na pensji w Wilnie trzymają... ona po francusku mówić umie i na fortepianie grać... Nu, kiedy ty taki kapryśny jesteś, to ta dziewczyna jak raz będzie dla ciebie... Ona ma szesnaście lat. Ojciec da za nią wielki posag i zaraz ciebie do swoich interesów przypuści...

Z wyrazu twarzy Meira poznać można było, że wrzał wewnątrz.

— Ja córki Witebskiego nie znam! moje oczy nigdy jej nie widziały — wyrzekł ponuro.

— A na co tobie ją znać? — krzyknął Saul. — Ja ją tobie daję! Ona za miesiąc wróci z Wilna do rodziców, i ty z nią za dwa miesiące ożenisz się! Ot, co ja tobie mówię, a ty milcz i rozkazań moich słuchaj. Ja tobie do tego czasu za wiele pozwalałem, ale teraz już będę z tobą inaczej. Izaak Todros powiedział, żebym ja stopę swoją na twoich plecach postawił...

Rumieńce wytrysnęły na bladą twarz Meira. Z oczu jego posypały się iskry.

— Niech Rabbi Izaak sam stawi stopę swoją na plecach tych, co jak psy liżą jego nogi! — zawołał. — Ja Izraelita, jak i on... ja nie jestem niczyim niewolnikiem... ja...

Skonały słowa na drżących ustach jego, bo stary Saul stanął przed nim wyprostowany, potężny, rozpłomieniony gniewem, i rękę swą na niego podnosił.

Lecz w tejże chwili pomiędzy ręką tą starca, suchą, lecz silną jeszcze, a twarzą młodzieńca, wzburzoną i płomienną, zawisła dłoń mała, od starości wyschła, pomarszczona, i, drżąc, rozdzieliła je z sobą.

Była to dłoń Frejdy, która, obecna całej rozmowie dziada i wnuka, zdawała się drzemać na słońcu i nic nie słyszeć; ale kiedy się rozległ w izbie namiętny wykrzyk Meira, a Saul powstał rozgniewany i groźny, ona powstała także, wyprostowana i milcząca, postąpiła parę kroków, i biedną, starą dłonią swą, niby tarczą, zasłoniła prawnuka...

Ręka Saula opadła wdół... Zmiękłym już nieco głosem za-

woławszy tylko ku Meirowi: — Weg! — opuścił się na ławę i ciężko oddychał.

Prababka usiadła znowu przy otwartem oknie, w słońcu cała; Meir opuścił izbę.

Wyszedł z głową schyloną i chmurnem czołem. Uczuł w tej chwili całą niemoc swą wobec wszystkiego, co wznosiło się nad nim wiekiem, znaczeniem i powagą; uczuł ciążące na sobie kajdany patrjarchalnego ustroju rodziny.

I tylko przy wspomnieniu o tej małej, wyschłej, drżącej dłoni kobiecej, która zasłoniła go przed grubjańskim aktem przemocy, uśmiech rzewnej tkliwości przewinął mu się po ustach. Był to także uśmiech nadziei.

— Żebym ja to pisanie mógł dostać! — rzekł do siebie, dłoń przesuwając po czole.

Myślał o pisaniu Michala Senjora, i o tem, że jedna tylko stara prababka wiedziała, kędy go szukać trzeba, i o tem także, iż, gdyby je miał, wiedziałby może, co mówić, jak czynić...

Saul tymczasem siedział długo na ławie, sapiąc ze zmęczenia i ze zmartwienia wzdychając. Parę razy spojrzał na matkę i uśmiechnął się.

Dziwnem zdawało mu się może to nagle wstawienie się za prawnukiem wiecznie drzemiącej i milczącej, stuletniej rodzicielki jego, a może i wdzięczny jej był w głębi serca za to, iż nie pozwoliła mu, w uniesieniu gwałtownem, skrzywdzić wnuka-sieroty.

— Rafał! — zawołał po chwili donośnym głosem.

Do izby wszedł najstarszy z synów jego, poważny, siwiejący, czarnooki mężczyzna. Był on po Saulu najstarszym w rodzinie; wnuki już dorosłe miał, szeroko rozgałęzione interesa handlowe po świecie prowadził; ale, wołanie ojca usłyszawszy, porzucił wnet rachunkowe księgi swe, przerwał żywą rozmowę z bratem i stanął przed ojcem.

— Czy Eli Witebski jest w domu? — zapytał Saul.

— On wczoraj z dalekiej drogi powrócił i teraz w domu swoim odpoczywa — odrzekł syn.

— Niech ktokolwiek zaraz pójdzie do niego i powie, że ja chcę, aby on przyszedł tu i ze mną o ważnych rzeczach pogadał.

— Ja pójdę sam — rzekł Rafał — ja wiem, o jakich rzeczach chcesz, ojcze, z Witebskim gadać. Te rzeczy dobre są, i trzeba je co najprędzej do skutku doprowadzić. Z Meirem źle

będzie, jeżeli on prędko nie ożeni się i interesów prowadzić nie zacznie.

Saula oczy z niepokojem utonęły w twarzy syna.

— Rafał! czy ty myślisz, że jak ożeni się, to będzie zaraz inny?

Rafał twierdząco skinął głową.

— Ojcze! — rzekł — przypomnij sobie Bera. On był na takiej drodze, na jakiej teraz jest Meir, ale jak ożenił się z naszą Sorą, a ty, ojcze, do interesów swoich jego przyjąłeś, i jak dzieci jego zaczęły rodzić się jedno po drugiem, jemu wszystkie głupstwa z głowy powylatywały.

— Idź! zawołaj do mnie Witebskiego — zakończył rozmowę Saul.

Rafał wyszedł po chwili i zmierzał ku domostwu, które, przy zbiegu dwóch najpokaźniejszych ulic stojąc, okna miało duże i wysoki ganek.

Na ganku siedziała kobieta, otyła nieco, w jedwabnej sukni i mantyli, spiętej złotą broszą, ze złotemi długiemi kolcami w uszach i starannie uczesaną peruką na głowie. Lat mogła mieć około czterdziestu, wyglądała świeżo i rumiano, na ustach miała uśmiech zadowolenia i dumy, a w ręku trzymała robótkę jakąś z cienkiej bawełny.

Kiedy Rafał wchodził na schody wysokiego ganku, kobieta powstała z najwytworniejszym dygiem, jaki kiedykolwiek dokonany mógł być w Szybowie, i na powitanie ku przybywającemu wyciągnęła rękę. Żadna kobieta w Szybowie, oprócz pani Hany Witebskiej, nie witała się w taki sposób z żadnym mężczyzną.

Owo angielskie shake-hand, rozpowszechnione po całym ucywilizowanym świecie, nie bardzo snadź przypadało do smaku poważnemu Rafałowi, bo trochę niechętnie dotknął się końcami palców pulchnej dłoni pani Hany i, po krótkiem wzajemnem pozdrowieniu, zapytał ją o jej męża.

— On w domu! — rzekła kobieta, uśmiechając się wciąż z chronicznem jakby zadowoleniem i również chroniczną dumą. — A jakże! on wczoraj z wielkiej drogi wrócił, i teraz w domu swoim odpoczywa.

— Ja przyszedłem, aby z nim się rozmówić — rzekł Rafał.

— Proszę! proszę! — zawołała kobieta, z pośpieszną uprzejmością otwierając drzwi, prowadzące do sieni domu. — Mój mąż będzie bardzo kontent z takiego gościa! proszę! proszę!

Rafał na światowe grzeczności pani Hany odpowiedział w sposób bardzo umiarkowany, szybkiem skinieniem głowy, i wszedł w głąb domu. Pani Hana usiadła znowu na ławce w ganku, wzgardliwie nieco przymrużyła oczy i szepnęła do siebie:

— Nu! jacy to ludzie w tym Szybowie! Oni z kobietami gadać nie chcą i tacy dzicy są, jak niedźwiedzie!

Westchnęła, pokiwała głową i dodała:

— Czy ja do takich ludzi przyzwyczajona! U nas, w Wilnie, ludzie grzeczni i edukowani, nie tak, jak tu! pfe!

Splunęła lekko, westchnęła raz jeszcze i znowu, robiąc machinalnie robótkę swą, z uśmiechem dumy i zadowolenia patrzała na miasteczko i ruszających się po niem ludzi. Niebawem w drzwiach domu ukazali się dwaj mężczyźni; rozmawiając, przeszli szybko przez ganek; na panią Hanę nie spojrzeli i ku domowi Ezofowiczów skierowali się.

Eli Witebski, idący teraz przez plac obok Rafała, bynajmniej do towarzysza swego podobnym nie był. Kupiec, tak jak i tamten, przedstawiał on przecież powierzchownością swą odrębny całkiem rodzaj kupca-Izraelity: światowcem był widocznie i elegantem.

Ubranie jego, niezupełnie wprawdzie krótkie, najmniej przecież o pół łokcia krótsze było od sięgającego do stóp ubrania Rafała i innym nieco krojem sporządzone. Na atłasowej kamizelce jego połyskiwał gruby łańcuch złoty, a na palcu — pierścień z wielkim brylantem.

Twarz miał pogodną, oczy bystre i przenikliwe, małą złotawą bródkę, ku której często podnosiła się ręka jego, brylantem ozdobiona, giestem powolnym i rozważnym.

Szedł obok Rafała z pośpiechem i ochotą widoczną. Nie było zresztą w Szybowie całym ani jednego, by najbogatszego, kupca i gospodarza domu, któryby w podobny sposób nie śpieszył na wezwanie Ezofowicza. Od dziesięciu już lat bowiem Saul na własną rękę interesa prowadzić przestał i nigdzie z domu swego, prócz do bóżnicy, nie wychodził.

Przychodzili zato do niego wszyscy, którzy czerpać chcieli ze skarbnicy wielkiego doświadczenia i niemniejszej biegłości w interesach handlowych starego kupca.

Zdarzało się często, iż siadywał on w bawialnej izbie na kanapie owej z żółtą, wysoką poręczą; przed nim, na stole, spoczywała rozwarta księga nabożna, której czytanie przerwano mu; wkoło niego siedzieli mężowie dojrzali, uchodzący w gmi-

nie całej za bogaczy i uczonych, a do niego przybyli po radę, pomoc, niekiedy zaś nawet na rozsądzanie i godzenie spraw spornych.

Stary Saul radził; pomocy, o ile mógł bez krzywdy dzieci swych, udzielał; rozstrzygał, godził, i wielką z tego dumę na pomarszczonem czole miał. A kiedy potem sam, dla własnych spraw swoich, potrzebował z dostojnikami gminy porozmawiać, wzywał ich przez synów lub wnuków swoich, a oni chętnie i uprzejmie do niego pośpieszali.

Pośpieszał więc na wezwanie starego patrjarchy gminy elegancki i bogaty Eli Witebski. Do bawialnej izby Ezofowiczów wszedł uśmiechnięty i rozpromieniony, i gospodarza powitał:

— Boruch habo! (pokój tobie).

Nie witał on już w ten uroczysty sposób nikogo poza Szybowem; owszem do spotykanych na świecie ludzi bardzo poprawnie mawiać umiał: — gut morgen czyli: dzieńdobry! Lecz obyczajem jego niezłomnym było: stosować się we wszystkiem do tych, z którymi miał do czynienia.

Rafał chciał odejść, ale gestem rozkazującym zatrzymał go ojciec. Zamknęli wszystkie drzwi izby i we trzech rozmawiali długo i zcicha.

Jakkolwiek jednak, rozmawiając, zniżali głosy, ciekawa i swawolna Lijka, córka Rafała, przytknąwszy nosek swój do drzwi zamkniętych, a czarne oko do dziurki od klucza, usłyszała wyraźnie powtarzane często imiona Meira i Mery, córki Witebskich, naprzód, a potem swoje i jakiegoś Leopolda, kuzyna pani Hany, na wielkim świecie przebywającego.

Odskoczyła ode drzwi, spłoniona cała, zawstydzona napół, a napół tajemną radością zdjęta, i wciąż już tylko wyglądała przez okno, ażeby ujrzeć co prędzej wracającego do domu stryjecznego brata.

Słońce już zachodziło, kiedy Witebski opuścił dom Ezofowiczów, w radosnym nastroju, widocznie rad wielce z załatwionego interesu, czy może z dwóch razem interesów załatwionych.

W tej samej prawie chwili Meir wracał do domu. Lijka wybiegła na spotkanie brata i, w bramie dziedzińca otoczywszy ramieniem szyję jego, do ucha mu szeptała:

— Czy ty wiesz, Meir! dziś wielkie rzeczy u nas działy się. Zejde nasz i ojciec mój długo rozmawiali z Elim Witebskim i o nas umówili się. Witebski przyrzekł dla ciebie córkę swoją,

Merę, a mnie zejde i ojciec przyrzekli dla siostrzeńca pani Hany, co na wielkim świecie żyje i bardzo edukowany jest.

Szeptała to, płonąc cała i nie śmiejąc ze wstydu podnieść oczu na brata. Nagle uczula, że Meir wysunął się szybkim ruchem z jej objęcia. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła go odchodzącego zpowrotem od wrót domowych.

— Meir! — zawołała za nim dziewczyna — dokąd ty idziesz? Czy ty wieczerzy jeść z nami nie będziesz?

Odchodzący nie odpowiedział nic na dziewiczy głos, który przyzywał go ku rodzinnemu stołowi. Głęboka zmarszczka przerzynała mu gniewne czoło.

Zrozumiał w tej chwili całą nicość wykrzyku, wydanego wobec dziada przed kilku godzinami: «ja nie jestem niczyim niewolnikiem!» Rozporządzono się, bez najlżejszego w tem udziału woli jego, rodzinną jego przyszłością, a on wiedział, że, jak rozkażą *starsi*, tak stać się będzie musiało...

Nie! wzdrygał się on cały na myśl, aby stać się *tak* mogło. Dlaczego? Wszak nie znał wcale tej Mery, wiedział tylko, że uczyła się nauk tych, których on sam tak bardzo był żądny!

Lecz, idąc wciąż przez miasteczko i puste grunta, oddzielające je od karaimskiego wzgórza, idąc powoli, z rękoma założonemi wtył i pochyloną głową, myślał wciąż uparcie, machinalnie prawie, nieprzerwanie: «Ja nie jestem niczyim niewolnikiem!»

Wrzała w nim i kipiała duma i żądza swobody, nie wiedzieć skąd w nim powstała, — z tych tajemniczych zapewne tchnień przyrody, które tu, na ziemi, wzbudzają do życia duchy szlachetne i mocne, wolności, sprawiedliwości i wiedzy spragnione...

* * *

U stóp Karaimskiego wzgórza, w chatce, tulącej się do piaszczystej jego ściany, błyszczało małe, żółte światełko. Nad nią w gałęziach wierzby rosochatej, połyskiwały drobne gwiazdy, a dalej, na polach szerokich, słały się szare cienie wieczora.

We wnętrzu chatki, pod niską ścianą, siedział na snopie zmiętej słomy starzec zgarbiony, bezkształtną odzieżą okryty, i drżącemi rękoma przebierał giętkie pręty łoziny. Postać jego

szarzała zaledwie wśród mrocznego kąta, a rysy pochylonej twarzy były niewidzialne.

Bliżej żółtego płomyka świecy, na stołku drewnianym, siedziała wysmukła dziewczyna, z chudą twarzą i wyprostowaną postacią. W spuszczonej ręce jej okręcało się z cichem fruwaniem wrzeciono, a nad głową podnosiła się deska prząśnicy z przymocowanym do niej grubym zwojem wełny.

Z pod ściany, przy której szarzała zgarbiona postać starca, wydobywał się głos trzęsący się i chrypiący: «Pośrodku pustyni, takiej wielkiej, że jej końca nigdzie widać nie było, podnosiły się dwie góry, takie wysokie, że głowy ich chowały się w chmurach. Góry te nazywały się Horeb i Synaj».

Ochrypły, drżący głos starca umilkł, a dziewczyna, która, przędąc, wciąż słuchała z poważnym wzrokiem, wymówiła:

— Zejde! mów dalej!

Lecz w tej samej chwili ozwał się tuż za otwartem oknem przyciszony głos męski:

— Gołda!

Prządki nie przestraszyło, ani nie zdziwiło to nagłe wymówienie imienia jej przez głos obcy. Możnaby rzec, iż co chwila spodziewała się ona usłyszeć głos ten obok siebie, tak poważnie i bez najlżejszego drgnienia powstała i ku oknu podeszła. Tylko oczy jej zapłonęły gorąco z za czarnych rzęs, a głos nabrzmiały był niewypowiedzianą słodyczą, gdy, stanąwszy u okna, rzekła zcicha:

— Meir! ja wiedziałam, że ty obietnicy swej dotrzymasz i przyjdziesz.

— Ja przyszedłem do ciebie, Gołdo — mówił za oknem przyciszony głos męski — bo mnie dziś bardzo ciemno przed oczyma, i ja chciałem popatrzeć na ciebie, żeby świat zrobił mi się jaśniejszym...

— A dlaczego tobie dziś tak ciemno zrobiło się przed oczyma? — zapytała dziewczyna.

— Ja mam wielką zgryzotę. Rabin Izaak oskarżył mię przed zejdem, i zejde chce mię ożenić...

Umilkł i spuścił oczy. Dziewczyna ani drgnęła. Najlżejsze poruszenie postaci, ani twarzy, nie zdradziło wzruszenia jej; tylko śniada i ogorzała twarz jej stała się na mgnienie oka białą jak opłatek.

— Z kim zejde chce cię ożenić? — zapytała, a w głosie jej ozwały się brzmienia ponure.

— Z Merą, córką kupca Witebskiego.

Wstrząsnęła głową.

— Nie znam jej.

A potem zapytała nagle:

— Czy ty z nią ożenisz się, Meir?

Młodzian nie odpowiedział, a jednak Gołda nie pytała dłużej. Śniade czoło jej opłynęło rumieńcem, a wyraz szczęścia niewysłowionego napełnił oczy; bo wzrok Meira tkwił w jej twarzy, łagodny, litościwy jakiś, głęboki i zarazem ognisty.

Milczeli oboje, a w ciszy, przerywanej tylko szemraniem gałęzi, wiszących nad dachem, chrypiał, dygotał znowu głos siedzącego pod ścianą starca:

— «Kiedy Mojżesz zstępował z góry Synaj, umilkły grzmoty, zgasły błyskawice, wichry pokładły się na ziemię, a Izrael cały powstał jako jeden człowiek i wielkim głosem krzyknął: — Mojżeszu, powtórz nam słowa Przedwiecznego!»

Meir wsłuchiwał się w stary głos opowiadającego prastare dzieje Izraela z natężoną uwagą. Gołda spojrzała na dziadka.

— On tak zawsze różne historje opowiada — rzekła — a ja przędę, albo przy nogach jego leżę i słucham...

— Meir — dodała z powagą w wejrzeniu i głosie — wejdź ty do domu naszego i pozdrów mego dziada.

Po chwili skrzypnęły drzwi od małej sionki. Stary Abel podniósł głowę z nad prętów łozowych, które przebierały wciąż i splatały drżące, lecz czynne, dłonie jego, i, widząc rysującą się w zmroku dorodną postać młodzieńca, zapytał:

— A kto tam przyszedł?

— Żejde! — rzekła Gołda — Meir Ezofowicz, wnuk bogatego Saula, przyszedł do domu naszego, aby cię pozdrowić...

Na dźwięk nazwiska, wymówionego przez Gołdę, szara postać skurczona przy ścianie podniosła się nagle i, wspierając się rękoma o więź zmiętej słomy, wyciągnęła żółtą w łachmanach ukrytą szyję.

Wtedy wychyliła się też pod światło żółtego płomyka głowa, z której zwisały aż na ramiona długie, bujne pasma włosów złotawej białości, i twarz mała, skurczona, niewidzialna prawie z pod ogromnego zarostu, który ją okrywał.

Gołda mówiła prawdę, że włosy jej dziada stały się od starości jako śnieg, a jak korale były od łez oczy jego. Teraz

z pod koralowych tych, nabrzmiałych powiek źrenice zgasłe patrzały z osłupieniem strachu naprzód, a potem z nagłą błyskawicą oburzenia, czy nienawiści.

— Ezofowicz! — wymówił starzec głosem, nie tak już drżącym i ochrypłym, jak pierwej. — A poco ty tu przyszedł i próg domu mego przestąpił, kiedy ty rabbinitą jesteś... wrogiem... prześladowcą... a pradziad twój wyklął przodków moich i świątynię ich w proch obrócił?... Ty idź stąd! niech stare oczy moje nie trują się, patrząc na ciebie!

Mówiąc ostatnie wyrazy, trzęsącą się rękę wyciągał ku drzwiom, któremi wszedł był młodzieniec.

Ale Meir zwolna postąpił naprzód i, chyląc nisko głowę przed rozgniewanym starcem, wymówił:

— Pokój tobie!

Na dźwięk głosu tego, o łagodnem, głębokiem brzmieniu, i wymówionych przezeń wyrazów, które błogosławieństwo i prośbę o zgodę zawierały w sobie, starzec umilkł, opuścił się ciężko na niskie swe siedzenie i po długiej chwili dopiero, żałośliwym już tylko, jęczącym głosem mówić zaczął:

— Poco ty do mnie przyszedłeś? Rabbinitą jesteś i prawnukiem potężnego Senjora. Ciebie wyklną twoi, gdy zobaczą, że ty mój próg przestąpiłeś, bo ja ostatnim Karaitą jestem, co tu pozostał, ażeby gruzów świątyni naszej i popiołów naszych ojców strzec! Ja nędzarz! ja żebrak! ja wyklęty przez twoich! ja ostatni Karaita!

Meir słuchał żałośliwych słów starca w milczeniu, pełnem szacunku.

— Rebe! — ozwał się po chwili — ja przed tobą nisko głowę moją pochylam, bo trzeba, żeby sprawiedliwość na świecie stała się, i żeby prawnuk tego, co wyklinał, pokłonił się prawnukowi wyklętych...

Abel Karaita słuchał wyrazów tych z uwagą, nadstawiwszy ucha. Potem milczał jeszcze długo, jakby znaczenie ich w zmęczonym umyśle swym rozważał, aż nakoniec zrozumiał je całkiem i szepnął:

— Pokój tobie!

Gołda stała z ramionami skrzyżowanemi na piersi i w Meira wpatrywała się, jak w obraz święty wpatrują się pobożni. Usłyszawszy wyraz pokoju, wychodzący z ust dziada, przysunęła Meirowi jeden z dwóch stołków, znajdujących się w chacie, wzięła z kąta izdebki mały, lśniący dzbanek i wyszła do sieni.

Meir usiadł opodal nieco od starca, który pogrążył się znowu

w swej robocie i zrazu szeptać coś zaczął. Po chwili szept ten stawał się coraz głośniejszym, aż przemienił się w chrypliwe i drżące opowiadanie.

Opowiadania takie były snadź ciągłym zwyczajem Abla. Miał on ich pełną pamięć i pierś i niemi sobie nędzne życie swe rozpromieniał.

Pierwszych wyrazów, szeptem przez Abla wymówionych, Meir nie dosłyszał, i wtedy dopiero pochwycił wątek słów jego, gdy starzec głośniej zaczął:

— «Nad brzegami Babilonu siedzieli oni płaczący, a wiatr jęczał w lutniach ich, które sobie z ojczyzny przynieśli i w smutku zawiesili na drzewach.

«I przyszli do nich panowie ich i mówili: «Weźcie do rąk waszych te lutnie wasze, grajcie i śpiewajcie!» A oni odpowiedzieli: «Jakoż grać i śpiewać będziemy na ziemi wygnania, kiedy język nasz usechł od wielkiej goryczy, a serca nasze wołać umieją tylko: — «Chanaan, Chanaan!» Ale rzekli do nich panowie ich: — «Zdejmcie z drzew lutnie wasze, grajcie i śpiewajcie!»

«Wtedy prorocy Izraela obejrzeli się na siebie i zapytali: Kto z nas pewny, że męki wytrzyma, a grać i śpiewać nie będzie na ziemi wygnania?

«A kiedy nazajutrz przyszli do nich panowie ich i powiedzieli:

— «Zdejmcie z drzew lutnie, grajcie i śpiewajcie! — prorocy Izraela popodnosili swoje ręce krwawe i zawołali:

«Jakże zdjąć je możemy, kiedy ręce nasze przecięte są na dwoje, i palców u nich niema!

«Rzeki Babilonu głośno szumiały od wielkiego dziwu, a wiatr płakał w lutniach, na drzewach wiszących, bo prorocy Izraela porozcinali sobie dłonie na dwoje, ażeby nikt już nigdy zmusić ich nie mógł do śpiewu na ziemi wygnania!»

Kiedy Abel wymawiał ostatnie wyrazy starej legendy, do izby weszła Golda. Niosła ona w jednej ręce, na splecionej ze słomy podstawie, dwa kubki gliniane, w drugiej — dzbanek lśniący, napełniony mlekiem.

We drzwiach, które rozwartemi za nią zostały, stanęła koza, odbijając białością na czarnem tle sionki. Dziewczyna, w długiej, spłowiałej spódnicy, z czarnym warkoczem, rzuconym na plecy szarej koszuli, wylała w kubki pieniące się mleko i podawała je dziadowi i gościowi.

Chodziła po izbie cicha i lekka, z uśmiechem tylko na poważnych ustach. Potem usiadła i prząść znowu zaczęła. Izbę zaległa cisza zupełna.

Stary Abel rozpoczynał jeszcze dawną historję jakąś cichym szeptem, ale wkrótce zamknęły się usta jego, ręce opadły na snop łozowych prętów, a głowa nieruchomo spoczęła przy ścianie.

Koza zniknęła z progu; słychać było jeszcze przez chwilę szamotanie się jej w ciemnej sionce, lecz po chwili i to umilkło. Młodzi ludzie zostali sami jedni wobec uśpionego starca i gwiazd, które zaglądały przez niskie okienko. Ona przędła, ze wzrokiem utkwionym w twarz młodzieńca, siedzącego zdaleka; on spuścił powieki i myślał.

— Gołda! — ozwał się po długiej chwili — prorocy Izraela, którzy sobie dłonie porozcinali na dwoje, aby niewolnikami swoich panów nie być, wielkimi byli ludźmi...

— Oni nie chcieli nic robić przeciw sercu swemu! — poważnie odpowiedziała dziewczyna.

Milczeli znowu. Wrzeciono szemrało w ręku Gołdy, ale coraz ciszej jakoś i wolniej. Przez źle spojone stare deski ścian wnikały powiewy wiatru i chwiały żółtym płomykiem świecy.

— Gołdo! — ozwał się Meir — czy tobie nie straszno w tej samotnej chacie, kiedy jesień i zima długie, czarne ciemności na świat spuszczają, a wichry wielkie przez te stare ściany do izby wlatują i jęczą?

— Nie — odpowiedziała dziewczyna — mnie nie straszno, bo Przedwieczny strzeże biednych chat, co w ciemnościach stoją, a kiedy wiatry wlatują tu i jęczą, ja słucham historyj tych, które opowiada zejde, i jęczenia tego nie słyszę.

Wzrok Meira, miękki i pełen litości, spoczywał na twarzy poważnego dziecka.

Gołda patrzała na niego nieruchomemi oczyma, które błyszczały zdala, jak czarne, ogniste gwiazdy.

— Gołda! — rzekł znowu Meir — czy ty pamiętasz historję o rabbi Akibie?

— Ja jej do końca życia mego nie zapomnę... — odpowiedziała.

— Gołda!... czy tybyś mogła, jak piękna Rachela, czekać czternaście lat...

— Jabym do końca życia mego czekała...

Wymówiła to spokojnym głosem i poważnemi usty, ale

wrzeciono wymknęło się z jej ręki, która opadła wdół, jak bezwładna.

— Meir — rzekła tak cicho, że słowa jej przygłuszał nieledwie cichy szept wieczornego wiatru — daj ty mnie obietnicę jedną! Kiedy tobie niedobrze będzie w domu dziada twego, Saula, i kiedy ty smutek na swojem sercu poczujesz, przychodź ty wtedy do domu naszego. Niech ja o każdym smutku twoim wiem, i niech zejde mój pociesza ciebie temi pięknemi historjami, które tak opowiadać umie!

— Gołdo! — rzekł silnym głosem — ja, jak prorocy Izraela, dłoń swoją na dwoje raczej rozetnę, niż cokolwiek kiedy przeciw sercu memu zrobię!

Rzekłszy to, wstał i skinął głową ku dziewczynie.

— Pokój tobie! — rzekł.

— Pokój tobie! — odpowiedziała cicho i głową zwolna ku niemu skinęła.

Wyszedł z chaty, a po chwili dziewczyna powstała ze stołka, zdmuchnęła żółty płomyk dogorywającej świecy i, owinąwszy się szarą jakąś płachtą, u nóg uśpionego na słomie starca spoczęła. Spoczęła, lecz długo jeszcze patrzała szeroko rozwartemi oczyma na gwiazdy, które migotały za oknem.

VI.

Eli Witebski posiadał w umyśle swym i charakterze dyplomatyczne zdolności. Nie urodził się on i nie wzrósł w Szybowie, jak wszyscy bez wyjątku mieszkańcy miejsca tego, ale od trzech lat zaledwie sprowadziły go tu interesa i różne rodzinne okoliczności.

Był zatem wśród miejscowej ludności, znającej się wzajem od dziadów, pradziadów, cudzoziemcem nieledwie; a w dodatku, życie całe spędziwszy w dużem gubernjalnem mieście, przywiózł z sobą wiele nowości, które zadziwiać i razić mogły ultra-konserwatywnych mieszkańców zapadłego kąta.

Nowościami temi były: strój odmienny znacznie co do kroju i długości, noszenie pierścienia z brylantem na palcu, nienoszenie jarmułki na głowie, krótkie przystrzyganie złotawej bródki, zupełny brak w mieszkaniu ksiąg talmudycznych i kabalistycznych, przedewszystkiem zaś posiadanie żony takiej, jaką była pani Hana, córki, uczącej się gdzieś na pensji, i oprócz tej

ostatniej, dwojga *tylko* jeszcze dzieci. Nowości te, ważne niezmiernie, niewidziane, niesłychane, powinny były ściągnąć na eleganckiego kupca ogólną niechęć publiczności szybowskiej; nie ściągnęły jednak.

Zrazu wprawdzie ci i owi poszeptywali pomiędzy sobą, że jest on misnagdim, postępowcem i w rzeczach wiary indyferentem; podejrzenia te jednak rozproszyły się szybko, a siłą, która je zażegnała, była nadzwyczajna łagodność, uprzejmość i giętkość Elego.

Grzeczny zawsze, uśmiechniony, pogodny, nie sprzeczał się z nikim, ustępował każdemu, potwierdzał wszystko, spierających się ludzi unikał, aby nie być zmuszonym do wzięcia strony jednego z nich, a obrażenia na siebie drugiego; jeżeli zaś już w żaden sposób uniknąć nie mógł, to tak ładnie, płynnie, słodko i przekonywająco przemówić umiał, iż zwaśnione strony, elokwencją jego zachwycone, miękły, godziły się, a dla niego wdzięczność i uwielbienie w sercach unosiły, mówiąc z zachwytem: a kluger mensz!

Co do właściwych obrządków i przepisów religijnych, Witebski okazywał się ortodoksem doskonałym. Święcił sabaty i zachowywał koszery z punktualnością najdrobiazgowszą; wielkiemu rabinowi, ilekroć go spotkał, kłaniał się bardzo nisko i umiał nawet to, czego nikt w gminie całej nigdy nie potrafił — rozchmurzać posępne czoło i rozjaśniać zadumane oczy mędrca wesołemi przypowieściami jakiemiś, branemu nie wiedzieć skąd, ale układanemi zawsze w ten sposób, iż posiadały one coś z mistycznego lub patrjotycznego nastroju i trafiały tem do smaku najsurowszym nawet słuchaczom.

Niewiele czasu spędzał on w domu, jeżdżąc wciąż po świecie za interesami, któremi zajmował się gorliwie, ale ilekroć znajdował się w Szybowie, widywano go bez zawodu w bet-hamidraszu, słuchającego ze czcią przynależną mądrych nauczań rabina Todrosa i uśmiechającego się z lubością, gdy kilkunastu lub kilkudziesięciu starych i młodych mędrców gminy zawzięcie toczyło z sobą pilpul, czyli rozprawy i spory nad różnemi komentarzami i komentarzami komentarzy, których pełne są 2.500 drukowanych arkuszy halachy, hagady i gemary. W domu modlitwy bywał też zawsze, ilekroć bywali tam wszyscy, a choć nie mógł zaliczyć się do rzędu najgoręcej modlących się, więc najgłośniej krzyczących i najgwałtowniej kołyszących się nabożnych, to jednak postawa jego i wyraz twarzy bywały niewzruszenie i doskonale przystojne.

Nie należy przecież mniemać, aby, postępując w ten sposób, Witebski był obludnikiem. Bynajmniej; lubił on szczerze zgodę i spokój, nie chciał więc ich zamącać sobie, ani innym. Powodziło mu się w życiu, czuł się szczęśliwym i zadowolonym, lubił więc ludzi wszystkich, i najzupełniej, najszczerzej było mu to obojętne, czy człowiek, z którym do czynienia miał, był talmudystą, kabalistą, chasydem, prawowiernym, odszczepieńcem lub nawet edomitą, byleby tylko nie szkodził mu osobiście.

O edomitach zresztą dowiedział się po raz pierwszy wtedy dopiero, gdy do Szybowa przyjechał; w kółku bowiem, w którem obracał się dotąd, nazywano chrześcijan gojami, ale to rzadko kiedy i tylko pod wpływem wyjątkowych uczuć gniewu lub obrazy, najczęściej zaś poprostu — chrześcijanami.

Gdy jednak przyjechał do Szybowa i usłyszał o edomitach, pomyślał w duchu: niech sobie będą i edomici! Odtąd też nie dawał innej nazwy chrześcijanom, gdy rozmawiał o nich z którym z szybowskich mieszkańców.

Ale nie było w tem nazywaniu najmniejszej odrobiny nienawiści, albo choćby niechęci. Edomici nic mu dotąd osobiście złego nie wyrządzili; za cóżby więc miał ich nie lubić? Poza Szybowem zaprzyjaźnił się z nimi, i wielu z nich nawet lubił, ale w Szybowie — jak wszyscy, tak i on!

Religijną edukację otrzymał był w dzieciństwie, ale potem rozwiało się jakoś wszystko i rozproszyło z pamięci jego, wśród świeckich całkiem zatrudnień i starań.

W Jehowę wierzył i czcił go głęboko; o Mojżeszu wiedział, i wiedział coś także o starożytnej niewoli babilońskiej i nowożytnych dziejach żydowskiego narodu; — ale co się tyczy głębszych faktów tejże natury, nie znał się na nich wcale. W gruncie rzeczy niewiele go też obchodziło, co i jak powiedział lub nakazał tanaita albo rabin jaki.

Nie przeczył jednak niczemu, ani słowem, ani postępkiem, ani nawet myślą. Robił wszystko, co wszystkim przykazane było, mówiąc sobie: co to szkodzi! Może to tak sobie ludzkie wymyślenie jest, a może i rozkazanie samego Boga, — na co ja mam przeciw sobie Jego obrażać?...

Dyplomatyzując w ten sposób z ludźmi i z Bogiem, nie obawiał się niczego, i dobrze mu było na świecie.

Byłoby mu na świecie zupełnie dobrze, gdyby nie przywiózł był z sobą największej i najbardziej dla mieszkańców Szybowa zdumiewającej nowości, — żony swej, Hany. O ile on, ży-

jąc w małej mieścinie, pragnął i usiłował okazywać się takim, jakimi byli wszyscy, o tyle najpilniejszem staraniem pani Hany było czynić inaczej, niż wszyscy.

Gdy przebywali wśród szerszego świata, panowała pomiędzy nimi harmonja niebieska, oparta zresztą na rzeczywistem przywiązaniu i jednostajności gustów. Tu jednak pani Hana stała się dla męża swego przedmiotem ciągłego kłopotu i niejakiej obawy.

Pani Hana rozkochana była w cywilizacji, która przedstawiała się jej w postaci ładnych strojów, własnych włosów na głowie, pięknie umeblowanych pokoi, bardzo grzecznego obchodzenia się z ludźmi, francuskiego języka i muzyki. Za muzyką przepadała.

Mieszkając w dużem mieście, chodziła zawsze słuchać jej do publicznego ogrodu, gdzie, przechadzając się z przyjaciółkami swemi w szeleszczącej jedwabnej sukni i kwiecistym kapeluszu, i przypatrując się pięknym panom, rozmawiającym grzecznie z pięknemi paniami, czuła się doskonale szczęśliwą, a bardziej jeszcze z towarzyskiego położenia swego w świecie dumną. Pewne szczególniej produkta cywilizacji wprawiały ją w prawdziwy zachwyt.

Ujrzawszy kiedyś w publicznym ogrodzie jakimś fontannę, przypatrywała się jej przez parę godzin z rozkoszą niewysłowioną, a wróciwszy do miasta swego, które nie posiadało fontanny żadnej, przez rok cały opowiadała przyjaciółkom swym o widzianem nadzwyczaj pięknem zjawisku.

Zwierciadła posiadały też szczególną jej predylekcję, i ilekroć znalazła się naprzeciw jakiej tafli zwierciadlanej większych nieco rozmiarów, nie mogła oczu oderwać od niej, a zwłaszcza od ukazującego się w niej obrazu własnej osoby, którą widziała wcale piękną, wówczas nadewszystko, gdy miała w uszach złote kolce, a na głowie ładny czepeczek z kwiatami. Co do filozofji religijnej i w ogólności życiowej, na tej pani Hana mniej jeszcze znała się od męża swego.

W Pana Boga wierzyła, a nawet w głębi serca srodze się go bała, i w szatanów wierzyła, bojąc się ich jeszcze srożej, niż Pana Boga; wierzyła także w to, iż ktokolwiek cienia swego w noc świąteczną nie zobaczy, ten w ciągu roku umrze; i w to jeszcze, iż kto świecę postawioną na sabatowym stole z miejsca poruszy, temu wielkie nieszczęście może się stać.

Wzamian przecież w wiele innych rzeczy, zupełnie tamtym podobnych, nie wierzyła, nazywając je wzgardliwie zabobo-

nami; będąc zaś gospodynią skrzętną i zapobiegliwą, uznawała w duszy, iż lepiejby było, gdyby Żydzi jedli takie samo mięso, jak chrześcijanie, bo przychodziłoby im ono daleko taniej, i gdyby w gospodarstwie niepotrzebne było takie wielkie mnóstwo naczyń kuchennych, które istnieć muszą w każdym domu prawowiernym dla utrzymania jadła w stanie doskonałego koszeru.

Co się zaś tyczy tkanin, zawierających w sobie mieszaninę lnu i welny, tych pani Hana, zamykając już oczy i uszy na zakazy wszelkie, stanowczo używała, bo były one ładne i tanie.

Przybywszy do Szybowa, pani Hana przerażoną formalnie została widokiem miejsca, do którego mąż ją przywiózł. Ani śladu cywilizacji!

Publicznego ogrodu, muzyki grającej na otwartem powietrzu, fontanny, strojnych tłumów ani śladu; pięknych pań i panów, grzecznie rozmawiających z sobą — ani cienia, francuskiego języka — ani echa! Gwałtu! pani Hana położyła się do łóżka i, zakopana w piernatach, dwa dni i dwie noce płakała i lamentowała, wołając, że ona tu nie wytrzyma, że umrze i dzieci swoje sierotami zostawi!

Nie umarła przecież, z łóżka wstała; bo trzeba było sprzęty przywiezione rozpakować, gospodarstwo urządzić i dzieci ładnie poubierać, aby, wychodząc pierwszy raz na ulicę, zadziwiły pięknością swą i strojem całe to, jak wyrażała się pani Hana ze wzgardliwym gestem: «pospólstwo». Wystrojone zostały, wybiegły i istotnie zadziwiły wszystkich. Była to pierwsza pociecha, której nieszczęsna wygnanka cywilizacji na wygnaniu swem doświadczyła.

Przyszły potem różne inne pociechy, tej podobne. Pani Hana zadziwiała, imponowała, czem umiała: strojem, meblami, manierą, wysłowieniem; a ilekroć zdarzyć się to mogło, czuła się niewypowiedzianie szczęśliwą.

W gruncie była może szczęśliwszą jeszcze, niż w opuszczonem przez się wielkiem mieście. Tam patrzała tylko na świat cywilizowany i pyszniła się tem, że jest drobną jego cząstką; tu była samą cywilizacją, całą sumą cywilizacji, jaka istniała w Szybowie.

Zadziwienie to i imponowanie, które stanowiło teraz po gospodarstwie i dzieciach pierwsze zajęcie umysłu pani Hany i główne źródło jej szczęścia, nabawiało Elego niepokojem i obawą.

Zasłyszał on odzywające się zrazu szemranie, iż był mis-

nagdim; dowiedział się, że publiczność oburzona jest srodze na żonę jego za to, iż nosi tkaniny mieszane z lnu i wełny, w sobotę w domu swym samowar nastawiać każe i głośno z tem się odzywa, «iż Szybów jest nie na ziemi, ale pod ziemią». Dowiedział się o tem, struchlał, i połowicy swej walki wytaczać zaczął: o tkaniny z lnu i wełny, o samowar w sobotę i o położenie nadziemne czy podziemne miasta Szybowa.

Połowica walczyła długo, ale dyplomatyczny mąż zwyciężył wkońcu co do tkanin i samowarów.

Co do położenia Szybowa, nie zwyciężył; bo pani Hana, gdyby nawet najmocniej postanowiła należyte uszanowanie zachowywać dla miejsca pobytu swego, nie potrafiłaby tego dokazać; chociaż bowiem milczała, mówiły zato oczy, wzgardliwie przymrużające się, usta z dumnym uśmiechem, strój zawsze wyszukany i maniera, tak pełna wykwintnej grzeczności, iż grzeczniejszą nad nią trudnoby chyba znaleźć na świecie.

W gruncie rzeczy pani Hana doskonale była szczęśliwa ze swym łagodnym, acz w niektórych razach stanowczym, mężem, z ładnemi i zawsze ustrojonemi dziećmi i z wiekuistem w duszy poczuciem wyższości własnej nad wszystko, co ją otaczało.

I jedną tylko miała istotną zgryzotę, a była to myśl, że nigdy już nie będzie mogła zaimponować mieszkankom Szybowa własnemi włosami, raz dlatego, że na odchowanie ich było już za późno, następnie, że Eli na podobne publiczne zgorszenie i niebezpieczne narażenie się nie pozwoliłby nigdy.

Nosiła więc bardzo piękną czarną perukę na strapionej swej głowie i pocieszała się myślą, iż chwila powrotu z Wilna córki jej, Mery, ostateczny już i największy sprowadzi jej triumf.

Eli niepokoił się tem mocno, że z pojawieniem się w miasteczku Mery okaże się ojcem nie takim, jak wszyscy szybowscy ojcowie; pani Hana zaś nie posiadała się z radości, iż okaże się matką inną, niż wszystkie szybowskie matki.

Stało się nakoniec. W miesiąc po rozmowie Elego z Saulem w bawialnym pokoju Witebskich znajdowało się pięć osób: trzy kobiety i dwóch mężczyzn.

A był to pokój jadalny nielada! Przyozdabiała go kanapa sprężynowa, zielonym rypsem wybita (jedyny tego rodzaju egzemplarz w całym Szybowie), kilka podobnych kanapie krzeseł i fortepian.

Był to wprawdzie fortepian niepierwszej młodości: owszem,

politura w wielu miejscach starta, wąskość klawjatury i żółtość klawiszy zdradzały głęboką nawet jego starożytność. Zawsze jednak był to fortepian jedyny w całym Szybowie, przywieziony zaś tu przed rokiem, w przewidywaniu powrotu Mery i dla niej wyłącznie, wywołał był w miasteczku małą rewolucję, a serce pani Hany napełniał wciąż wielką dumą.

Nie brakło też w saloniku tym firanek u okien i kilku glinianych naczyń, w których rosły bardzo brzydkie, coprawda, i źle utrzymane kaktusy i pelargonje. Zdarzyło się przecież raz, przed rokiem, że jeden z kaktusów, wypadkiem jakimś rozkwitł.

Pani Hana postawiła go na oknie od ulicy, a wszystkie dzieci z całego miasteczka zbiegły się pod dom jej i przypatrywały się godzinami całemi wielkiemu czerwonemu kwiatowi.

Owóż, na sprężynowej zielonej kanapie siedziała pani Hana i siostra jej, kupcowa z Wilna, w której domu mieszkała Mera, uczęszczając stamtąd przez trzy lata na pensję, a która teraz osobiście odwiozła do rodziców siostrzenicę swą, przywożąc zarazem syna swego, Leopolda. Postać miała okazałą, tak jak i pani Hana, aksamitną mantylę, własne włosy na głowie i wiele złota wszędzie.

Z dwóch stron stołu, przed kanapą stojącego, siedzieli: gospodarz domu i młody siostrzeniec pani Hany, Leopold; Mera, ładna dziewczyna, z płowemi włosy i białą twarzą, krążyła dokoła fortepianu, pragnąc widocznie uderzyć co prędzej w klawisze, aby odgłosem hucznej muzyki swej napełnić całe miasteczko, ale nie śmiejąc uczynić tego, bo był to dzień sobotni.

W dzień sabatu na instrumencie żadnym grać nie wolno. Wiedziała o tem Mera, ale nie robiłaby sobie nic z tego, gdyby nie wzrok ojca, który wciąż zwracał się ku niej i strzegł ją tam od popełnienia grzechu.

Tytoniu palić w dzień sabatu nie wolno także. Jednak młody Leopold, ładny, wysmukły chłopak lat dwudziestu, siedząc na fotelu w arcyniedbałej postawie, palił papierosa, z którego, nadomiar biedy, cienkie nici dymu przez otwarte okno ulatywały w świat.

Eli wstał i okno zamknął. Na kształtnych ustach Leopolda ukazał się wzgardliwy uśmieszek, Mera nieznacznie ramionami wzruszyła, a pani Hana zapłoniła się cała wstydem.

Na stole, na posrebrzanej tacy, stały różne częstunki: konfitury w miodzie smażone, pierniki z miodu i maku, słodkie wino i t. d.

Pani Hana uprzejmie raczyła gości swych przysmakami temi, które uzupełniały obiad, złożony z ryby gotowanej wczoraj i wczoraj upieczonego kugla.

Ale kupcowa z Wilna zajęta była czem innem zupełnie, niż zajadaniem przysmaków; z wielkiem zajęciem i zachwyceniem przyglądała się pięknym złotym broszom, kolcom i bransoletom, które błyszczały przed nią na tle aksamitnem wybitych pudełek, a z których kilka przyozdobionych było nawet rubinami, perłami i brylantami.

Były to zaręczynowe podarunki, które Saul, w imieniu Meira, przysłał Merze, nazajutrz zaraz po jej przybyciu do Szybowa. Od dwóch dni patrzyły już na nie matka i ciotka narzeczonej, a napatrzyć się ich nie mogły. Matka Leopolda czuła się jednak zmartwioną nieco tem, że syn jej przywiózł przyrzeczonej sobie Lii podarunki nierównie skromniejsze, niż te, które od Meira otrzymała Mera.

— Nu! szczęśliwa dziewczyna! — mówiła, kołysząc głową — jej Pan Bóg prawdziwe szczęście dał! takie podarunki! tacy bogaci ludzie!... Co to! a dlaczego on tu nie przychodzi? — zwróciła się z zapytaniem do siostry.

— Iii — z pogardliwym gestem odrzekła pani Hana — to prości ludzie! U nich taki zwyczaj, że narzeczeni nie bywają u swoich narzeczonych!

— On młody! — wtrącił Eli — wstydzi się!...

Mera usiadła w tej chwili przy stole i, oparłszy głowę na ręce, smutnie jakoś zamyśliła się; Leopold, przeciwnie — zaśmiał się głośno.

— Już ja pewno nie poślę zaręczynowych podarunków — rzekł — dopóki dziewczyny tej nie zobaczę!

— Nu! ty ją zobaczysz! — uspokajająco odrzekła matka — my do nich z wizytą wszyscy pójdziemy!

— A co to za dziewczyna? — zapytała znowu siostry.

— Iii! — odparła, jak pierwej, pani Hana — prosta dziewczyna!

— Ojciec jej, Rafał, daje za nią piętnaście tysięcy rubli — wtrącił Eli.

Leopold ściągnął brwi chmurnie.

— A co mnie z tego? — rzekł — czy ja mogę z piętnastu tysięcy utrzymać się?

— Handel zaczniesz! — zauważył kupiec.

Ale matka ładnego chłopca z gniewem nieledwie zwróciła się ku szwagrowi.

— Handel! — zawołała — on nie do handlu wychowany! Czy my na to dawaliśmy mu wielką edukację, żeby on handlował? On pięć klas skończył i urzędnikiem jest! Teraz on bierze małą pensję, to prawda! ale co to można wiedzieć, co z człowiekiem stanie się! On może gubernatorem będzie... Co to można wiedzieć?

Leopold podniósł brwi w sposób oznaczający, iż czuł się w istocie stworzonym do przepowiadanych mu przez matkę zaszczytów i że przeciw ukazywanej mu perspektywie gubernatorstwa nic nie ma.

Eli uśmiechnął się nieznacznie, ale nie zaprzeczył niczemu. — A co to szkodzi — myślał — że oni głupstwa gadają? niech sobie gadają!

W tejże chwili ładniuchna Mera podniosła utrefioną główkę i do ciotecznego brata przemówiła:

— Cousin! comme c'est ennuyant ici!

— Oui, cousine! cette vilaine petite ville est une place très ennuyante! — odparł, wydymając usta, młody człowiek.

Siedzące na kanapie matki nic a nic nie rozumiały, ale spojrzały wzajem na siebie, zarumieniły się z radości, a Hana, wyciągając przez stół pulchną swą rękę, pogłaskała nią włosy córki.

— Fiszele! — rzekła z nieopisanym uśmiechem błogości i miłości na ustach.

Na Elim francuskie mówienie córki sprawiło także niejakie wrażenie. Twarz jego, stroskana nieco w dniu tym, stała się znowu pogodną, jak zwykle. Wstał i zawołał wesoło:

— Nu, chodźmy! już czas!

Po kilku minutach całe towarzystwo zstępowało z ganku na ulicę. Eli miał znowu minę zafrasowaną. Nic na świecie heretyczniejszem być nie mogło nad ubranie młodego jego krewnego.

Składało się ono z krótkiego, modnego tużurka, połyskującego obuwia i bardzo szeroko rozwartej kamizelki, która ukazywała całe piersi, okryte śnieżnej białości koszulą. W dodatku, młodzieniec ten miał na głowie malutką, zgrabną czapeczkę, z urzędniczą srebrną gwiazdką i — przed wyjściem z domu zapalił znowu papierosa.

Elemu z trudnością przychodziło sprzeciwiać się komukolwiek w czemkolwiek, tem bardziej więc gościowi swemu i ulubieńcowi dwóch wspaniałych kobiet, które swoją drogą szanował też wielce.

Wyszedłszy jednak na ganek i spostrzegłszy tłumy ludu, które w dzień sobotni, jak mrówki, wychodziły na słońce, nie mógł powstrzymać się od przestrogi.

— Słuchaj, Leopold! — rzekł zcicha i łagodnie — rzuć ty tego papierosa! To głupi lud! na co jego przeciw sobie obracać!.. A może — dodał natychmiast — i sam Pan Bóg zabronił palić w sabat! co to można wiedzieć?

Leopold zaśmiał się głośno.

— Już ja nie boję się niczego! — rzekł i, zbiegłszy z ganku, podał ramię Merze.

Leopold tedy i Mera szli przodem, trzymając się pod ręce. Za nimi postępowały dwie wspaniałe matki w bombiastych sukniach, aksamitnych mantylach i kapeluszach z ogromnemi kwiatami. Eli zamykał orszak, idąc zwolna, z twarzą widocznie stroskaną i z rękoma wtył założonemi.

Jeżeli zwrócenie na siebie uwagi licznego tłumu poczytywane być może za triumf, pochód rodziny Witebskich przez plac miasteczka był triumfalnym pochodem. W mgnieniu oka zbiegła się za nimi ogromna gromada dzieci różnej płci i wieku i — z cichemi zrazu okrzykami, potem z wrzaskiem nieopisanym, biec za nimi zaczęła.

Wkrótce do dzieci przyłączyli się podrastający, a nawet całkiem dorośli ludzie; dostojniejsze rodziny wysypały się na ganki domostw, otaczających rynek; we wrotach szkolnego dziedzińca stał melamed, w zwykłem pierwotnem ubraniu swem, i, jakby nie chciał wierzyć własnym, szeroko rozwartym, oczom, patrzał na sunące rynkiem dziwowisko.

Największą uwagę publiczności zwracała młoda para, idąca przodem: Leopold, w swym eleganckim tużurku i z papierosem w ustach, i Mera, w nazbyt nieco bombiastej, barwnej sukni, zwieszona na ramieniu kuzyna i krygująca się trochę, aby tem lepiej okazać swe wielkoświatowe maniery.

Eli szedł jak po żarzących się węglach; pani Hana stąpała jak po wawrzynach. Kupcowa z Wilna rozglądała się po ciemnym tłumie z przymrużonemi oczyma i podniesioną głową.

— Zi! Zi! a szejne puryc! a szejne panienkies! — krzyczały dzieci, biegnąc, skacząc, palce wyciągając i chmury pyłu nogami podnosząc.

— Kto oni są? czy to Izraelici? — zapytywali dorośli i palcami wskazywali na krótkie ubranie i papieros Leopolda.

— Apikores! — nagle ktoś krzyknął w tłumie, i mały ka-

myczek, nie wiedzieć przez kogo rzucony, przeleciał obok głowy Leopolda. Młody człowiek zbladł i odrzucił papiera, przedmiot ogólnego zgorszenia. Eli zmarszczył czoło. Ale pani Hana wyżej jeszcze podniosła głowę i dość głośno rzekła do siostry:

— Nu! trzeba im przebaczyć! to taki ciemny lud!

Leopold przecież nie przebaczył ciśnionego nań kamyczka; widać to było po zalęknionych oczach jego a zaciśniętych ustach, z jakiemi wszedł do bawialnej izby Ezofowiczów.

Tam, na honorowem miejscu, więc na kanapie z żółtą poręczą, siedział stary Saul, w otoczeniu synów swych, synowych i kilkorga starszych wnuków.

Przy jednem z okien, w wygodnym fotelu, siedziała, ubrylantowana, jak zwykle, i jak zwykle drzemiąca, prababka, przy drugiem stał Meir.

Kiedy rodzina Witebskich weszła do obszernej bawialnej izby, Meir przelotnie tylko spojrzał na Merę, jakby osoba jej nie obchodziła go wcale, a zato ciekawy, bystry, gorący wzrok utkwił w Leopoldzie.

Zdawałoby się, iż pragnął co najprędzej zbliżyć się do człowieka tego, przybywającego z szerokich światów, i przeniknąć go nawskroś.

Przez czas jakiś trwały gwarne powitania i wstępne rozmowy. Saul nie opuścił honorowego miejsca swego na kanapie. Córka jego, Sara, żona Bera, robiła honory domu, częstując gości przysmakami i podziwiając głośno piękność kapeluszy i sukni przybyłych pań.

Mera usiadła z gracją na brzeżku prostego stołka i, bawiona przez nieśmiałą, zawstydzoną a zarazem rozradowaną Liję, rzuciła zukosa wejrzenie na stojącego u okna młodzieńca, w którym domyśliła się swego narzeczonego. Ani razu przecież nie spotkała się z jego wzrokiem.

Meir zdawał się nie wiedzieć wcale o jej istnieniu; patrzał wciąż na Leopolda.

Pani Hana, opowiadając z ożywieniem wielkiem i dumą niemniejszą otaczającym ją kobietom o pięknej fontannie, którą widziała kędyś na wielkim świecie, i o muzyce, grającej co niedziela w publicznym ogrodzie wileńskim, rozglądała się po bawialnej izbie Ezofowiczów.

Naprawdę, izba ta, obszerna i schludna, ze swym długim stołem rodzinnym pośrodku, z prostemi drewnianemi stołkami i figurującą wśród nich odwieczną żółtą kanapą, posiadała cha-

rakter zamożności, oszczędnej a porządnej, i była niezrównanie piękniejsza od pstrego saloniku pani Hany.

Znajdowały się w niej też dwie szafy: jedna, oszklona i pełna starych ksiąg, które, według tradycji rodzinnej, należały niegdyś do Michała Senjora; druga, napełniona naczyniami stołowemi, a u której szczytu stał, połyskujący jak złoto, ogromny samowar.

Kiedy wzrok pani Hany padł na ostatni ten przedmiot, spłonęła rumieńcem zawstydzenia: samowar w bawialnym pokoju rodziny jej przyszłego zięcia! Było to wręcz sprzeczne ze wszystkiemi przepisami cywilizacji, o których wiedziała. Wnet potem jednak z wysoce nieprzystojnego przedmiotu tego wzrok jej przesunął się na drzemiącą w fotelu prababkę.

W tej chwili promień zachodzącego słońca padał na nieruchomą postać tę i roziskrzał klejnoty, któremi była okryta. Jak gwiazda płomienna, jaśniało nad pomarszczonem czołem jej spięcie barwistego zawoju; kolce u uszu rzucały tysiące iskier, a perły, okrywające pierś, przybrały bladoróżową barwę.

Pani Hana lekko trąciła siostrę ramieniem.

— Zi! — szepnęła, wskazując jej głową prababkę — jakie brylanty!

Kupcowa z Wilna aż przymrużyła oczy z zachwytu.

— Aj! aj! — zawołała — tożto skarby! A naco takiej starej kobiecie takie bogate rzeczy na sobie nosić? co jej z tego?

Usłyszał wykrzyk ten stary Saul i, z grzeczną powagą pochylając się ku gościom, wyrzekł:

— Ona sobie na to zasłużyła, żeby u nas takie poważanie miała i żebyśmy ją wszystkiemi drogościami okrywali, jakie cała familja posiada. Ona była koroną swego męża, i my wszyscy, jak gałęzie od drzewa, od niej początek bierzemy!

Przymrużył nieco oczy, zakołysał głową i mówił dalej:

— Ona bardzo stara jest teraz, ale niegdyś była młoda i bardzo piękna. A gdzie piękność jej podziała się? Starły ją te lata, te miesiące i te dni, co przeleciały nad nią, jak te ptaki, które, jeden za drugim lecąc, obrywają z krzaka po jagodzie, aż wszystkie oberwą. Ona teraz ma wiele zmarszczek na swojej twarzy, to prawda! Ale skąd wzięły się te zmarszczki? Ja to wiem, bo kiedy na nie patrzę, to w każdej z nich widzę jakiś obraz. Kiedy ja patrzę na te zmarszczki, co ona na powiekach i przy oczach swoich ma, przypominam sobie, jak byłem mały i chorowałem bardzo, a ona nad kołyską moją siedziała, śpie-

wała mi do snu, a z jej oczu lały się łzy. A kiedy ja patrzę na te zmarszczki, co ona ich tak wiele na policzkach swoich ma, mnie przypominają się wszystkie kłopoty i zgryzoty, które ona przenosiła, gdy wdową została, drugi raz zamąż iść nie chciała, a handel sama prowadziła i powiększała majątek swoich dzieci. A kiedy patrzę na tę zmarszczkę, co ona ją pośrodku czoła swego nosi, mnie zdaje się, że ja widzę ten moment, gdy dusza ojca mego, Hersza, rozwiodła się z ciałem, i gdy moja matka padła na ziemię jak nieżywa i długo tak leżała, nie płacząc, nie krzycząc, nie jęcząc, tylko wzdychając cicho: «Hersz! Hersz! mój Hersz!» Był to największy smutek, co spotkał ją w jej życiu, i od tego powstała pośrodku jej czoła największa zmarszczka...

Tak prawił stary Saul, ze wskazującym palcem, uroczyście wzniesionym wgórę, i z uśmiechem zamyślenia na żółtych wargach.

Słuchając go, kobiety wstrząsały głowami napół smutnie, napół przytwierdzająco i, spoglądając na siebie, mówiły zcicha:

— Herst! herst!

Pani Hana zaś była tak rozrzewniona i zachwycona, że aż łzy ukazały się na jej rzęsach. Otarła je batystową chustką, którą trzymała wciąż w ręce, a potem rękę tę wyciągnęła ku Saulowi:

— Danke! danke! — mówiła z uśmiechem wdzięczności na ustach.

— Danke! — powtórzyła za nią większość obecnych, a kupcowa z Wilna, Witebski i parę innych, obcych rodzinie osób rzekli półgłosem:

— A kługer mensz! erłycher mensz!... (mądry człowiek! zacny człowiek!)

Miłość i cześć synowska, okazana przez Saula, a także obrazowe opowiadanie jego o macierzyńskich zmarszczkach, mile wzruszyły wszystkie serca i wyobraźnie.

Młody tylko Leopold, który dotąd, albo siedział milczący i chmurny, albo półgłosem z Merą po francusku rozmawiał, powstał z miejsca swego i zbliżył się ku oknu, przy którem stał Meir.

Wkoło kanapy rozpoczęła się znowu ożywiona rozmowa, zagajona wyrażonem przez panią Hanę ubolewaniem, że była to sobota i że fortepianu nie było, że zatem córka jej nie może zagrać takich pięknych melodyj, iż od nich roztapia się jej serce,

i że przed oczyma jej, pani Hany Witebskiej, staje ogród botaniczny wileński, grająca w nim orkiestra i rozmaite inne rzeczy, należące do utraconego przez nią raju cywilizacji.

Dwaj młodzi ludzie pozostali w odosobnieniu zupełnem; rozmowy ich usłyszeć nikt nie mógł. Zdawało się, że Leopold nie miał zrazu zamiaru przemówienia do Meira. Oddalił się on od towarzystwa w innym wcale celu, który zdradzała wydobyta z kieszeni kamizelki srebrna cygarnica. Ale Meir, gdy tylko zobaczył go zmierzającego ku sobie, postąpił parę kroków naprzód. Twarz jego zajaśniała radością.

— Jestem Meir, wnuk Saula — rzekł, podając gościowi rękę — chcę bardzo ciebie poznać, ażeby wiele rzeczy tobie powiedzieć i wiele od ciebie posłyszeć...

Leopold ukłonił się wykwintnie, lecz ceremonjalnie, i zaledwie dotknął otwartej, ciepłej dłoni rówieśnika. Smutek mignął w rozjaśnionych radością oczach Meira.

— Ty niebardzo chcesz mnie poznać — rzekł — i ja temu nie dziwię się. Ty jesteś edukowany, nauki wszystkie posiadasz, a ja — prosty Żyd, który biblję i talmud zna dobrze, ale więcej nic. Jednak ty mię posłuchaj! Ja wiele różnych myśli w mojej głowie noszę, ale tylko one jeszcze w nieporządku są. Może ty mi powiesz co takiego, co mię mądrym zrobi?

Leopold słuchał mowy tej, drżącej naprzód łagodną pokorą, a potem zapałem młodzieńczym, a słuchał z ciekawością, w której był też odcień szyderstwa.

— I owszem! — rzekł — jeżeli pan chce dowiedzieć się czego ode mnie, to ja panu powiem! Czemu nie? ja wiele mogę powiedzieć!

— Leopold! ty nie nazywaj mnie panem. Mnie to przykro, bo ja ciebie bardzo kocham...

Leopolda zdziwiło naiwne to oświadczenie.

— Mnie to bardzo miło — wymówił — ale my pierwszy raz widzimy się z sobą!

— To nic! — zawołał Meir — ale ja dawno już chciałem zobaczyć takiego Izraelitę, jak ty jesteś... i powiedzieć jemu, co rabbi Eljezer powiedział jerozolimskiemu mędrcowi: «Niech ja będę twoim uczniem, a ty bądź moim nauczycielem!»

Tym razem zdziwienie wyraźnie już bardzo odmalowało się na twarzy młodego światowca, i wyraźniejszym stał się towarzyszący mu odcień szyderstwa. Widać było, że nic a nic nie

rozumiał mowy młodzieńca i uważał go jakby za napół dzikiego człowieka.

Meir w zapale swym nie spostrzegł wywieranego przez się wrażenia.

— Leopold! — zaczął — ile ty lat uczyłeś się w cudzej szkole? — zapytał Meir.

— W jakiej cudzej szkole? — zapytał Leopold.

— Nu, w tej szkole, w której różnych nie żydowskich nauk ludzie uczą się?

Leopold zrozumiał. Przymrużył oczy, wydął usta i odpowiedział:

— No! ja do gimnazjum przez pięć lat chodził!

— Pięć lat! — zawołał Meir. — To ty bardzo uczony jesteś, kiedy tak długo do tej szkoły chodziłeś!

— No — z pobłażliwym uśmiechem odparł gość — są na świecie ludzie uczeńsi jeszcze ode mnie!

Meir przybliżał się coraz bardziej do towarzysza, i oczy jego coraz żywiej błyszczały.

— A czego tam uczą w tej szkole? — zapytał.

— Różnych rzeczy.

— A jakie to są te różne rzeczy?

Leopold, z ironicznym nieco uśmiechem na ustach, zwolna recytować zaczął nazwy wszystkich nauk, udzielanych w szkołach.

Przerwał mu żywo Meir:

— I ty wszystkie te nauki znasz?

— A jakże! — odpowiedział gość.

— A co ty teraz z tem robisz?

Pytanie to, wymówione z ciekawością nadzwyczajną, wprawiło w osłupienie ładnego chłopca.

— Jakto, co robię? — zapytał.

— Nu, ja chcę wiedzieć, jakiemi myślami nauki te napełniły twoją głowę, i co ty z myślami swemi na świecie robisz?

— No! jakto, co ja robię? Ja urzędnikiem jestem; w kancelarji samego gubernatora ważne papiery przepisuję.

Meir pomyślał chwilę.

— To nic, że ty w kancelarji papiery przepisujesz; ja nie o tem chciałem wiedzieć. Ty to dla zarobku robisz: każdy człowiek zarabiać musi. Ale ja chciałem wiedzieć: co ty sobie myślisz, kiedy czasem sam jeden zostaniesz, i co tobie te myśli twoje robić na świecie każą?

Leopold szeroko otwierał oczy.

— No! — zawołał zniecierpliwiony — o czem ja mam myśleć! Ot, jak powrócę z biura, to siedzę sobie w domu, papierosa palę i myślę, że jak ożenię się i posag wezmę, a ojciec odda mi to, co mi od niego należy się, kamienicę sobie kupię, na dole w kamienicy piękne sklepy urządzę, pierwsze piętro bogatym jakim ludziom w arendę puszczę, a sam na drugiem mieszkać będę. Teraz nawet sprzedają tam jedną kamienicę bardzo piękną, i jabym ją chciał kupić. Ona ze dwa tysiące rubli na rok dochodu da, i oficyny jeszcze są przy niej dobre...

Tym razem przyszła na Meira kolej dziwienia się.

— I ty, Leopold, o niczem więcej nie myślisz, tylko o tej kamienicy? — zapytał.

— No, a o czem ja mam myśleć! U *mnie*, dziękować Bogu, kłopotów żadnych na głowie niema. Mieszkanie i stół u rodziców mam, a na ubranie wystarcza mi ta pensja, co ją w kancelarji biorę.

Meir utkwił wzrok w ziemi. Na czole jego zarysowała się zmarszczka, jak zwykle u niego bywało, gdy uczuwał się czemś przykro dotkniętym.

— Słuchaj, Leopold — rzekł po chwili głębokiego namysłu — czy tam u was, w wielkiem mieście, niema wcale biednych i ciemnych Żydów?

Leopold zaśmiał się.

— A gdzie ich niema? Jest ich i tam bardzo dużo!

— A co ty sobie myślisz, kiedy na nich patrzysz? — gwałtownie zapytał Meir.

— Co ja mam myśleć? Myślę, że oni są bardzo głupi — i brudni!

— I ty, patrząc na nich, o niczem więcej nie myślisz? — powtórzył Meir, ale szeptem już prawie.

Leopold otworzył cygarnicę i wydobywać z niej zaczął papierosa. Meir w zamyśleniu swem nie zwrócił na to uwagi.

— Leopold! — zaczął po chwili z rozbudzoną na nowo energją — ty tej kamienicy w wielkiem mieście nie kupuj!

— A dlaczego ja kupować jej nie mam?

— Ja tobie powiem dlaczego. Tobie siostrę moją stryjeczną przyrzekli. To dobra i rozumna dziewczyna. Ona edukacji żadnej nie ma, ale chciała zawsze ją mieć i bardzo ucieszyła się, gdy jej powiedzieli, że ona edukowanego męża będzie miała. Ty z nią ożenisz się, a jak ożenisz się, to poproś wielkich urzęd-

ników, żeby tobie w Szybowie pozwolili szkołę dla Żydów urządzić, taką szkołę, w którejby nietylko tory i talmudu, ale i innych, cudzych nauk uczyli... Ty sam nad tą szkołą cały zarząd będziesz trzymał, a mnie nauczysz, jak ja tobie pomagać mam...

Leopold śmiał się, ale Meir, cały rozpromieniony radością, jaką sprawiał mu pomysł własny, nie spostrzegł tego. Pochylił się bardziej ku towarzyszowi i na ucho mu prawie szeptał:

— Ja tobie powiem, Leopold! U nas w Szybowie wielka ciemnota panuje, i jest wielu bardzo biednych ludzi, co w wielkiej nędzy żyją. Ale są tutaj i tacy ludzie, — wszyscy młodzi, — którym bardzo smutno, że oni innego świata i innych nauk nie znają. Oni bardzo chcieliby je poznać, ale niema nikogo, ktoby pomógł duszom ich z ciemnicy powychodzić. I jest tu jeden wielki rabin, Izaak Todros, bardzo srogi, którego wszyscy lękają się; i są kahalni urzędnicy, którzy biedny naród bardzo uciskają... Żebyś ty tu przyjechał i innych edukowanych ludzi z sobą przywiózł, i razem z nimi dopomógł nam wszystkim wyjść z ciemnoty, biedy i smutku!

Mówił to wszystko z nadzwyczajnym zapałem, z triumfującem czołem i gorącą prośbą w głosie. Lecz nic dorównaćby nie mogło zdziwieniu i zarazem szyderstwu, z jakiem mowy jego słuchał młody Leopold. Wydobywał on teraz ze srebrnego pudełeczka zapałkę i twarz pochylił nieco, aby nie ukazać wstrząsających nią uśmiechów.

— Nu — rzekł Meir — co ty sobie myślisz o tem, co ja powiedziałem? czy to dobry projekt?

Leopold dotknął ściany końcem zapałki i odpowiedział:

— Ja myślę sobie, że jak ja o twoim projekcie powiem mojej familji i moim kolegom w biurze, to oni z niego bardzo śmiać się będą...

Iskrzące się przedtem oczy Meira zgasły nagle.

— Z czego tu śmiać się? — szepnął.

W tejże chwili Leopold zapalił trzymanego w ręku papierosa. Błękitny, wonny dymek rozszedł się po izbie i zaleciał ku miejscu, w którem liczne towarzystwo obsiadło było stół przed żółtą kanapą.

Rafał podniósł głowę ze zdziwieniem i obejrzał się. Spojrzał też w stronę okna stary Saul i podniósł się nieco z kanapy.

— Bardzo przepraszam — rzekł grzecznie, ale stanowczo —

ja nie pozwalam, żeby w moim domu ludzie robili to, na co nie pozwala święty nasz zakon!

Rzekłszy to, usiadł spokojnie, patrząc jednak na Leopolda z pod siwych brwi, które zjeżyły się nieco.

Leopold poczerwieniał czerwonością szkarłatu, rzucił papierosa na ziemię i z tłumionym gniewem zgasił go nogą.

— No! ot jaka tu u was grzeczność! — rzekł do Meira.

— A naco ty, Leopold, w sabat papierosy palisz?

— A ty nie palisz? — z ironją i niedowierzaniem patrząc w oczy towarzyszowi, zapytał gość.

— Nie palę — stanowczo odparł Meir.

— To ty chcesz dusze ludzkie z ciemnicy wyprowadzić, a wierzysz, że nie palić tytoniu w sabat, to święty zakon?

— Nie, ja w to dawno przestałem wierzyć! — równie stanowczo jak i pierwej odparł Meir.

— To ty chcesz buntować ludzi przeciw wielkiemu rabinowi i kahalnym, a sam ustępujesz?...

Oczy Meira zaświeciły znowu, ale tym razem gniewnie jakoś i szydersko.

— Żeby szło o to — zaczął — aby jaką duszę ludzką od ciemnoty, albo jakie ciało ludzkie od nędzy wybawić, jabym nie ustępował, bo to ważne rzeczy są; ale kiedy idzie o to, aby ustom moim przyjemność zrobić — ja ustępuję, bo to głupstwo jest; a choć ja nie wierzę, aby zakon ten święty był i od samego Pana Boga pochodził, ale starsi w to wierzą, a mnie się zdaje, że kto starszym sprzeciwia się dla głupstwa, ten wielką niegrzeczność robi!

Leopold, wysłuchawszy przemówienia tego, odwrócił się od Meira i poszedł ku siedzącej wciąż na brzegu krzesła Merze. Meir wiódł jeszcze za nim przez chwilę wzrokiem, w którym malowały się uczucia zawodu i gniewu, potem odszedł od okna i szybko izbę opuścił.

Nagłe to oddalenie się młodego człowieka wywarło silne wrażenie na kobiecej części towarzystwa. Mężczyźni zaledwie zwrócili na nie uwagę: tak im się to naturalnem, a poczęści i chwalebnem, wydawało, że narzeczony przez skromność i zawstydzenie unikał widoku wybranej dla siebie przez starszych oblubienicy.

Ale kupcowa z Wilna i pani Hana zasępiły się widocznie, a Mera pociągnęła matkę za suknię i szepnęła:

— Maman! idźmy już do domu!

Meir tymczasem szybko zmierzał ku mieszkaniu przyjaciela

swego, Eljezera, lecz zajrzał tylko przez otwarte okno niskiego budynku i poszedł dalej, bo izdebka kantora była pusta. Wiedział snadź, gdzie szukać towarzyszy swych; zdążał prosto ku znajdującej się za miasteczkiem łące.

Jak przed kilku tygodniami, łąka ta, prawdziwa tu oaza ciszy i świeżości, kąpała się cała w różanych blaskach zachodu. Porastające ją bujne trawy nie posiadały wprawdzie wiosennej szmaragdowej barwy, bo zwarzyły je nieco letnie upały; lecz wzamian rozkwitały pośród nich puszyste kępy, albo wysmukłe kielichy dzikich kwiatów, napełniających powietrze mocną wonią.

U stóp gaju, pod gęsto rosnącemi brzozami, siedziała i wpół leżała na trawie gromadka ludzi, złożona z dorosłych już, lecz bardzo młodych, mężczyzn. Jedni z nich, pochyleni ku sobie, rozmawiali półgłosem; inni machinalnie rwali rosnące dokoła nich rośliny i układali z nich barwiste więzie; inni jeszcze, z twarzami zwróconemi ku błękitnym obłokom, po których mknęły złotawe chmury, nucili zcicha.

Opodal nieco, przy sadzawce, której brzegi zwieńczone były teraz gęstemi kępami niezapominajek, a powierzchnię pokrywały długie liście i szerokie kwiaty wodnych roślin, siedziała w nieruchomej postawie wysmukła dziewczyna, z ciemną, chudą twarzą, z ogromnemi czarnemi oczyma i koralowym naszyjnikiem, opadającym na grubą koszulę.

Obok niej, wśród kalinowych krzaków, obciążonych gronami ponsowych jagód, pasła się biała koza, skubiąc tu i owdzie trawę i liście.

Meir szybko zdążał ku gromadce młodych ludzi, czerniejącej u stóp gaju. Widać było, że i oni także oczekiwali przybycia jego z niejaką niecierpliwością, bo ci z nich, którzy leżeli na trawie, spostrzegłszy go, podnieśli się i usiedli z wlepionemi w twarz jego oczyma.

Wszedł pomiędzy towarzyszy swych, nie witając ich ani jednem słowem, nie patrząc na nich, i usiadł na obalonym przez burzę grubym pniu brzozowym. Smutnym wydawał się, ale bardziej jeszcze gniewnym. Młodzi ludzie milczeli i patrzyli na niego z niejakiem zdziwieniem.

Eljezer, który leżał na trawie, z ramieniem wspartem o kłodę, na której usiadł Meir, pierwszy zapytał:

— Nu, a co? widziałeś jego?

— Widziałeś jego? — powtórzyło teraz chórem kilka głosów. — Jaki on jest? czy on bardzo uczony i rozumny?

Meir podniósł twarz i z uśmiechem zawołał:

— On uczony jest, ale bardzo głupi!

Wykrzyk ten obudził pośród młodych ludzi najwyższe zdziwienie.

Po dość długiem dopiero milczeniu Arjel, syn wspaniałego morejna Kalmana, wymówił z namysłem:

— A jak to może być, żeby człowiek uczony był i razem głupi?

— A skąd ja mogę wiedzieć, jakim sposobem to może być? — odpowiedział Meir, i oczy jego roztworzyły się szeroko, jakby spoglądał w niezgłębioną, straszną jakąś przepaść.

Wnet potem zawiązała się rozmowa, złożona z nadzwyczajnie szybko następujących po sobie pytań i odpowiedzi.

— Co on tobie mówił?

— On mnie same tylko głupie i złe rzeczy mówił!

— Dlaczego ty nie pytałeś się go o rzeczy rozumne?

— Ja pytałem się, ale on nie rozumiał nawet, czego ja od niego chcę!

— A czy tobie on nie powiedział, o czem on myśli?

— On powiedział, że myśli o tem, żeby kupić sobie piękną kamienicę, która jemu dwa tysiące rubli dochodu dawać będzie!

— O kamienicy może on sobie myśleć, ale o czem on więcej myśli?

— On powiedział, że o niczem więcej nie myśli!

— A co on tam na świecie robi?

— On w kancelarji papiery przepisuje, a jak powróci z kancelarji, papierosy pali i o kamienicy myśli.

— A co on o tych Żydach myśli, którzy edukacji takiej, jak on, nie odebrali i w wielkiej ciemności, albo w wielkiej nędzy żyją?

— On o nich myśli, że to głupi i brudny naród jest!

— A co on tobie mówił, jak ty jemu powiedziałeś o nas wszystkich, którzy chcemy dusze nasze z ciemnicy wybawić, a nie możemy?

— On mówił, że jak on o tem swojej familji i swoim kolegom opowie, to oni będą bardzo śmiać się!

— A z czego tu śmiać się? — zapytali chórem młodzi ludzie.

Potem nastąpiło długie milczenie, aż ze wszystkich razem piersi wybuchnął nagły i namiętny wykrzyk:

— A szlechter mensz! (zły człowiek).

Po chwili stryjeczny brat Meira, Chaim, syn Abrahama, wymówił:

— Meir! to ta edukacja i nauka, której my bardzo chcemy. zła chyba jest, kiedy ona ludzi złymi i głupimi czyni?

A dwaj czy trzej młodzieńcy jednocześnie zawołali:

— Meir! wytłumacz ty nam to!

Meir spojrzał po twarzach towarzyszy mętnym wzrokiem i, opuszczając bladą twarz na obie dłonie, odpowiedział:

— Ja już nic nie wiem!

W krótkiej odpowiedzi tej ozwało się głębokie, stłumione łkanie. Ale w te chwili podniosła się wgórę biała ręka kantora i odciągnęła od zmartwionej twarzy przyjaciela zakrywające ją dłonie jego.

— Niech serca wasze w wielki smutek nie zapadają! — mówił Eljezer — ja zaraz poproszę mistrza naszego, ażeby on na pytanie wasze odpowiedział.

Mówiąc to, podniósł z ziemi wielką księgę, starannie w zaroślach gaju ukrytą, i z triumfującym uśmiechem na łagodnych ustach ukazał towarzyszom pierwszą jej kartę. Na karcie tej wielkiemi literami wydrukowane było imię i nazwisko Mojżesza Majmonidesa.

Młodzi ludzie, wytwarzający teraz ściśle zwartą i zespoloną gromadkę, otoczyli Eljezera kołem. Na twarzach ich rozlał się wyraz uroczystej uwagi: mędrzec izraelski miał przecież przemówić do nich ustami ukochanego ich piewcy! Mistrz to był stary, zapomniany przez jednych, przez innych wyklęty, lecz dla nich święty i drogi, bo dotąd jedyny.

Odkąd duch mistrza tego, w postaci kilku ksiąg grubych, przywiezionych tu przez wracającego z dalekich światów Eljezera, wionął nad ich głowami, uczuli nieznany im dawniej wir myśli, bunt uczuć, — smucić się, tęsknić i pragnąć zaczęli; a jednak za smutek i tęsknotę wdzięczni mu byli, a w strapieniach i wątpliwościach swych biegli ku niemu.

Niestety! nie na wszystkie zapytania i skargi ich miał on odpowiedź i pociechę! Wieki upłynęły, czasy zmieniły się, długi łańcuch nowych i coraz to nowe prawdy niosących genjuszów nad światem przeciągnął...

Ale oni o żadnych innych genjuszach, prócz tego jednego, nie wiedzieli nic; a teraz, gdy otworzono przed nimi wielką księgę, gotowali się, z radością i uroczystym nastrojem, do przyjęcia w piersi swe oddechu starej jego mądrości.

Eljezer jednak nie odrazu czytać zaczął: przewracał karty książki, szukając ustępu stosownego do okoliczności.

Tymczasem dziewczyna, siedząca dotąd u brzegu sadzawki, powstała z pośród niezapominajek i kalin i brzegiem gaju, zwolna i cicho, przesuwała się ku gromadce młodych ludzi. Zdala już widzieć można było, jak czarne ogromne jej oczy tkwiły nieruchomo w twarzy Meira.

Biała koza szła tuż za nią. Zniknęły obie na chwilę w zaroślach gaju, poczem wśród uplotów gałęzi brzozowych zjawiła się i o parę kroków za Meirem stanęła Gołda.

Przyszła tak cicho, że nikt jej nie spostrzegł; ramieniem otoczyła cienki pień brzozy i, głowę opierając na kołyszącej się lekko gałęzi, wzrokiem objęła pochyloną nieco głowę Meira. Innych tam obecnych ludzi zdawała się nie widzieć.

W tej samej chwili, dźwięcznym, czystym jak kryształ głosem, Eljezer zawołał:

— Słuchaj, Izraelu!

Słowami temi zaczyna się wiele świętych psalmów i każde pobożne czytanie Izraelitów. Dla młodzieńców, otaczających Eljezera, słuchanie słów starego mistrza psalmem czci, głęboką modlitwą ducha być miało.

Eljezer, śpiewnym i kołyszącym się nieco głosem, czytać zaczął:

«Uczniowie moi! zapytujecie mię, jaka siła pociąga wgórę świetliste istoty niebieskie, które zowiemy gwiazdami, i dlaczego jedne z nich podnoszą się tak wysoko, że giną w mlecznych mgłach, a inne ciężko płyną pod niebo i zostają daleko za siostrami swemi?

«Odkryję przed wami tajemnicę, której ciekawi jesteście.

«Siłą pociągającą wgórę świetliste ciała niebieskie jest Doskonałość, która mieszka na wysokościach najwyższych, a która w języku ludzkim ma imię Bóg.

«Gwiazdy, przejęte dla Doskonałości miłością i tęsknotą, podnoszą się wciąż wgórę, aby dostąpić większej jej bliskości, a z Mądrości jej i Dobroci coś dla siebie wziąć.

«Płyną one po przestrzeni przez wieki wieków, i te z nich, które najbardziej rozkochane są w Doskonałości, zapłynęły już najwyżej, a te, co, z cięższej materji złożone, słabiej pragną przyjąć w siebie cząstkę Boskiej światłości, zostały daleko za siostrami swemi...

«Uczniowie moi! od tych istot świetlistych, które najmocniej tęsknią i pragną i najbliżej Doskonałości są, pochodzą

wszystkie zmiany, które stają się na podksiężycowym świecie... One to sprawiają przechodzenie i powstawanie, z nich rodzą się kształty i obrazy...»

Umilkł Eljezer i podniósł twarz z nad książki. Turkusowe oczy jego promieniały radością.

Młodzi ludzie jednak myśleli i myśleli długo, usiłując dopatrzyć się w przeczytanym im ustępie mędrca rozstrzygnięcia dręczących ich wątpliwości.

Meir pierwszy zawołał:

— Eljezer! ja zrozumiałem!

— Wytłumacz nam! — zawołali chórem młodzieńcy.

Meir z rozwagą rzekł:

— Są ludzie, co, jak świetliste istoty niebieskie, o których pisze mędrzec, podnoszą dusze swoje wgórę z tęsknoty za Doskonałością. Oni wiedzą o tem, że Doskonałość jest, i pragną z Mądrości i Dobroci jej wziąć coś w siebie. Ale są i tacy ludzie, co, jak te gwiazdy z cięższej materji złożone, o których pisze mędrzec, nie kochają Doskonałości i nie pną się pod górę z tęsknoty za nią. Tacy ludzie trzymają duchy swoje nisko...

Zrozumieli teraz wszyscy. Radość promieniała na wszystkich twarzach. Tak drobnej, drobnej okruszyny wiedzy i prawdy trzeba było, aby rozradować duchy te ubogie, a przecież tak bogate!

Meir pochwycił z rąk przyjaciela dobrze snadź znaną sobie książkę i na innej karcie jej przeczytał jeszcze:

— «Aniołowie sami równymi sobie nie są. Stoją oni jeden nad drugim, jak na szczeblach drabiny, a najwyższym z nich jest Duch, wydający z siebie myśl i poznanie. Ten duch jest ożywiającym Rozumem, a hagada nazywa go książęciem świata! (Sar-ha-Olam)».

— Najwyższym aniołem jest Duch, wydający z siebie myśl i poznanie, a hagada nazywa go «książęciem świata» — powtórzył za Meirem chór głosów młodzieńczych.

Wątpliwości ich pierzchnęły. *Poznanie* odzyskało znowu cześć w ich umysłach, obudziło tęsknotę w sercach, a przed oczyma przesunęło się w postaci anioła nad aniołami, lecącego nad światem w purpurze książęcej, ze świetlistą obsłoną wyłonionych przez się myśli.

Zaduma legła na czołach i w oczach młodzieńców. Zadumą cichego wieczora oblekała się wkoło nich kwiecista łąka i leżąca za nią żółta równina.

Przed nimi stanęły nad dalekim lasem szkarłatne chmury,

za które skryła się tarcza słoneczna; za nimi gaj zielony drzemał nieruchomo i w mroczny cień zapadał.

Po łące i dalekich polach popłynął srebrzysty, przeciągły głos Eljezera.

— «We śnie ujrzałem ducha ludu mego!» — śpiewać zaczął biały piewca Jehowy.

A pieśń to była nie wiedzieć skąd, nie wiedzieć jak powstała. Kto utworzył ją? nikt powiedziećby nie potrafił. Wiersz jej pierwszy podał podobno przyjaciołom swym Eljezer, po jednym ze snów swych tajemniczych i ekstatycznych, które nawiedzały go często; drugi dorobił Arjel, syn Kalmana, wtedy, gdy w cienistym gaju samotnie grał na skrzypcach.

Były w niej i takie, które wybuchnęły z piersi Meira, i inne, które nieśmiało wyszeptał, dziecięcemi prawie usty, Chaim, syn Abrahama.

Tak powstają wszystkie pieśni ludowe. Rodowodem ich — serca tęskniące, myśli uciśnione, instynktowe rwanie się ku lepszemu życiu.

Tak powstała i w Szybowie pieśń, którą teraz śpiewać zaczął kantor:

— «We śnie tęsknym ujrzałem ducha ludu mego.
«Czy miał on na ramionach purpurową szatę?
«Czy po świecie nosiły go wozy bogate
W blasku chwały?»

Tu z głosem piewcy połączyły się głosy inne, a po łąkach i polu rozległ się potężny chór odpowiedzi:

— «W prochu dróg kamienistych były stopy jego!
I prochem siwa głowa była osypana!
I łachmany słoniły mu chude kolana,
Które drżały!»

W tem miejscu w chór śpiewających głosów młodzieńczych wmieszał się szept, wychodzący z brzozowych zarośli:

— Szaa! tu są ludzie, co was słuchają!

W istocie na drodze gaj przerzynającej czerniało w zmroku kilka postaci męskich, bardzo powoli, powoli postępujących ku łące.

Ale śpiewacy nie słyszeli ani przestrogi Gołdy, ani szmeru zbliżających się kroków.

Druga strofa pieśni rozbrzmiała po łące:

— «Och! smutny, biedny duchu ludu mego!
Czy dróg twych oczy Pana już nie strzegą?
Gdzie rozwiała się wielka pyszność Twego tronu?
Czy na wieki powiędły już lilje Saronu?
Czy złamały się nawskroś już cedry Libanu?
Czy nie zabrzmi już nigdy na podziękę Panu
Chóralny Twój śpiew?»

Ostatni wiersz pieśni brzmiał jeszcze, gdy z drogi, gaj przerzynającej, weszli na łąkę trzej mężczyźni. Mieli oni na sobie odświętne, czarne, długie ubrania, a przepasani byli kolorowemi chustkami, które w dzień sabatu noszone zwykłym sposobem być nie mogą, ale, opasując odzież, część jej stanowią i grzechu nie czynią.

Pośrodku szedł ojciec kantora, Jankiel Kamionker; po obu stronach jego postępowali Abram Ezofowicz, ojciec Chaima, i morejne Kalman, ojciec Arjela.

Pomimo zmroku, przy ostatnich światłach dnia ojcowie poznali synów swych, a synowie — ojców. Głosy młodzieńców zadrżały, przycichły i zkolei umilkły, aż zamilkło całe grono śpiewaków, i jeden tylko głos nie ustąpił i śpiewał dalej:

— «Czy nie wyjdziesz już nigdy z głębokich ciemności,
Czy nie zadrżą w mogiłach ojców twoich kości
Z dumy i rozradowania?»

Był to głos Meira.

Poważni mężowie, przebywający łąkę, stanęli i obrócili się twarzami ku skupionej u gaju gromadce młodzieńców, a w tejże chwili z samotnym głosem męskim połączył się głos kobiecy: czysty, donośny głos Goldy, która, ujrzawszy rozgniewane postacie mężów, stojących wśród łąki, zawtórowała Meirowi tak, jakby chciała połączyć się z nim we wspólnej odwadze i wspólnem może — niebezpieczeństwie.

I, nie zważając na milczenie towarzyszy, ani na groźne, ciemne postacie, wśród łąki stojące, połączone z sobą głosy te śpiewały dalej:

— «Niechaj nogi twe spoczną, niech rany się zgoją,
Niechaj blaski świetliste ze zdroju mądrości
Ukoją twoje bóle, nędze i ciemności!
Niechaj zabrzmi dla ciebie trąba Zmartwychwstania!
Niechaj z kajdan uwolni smutną duszę twoją
Anioł Poznania!»

Z ostatnim wierszem umilkły pieśń tę wzniosłą śpiewające głosy: męski i kobiecy.

Dostojnicy gminy, stojący dotąd wśród łąki, zwrócili się ku miasteczku i, głośno, gniewnie rozmawiając z sobą, dążyli ku domowi Ezofowiczów.

* * *

Abram, syn Saula, różnił się wielce od starszego brata swego, Rafała. O ile wysoki, czarnowłosy, piękny jeszcze, mimo swych lat pięćdziesięciu kilku, Rafał poważny był, rozważny i małomówny, o tyle niski, przygarbiony, z popielatemi od siwizny włosami, Abram zapalczywym wydawał się, wrażliwym i namiętnym.

Mowa jego była prędka; gesty posiadały gwałtowność namiętnej natury; wzrok iskrzył się i ponuro najczęściej opadał ku ziemi.

Obaj bracia byli uczeni i uczonością swą zdobyli sobie oddawna wysoko cenioną w gminie godność morejnowską. Ale Rafał studjował przedewszystkiem talmud i uchodził za jednego z największych znawców jego; Abraham zaś przekładał mistyczne zaciekanie się w przepaściste tajemnice zoharu.

Rafał posiadał w daleko wyższym stopniu, niż brat jego, szacunek i zaufanie innowierców, z którymi wiódł interesa liczne; Abram zato cieszył się żywszą sympatją ludności szybowskiej, większą łaską rabina i ściślejszą przyjaźnią z dostojnikami, więc z mędrcami i bogaczami gminy.

Najściślejsza przyjaźń łączyła go z dwoma wysokimi urzędnikami kahału: morejne Kalmanem i pobożnym Janklem Kamionkerem.

Poza miasteczkiem trzej ci mężowie wspólnikami byli w wielu handlowych sprawach, takich, jak: kupna, sprzedaże, dzierżawy; w miasteczku, w dniach odpoczynku, schodzili się z sobą często na wspólne nabożne czytania i rozmyślania, a każ-

dej soboty odbywali razem przechadzki zamiejskie, o tyle dalekie, o ile pozwolono jest prawemu Izraelicie oddalać się w dzień ten od ściany mieszkania swego.

Nigdy więc nikt nie widział, aby oddalili się oni od mieszkań swych więcej, niż o dwa tysiące kroków, i czasem tylko, kiedy głębie cienistego gaju wabiły zbyt ponętnie czoła ich, spalone skwarem i osypane kurzawą, napełniającą miasteczko, pochylali się ku ziemi i na miejscu tem, na którem stopa ich stanęła po raz dwutysięczny, zakopywali mały okrawek domowego chleba.

Tym sposobem miejsce chroniące w sobie okrawek domowego chleba przedstawiało już sam dom ich, i wolno im było przedłużyć przechadzkę swą o dwa tysiące kroków.

Idąc zresztą, milczeli zazwyczaj, ponieważ ze skrupulatnością nieporównaną liczyli w myśli swej czynione przez się kroki; ludzie zaś prości, ubodzy na ciele i duchu, widując ich, idących tak zwolna w milczeniu i z zamyślonemi twarzami, dziwowali się wielce mądrości i uwielbiali prawowierność uczonych swych i bogaczy, — podnosili się z miejsc swych na widok ich i nie siadali póty, dopóki nie utracili z oczu poważnie sunących się postaci, albowiem napisano jest: «Kiedy zobaczysz przechodzącego mędrca, powstawaj i nie siadaj dopóty, dopóki nie zniknie z oczu twych».

Przy powrocie jednak z przechadzek rozwiązywały się języki trzech dostojników. Nie potrzebowali już oni zwracać pilnej uwagi na każde stąpnięcie nóg własnych: toczyli więc rozmowy poufne i ożywione, w których przecież Kamionker brał udział największy, a Kalman najmniejszy; pierwszy bowiem najgadatliwszy był, a drugi najbardziej milczący z pomiędzy wszystkich mędrców, którym przyświecało kiedykolwiek słońce.

Kalman uśmiechał się zawsze pulchnemi usty i wydawał się wzorem łagodności, jako też doskonałego zadowolenia z całego świata i przedewszystkiem z samego siebie; Kamionker, przeciwnie, nie śmiał się nigdy prawie, miał pozór człowieka wiecznie czemś zgryzionego, a małe oczy jego rzucały czasem błyski dzikiej srogości.

Nigdy przecież mieszkańcy nędznych uliczek, położonych u skraju miasteczka, nie widzieli trzech poważnych i poważanych mężów, idących tak śpiesznie i rozmawiających tak gwarnie, jak wieczora tego, w którym po zielonej łące i żółtej równinie rozbrzmiewały echa chóralnej pieśni młodzieńczej.

Sam nawet wspaniały Kalman odzywał się ze swą mądrością, nieodstępnego uśmiechu swego się pozbył, jedną rękę z kieszeni wydobył.

Co się tyczy Jankla Kamionkera, ten tak gwałtownych ruchów dokonywał, idąc, że aż poły długiej odzieży jego rozwiewały się na obie strony, nakształt czarnych, łopoczących skrzydeł.

Wreszcie Abram Ezofowicz chustkę, którą opasany był, rozwiązał i w ręku nieść zaczął. Oznakę tę bezprzytomnego prawie uniesienia spostrzegł Kalman i wnet cichemi słowy przestrzegł przyjaciela, iż przez nieuwagę grzech popełnia. Abram umilkł nagle, bo strasznie przeraził się własnym czynem, i z pośpiechem wielkim biodra swoje na nowo chustką przepasał.

Stało się to już na ganku domostwa Ezofowiczów. W ciemnym, wąskim korytarzu rozległy się szybkie kroki i gwałtownie rozwiewające się poły sukni. Trzej mężowie weszli do izby, w której stary Saul siedział na żółtej kanapie, czytając wielką księgę jakąś, przy świetle dwóch świec, palących się w ciężkich staroświeckich, srebrnych lichtarzach.

Saul, ujrzawszy wchodzących gości, zdziwił się nieco; pora była bowiem spóźniona i do odwiedzin niewłaściwa. Powitał ich przecież przyjaznem skinieniem głowy i wskazał ręką krzesła, przy kanapie stojące.

Przybyli dostojnicy nie zajęli miejsc sobie wskazanych, lecz stanęli wszyscy trzej przed Saulem. Jakkolwiek twarze ich gniew rozogniał, postawy ich były uroczyste. Ułożyli się snadź między sobą o sposób i porządek oskarżenia, pierwszy bowiem Kamionker głos zabrał.

— Rebe Saulu! — rzekł — przyszliśmy tu ze skargą na wnuka twego, Meira!

Po twarzy Saula przebiegło przykre, bolesne niemal drgnienie.

— A co on złego zrobił? — zapytał cichym głosem.

Kamionker, zrazu uroczyście, potem zaś coraz bardziej unosząc się i miotając, mówił:

— Wnuk twój, Meir, synów naszych psuje! on dusze ich buntuje przeciw nam i świętym zakonom naszym; czyta im książki wyklęte i w sabat świeckie pieśni śpiewa! Ale on nietylko to robi! On z karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma, i my widzieliśmy teraz na łące, jak synowie nasi u nóg jego, niby u nóg mistrza jakiego, leżeli, a nad głową jego ka-

raimska dziewczyna stała i razem z nim śpiewała obrzydliwe pieśni!

Zdyszany od zapalczywego mówienia, umilkł na chwilę reb Jankiel, a morejne Kalman, patrząc na Saula swemi miodowemi i nieco osowiałemi oczyma, wyrzekł zwolna:

— Mój syn Arjel tam był, i ja jego za to ukarzę!

Abram, patrząc ponuro w ziemię, wymówił także:

— I mój syn, a twój, ojcze, wnuk, Chaim, tam był, i ja jego za to ukarzę!

A potem wszyscy trzej rzekli razem:

— Ukarz Meira!

Saul pochylił nisko twarz zasmuconą bardzo.

— Panie świata! — szepnął drżącemi usty — czy ja zasłużyłem na to, abyś światło oczu moich w ciemności zamieniał?

Potem podniósł głowę i wyrzekł stanowczym głosem:

— Ja jego ukarzę!

Abrama oczy tkwiły w twarzy ojca i iskrzyły się.

— Ojcze — rzekł — myśl ty najwięcej o tej karaimskiej dziewczynie. Ta nieczysta przyjaźń, którą oni z sobą trzymają, wstydem jest wielkim dla całej familji naszej. Ty wiesz, ojcze, jaki u nas jest obyczaj. Żaden z prawych Izraelitów znać nie powinien przez całe życie swoje innej kobiety, prócz tej, którą rodzice jego za żonę mu dadzą...

— Nie powinien! — krzyknął gwałtownie reb Jankiel, a twarz Kalmana z różowej stała się ponsową.

Czystość obyczaju ludzi tych była tak wielka, że, mając siwe włosy na głowie, rumienili się ze wstydu przy rozmowie o nieczystej przyjaźni mężczyzny z kobietą.

Zdawało się, że nawet pomarszczone czoło Saula oblokło się bladoróżową barwą.

— Ja Meira ożenię prędko! — rzekł.

Abram odpowiedział:

— Dopóki on karaimską dziewczynę widywać będzie, dopóty ożenić się nie zechce!

— A co z nią zrobić, żeby on jej nie widywał? — z rozpaczą prawie zawołał starzec.

Trzej stojący przed nim mężowie spojrzeli wzajem na siebie.

— Z nią trzeba coś zrobić! — wymówili jednogłośnie.

Po chwili długiego milczenia, myślenia i wzajemnego pa-

trzenia, dwaj goście ukłonili się przed Saulem i odeszli. Abram pozostał w izbie.

— Ojcze! — rzekł — a jak ty jego ukarać myślisz?

— Ja jemu każę przez cały tydzień w bet-ha-midraszu siedzieć i talmud czytać...

— Co to pomoże! — z niecierpliwym gestem rzucił Abram — ty, ojcze, każ jego lepiej wybić!

Saul trzymał wciąż twarz nisko pochyloną.

— Ja jego bić nie każę! — odpowiedział po chwili milczenia.

I dodał ciszej:

— Dusza Michała przeszła w ciało ojca mego, Hersza, a dusza ojca mego, Hersza, zamieszkała w ciele Meira...

— A skąd to można wiedzieć? — zapytał Abram, tknięty jednak żywo i widocznie słowami ojca.

— Duszę tę poznała naprzód prababka jego, żona Hersza, a potem poznał ją rabbi Izaak.

Westchnął ciężko Saul i powtórzył:

— Ja jemu każę w bet-ha-midraszu siedzieć i talmud czytać! On przez cały dzień nie będzie jadł ani spał pod dachem moim, a szames (posłaniec synagogi) karę i wstyd jego po całem mieście rozgłosi!...

VII.

Bet-ha-midrasz był to budynek obszerny, widny i dość okazały, stojący przy synagogalnym dziedzińcu, tuż obok domu modlitwy. Przeznaczenia miał on różne.

Tu zgromadzano się na mniej uroczyste modły; tu toczono długie i zapalczywe rozprawy nad przeróżnemi punktami i wyjaśnieniami talmudu; tu mieściły się księgozbiory bractw, czyli stowarzyszeń, mających różne cele, a których każda izraelska gmina posiada w łonie swem znaczną ilość; tu także, w wypadkach wyjątkowych wprawdzie i wyjątkowej surowości wymagających, młodzi ludzie, wykraczający przeciw religji lub obyczajom, przesiadywali krótszy lub dłuższy czas pokuty, bardziej zawstydzającej, niż ciężkiej.

Naprzeciw bet-ha-midraszu wznosiła się budowla inna, mniejsza nieco, lecz z tą samą starannością wzniesiona i utrzymywana. Był to bet-ha-kahoł, czyli izba kahalna, miejsce posie-

dzeń i obrad administracyjnych władz miejscowych. Dalej jeszcze, w skromniejszym już nieco budynku, zawierał się hekdosz, przytułek dla ubogich, do którego wszyscy głodni, zmęczeni, schronienia i spoczynku potrzebujący, kołatać mieli prawo.

Naprzeciw domu modlitwy, w ciasnym, niskim domku, mieścił się cheder, czyli szkoła, w której nauczał uczony i czczony reb Mosze.

Podwórze to, słowem, wraz z otoczeniem swem, przedstawiało istotną stolicę małego udzielnego państewka. Wszystko tu, począwszy od czarnej chatki mędrca ascety, przysiadłej przy samej prawie świątyni, aż do widniejącej już zdala, obszernej i drzewami ocienionej lecznicy, od wspaniałego domu modlitwy do niziuchnego szczupłego chederu, odnosiło się do spraw i potrzeb publicznych.

Pierwotne też pochodzenie i cele każdego z budynków tych posiadały myśl jakąś piękną i wysoką: porządku społecznego, miłosierdzia, nauki, wznoszenia ducha ku Bogu, lub rozmyślania nad wysokiemi rzeczami.

W jaki zaś sposób wynaturzyły się niektóre z pierwotnych pojęć tych, i dlaczego niektóre z celów tych pierwotnych przybrały sens i charakter wbrew sprzeczny z temi, jakie nadaje im świat cały? — inna to już rzecz; pytać o nią należy historji.

Ośm dni minęło od wieczora tego, w którym na zielonej łące marzyło, śpiewało i poufnie gwarzyło grono młodych przyjaciół. W dziewiątym dniu, około zachodu słońca, z wnętrza bet-ha-midraszu wyszedł i na wysokim ganku jego stanął Meir.

Posłuszny rozkazowi zwierzchnika rodu swego, przepędził on dni ubiegłe w samotności zupełnej, czytając i rozważając księgi talmudyczne, które znał biegle, względem których zrodziły się w umyśle jego mnogie wątpliwości, lecz dla których czci, wpojonej mu od dzieciństwa, utracić całkiem nie mógł i nie utracił.

Pokuta, na którą skazano go, nie była ciężka, nie przyniosła mu najlżejszych cierpień fizycznych, bo w pożywienie, przynoszone mu dwa razy dziennie z rodzinnego domu, czułe i litościwe ręce kobiet wkładały najlepsze kąski; a jednak zmieniony był bardzo, pobladł i schudł, zarazem przecież wydawał się silniejszym.

W postawie i wyrazie twarzy jego nie było już ani śladu

tej dziecięcej nieśmiałości, która cechowała go przed kilku jeszcze miesiącami.

Rozum jego oburzał się może na niesłuszność wymierzonej nań kary; samotność, w której go pogrążono, ponowne wczytanie się w odwieczne księgi, których pełne były szafy, otaczające ściany bet-ha-midraszu, wytworzyły może w umyśle jego wiele nowych pojęć, wzburzając go jeszcze bardziej.

To tylko pewna, że gorąca bladość jego czoła zdradzała mozolną, głęboką pracę ducha, a w blasku rozpłomieniającym mu źrenice objawiało się namiętne, przemocą tłumione, rozdrażnienie.

Zadana pokuta chybiła celu: zamiast uspokoić i ukoić burzliwego młodzieńca, uczyniła go jeszcze zuchwalszym i skłonniejszym do buntu!

Kiedy zszedł z ganku bet-ha-midraszu i zwolna przechodzić zaczął dziedziniec szkolny, widać było, że do uczuć innych łączył się w nim jeszcze i wstyd. Na widok kilku ludzi, wkraczających w bramę dziedzińca, opuścił oczy i zarumienił się. Ludźmi tymi byli urzędnicy kahalni, którzy dążyli ku zwykłemu miejscu obrad swoich.

Ujrzawszy Meira, śmiać się zaczęli i wskazywać na niego palcami. Jeden tylko Jankiel Kamionker nie śmiał się i nie spostrzegał nawet Meira. Szedł on prędko bardzo i w pewnem od towarzyszy swych oddaleniu, a wyraz twarzy miał bardziej jeszcze zgryziony i zakłopotany, niż zwykle.

Pośrodku dziedzińca znalazłszy się, zboczył nieco z drogi i, zamiast wejść za towarzyszami swymi do bet-ha-kahołu, przesunął się pod ścianą hek-doszu, przytułku ubogich. Przesunął się tylko pod ścianą, ale wystarczyło mu czasu tego, aby zamienić kilka cichych słów i tajemniczych gestów z człowiekiem jakimś, którego głowa rozczochrana, z twarzą nabrzmiałą, wychylała się przez otwarte okno hek-doszu.

Meir znał człowieka, z którym tajemniczym, krótkim szeptem zamienił się Kamionker: zdziwił go więc pouły stosunek dwóch tych ludzi.

— No! — pomyślał — co to za znajomość może być między pobożnym i bogatym reb Janklem a takim włóczęgą i złodziejem, jak furman Jochel?

Niedługo jednak myślał o tem. Postępował zwolna i nie w stronę rodzinnego domu swego, do którego snadź śpieszno mu nie było, ale w stronę małej uliczki, która, dotykając szkolnego podwórza, wiodła ku polom; pragnął snadź wyjść z mia-

steczka i pójść na ten szeroki, widny rozłóg, który jaśniał ostatniemi blaskami dnia i szemrał zdala lecącemi nad nim świeżemi powiewy.

U końca jednak podwórza przystanął. O uszy jego obił się gwar dziwny, złożony z mnóstwa głosów dziecinnych, to zniżających się do szeptu prawie, to podnoszących się do wrzaskliwego i śpiewnego zawodzenia.

W głośnym tym i kołyszącym się szmerze dziecinnych głosów odzywały się tu i owdzie piskliwe jęki i westchnienia zmęczonych jakby i udręczonych piersi, a nad niemi panował głos męski, gruby, to opowiadający niby coś, lub czytający, to łający i rozgniewany.

Po ustach Meira przewinął się uśmiech szczególny. W uśmiechu tym były: ból, gniew i litość. Stał on tuż obok chederu, w którym nauczał melamed reb Mosze, i w którym właśnie kipiał i wrzał ów gwar niezrozumiały, chaotyczny, a posiadający w sobie coś dziwnie smutnego i grubjańskiego zarazem.

Przekornem jakby uczuciem pociągany ku chederowi, Meir wsparł się obu łokciami o niskie otwarte okienko i patrzał przez nie we wnętrze budynku. Wnętrze to ciasne było, ciemne, cuchnące i natłoczone.

Pomiędzy niskim czarnym sufitem, czterema ciasnemi, czarnemi również, ścianami i podłogą, ukrytą całkiem pod grubą warstwą śmieci i brudu, w wilgotnem, stęchłem, ciężkiem powietrzu, kołysała się i wrzała chóralnem, zapalczywem mruczeniem szara masa jakaś, której istoty i składowych części niepodobna było rozróżnić przy pierwszem wejrzeniu.

Po chwili zaledwie przed wzrokiem patrzącego, niby z mgły czy kurzawy, wyłaniać się zaczęły twarze i postacie dziecinne.

Twarze to były różne: jedne — grube, ciemne, chorobliwie nabrzmiałe; inne — białe, drobne, delikatne i prześlicznie zarysowane; jedne — z ustami wpółidjotycznie rozwartemi i mętnym, sennym wzrokiem; inne — z oczyma błyszczącemi hamowanym gniewem i z wargami drgającemi od nerwowego zniecierpliwienia; inne jeszcze — blade, uważne, pokorne, cierpiące, lecz cierpliwe.

Podobnież i ubiory dzieci tych były różne: od dostatnich surducików, znamionujących dzieci bogaczy, do spencerków, pozbawionych rękawów, i szarych, łachmaniastych kapot nędzarzy.

Było kilkudziesięciu chłopców w izdebce, mogącej pomieścić wygodnie kilkunastu zaledwie, a wszyscy tłoczyli się, i jedni na drugich niemal siedzieli, na ławkach zbyt wąskich i wysokich, twardych, brudnych, wszerz izby ustawionych.

Chederów podobnych miał Szybów niemało, ale żaden z nich tak licznie nawiedzany nie był, jak ten, któremu przywodził reb Mosze. Bogacze i nędzarze z równą gorliwością starali się o miejsce w nim dla dzieci swoich, albowiem reb Mosze był melamedem nad melamedami, ulubionym uczniem wielkiego rabina, a przytem kabbalistą biegłym i ascetą, prawdziwym chachamem, doskonałym pobożnym.

Nie należy jednak mniemać, aby reb Mosze poniżał się aż do ćwiczenia w pierwszych dopiero początkach wielkiej nauki najdrobniejszych dzieci gminy. Byłoby to marnowaniem wysokich jego zdolności, które ku czemuś wyższemu już używane być musiały.

Wyrostki, przepełniające cheder jego, miały od dziesięciu do dwunastu lat wieku, i od siedmiu już lat żywione były świętym chlebem wiedzy.

W chederach innych, niższych, nauczono już ich hebrajskiego czytania i wyłożono im humesz (pięcioksiąg) z wielu wyjaśnieniami i komentarzami; teraz zaś, pod przewodnictwem reb Mosza, wstępowały one na trzeci stopień mądrości, którym jest nauka talmudu wraz z nieprzeliczoną ilością składających go działów, rozdziałów, poddziałów, paragrafów, punktów spornych, rozstrzygnień, wyjaśnień, komentarzy, wyjaśnień wyjaśnień i komentarzy nad komentarzami.

Było to już, jak się zdaje, dość szerokie pole dla rozwijania się rozumu i pamięci wyrostków tych, bladych, obrzękłych, zniecierpliwionych, albo z pokorą cierpiących; ale reb Mosze w rzeczach religji i nauczania jej nie zwykł był przestawać na małem.

Napełniając rozum i ćwicząc pamięć swych uczniów, rozbudzać on jeszcze usiłował fantazję ich przez wprowadzanie jej w zaczarowane krainy przypowieści i alegoryj, których pełna jest hagada, a nawet przez dawanie im do zakosztowania czegoś z wysokiej i mistycznej metafizyki kabbały. Opowiadania te lub czytania stanowiły rodzaj odpoczynku, którego błogość głęboko uczuwać musiały dusze słuchających ich dzieci, zdarzały się jednak wtedy tylko, gdy melamed uczuł się w dobrem, radosnem usposobieniu ducha.

W chwili, gdy Meir przypatrywać się zaczął przez otwarte

okno odbywającej się we wnętrzu chederu lekcji, uczniowie uczyli się na pamięć wskazanego im na on dzień ustępu talmudu, a nauczyciel, siedząc naprzeciw nich na katedrze, złożonej z drewnianego stołka, wczytywał się ze swej strony w leżącą przed nim na kulawym stole wielką i bardzo starą księgę.

Wczytywał się on w księgę tę z zajęciem wielkiem i niemniejszą widocznie lubością; błogi uśmiech pojawiać się zaczynał na wargach jego, zaledwie widzialnych wśród ogromnego zarostu, — przyczem kołysał się zwolna wtył i naprzód, poruszając tym ruchem stół kulawy, który kołysał się także; kołysali się również na ławach swych, każdy nad rozwartą przed sobą wielką księgą, uczniowie jego, to szemrząc zcicha, to podnosząc głos niekiedy, jakby dla przygłuszenia wewnętrznego bólu jakiegoś, — uderzając ściśniętemi pięściami o brzegi ławek, albo obu rękoma chwytając się za głowy i targając bardziej jeszcze, i tak już, z mozołu wielkiego a rozpaczy, nastroszone i szczochrane włosy.

Nagle melamed kołysać się przestał, podniósł rozpromienioną twarz, ujął w obie ręce wielką księgę i z całej siły uderzył nią o stół kulawy. Znaczyło to rozkaz umilknięcia.

W mgnieniu oka też umilkli i kołysać się przestali uczniowie. Popodnosili oczy na twarz nauczyciela: jedni z trwogą nadzwyczajną, a wzbudzoną mniemaniem, iż przyszła już pora wydawania zadanej lekcji; inni ze złośliwą przekorą i tajonem naigrawaniem się.

Ale melamed nie spostrzegł wrażeń malujących się na twarzach jego uczniów. Nie spostrzegał on i nie widział w tej chwili nic naokoło siebie.

Duch jego porwany został prądem niewymownej słodyczy i uniesiony w krainą zachwytów; o tyle jednak czuł się mistrzem i obowiązki mistrza rozumiał, iż część zachwycenia swego przelać zapragnął w rozczochrane a strapione głowy swych uczniów.

Podniósł w górę wskazujący palec i, z podniesioną twarzą, ze sterczącą brodą, z oczyma w ogniu, czytać zaczął głośno ustęp ze Szyur-Komy:

— «Wielki książę świadectwa tak opowiada wielkość Jehowy. Od domu stolicy wielmożności Jehowy do góry jest sto ośmnaście razy dziesięć tysięcy mil. Wysokość jego jest sto sześć i trzydzieści razy tysiąc mil. Od prawej ręki Jehowy do lewej jest siedmdziesiąt siedm razy dziesięć tysięcy mil. Czaszka głowy

jego ma trzy razy dziesięć tysięcy wzdłuż i wszerz. Korona na głowie jego ma sześćdziesiąt razy dziesięć tysięcy mil. Podeszwy króla królów mają trzydzieści tysięcy mil. Od pięt jego aż do kolan dziewiętnaście razy dziesięć tysięcy mil; od kolan aż do klębów liczy się dwanaście razy dziesięć tysięcy i cztery mile. Od bioder aż do szyi dwadzieścia cztery razy dziesięć tysięcy mil». Taka jest wielkość króla nad królami, Pana świata!

Po wydaniu ostatniego wykrzykniku reb Mosze pozostał chwilę nieruchomy, jak posąg, na katedrze swej, z rękoma podniesionemi a spojrzeniem pływającem w rozkoszy. Uczniowie jego siedzieli również nieruchomi i wlepiali w niego osłupiałe wejrzenia.

Wszyscy już teraz bez wyjątku, pokorni i figlarni, wpół-idjotyczni i roztropni, szeroko pootwierali usta swe. W podobny sposób opisana wielkość Jehowy w odrętwienie wprawiła wszystkie umysły.

Mełamed przecież wkrótce ocknął się z ekstazy swej i z rozkazującym gestem zawołał:

— Gej!

Na ten wykrzyk, którego znaczenie dobrze zrozumiałe im było, chłopcy rzucili się znowu do wielkich ksiąg swych, zakołysali postacie swe i wyśpiewywać poczęli dany im do nauczenia się ustęp talmudu. Jak brzmiał i co opiewał ustęp ten? nie zrozumiałoby tego, wśród mieszaniny kilkudziesięciu głosów, żadne niepoświęcone ucho.

Meir przecież, który sam zupełnie podobny temu kurs nauk odbywał przed niewielu jeszcze laty, a przytem, obdarzony pamięcią wyborną, nic zeń nie zapomniał, pojął odrazu, że dnia tego chłopcy uczyli się VIII rozdziału traktatu berachot (o błogosławieństwach).

Jednogłośnie tedy, nieprzerwanie, z zapalczywością nadzwyczajną, z umęczeniem, wywołującem jęki z piersi a pot na czoła, dzieci czytały i wyśpiewywały:

«Miszna 1. Oto są sporne punkta pomiędzy szkołami Szamaja i Hillela. Szkoła Szamaja mówi: błogosławić należy dzień (sobotni), a potem wino. Szkoła Hillela twierdzi: niech błogosławią wino, a potem dzień.

«Miszna 2. Szkoła Szamaja mówi: umywają ręce, a potem napełniają puhar. Szkoła Hillela twierdzi: napełniają puhar, a potem umywają ręce.

«Miszna 3. Szkoła Szamaja mówi: po otarciu rąk składają

ręcznik na stole. Szkoła Hillela twierdzi: składają go na poduszce.

«Miszna 4. Szkoła Szamaja mówi: zamiatają pokój, a potem umywają ręce. Szkoła Hillela twierdzi: umywają ręce, a potem zamiatają pokój.

«Miszna 5. Szkoła Szamaja mówi: ogień, pokarm i woń. Szkoła Hillela utrzymuje: ogień, woń i pokarm. Szkoła Szamaja mówi: stworzywszy jasność ognia. Szkoła Hillela utrzymuje: stworzywszy jasności ognia...»

Tu rozległ się znowu po izbie podwójny stuk: księgi, uderzającej o kulawy stolik, i kulawego stolika, uderzającego o podłogę. Uczniowie zamienili się też znowu w sztywne i milczące posągi.

Mełamed toczył po wszystkich ich twarzach spojrzeniem takiem, jakgdyby ofiarnikiem był, mającym wybrać jedno z tych dzieci na całopalną ofiarę. Wyciągnął nakoniec palec ku jednej z ostatnich ławek i zawołał groźnie:

— Lejbele!

Na wołanie to podniosło się z pośród towarzyszy wysmukłe, blade dziecię, w szarej, długiej surducinie, i patrzało w twarz mełameda — ogromną, czarną, osłupiałą źrenicą.

— Kom her! (Chodź tu!) — zawołał mistrz.

Pomiędzy uczniami zrobił się ruch. Przejść przez izbę tę nie było łatwo. Chłopcy usuwali się wezwanemu z drogi, tłocząc się jedni na drugich, spadając pod ławki i przez tłum popychając towarzysza pięściami.

Lejbele wyszedł nakoniec z tłumu i stanął wśród wąziuchnego przejścia, oddzielającego katedrę mistrza od pierwszej ławki uczniów.

W obu chudych rękach swych trzymał on wielką księgę, pod której ciężarem co chwila ręce jego ku dołowi się uginały; usta miał szeroko rozwarte, a ramiona poruszały się mu w krótkich przerwach nerwowem drganiem. Nie patrzał teraz na mełameda. Twarz jego pochylała się ku stronicom pochylającej się wciąż księgi.

Reb Mosze uderzeniem wymierzonem pod brodę podniósł mu głowę.

— Nu — krzyknął — czego ty jak rozbójnik jaki na ziemię patrzysz? patrzaj na mnie!

Dziecko patrzało mu znowu w twarz nieruchomą źrenicą, która zapływać poczęła łzawą zasłoną.

— Nu! — zaczął melamed — co mówi szkoła Szamaja, a co mówi szkoła Hillela?

Długie nastąpiło milczenie. Siedzący na pierwszej ławie chłopcy trącali nieznacznie pięściami w boki współucznia, szepcząc mu:

— Zog! Zog! (mów! mów!)

— Szkoła Szamaja — zaczął Lejbele drżącym i ledwie dosłyszalnym głosem — mówi: Błogosławić trzeba wino...

— Dzień! dzień! a potem wino! — zaszeptały z pierwszej ławki litościwe, pomocnicze głosy.

Ale w tejże chwili ręka melameda znalazła się w bliskości ucha jednego z podpowiadających, tak bezpośredniej, że z piersi chłopca wydobył się pisk przeraźliwy, a inni współuczniowie pozamykali usta, wzamian zaś pootwierali oczy, ze strachu i osłupienia.

Reb Mosze zwrócił się znowu do egzaminowanego ucznia:

— Miszna pierwsza! — zawołał — co mówi szkoła Szamaja?

Cichszy jeszcze, niż wprzódy, trzęsący się głos dziecięcy odpowiadać zaczął:

— Szkoła Szamaja mówi: Błogosławcie wino...

Pięść melameda opuściła się ciężko na ramię ucznia, z którego rąk wypadła zarazem wielka księga.

Melamed poskoczył ze swej katedry.

— A szlechter, dummer, ferszoltener bube! — krzyknął, rzucając się ku dziecku. — Ty wielkiej nauki uczyć się nie chcesz, i kiedy ja tobie lekcję zadał, mówisz, że szkoła Szamaja każe błogosławić pierwej wino, a potem dzień... i jeszcze święte książki na ziemię rzucasz... a czy ty nie czytał, że Szamaj kazał błogosławić pierwej dzień, a potem wino...

Tu, za krzyczącym i miotającym się melamedem, ozwał się głos męski, dźwięczny, lecz drżący jakiś i szyderski:

— Reb Mosze! To biedne dziecko nigdy na oczy swoje wina nie widziało, a w każdym dniu swego życia bicie i głód cierpiało; to jemu i trudno zapamiętać: co pierwej błogosławić trzeba, wino czy dzień?

Ale reb Mosze przemówienia tego nie słyszał. Obie ściśnięte pięści jego opuściły się niezmiernie szybko i po razy kilka na głowę i ramiona bladego dziecka, a gdy ono, nie wydając najlżejszego jęku, cichutko tylko osunęło się pod razami temi na upuszczoną wprzódy wielką księgę, podniosły się raz jeszcze, aby opaść na osłonione podartą surduciną plecy jego.

Zanim jednak zdołały dokonać tego, silna ręka jakaś porywczo odepchnęła go na stronę, tak, że aż uderzył się o róg kulawego stolika i, przewracając go, sam nawznak upadł na ziemię.

— Reb Mosze! — zawołał tenże głos młodzieńczy, popędliwy a szyderski, który wymówił był kilka poprzednich wyraków. — Reb Mosze! — powtórzył — czy to nie izraelskie dziecko jest, abyś ty na nie morze złości swej wylewać miał? Czy to nie ubogie dziecko nędzarza jest? czy to nie nasz brat?

Wołając tak, Meir, z gorącym rumieńcem na bladej wprzódy twarzy, pochylił się nad skurczonem przy ziemi, niemem i nieruchomem dzieckiem, i wziął je na ręce. Wnet też zmierzać zaczął ku drzwiom, odwrócił się jednak raz jeszcze i zawołał:

— Reb Mosze! ty z głów izraelskich wyjmujesz rozum, a z serc ich wydzierasz litość. Ja słyszałem, jak niektórzy z chłopców tych śmiali się, kiedy ty Lejbela biłeś, i u mnie od śmiechu ich serce pełne łez!

Powiedziawszy to, wyszedł z dzieckiem w objęciu. Reb Mosze teraz dopiero obudził się z oslupienia, w które pogrążył go był najniespodziewańszy dla niego napad. Porwał się z ziemi i krzyknął:

— A merder! rozbójnik! ferszoltener!

I zwracając się ku szkole swej, ze ściśniętemi pięściami, wołał:

— Gońcie! łapcie! bijcie! kamienujcie!

Nie było jednak już nikogo, ktoby rozkazów tych wysłuchać i spełnić je mógł. Szkoła świeciła najpiękniejszemi pustkami. Poobalane tylko ławy i porzucane na ziemię księgi świadczyły o gwałtownie dokonanej dezercji kilkudziesięciu chłopców, którzy, widząc współucznia swego wyratowanego z pod pięści mistrza, a samego mistrza obalonego na ziemię i walczącego z kulawym stołem, co, acz kulawy, przygniatał go i powstać mu z upadku przeszkadzał, częścią ze strachu, częścią ze swawoli i tęsknoty za wolnością, gromadnie ruszyli się z ław swych, i, z wrzaskiem przeraźliwym wyskoczywszy z chederu, czem kto mógł, drzwiami i oknami, rozsypali się po miasteczku całem, nakształt stada ptaków, z klatki uwolnionego.

Cheder był pusty, dziedziniec szkolny był pusty, i tylko na ganku bet-ha-kaholu stało, poważnie z sobą rozmawiając, kilku urzędników kahalnych. Ku nim to, w poskokach przeby-

wając dziedziniec, chwytając się obu rękoma za rozczochraną głowę, krzycząc i dysząc, pobiegł znieważony mędrzec, reb Mosze.

Meir tymczasem, szybko idąc, niósł w objęciu swem dziecię, po którego chudych policzkach spływały teraz wielkie łzy. Dziwna rzecz przecież!

Z za łez ku twarzy Meira wzniesione oczy Lejbela mniej były martwe i mniej idjotyczne, niż zwykle, a po ustach jego, drżących od płaczu, pomimo przestrachu i bólu, którego doświadczył, krążył uśmiech.

Uśmiechając się, dziecię wybawione płakało i patrzało w twarz wybawiciela swego.

— Morejne! — szepnął po chwili Lejbele.

— Morejne! — powtórzył ciszej — jaki ty dobry!

Na rogu biednej uliczki, o domkach malutkich i ciemnych, Meir postawił dziecię na ziemi.

— No! — rzekł, wskazując mu widniejącą zdala chatę krawca Szmula — idź teraz do domu...

Lejbele zmartwiał znowu. Wsunął ręce w rękawy surduciny i stał wśród drogi, jak nieruchomy posążek. Meir uśmiechnął się i spojrzał w twarz dziecka.

— Boisz się? — zapytał.

— Boję się! — odpowiedział mu posążek gardłowym głosem.

Młody człowiek, zamiast wrócić, jak miał zamiar, poszedł ku chatce Szmula. Tuż krok w krok za nim, z rękoma w rękawach i otwartemi usty, szedł Lejbele.

Dzień kończył się. Na ubogiej uliczce kończyły się też dzienne prace. Ludność, mizerna, ogorzała, ołachmaniona, cuchnąca, wysypała się przed progi domostw.

Zaledwie Meir uszedł kilkadziesiąt kroków, spostrzegł szczególną zmianę, która wśród ludności tej zaszła względem niego.

Dawniej przechodzącego wnuka bogatego Saula witano tu z niskiemi pokłonami; bliżsi znajomi przystępowali do niego i z poufałością, pełną przyjaźni, powierzali mu troski swe, biedy, a niekiedy nawet skrupuły sumienia; inni, z okien otwartych lub z pod ścian domostw, przesyłali mu głośne i przyjazne boroch habo! (pokój tobie!).

Teraz zwróciło uwagę jego kilkanaście spojrzeń, rzuconych nań, skośnych i niechętnych; kobiety przypatrywały się mu z rodzajem osłupiałej ciekawości i, szepcząc między sobą, wskazywały

nań palcami; jeden nawet z traczy owych, którzy przez miesiąc cały pracowali na dziedzińcu domu Saula i z którymi nieraz dzielił on pracę wesoło i przyjacielsko, nie pozdrowił go, lecz na widok jego smutnie a trochę niechętnie wsunął się do szarego wnętrza swej chatki.

Meir niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Co to jest? — pomyślał — czego oni chcą ode mnie? co ja im złego zrobiłem?

Dziwnem mu się także wydać mogło, że krawiec Szmul nie wybiegł z chaty swej, jak zwykle bywało, ażeby spotkać go, rzucić się mu do rąk i osypać go gradem podziękowań, pochlebstw, skarg i narzekań. Wszedł jednak do małego domu, a Lejbele pozostał przed progiem i w skurczonej postawie usiadł pod ścianą.

Młody człowiek pochylić musiał głowę, ażeby przejść przez niskie drzwiczki, prowadzące z ciemnej sionki, w której wśród zmroku ruszały się i bielały w kącie dwie kozy, do izby ciasnej i, pomimo otwartego na ulicę okienka, dusznej i cuchnącej.

W progu rozminęła się z nim kobieta chuda, z ciemną, pomarszczoną twarzą. Była to żona Szmula, która wyszła przez próg i, milcząc, dała siedzącemu przy ścianie dziecku kawał czarnego, suchego chleba. Była to wieczerza, którą Lejbele otrzymywał zwykle po powrocie z chederu.

Cała zresztą rodzina Szmula w chwili wejścia Meira do izby spożywała podobnąż wieczerzę, z tą różnicą, że trzy dorosłe dziewczyny, dwaj mali chłopcy, Szmul sam i stara matka jego do chleba dodawali drobne szczypty cebuli, znajdującej się w dość skąpej ilości na wyszczerbionym czarnym talerzu.

Oprócz dwóch chłopców, znacznie młodszych od Lejbela, którzy, przysiadłszy w kącie na ziemi, gryźli zawzięcie wydzielone sobie porcje stwardniałego chleba, dwuletnie dziecko pełzało po podłodze u stóp ogromnego czarnego pieca, a inne jeszcze, kilkomiesięczne, spało w kolebce, zawieszonej na sznurach u belki sufitu i poruszanej przez jedną z dorosłych dziewcząt.

Druga dziewczyna krzątała się około kóz w ciemnej sionce, trzecia zaś łamała chleb na drobne kąski, które posypywała cebulą i wkładała w drżące ręce niewidomej matki Szmula. Stara ta, niewidoma matka siedziała na jedynem łóżku, które znajdowało się w izbie; inne bowiem osoby, rodzinę składające, sypiały na twardych wąskich ławach lub na ziemi.

Ale stara matka posiadała łóżko, dość dostatnio usłane; chustka, skrzyżowana na piersiach jej, cała była i czysta; a wielki czepiec, okrywający głowę, uszyty był z czarnego atłasu i suto nawet wygarnirowany.

Siedząca obok niej wnuczka, w brudnej odzieży, z rozczochranemi włosy, wkładała w ręce jej, a czasem i w usta, mniej niż ubogą żywność, z powagą taką, jakgdyby ciągle myślała o tem, że spełnia coś bardzo ważnego.

Niekiedy nawet grubą, czarną prawie ręką swą gładziła pomarszczoną, trzęsącą się rękę babki; a widząc trud, z jakim spożywała ona twarde jedzenie, wstrząsała głową, uśmiechając się pobłażliwie i zachęcająco...

Jak w obszernem i zamożnem domostwie bogatego Saula, tak w natłoczonej, brudnej, ciemnej izdebce nędzarza Szmula, najstarsza w rodzinie kobieta zajmowała miejsce najwygodniejsze i przedmiotem była ogólnej troskliwości i czci. Nigdy bowiem nie widziano wśród Izraela, aby syn, bogacz lub nędzarz, zaniedbał w starości czy w niedoli tych, którzy mu dali życie.

— Jak gałęzie od drzewa swego, tak my wszyscy od niej początek bierzem! — powiedział o matce swej zwierzchnik rodziny Ezofowiczów.

Chajet Szmul nie umiał wyrażać uczuć swych tak, jak kupiec Saul — lecz gdy matka jego oślepła, w żalu wielkim wyrywał sobie z głowy czarne kędzierzawe włosy; potem wraz z rodziną swą pościł przez trzy dni, aby za cenę pożywienia, którego się wyrzekł, kupić dla niej stare, rozpadające się łóżko; potem łóżko to własnemi rękoma zbijał i naprawiał, aby do ściany przyparte stać mogło; a otrzymawszy od Sary Ezofowiczówny, żony Bera, czarną atłasową suknię do uszycia, odciął spory kawałek cennej materji i uszył dla matki wywatowany i wygarnirowany czepiec.

Ujrzawszy wchodzącego do izby Meira, Szmul porwał się ze stołka, na którym siedział i poskoczył ku gościowi. Pochylił się przed nim zwykłym swym niskim, giętkim ukłonem, ale nie pocałował go w rękę, jak dawniej, i nie zawołał z wielką radością: — Aj! co za gość! co za gość!

— Morejne! — odezwał się — już ja wiem, co ty dziś zrobił! Bachury biegli tędy z chederu i krzyczeli, że ty mego Lejbela z silnych rąk reb Mosza wyrwał, a jego samego popchnął i przewrócił! Ty to z dobrego serca zrobił, ale to źle, morejne! bardzo źle! Ty przez to wielkiego grzechu dopuścił się i mnie

w wielkiej biedzie utopił. Teraz reb Mosze — niech sto lat żyje! — nie zechce już mego Lejbela, ani moich młodszych synów, do swego chederu przyjąć, i oni nigdy uczonymi nie zostaną! Aj waj! morejne! co ty, przez swoje dobre serce, sobie i mnie narobił!

— Nade mną ty, Szmulu, nie biadaj! niech już ze mną stanie się co chce! — z żywością odparł Meir — ale ty ulituj się nad swojem własnem dzieckiem i w domu przynajmniej nie bij go. On dość już w chederze cierpi...

— Nu! jakto cierpi! to co, że cierpi! — zawołał Szmul — pradziady, i dziady, i ojcowie moi do chederu chodzili i cierpieli! i ja chodziłem i cierpiałem tak samo! a co robić, kiedy trzeba!

— A czy ty, Szmulu, nigdy nie pomyślałeś sobie, że może inaczej trzeba? — łagodniej już zapytał Meir.

Szmulowi oczy zaświeciły.

— Morejne — zawołał — ty grzesznych słów w chacie mojej nie wymawiaj! Moja chata bardzo biedna jest, ale w niej, dziękować Bogu, wszyscy świętych zakonów strzegą i rozkazań starszych słuchają! Chajet Szmul biedny jest bardzo i z pracy dwóch rąk swoich utrzymuje żonę, ośmioro dzieci i starą, ślepą matkę! Ale on czysty przed Panem i ludźmi, bo święte zakony on wiernie chowa. Chajet Szmul sabaty święci i koszerów pilnuje, wszystkie naznaczone szemy i tefile, do Pana Boga krzycząc i jęcząc, odmawia, a chazaru on nigdy na oczy swoje nie widział i z goimami przyjaźni żadnej nie trzyma, bo wie, że Jehowa jednych tylko Izraelitów kocha i strzeże, i że tylko Izraelici duszę w sobie mają. Tak robi biedny chajet Szmul, bo tak Pan Bóg przykazał, i tak robili pradziady, dziady i ojcowie jego!...

Gdy cienki, giętki i zapalczywy Szmul wszystko to wypowiedział, Meir zapytał go łagodnie i z namysłem:

— A czy pradziady, dziady i ojcowie twoi szczęśliwi byli? A czy ty sam, Szmulu, szczęśliwy jesteś?

Na zapytanie to ozwało się znowu w Szmulu z żywością całą poczucie nędz znoszonych.

— Aj! aj! — zawołał — takiego szczęścia żeby nieprzyjaciele nie mieli! Skóra przyschła do kości moich, a w sercu mojem ja zawsze wielkie boleści czuję...

Tu w jękliwą mowę krawca wmieszał się odgłos odzywającego się w najciemniejszym kącie izby ciężkiego westchnienia. Meir obejrzał się, a widząc szarzejącą w mroku, pomiędzy

ogromnym piecem a ścianą, postać jakąś, wysoką i barczystą, zapytał:

— Kto tam taki?

Szmul żałośnie skinął głową i ręką:

— Ot! — rzekł — to furman Jochel zaszedł do mojej chaty; my z sobą dawno znajomi!

W tej chwili wysoka i barczysta postać poruszyła się z kąta, w którym nieruchoma stała, i zbliżyła się do rozmawiających. Jochel był mężczyzną potężnej budowy ciała, pomimo to wydawał się znędzniałym i przygnębionym.

Spencerem bez rękawów, podartym i brudnym, przyodziany, stopy miał bose i poranione, włosy rude, ogromne, splątane, usta obrzękłe, oczy ze spojrzeniem zuchwałem, a jednak często spuszczającem się ku ziemi. Przystąpił do stołu i wziął z talerza szczyptę cebuli, którą przysypał kęs czarnego chleba, trzymany w ręce.

— Meir! — rzekł, śmiało patrząc na młodzieńca — ty mój dawny znajomy! ja stryja twego Rafała woziłem, kiedy on jechał po ciebie, małego sierotę, a potem przywiozłem jego i ciebie do Szybowa.

— Ja ciebie, Jochelu, i później widywałem — rzekł Meir — ty porządnym furmanem byłeś... cztery konie miałeś...

Uśmiechnął się obrzękłemi usty teraźniejszy mieszkaniec hek-doszu.

— Nu — rzekł — to prawda! ale mnie potem nieszczęście przytrafiło się! Ja chciałem jeden wielki interes zrobić... i ten interes mię zgubił. A jak on mię zgubił, to mnie drugie nieszczęście przytrafiło się...

— To drugie nieszczęście, Jochelu — rzekł Meir — to był grzech twój... Naco było tobie konie ze stajni puryca w nocy wyprowadzać?

Zapytany roześmiał się cynicznie.

— Jakto naco? — rzekł — ja chciał je sprzedać i dużo zarobić...

Szmul litościwie wstrząsnął głową.

— Oj! oj! — westchnął — Jochel jest biednym, bardzo biednym człowiekiem! On trzy lata pokuty swojej w turmie odsiedział, a teraz, jak jego stamtąd wypuścili, on nie ma żadnego zarobku i musi w hek-doszu siedzieć...

Jochel ciężko westchnął znowu, ale wnet potem energicznie podniósł głowę.

— Nu — rzekł — cóż robić? może i ja będę miał prędko wielki zarobek...

Słowa te włóczęgi-nędzarza przypomniały Meirowi tajemniczą krótką rozmowę, którą przez okno hek-doszu prowadził on przed godziną z możnym Kamionkerem.

Uderzyła go zaraz zmiana, którą słowa Jochela wywołały na twarzy Szmula. Delikatna, blada, ruchliwa twarz ta zadrgała mnóstwem drgnień nerwowych, objawiać mogących zarówno gwałtowną radość, jak boleść. Zarazem oczy jego roziskrzyły się, i ręce zatrzęsły.

— Nu! — zawołał — co to można wiedzieć, co z człowiekiem jutro stanie się! Kiedy on dziś bardzo biedny jest, to jutro może być bardzo bogaty! Co to można wiedzieć? Może i chajet Szmul wybuduje sobie kiedy piękny dom przy rynku i będzie wielki handel prowadził!

Meir uśmiechnął się smutnie. Bezzasadne, jak mu się zdawało, nadzieje dwóch biedaków budziły w nim litość. Patrzał on teraz w zamyśleniu na widniejące przez okno, za niskiemi domostwami, szerokie rozłogi pól.

— Ty, Szmulu — rzekł — z pewnością nie zbudujesz sobie nigdy wielkiego domu przy rynku, i Jochel nie znajdzie tu sobie wielkiego zarobku! No! co to dziwnego? Was tu tylu jest w jednem miejscu, że nikt dobrego zarobku mieć nie może. Ale ja sobie myślę: żebyście nie cisnęli się tu wszyscy na tych brudnych, małych uliczkach, lecz rozsypali się po szerokim świecie, i żebyście wy, wielkich zarobków nie spodziewając się, pracować zaczęli koło ziemi, jak pracują chrześcijańscy chłopi, toby wam może lepiej na świecie było!

Mówił to w zamyśleniu i mniej, jak się zdaje, myśląc o dwóch ludziach, toczących z nim rozmowę, niż o całej tej tłumnej ludności, która w tej chwili napełniała powietrze nieopisaną wrzawą zmieszanych razem kłótni kobiecych, hałasów dziecinnych i nieokreślonych jakichś, niewyraźnych lamentów, zawodzeń i westchnień.

Ale krawiec Szmul, usłyszawszy słowa gościa, dwa razy we wzburzeniu wielkiem podskoczył i dwa razy jarmułkę na głowie swej targnął i przekrzywił.

— Morejne! — zajęczał — jakie brzydkie słowa z ust twoich wychodzą! Morejne! czy ty chcesz wszystko w Izraelu do góry nogami przewrócić?

— Szmulu! — popędliwie zawołał Meir — to prawda! Kiedy ja patrzę na nędzę waszą i na cierpienia dzieci waszych i kiedy ja

we własne swoje serce patrzę, to jabym wtedy chciał wiele rzeczy w Izraelu do góry nogami przewrócić!

— Gwałt! — chwytając się obu dłońmi za głowę, krzyknął gwałtowny i wrażliwy Szmul — ja nie chciał temu wierzyć! Ja ludziom tym, co to gadali, w oczy plul; ale teraz ja sam już widzę, że ty, morejne, złym Izraelitą jesteś, i że tobie święty zakon nasz i obyczaje pradziadów naszych niemiłe!

Meir drgnął cały i wyprostował się.

— A kto to mówił, że ja złym Izraelitą jestem? — zawołał z pałającemi oczyma.

Szmul zmiarkował się w uniesieniu swem; złagodniał nieco i do Meira bardzo blisko przystąpił. Nikt tego słyszeć nie mógł, co mówić miał, bo Jochel stał już znowu w głębokim cieniu pieca, przeżuwając głośno chleb z cebulą, a kobiety i dzieci wysypały się były z chaty na ulicę.

Jednak mówił Szmul bardzo cicho i z wyrazem takiej grozy na twarzy, jakby słowa jego zawierały w sobie tajemnicę potężną a groźną.

— Morejne! ty darmo pytać nie będziesz, kto to mówi. Jak liście na drzewach szeleszczą, tak usta ludzkie szepczą, a nikt nie zgadnie, który liść poruszył się, i które usta zagadały. O tobie, morejne, cały naród złe rzeczy mówić zaczął! O tobie mówią, że ty sabatów nie strzeżesz, przeklęte książki czytasz, obrzydliwe pieśni śpiewasz, młodzieńców izraelskich przeciw świętemu zakonowi buntujesz, uczonych i bogaczy nie szanujesz, i...

Tu wstrzymał na chwilę szybką mowę swą Szmul, a potem zaledwie już dosłyszalnym, wstydliwym szeptem dodał:

— I z karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzymasz!

Meir stał jak skamieniały. Zbladł, a oczy pałały mu coraz goręcej.

— Kto to wszystko mówi? — powtórzył stłumionym od wzruszenia głosem.

— Morejne! — odpowiedział Szmul, rozkładając oba ramiona rozpacznym gestem. — Ty za pokutę siedział przez cały tydzień w bet-ha-midraszu, a my wszyscy biedni ludzie, co przy uliczce tej mieszkamy, dowiedziawszy się o tem, wielki gwałt zrobili! I byli tu tacy ludzie, co chcieli iść do dziada twego, Saula, i do samego rabina, prosić ich, aby oni z ciebie ten wielki wstyd zdjęli. Tracz Judel chciał iść, i furman Baruch chciał

iść, — nu! i chajet Szmul także chciał iść! Ale potem zaczęły się pomiędzy ludźmi gadania różne. A jak my z tych gadań dowiedzieli się, za co ciebie ukarali, to między nami zrobiło się cicho. My powiedzieliśmy sobie: on dobry jest i litościwy bardzo, i pysznym z nami, nędzarzami, nie był, i wiele nam w biedach naszych pomagał; ale kiedy on zakonu świętego nie strzeże, to niech stanie się tak, jak powiedział zejde jego, wielki bogacz, i niech on ukarany będzie!

Umilkł nakoniec, zdyszany długiem i szybkiem mówieniem, Szmul, a Meir, patrząc mu w twarz pałającem, przenikliwem wejrzeniem, zapytał:

— A żeby mnie bogacze i uczeni ukamienować kazali, wybyście znów powiedzieli: niech się tak stanie?

Szmul przeraził się zrazu strasznem przypuszczeniem Meira tak bardzo, że aż o parę kroków odskoczył.

— Gwałt! — zawołał — naco takie brzydkie rzeczy przypuszczać sobie do głowy!

Potem jednak dodał spokojniej:

— Nu! Morejne! żebyś ty świętego zakonu naszego nie strzegł...

Nie dokończył, bo przerwał mu Meir pełnym uniesienia głosem:

— Szmulu! a czy wy wszyscy wiecie, co jest święty nasz zakon? Co w nim jest Boskie rozkazanie, a co ludzkie wymyślenie?

— Szaa! — syknął zcicha Szmul — nas ludzie słuchają! ja nie chcę, morejne, żeby w mojej chacie spotkała ciebie nieprzyjemność!

Meir rzucił spojrzenie za okno i zobaczył, iż w istocie kilku dojrzałych mężczyzn obsiadło długą, wąską ławę, stojącą u ściany domostwa Szmula.

Ludzie ci nie podsłuchiwali bynajmniej, owszem, rozmawiali nawet z sobą, ale parę ostatnich wykrzykników Szmula i Meira usłyszeli snadź, bo nachylili twarze ku otwartemu okienku i patrzyli we wnętrze izby oczyma wpółzdziwionemi i wpółniechętnemi.

Meir niecierpliwie rzucił ramionami i, nie żegnając Szmula, zmierzał ku wyjściu. Ale gdy był już przy progu, Szmul poskoczył ku niemu i, schyliwszy szybko giętką swą postać, w rękę go pocałował.

— Morejne! — szepnął — ja ciebie bardzo żałuję! Ty upamiętaj się! U ciebie serce bardzo dobre, ale głowa bardzo

zła! W niej ogień pali się! Aj waj! co ty z mełamedem dziś zrobił! Morejne! ty upamiętaj się i nie rób zgorszenia w Izraelu

Trzymając wciąż rękę Meira w twardej swej dłoni, podniósł ku niemu twarz, nerwowo znów drgającą, i dodał śpiesznie:

— Morejne! żebyś ty nie był pod takiem strasznem oskarżeniem, jabym dziś przed tobą serce moje otworzył. Bo dziś chajet Szmul ma wielkie kłopoty! Nu, sam nie wie, co zrobić! On może pozostać takim biednym na całe życie, jakim jest, i może zrobić się bogatym! On może być bardzo szczęśliwym i bardzo nieszczęśliwym, bo do niego teraz przychodzi wielkie szczęście i w ręce jemu lezie, ale on lęka się jego brać, bo ono wygląda tak, jak nieszczęście!

Meir ze zdumieniem patrzył na nędzarza, czyniącego mu w ten sposób zagadkowe jakieś półzwierzenia. Ale w tej chwili z za czarnego pieca ozwał się gruby, chrypiący głos Jochela:

— Szmul! czy ty będziesz milczał? Kom her!

Szmul, z drgającą wciąż, nieprzytomną prawie twarzą, odskoczył od Meira, który, zamyślony i z pałającem okiem, wyszedł na ulicę.

Tu na widok jego schmurzyły się widocznie twarze siedzących u ściany ludzi. Dwaj z nich pozdrowili go krótko i obojętnie; nikt przed nim nie wstał, jak zwykle bywało dawniej, nikt nie postąpił ku niemu, aby towarzyszyć mu i poufnie z nim rozmawiać przez całą długość ulicy.

Tylko z pod ściany domu podniosło się dziecię w szarej, długiej surducinie i, zaledwie Meir o parę kroków oddalił się od progu domostwa, postąpiło za nim.

Ręce miało wsunięte w rękawy odzieży i oczy zmęczone, przymykające się niemal od senności. Szło jednak, a że młody człowiek postępował krokiem wzburzonym i szybkim, ono także przyśpieszało kroku.

Tak, jeden za drugim idąc, Meir i Lejbele przebyli długą uliczkę i znaleźli się wkrótce na pustych gruntach, oddzielających ostatnie domostwa miasteczka od Karaimskiego wzgórza.

Zmierzch panował już zupełny, ale w chacie Abla karaima nie paliło się żółte światełko małej świeczki. Nie spano w niej jednak, bo zaledwie Meir zbliżył się do otwartego jej okna, zarysowała się w niem wysmukła postać Gołdy.

Pozdrowili się wzajem milczącem skinieniem głowy.

— Gołda! — rzekł Meir zcicha, lecz pośpiesznie — czy ciebie żadna nieprzyjemność od nikogo nie spotkała? czy tobie nikt nic złego nie zrobił?

Dziewczyna milczała chwilę, a potem odpowiedziała wzajemnem pytaniem:

— Dlaczego ty, Meir, zapytujesz mnie o to?

— Bo ja lękam się, żeby tobie jaka krzywda nie stała się. Ludzie zaczęli o tobie gadać!

Gołda wzgardliwie nieco wzruszyła ramionami.

— Ja o ich krzywdy nie dbam — rzekła — ja z krzywdą razem wyrosłam, i ona jest siostrą moją.

Umilkła na chwilę. Meir wydawał się wciąż niespokojnym.

— Dlaczego u was dziś ciemno w chacie? — zapytał.

— U *mnie* wełny niema do przędzenia, a zejde modli się sobie w ciemności.

W istocie, w kącie izby szemrał drżący głos modlącego się Abla.

— A czemuż ty wełny nie masz do przędzenia? — zapytał Meir.

— Odniosłam Hanie Witebskiej i Sarze, żonie Bera, to, co dla nich uprzędłam, a one mi więcej roboty nie dały.

— Czy tobie one nic złego nie powiedziały? — porywczo zapytał Meir.

Gołda milczała znowu przez chwilę.

— Ludzkie oczy mówią czasem gorsze rzeczy, niż usta — wymówiła spokojnie.

Widocznie skarżyć się nie chciała, ani obwiniać nikogo.

Być może zresztą, iż mało obchodziło ją wszystko, co się tyczyło jej samej, i że umysł jej był czem innem zajęty.

— Meir! — rzekła — ty w tych dniach wielką nieprzyjemność miałeś...

Meir usiadł na małej, wąskiej ławce, stojącej pod otwartem oknem, oparł głowę na dłoni i westchnął ciężko.

— Największą zgryzotę ja dziś miałem — odpowiedział. — Lud mój odwrócił twarz swoją ode mnie i za wroga swego mnie ogłosił... Kiedy przechodzę, widzę na miejscu przyjaźni — nieprzyjaźń, a ci, którzy przede mną serca swoje otwierali, mają mnie teraz w podejrzeniu...

Gołda smutnie pochyliła głowę; Meir mówił po chwili dalej:

— Ja już teraz nie wiem sam, co robić i jakim być... wielkie wątpienie duszę moją objęło. Jeżeli ja będę mówił i robił według serca mego, lud mój znienawidzi mnie, i różne nieszczęścia na mnie spadną... a jeżeli będę mówił i robił przeciw sercu memu, sam siebie znienawidzę, i żadne szczęście miłe mi nie będzie... W bet-ha-midraszu siedząc, ja sobie myślałem zgodę ze wszystkimi trzymać, na głupie i złe rzeczy oczy zamykać i spokojnie sobie żyć... ale, z bet-ha-midraszu wyszedłszy, zaraz nie mogłem wytrzymać i za jedno biedne dziecko bardzo na siebie obraziłem mełameda, a przez mełameda wszystkich starszych i cały lud... Oto, co ja dziś zrobiłem! A teraz znów myślę sobie: naco to przyda się? Czy przez to mełamed nie będzie biednym dzieciom rozumu z ich głów wyjmować i zdrowia ich ciałom odbierać?... Co ja mogę? ja jeden... młody... żony i dzieci jeszcze nie mam, i interesów wielkich nie prowadzę... to nade mną wszyscy wszystko mogą, a ja nic nad nikim... Moich przyjaciół prześladują za to, że oni ze mną przyjaźń trzymają... oni zlękną się i mnie porzucą... Ciebie zaczęli już prześladować za to, że ty serce swoje połączyłaś z mojem sercem i głos swój dałaś za towarzysza mojemu głosowi... i ja ciebie przez to zgubię... Może już lepiej oczy i usta zamknąć... smutkowi i tęsknocie kazać, żeby z serca szły precz... i żyć tak, jak oni wszyscy żyją?...

Coraz ciszej mówił to Meir; w głosie jego czuć było, że pierś mu targały srogie bóle niepewności i zwątpienia.

Dość długo potem zapanowało milczenie, a w tejże chwili za wzgórzem, u którego stóp stała chatka, odzywać się poczęły szczególne jakieś szmery.

Zrazu słabo tylko rozróżniać można było wśród szmerów tych turkoty kół, cicho sunących po piaszczystym gruncie, przyciszone rozmowy i tłumne stąpania ludzkie.

Po chwili jednak coraz wyraźniejszemi i bliższemi stawały się odgłosy te, a wśród ciszy głębokiej, która w miejscu tem panowała, było w nich coś tajemniczego.

— Co to jest? — prostując się, wyrzekł Meir.

— Co to jest? — powtórzyła spokojniej Gołda.

— Mnie się zdaje — zaczął młody człowiek — jakby z tamtej strony góry wiele wozów jechało i stanęło...

— A mnie się zdaje, jakby w tej górze huczało coś i stukało.

Istotnie zdawać się mogło, że stąpania ludzkie odzywały się teraz w samem wnętrzu wzgórza, a oprócz nich słychać tam

było stuk rzucanych jakby, czy ustawianych, ciężkich przedmiotów.

Trwoga odmalowała się na twarzy Meira. Spojrzał głęboko w twarz Gołdy.

— Zamknij okno i zarygluj drzwi! — rzekł pośpiesznie — ja pójdę zobaczę, co tam takiego.

Widocznie lękał się o nią. Ale dziewczyna wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

— Naco ja mam okno i drzwi zamykać! One są bardzo słabe i, choćbym je zamknęła, każdy, kto dotknie się do nich silną ręką, otworzy je sobie.

Meir okrążył już wzgórze i wkrótce znalazł się po drugiej jego stronie. Widok, który tam ujrzał, napełnił go zdziwieniem.

Na piaszczystych zagonach stały, półkręgiem wzgórze otaczając, wozy, jedno- i dwukonne, naładowane drewnianemi beczkami najrozmaitszych rozmiarów.

Około wozów ruszało się mnóstwo ludzi: wieśniaków-chrześcijan i Izraelitów. Wieśniacy zdejmowali beczki z wozów i wtaczali niektóre z nich w głęboką jamę, wytworzoną naturalnie czy sztucznie we wnętrzu wzgórza; Izraelici zaś krążyli pomiędzy wozami, przypatrywali się beczkom, uderzali w nie lekko palcami, a potem skupiali się dokoła człowieka, który stał, przyciśnięty do ściany wzgórza, i toczyli z nim przyciszone, lecz nadzwyczaj żywe, rozmowy.

Pośród Izraelitów tych Meir ujrzał kilku znanych mu z widzenia sąsiednich szynkarzy; człowiekiem zaś, który przyciskał się do wzgórza i wiódł z nimi tajemnicze, choć zapalczywe, jakieś targi i umowy, był Jankiel Kamionker.

Wieśniacy, dokonywający pracy przenoszenia beczek lub stojący nieruchomo u wozów, milczeli ponuro. Silna, odurzająca woń alkoholu rozchodziła się po równinie i przejmowała nawskroś powietrze letniego wieczora.

Zdziwienie Meira krótko trwało. Zaczął on snadź domyślać się znaczenia sceny, na którą patrzał, i widać było, że powziął postanowienia jakieś; bo w zamiarze jakby zbliżenia się do Kamionkera, postąpił parę kroków naprzód. Lecz nagle od ściany wzgórza oderwała się i drogę mu zagrodziła wysoka, barczysta postać człowieka z bosemi nogami i rozczochranemi włosy.

— Czego ty tu idziesz, Meir? — stłumionym szeptem wyrzekł człowiek ten.

— A czemu ty, Jochelu, iść mi nie pozwalasz? — odpowiedział Meir i chciał ominąć stającą mu na drodze przeszkodę, ale Jochel przytrzymał go silnie za rękaw od surduta.

— Czy ty już na tym świecie żyć nie chcesz? — szeptał. — Mnie ciebie żal, bo ty dobry jesteś, i ja tobie mówię: idź ty sobie stąd!

— A jeżeli ja ciekaw jestem wiedzieć, co tu tutaj takiego reb Jankiel ze swemi szynkarzami i z temi beczkami robi?

— A co tobie do tego? -- zaszeptał raz jeszcze Jochel — niech twoje oczy nie widzą i twoje uszy nie słyszą tego, co tutaj reb Jankiel robi! On wielkie interesa robi, i ty jeszcze mu przeszkodzisz... A naco tobie przeszkadzać? czy ty będziesz z tego korzyści jakie miał? czy ty co przeciw niemu możesz?

Meir stał chwilę jak oniemiały. Potem odwrócił się i poszedł zwolna w inną stronę.

— Czy ja co mogę? — wymówił drgającemi wargami.

Przechodząc mimo chaty Abla karaima, zobaczył Gołdę, która stała jeszcze w oknie. Skinął ku niej głową i rzekł:

— Śpij w pokoju!

Ale ona zawołała go:

— Meir! tu jakieś dziecko siedzi na ziemi i śpi.

Meir zbliżył się i spostrzegł w istocie u końca ławki, na której siedział był przed chwilą, skurczoną na ziemi, szarą postać dziecięcą.

— Lejbele! — rzekł ze zdziwieniem.

Nie widział chłopca, który tu za nim przyszedł i cicho za nim też usiadł. Teraz spał on głęboko, łokcie wspierając na podniesionych kolanach, a głowę trzymając w obu dłoniach.

— Lejbele! — powtórzył Meir i położył dłoń na głowie śpiącego.

Dziecię obudziło się, otworzyło senne oczy i, wznosząc je ku twarzy pochylającego się nad niem młodzieńca, uśmiechnęło się.

— Czego ty tu przyszedłeś, Lejbele? — uśmiechając się też, zapytał Meir.

Dziecko namyślało się chwilę, potem odpowiedziało:

— Za tobą...

— Ojciec i matka nie wiedzą, gdzie ty się podziałeś...

— Ojciec już śpi, i matka już śpi... — zaczął Lejbele, przechylając głowę na obie strony i wciąż uśmiechając się.

— I kozy już śpią... — dodał po chwili i na wspomnienie zapewne tych najlepszych towarzyszek swoich zaśmiał się głośno.

Ale z ust Meira zniknął przelotny uśmiech, wywołany uśmiechem dziecka. Wyprostował się, westchnął i, pochylając głowę, wymówił do siebie:

— Co mnie teraz robić?

Gołda obu dłońmi objęła swoją głowę, podniosła twarz i smutnemi oczyma patrzyła w gwiaździste niebo. Po chwili szepnęła zcicha i nieśmiało:

— Ja zejdy spytam się! Zejde bardzo uczony jest... on całą biblję na pamięć umie.

— Spytaj się! — odpowiedział Meir.

Dziewczyna zwróciła się ku ciemnemu wnętrzu chaty i zawołała:

— Zejde! Co Jehowa czynić każe człowiekowi, od którego lud odwraca twarz swoją za to, że on przeciw sercu swemu robić i mówić nie chce?

Na zapytanie to Abel przerwał modlitwę, odmawianą półgłosem.

Przywykł był snadź do częstych zapytań wnuczki i do udzielania na nie odpowiedzi, bo milczał długo w rozważaniu słów jej, czy w przypominaniu sobie słów świętych zatopiony.

Potem, w ciemności, napełniającej wnętrze chaty, ozwał się stary, trzęsący się, lecz podniesiony nieco głos jego:

— Jehowa rzekł: — Uczyniłem cię, proroku, stróżem Izraela! Słuchaj mowy mojej i powtarzaj ją ludowi twemu. Jeżeli czynić to będziesz, nazwę cię wiernym sługą moim, lecz jeśli milczeć będziesz, na głowę twoją spadną nieszczęścia Izraela!

Stary głos, wymawiający słowa te, umilkł, a Meir słuchał jeszcze z podniesioną, pobladłą twarzą i żarzącem się okiem. Po chwili wskazał palcem ku temu punktowi ciemnej izby, w którym znowu szemrać poczynała modlitwa starca, i drżącym głosem rzekł:

— To jest prawda! przez usta jego przemówił stary zakon mojżeszowy! prawdziwy nasz święty zakon!

W oczach Gołdy świeciły wielkie łzy, ale nie widział ich Meir; zatopiony w myśli jakiejś, która objęła i rozpłomieniła całą

jego istotę, zwolna skinął głową ku młodej dziewczynie na znak pożegnania i odszedł.

Ona pozostała u otwartego okna i patrzała za odchodzącym. Postawa i twarz jej były spokojne, ale po ciemnych, chudych licach łzy płynęły jedna za drugą.

— Prorokowi Ozjaszowi głowę ścięli... Proroka Jeremjasza z Judei wygnali!... — szeptała.

Meir zaś, o kilkanaście kroków od małej chatki znajdując się, z podniesioną ku niebu bladą twarzą, wymówił:

— Rabbi Akiba za prawdę swoją w wielkich męczarniach umarł.

Oczy Gołdy szeroko otwierały się, aby móc jak najdalej dojrzeć, pośród wieczornych ciemności, oddalającą się zwolna postać młodzieńca. Powoli splotły się jej ręce, a usta, zwilżone łzami, szepnęły:

— Jak Ruth powiedziała świekrze swojej, Noemi, tak niech ja powiem tobie, światłości duszy mojej: Bóg twój jest Bogiem moim, lud twój jest ludem moim, a smutek mój ja dam za towarzysza twemu smutkowi i duszę moją rozwiodę z ciałem razem z duszą twoją!...

W ten sposób dzieci te, przejęte nawskroś tchnieniem starych dziejów i podań Izraela, które im całą mądrość świata zastępować musiały, z nich czerpały dla siebie naukę, pociechy, męstwo i łzy.

VIII.

Na świecie dniało zaledwie, ale w domostwie Jankla Kamionkera, oprócz dzieci najmniejszych, nikt już nie spał. Wschodzący dzień ważnym miał być dla właściciela zajezdnego domu; był to bowiem jeden z głównych w roku dni targowych, sprowadzających do miasteczka tłumy okolicznej ludności wszech stanów i stopni społecznych.

To też dwie córki Jankla, dorosłe, silne, brzydkie i rozczochrane dziewczyny, z pomocą czternastoletniego brata, Mendla, którego gapiowata i złośliwa twarz nosiła na sobie ślady długoletnich już studjów, w chederze reb Mosza odbywanych, uprzątały zlekka dwa paradne pokoje, przeznaczone dla najdostojniejszych gości, — przybrane w żółte, odwieczne, kulawe sprzęty, popielate od brudu firanki i w gliniane wazony, z których wyrastały ciemne

jakieś karykatury roślin. Obok paradnych apartamentów tych znajdowała się ogromna izba szynkowa, w której zazwyczaj, w dni podobnych zjazdów, zgromadzały się, piły i tańczyły tłumy wieśniaków.

W izbie tej dziewka służąca próbowała czyścić, nigdy niewyczyszczające się, długie, wąskie stoły, ustawione dokoła ław, otaczających ściany, i rozniecała skąpy ogień w głębokiem i czarnem jak otchłań piecowisku; ranek bowiem chłodny był, a wielką, niską szynkownię napełniało powietrze stęchłe i wilgotne.

W mieszkaniu Jankla, w pierwszej od wejścia izbie, u dwóch okien, wychodzących na plac targowy, pusty jeszcze zupełnie i mgłą poranną okryty, stały dwie osoby: Jankiel i żona jego Jenta. Twarzami zwróceni ku oknom, odmawiali oni oboje długie modlitwy poranne.

Jankiel, w takiem już ubraniu, w jakiem zwykle dni całe przepędzał, więc w długim, wyszarzanym chałacie i grubej czarnej chustce, wkoło szyi okręconej, modlił się głośno:

— Błogosławiony bądź, Boże, Panie świata, zato, żeś nie stworzył mnie poganinem! Błogosławiony bądź za to, żeś nie stworzył mnie niewolnikiem! Błogosławiony bądź za to, żeś nie stworzył mnie kobietą!

Wymawiając to śpieszącemi się i drżącemi od żarliwości ustami, kołysał postać swą wtył i naprzód namiętnemi ruchy.

A w tejże chwili Jenta, w szafirowym kaftanie bez rękawów i krótkiej spódnicy, z pod której ukazywały się stopy w ciemnych pończochach i w płytkiem obuwiu, składała przed oknem krótkie, szybkie pokłony i znacznie ciszej od męża swego wymawiała:

— Błogosławiony bądź, Boże, Panie świata, za to, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!

Jankiel zarzucił sobie na piersi i plecy lekką płachtę płócienną, u której czterech końców wisiały białe sznurki, i mówił:

— Błogosławiony bądź, Boże, Panie świata, któryś oświecił nas przykazaniami swojemi i dał nam zakon o cycys!

Jenta, z krótkim pokłonem, zaszeptała głośniej:

— Błogosławiony bądź, Panie świata, który oswobadzasz więźniów i prostujesz tych, co zgięci są w łęk!

Jankiel przebierał palcami nici, wiszące u rozpostartego przed nim na stołku tałesu, mówiąc:

— Wielki jesteś Boże, Panie świata! bardzo wielki! Oblokłeś się wielkością i światłością, jako płaszczem!

Jenta, kłaniając się wciąż, wzdychać ciężko zaczęła:

— Błogosławiony bądź, Boże, Panie świata — szeptała — który dajesz siłę zmęczonemu, sen z oczu a drzemanie z powiek moich spędzasz!

Wziął nakoniec Jankiel ze stołka tałes swój, a owijając się płaszczem tym z białej, miękkiej materji o żałobnych szlakach, podniósł twarz wysoko i zawołał:

— Błogosławiony bądź, Panie świata, za to, żeś oświecił nas przykazaniami swemi i rozkazał nam oblekać się w tałes!

Potem jeszcze, kołysząc się wciąż i poruszając ustami, włożył na głowę rzemień ze sporym guzem, przylegającym do czoła, a inny podobny okręcając wkoło palca swego, wymówił:

— Zaręczę cię z Sobą na wieki! zaręczę cię z Sobą w prawdzie, miłości i łasce! zaręczę cię z Sobą w wierze, przez którą poznasz Pana!

Tak byli zatopieni w modlitwach swych, że nie słyszeli rozlegających się za nimi kroków ciężkich a śpiesznych.

Meir Ezofowicz przeszedł szybko izbę, w której modlili się Jankiel i żona jego, i, minąwszy izdebkę, zastawioną łóżkami, skrzyniami i kołyskami, w których spało jeszcze dwoje małych dzieci, uchylił zcicha niskie drzwiczki, prowadzące do izdebki kantora.

Szaro tu jeszcze było od porannego świtania. W błękitnawym zmroku, który napełniał izdebkę, twarzą zwróconą ku oknu stał Eljezer i modlił się także.

Usłyszał on wejście przyjaciela, bo zrazu głowę ku niemu zwrócił, modlitwy swej jednak nie przerwał. Owszem, wzniósł nieco w górę ręce swe i, jakby wezwać chciał przybyłego do wspólnych modłów, głośniej wymówił:

— Boże Izraela! zagaś płomienny gniew Twój i zdejm niedolę z głowy ludu Twego!

Meir stanął o parę kroków za modlącym się przyjacielem i odpowiedział słowami, któremi zazwyczaj lud odpowiada kantorowi, intonującemu modlitwy:

— Spojrzyj z niebios i ujrzyj, jakośmy stali się pośmiewiskiem i wzgardą między narodami; jako jagnię wiedziono nas na męki, hańbę i zniszczenie!

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twojego: nie zapomnijże i Ty o nas! — intonował znowu Eljezer.

W ten sposób, odpowiadając sobie wzajem, dwaj młodzi ludzie odmawiali wspólnie jedną z najpiękniejszych modlitw, jakie kiedykolwiek z rozbolałych serc ludzkich podnosiły się do nieba.

W modlitwie tej słowo każde jest łzą, a każda strofa akordem, opiewającym tragiczne dzieje wielkiego ludu.

— O! wyrzecz się pomsty swej i okaż litość wybranemu Twemu! — mówił kantor.

— Obroń nas, Panie, i nie oddawaj nas w ręce okrutnych! Bo i pocóż mówić mają ludzie: Kędyż ich Bóg!

— Usłysz jęk nasz i nie oddawaj nas w ręce wrogów, pragnących zgnębić imię nasze! Wspomnij, coś przysiągł przodkom naszym: «Rozmnożę potomstwo wasze jako gwiazdy», a teraz z wielkiego mnóstwa pozostało już nas tak mało!

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twego: nie zapomnijże i Ty o nas!

— O, straży Izraelowa, chroń ostatki Izraela, ażeby nie zginął lud, wierzący w jedyne imię Twoje i mówiący: Pan nasz, Bóg jedyny!

Postawy dwóch przyjaciół były wśród modlitwy tak różne, jak różne były ich charaktery. Eljezer wznosił w górę drżące nieco ręce; błękitne oczy jego wilżyły się od miękkiego wzruszenia, a wiotka postać chwiała się mimowoli, przejęta jakby rozmarzeniem czy zachwytem.

Meir stał prosto i nieruchomo, z ramionami skrzyżowanemi na piersi, z ognistą źrenicą, utkwioną w błękitnawe obłoki, i z głęboką zmarszczką na czole, która całej twarzy jego nadawała wyraz tłumionego gniewu i bólu.

Obaj jednak modlili się całem sercem, z wiarą głęboką w to, że straż Izraelowa, Bóg jedyny, słyszy ich głosy. U końca modlitwy dopiero rozdwoiły się ich duchy. Eljezer intonował prośbę za izraelskich uczonych i mędrców.

— Podtrzymuj, Ojcze nasz niebieski, mędrców Izraela z żonami, dziećmi i uczniami ich, wszędzie, gdziekolwiek przebywają! Wołajcie: Amen!

Meir nie wymówił: Amen. Milczał chwilę, a gdy kantor milczał także, odpowiedzi czekając, Meir podniosłym nieco głosem i drżącemi usty mówić zaczął:

— Braci naszych z domu Izraelowego, poddanych ubóstwu i grzechom, gdziekolwiek przebywają, wywiedź z oków

na swobodę, z ciemności na światłość, jak najprędzej! Wołajcie: Amen!

— Amen! — zawołał Eljezer i zwrócił się twarzą ku przyjacielowi.

Wyciągnęli ku sobie ręce i uścisnęli się wzajem.

— Eljezer! — rzekł Meir — ty dziś nie tak wyglądasz, jak tydzień temu!

— I ty, Meirze, nie tak wyglądasz! — odpowiedział kantor.

— Nad naszemi głowami jeden tylko tydzień przepłynął, ale czasem jeden tydzień to więcej, niż dziesięć lat.

— Ja przez ten tydzień wiele przecierpiałem — szepnął kantor.

Meir nie skarżył się.

— Eljezer! — rzekł — daj mi More Nebuchim*). Po tę książkę przyszedłem dziś do ciebie tak rano. Mnie tej książki bardzo teraz potrzeba!

— U mnie tej książki niema już! — wyrzekł zcicha.

— A gdzież ona jest? — zapytał Meir.

— Książki tej, Meirze, z której głowy nasze piły światłość, a serca nadzieję, na całym świecie już niema! Ją ogień pożarł, a prochy jej na śmiecisko wyrzucono...

— Eljezer! ty zląkłeś się i oddałeś ją na pożarcie ogniowi! — zawołał Meir.

— Moje ręce nie mogłyby popełnić takiego morderstwa; żeby nawet usta moje rozkazywały im uczynić to, oneby ust moich nie posłuchały. Ale tydzień temu przyszedł tu ojciec mój i z wielkim gniewem rozkazał mi, ażebym oddał mu tę «przeklętą» książkę, którą my razem w sabat czytaliśmy na łące. Ja milczałem. On krzyczał: czy u ciebie jest ta książka? — powiedziałem: u mnie; ale kiedy znowu zapytał się mnie: gdzie ona jest? — ja milczałem. Biłby mnie, ale, wspominając na mój urząd w synagodze i na wielką miłość, którą lud ma dla głosu mojego, bardzo się lękał dotykać ciała mego. Zaczął tylko rozrzucać wszystko w izbie, a jak pościel rozrzucił, to i książkę znalazł. Chciał ją nieść do rabina, ale ja wtedy do nóg jego upadłem i prosiłem, żeby on tego nie robił, bo nie pozwolonoby mi za to śpiewać przed Panem, i odebrano mi tę miłość, którą lud ma

---

*) «Przewodnik błądzących», dzieło Mojżesza Majmonidesa.

dla mnie za śpiewanie moje. Ojciec sam tego zląkł się, bo on dumny bardzo z tego, że syn jego, taki młody, ma już wielki zaszczyt w synagodze, i on myśli, że za to, iż syn jego Panu śpiewa i ludowi słowa modlitwy podaje, Pan jemu powodzenie w interesach dawać będzie i grzechy mu jego przebaczy. Nie poniósł książki do rabina, ale ją sam w płomień rzucił, a gdy się już paliła, śmiał się i skakał z radości.

— I ty, Eljezer, patrzyłeś na to i nic nie robiłeś? — drżącym głosem zapytał Meir.

— A co ja miałem zrobić? — odszepnął kantor.

— Jabym książkę tę na piersi mojej położył... jabym ją ramionami memi do siebie przycisnął... jabym powiedział ojcu: kiedy ty ją do ognia rzucać chcesz, rzućże razem i mnie!...

Słowa te Meir mówił z iskrzącym się wzrokiem i płomieniem rumieńca na czole; Eljezer stał przed nim smutny, zawstydzony, z pochyloną twarzą i spuszczonym wzrokiem.

— Ja nie mogłem — szepnął — ja lękałem się, żeby mię od ołtarza Pana nie odepchnięto i przed ludem za bezbożnego nie ogłoszono... ale patrz na mnie, Meir, i zobacz, czy pisania mistrza naszego ja nie kochałem tak, jako duszy mojej... odkąd jego niema już w izdebce mojej, twarz moja pobladła, a powieki zaczerwieniły się od łez...

— O, łzy, łzy, łzy twoje! — zawołał Meir, siadając gwałtownie na stołku i czoło ujmując w obie dłonie. — O! te łzy, łzy, łzy twoje, Eljezer! — powtarzał szczególnym głosem, szyderskim niby, niby łzawym — one przez wiekuistość płynąć mogą, a nic dobrego nie uczynią ani tobie, ani mnie, ani izraelskiemu ludowi! Eljezer! ja ciebie kocham, jak brata! ty źrenica w oku mojem! ale ja łez twoich nie lubię i na powieki twoje, od nich zaczerwienione, patrzeć nie mogę! Eljezer! nie pokazuj ty mi nigdy łez swoich, ale pokaż ty mi choć raz ogień w oczach swoich i siłę w tym głosie swoim, dla którego lud taką miłość czuje, że byłby jemu posłuszny, jak dziecko matce.

Złorzecząc w ten sposób łzom przyjaciela, Meir sam oczy miał pełne łez. Nie chciał może pokazać ich, bo zakrył twarz dłońmi. Zakołysał też boleśnie postać swą i mówił dalej:

— Oj! oj! oj! Eljezer! co ty zrobiłeś, książkę tę ojcu swemu na spalenie dając! Skąd my teraz drugie źródło mądrości dostaniemy! Gdzie my teraz głos jedynego mistrza naszego usłyszymy! Płomienie pożarły duszę dusz naszych, a prochy jej na śmiecisko wyrzucono... rozniosą je wiatry na wszystkie strony,

a jeżeli dusza mistrza naszego zobaczy je lecące tak na zginienie, zasmuci się i rozgniewa bardzo i powie: oto drugi raz wyklęli mię ludzie!

Mówiąc tak, nie mógł już utaić namiętnego płaczu, który go porywał. Łzy bujne i gęste, przenikając mu przez palce, spadały na chropowatą powierzchnię stołu. Nagle przestał wyrzekać i płakać. Umilkł i, nie zmieniając postawy, pogrążył się w cichym żalu czy rozmyślaniu.

Eljezer otworzył okno.

Na piaszczystym gruncie rynku snuły się tu i owdzie różowe i złotawe ścieżki. Były to pierwsze promienie słońca, które wschodzić zaczynało.

Jedną ze świetlistych ścieżek tych postępował, ku domostwu Kamionkerów zmierzając, wysoki, barczysty, bosonogi człowiek. Ciężkie stąpania jego ozwały się wkrótce w bliskości okna, przy którem siedzieli dwaj młodzi ludzie.

Meir podniósł twarz, a chociaż głowa idącego człowieka o rozczochranych włosach i nabrzmiałych ustach mignęła mu tylko przed oczyma, poznał, że był to Jochel.

W parę minut potem tuż za otwartem oknem przeszli szybko dwaj ludzie czarno ubrani.

Jeden wysoki był, poważny i błogo uśmiechniony, drugi niski, żwawy i ze zmarszczonem czołem pod gęstwiną popielatych od siwizny włosów. Był to: morejne Kalman i Abram Ezofowicz.

Szli tu snadź nie przez plac, na którym widać ich wprzódy nie było, ale drogą jakąś uboczną, ukrytą za ścianami i podwórzami domostw, bo ukazali się nagle skądsiś, z za węgła niskiego zajezdnego domu.

Z chodu ich, milczenia i z samej twarzy Abrama, schmurzonej i niespokojnej, znać było, że życzyli sobie gorąco, aby nikt ich tu przybywających nie widział. Przebywszy elastyczny od nagromadzonego śmiecia grunt, który oddzielał okna domostwa od podjazdowych słupów, zniknęli, jak przed chwilą Jochel, w sieni głębokiej, mrocznej jeszcze zupełnie a będącej zarazem stajnią.

Eljezer oderwał w tej chwili wzrok od nabożnej książki, którą czytać zaczął i, spojrzawszy na Meira, zawołał:

— Meir! dlaczego twarz twoja zrobiła się taka sroga? Ja u ciebie takiej srogiej twarzy nie widziałem nigdy!

Mogło się zdawać, że Meir nie usłyszał nawet wykrzyku

przyjaciela. Ze wzrokiem, utkwionym w ziemię, szeptał do siebie:

— Stryj mój, Abram! Stryj mój, Abram! biada domowi naszemu! wstyd i hańba domowi Ezofowiczów!

W izbie przyległej, cienkiemi, niskiemi drzwiami oddzielonej od izdebki kantora, odezwały się teraz głośne i tłumne szmery.

Najpierw Jankiel krzyknął tam na żonę, aby wyniosła i wyprowadziła dzieci; potem załopotało po podłodze przydeptane, płytkie obuwie Jenty; dzieci rozbudzone zapłakały, a gdy coraz przeraźliwszy wrzask oddalał się w głąb domu, tuż za ścianą ozwały się stąpania kilku dzieci, śpieszne i głośne posuwanie drewnianych stołków i nakoniec stłumiony, lecz dość głośny, bo gwałtowny, szept rozpoczynającej się rozmowy.

Meir wstał nagle ze stołka.

— Eljezer! — rzekł śpiesznie — idźmy stąd!

— Dlaczego my mamy stąd iść? — zapytał kantor, odrywając się znowu od nabożnego czytania swego.

— Bo ściana ta cienka jest... — zaczął Meir.

Nie dokończył i umilkł nagle, bo za ścianą dał się słyszeć gwałtowny wykrzyk stryja jego, Abrama:

— Ja o tem nic nie wiedziałem! ty, Janklu, nic mi o tem nie powiedziałeś.

Jednocześnie zabrzmiał żółciowy, przykry śmiech Jankla.

— Bo ja mam rozum w głowie! — zawołał — ja wiedziałem, że u ciebie, Abramie, zgoda na interes taki trudna będzie! Ale, jak ja sam interes ten załatwię...

— Szaa! — syknął Kalman, a dwa głosy, które podnosiły się były przed chwilą, zaczęły znowu szeptać.

— Eljezer! idź ty stąd! — zawołał Meir.

Kantor nie rozumiał nic.

— Eljezer! — czy ty chcesz czcić ojca swego, jak przykazano jest na górze Synaj?

Syn Kamionkera westchnął.

— Ja, płacząc, proszę Jehowy, abym mógł czcić ojca mego...

Meir rękę jego pochwycił.

— Nu, to idź stąd! idź stąd! bo jak zostaniesz tu jeszcze trochę, nigdy już... nigdy... nigdy czcić ojca twego nie będziesz...

Młody człowiek mówił to z takiem uniesieniem, że Eljezer zbladł i zmieszał się bardzo.

— A jak ja pójdę teraz stąd? — szepnął — jeżeli oni o wielkim sekrecie rozmawiają...

Tu znowu zabrzmiał za ścianą głośniejszy nieco wykrzyk Jankla:

— Chajet Szmul, nędzarz, i furman Jochel, złodziej... oni obaj grube pieniądze wezmą...

— A chłopi, co wódkę wieźli? — zawołał Abram.

Jankiel zaśmiał się.

— Oni u moich szynkarzy z ciałami, duszami i dobytkami swemi w kieszeniach siedzą...

— Szaa! — syknął znowu flegmatyczniejszy i ostrożniejszy od towarzyszy swych Kalman.

Tym razem Eljezer drżeć już począł. Przebłysk domysłu jakiegoś w głowie jego zaświtał.

— Meir! Meir! — zaszeptał z niezwykłą sobie gwałtownością — ja chcę stąd iść, ale tamtędy, koło nich, lękam się... bo oni domyślą się, że ja z ich sekretu dowiedziałem się czegoś...

Meir jedną ręką odsunął stół, przy oknie stojący, drugą popchnął przyjaciela ku otwartemu oknu.

W mgnieniu oka Eljezer zniknął z izdebki. Wtedy Meir wyprostował się i rzekł do siebie:

— Nu! teraz ja im pokażę się! niech wiedzą, że tu były uszy, które słyszeć mogły!

Mówiąc to, otworzył niskie drzwiczki i wszedł do sąsiedniej izby.

Tu, pod ścianą, na trzech blisko ku sobie przysuniętych stołkach siedzieli trzej ludzie. Rozdzielał ich mały stół z prostego białego drzewa.

Jankiel i Abram wspierali się na nim łokciami i nisko pochylali ku sobie głowy. Kalman siedział wyprostowany, wspaniały, błyszczący od okrywającej go sajety, jak zwykle. Jankiel miał twarz płonącą od ceglastych, gorączkowych rumieńców; Abram był blady. Oczy pierwszego połyskiwały ostro, chciwie, złośliwie; wzrok drugiego spuszczał się ku ziemi, jakby w trosce i srogiej niepewności.

Ale klasycznego spokoju Kalmana nic zachwiać nie mogło. Policzki jego rumieniły się zwykłą czerstwością, a na pulchnych wargach spoczywał wiekuisty miodowy uśmiech doskonałego zadowolenia.

Gdy Meir otwierał drzwiczki, do uszu jego doszły jeszcze wyraźnie słowa stryja jego, Abrama:

— A jeżeli cały dwór spali się razem z podwałem? *).

— Aj! aj! aj! — odszepnął szyderczo Kamionker — wielka bieda! Jeden Edomita więcej żebrakiem się zrobi!

Tu mówiący umilkł i zatrząsł się cały od trwogi, czy gniewu. Zobaczył otwierające się drzwiczki i wchodzącego przez nie Meira. Zobaczyli go też dwaj towarzysze jego. Uśmiechnione usta Kalmana otworzyły się szeroko; czoło Abrama w groźne zmarszczki się ścięło.

Meir widział wrażenie, które sprawiło jego wejście. Przestąpiwszy próg, zatrzymał się na chwilę i wzrok utkwił w twarzy stryja swego. Wzrok to był przenikliwy, śmiały, ale zarazem taki jakiś pokorny, smutny i błagalny, że, spotkawszy się z nim, oczy Abrama niespokojnie zamigotały i spuściły się ku ziemi. Głowa jego, szarą siwizną okryta, pochyliła się także, a ręce opadły na kolana i drżeć zaczęły.

Meir zwolna przeszedł izbę i wnet znalazł się w innej, w której nikogo nie było, oprócz stojącego pomiędzy ścianą a piecem Jochela.

Stał on tam w wyczekującej jakby postawie, plecami łachmaniastego spencera wycierał nędzną pobiałę ściany, a bezmyślnemi oczyma spoglądał na bose swe stopy.

Za odchodzącym ozwał się wykrzyk Jankla:

— A ferszołtener! (przeklęty).

Abram i Kalman milczeli długo.

— Dlaczego ty, Janklu, w takie złe miejsce nas przyprowadziłeś? — flegmatycznie zapytał potem Kalman.

— Dlaczego ty nas nie ostrzegłeś, że za temi drzwiami może kto być i słyszeć? — gwałtownie zaszeptał Abram.

Jankiel tłumaczył się, że za drzwiami temi była izdebka syna jego, kantora, który dla interesów zupełnie jest obojętny, wcale ich nie rozumie, a czytając zawsze i modląc się, nic wkoło siebie nie słyszy.

— Skąd ja mogłem wiedzieć, że ten przeklęty dzieciak tam był? którędy on wszedł? chyba przez okno, jak złodziej?

— Nu! — rzekł po chwili, namyślając się i ośmielając — a co to szkodzi, że on słyszał? On Izraelitą jest! naszym! On pary z ust przeciwko swoim wypuścić nie będzie śmiał!

— On może śmieć — zauważył Kalman. — Ale my na niego

---

*) Podwał — miejscowa nazwa składu napojów spirytualnych, wyrobionych w gorzelni.

oko mieć będziemy, i jeżeli jego usta choć jedno słowo z siebie wypuszczą, zegniemy go w łęk...

Abram wstał.

— Róbcie, co chcecie — rzekł porywczo — ja do tego interesu należeć nie chcę...

Jankiel rzucił na niego zjadliwe spojrzenie.

— Nu — rzekł — i owszem. Dla mnie i dla Kalmana zarobek będzie większy... bo czyje ryzyko, tego i korzyść powinna być...

Abram usiadł. Ciężka walka malowała się na twarzy jego wrażliwej, nerwowej, zbróżdżonej namiętnościami w różne kierunki.

Jankiel, który trzymał w ręku kawałek kredy, zaczął pisać nią na małej czarnej tabliczce.

— Ośm tysięcy wiader — mówił — po cztery ruble wiadro, 32.000 rubli. Trzy w 32-ch tysiącach... 10.666 rubli, 66 kop. i jedna trzecia... Po 600 rubli od każdego wezmą Jochel i Szmul, nu! dla nas będzie po 10.066 rubli 66 kop. i jedna trzecia.

Abram wstał znowu. Nic jednak nie mówił; — patrzał w ziemię i w obu rękach miął chustkę. Po chwili, nie podnosząc oczu, zapytał:

— A kiedy to nastąpi?

— To bardzo prędko nastąpi! — odpowiedział Jankiel.

Abram, nic już więcej nie mówiąc i nie żegnając towarzyszy, szybkim krokiem wyszedł z izby.

Wśród obszernego placu zaczynał się ruch, gwar i turkot przybywających na wielki targ wozów i ludzi. Ludność całego miasteczka stała już na nogach, gotując się do robienia w dniu tym licznych i najróżnorodniejszych interesów. W domu Ezofowiczów nikt też już nie spał; wstano tam także wcześniej, niż zwykle.

W części domu, którą zamieszkiwali z rodzinami swemi Rafał i Ber, słychać było kilka głosów męskich, rozmawiających z sobą żywo, głośno i wesoło. Wymieniano tam różne przedmioty handlu, i przy każdym z nich stawiano różne szeregi cyfr.

W rozmowę tę mieszało się chwilami opowiadanie jakieś, śpiewnym głosem wypowiadane, a po niem następowały wykrzyki zdziwienia, tłumne zapytania, albo wesołe śmiechy.

Czuć tu było pokój i zadowolenie ludzi, pracujących gorliwie około dobrobytu swego i rodzin swych, a troskę o sprawy

życiowe osładzających sobie wzajemną otwartością, ufnością i przyjaźnią.

W dużej, widnej bawialnej izbie, pachnącej jedliną, której gałązkami dnia tego posypano podłogę, staranniej jeszcze, niż zwykle, wymytą i wymiecioną, na starej żółtej kanapie, przed stołem, zasłanym barwistą serwetą, siedział Saul w odświętnem ubraniu z błyszczącej sajety, w aksamitnej czapeczce na srebrzystych włosach i zwolna szczerosrebrną łyżeczką popijał woniejącą, wyborną herbatę.

Ogromny, błyszczący jak złoto, samowar nie stał poranku tego, jak zwykle, na szafie, z której przeglądały dostatnie naczynia kuchenne i stołowe, lecz żarzył się węglami i buchał parą w sąsiedniej izbie wielkiej, czystej, ławami i stołami dokoła ostawionej, a jaskrawo oświetlonej szerokim płomieniem ogniska, roznieconego w wielkim kuchennym piecu.

Nastawienie ogromnego samowaru tego, szerokość kuchennego ogniska, żwawe krzątanie się około niego niewiast i dość licznej służby domowej, a także odświętne ubranie Saula i niepokalana białość firanek, ozdabiających okna bawialnej izby, znamionowały, że w domostwie bogatej rodziny kupieckiej spodziewano się dnia tego licznych gości i na przyjęcie ich czyniono wesołe i staranne przygotowania.

Teraz przecież ranek był wczesny jeszcze, i stary Saul siedział sam jeden, lubując się widocznie atmosferą ładu i dostatku, która go otaczała, jak też odgłosami rozmów i krzątań się, napełniających od szczytu do podstaw dom obszerny i ludny.

Była to jedna z chwil, dość częstych zresztą, które poważnemu patrjarsze starożytnego rodu w całej pełni uczuć dawały wszystkie łaski i dostojeństwa, obficie zlane przez Jehowę na błogosławioną starość jego.

Zaledwie jednak otworzyły się drzwi od sieni, a przez nie wszedł do izby Meir, pierzchnęła błogość, napełniająca przygasłe źrenice Saula.

Widok wnuka przywiódł mu snadź na pamięć bolący cierń jakiś, o którym, wśród wdzięcznego rozpamiętywania kwiatów żywota swego, zapomniał był przed chwilą. Pierwsze też spojrzenie na młodego człowieka sprawiało wrażenie fałszywej, a raczej smutnej i burzliwej nuty, wmieszanej w akord harmonijny i wesoły.

Troska i niepokój malowały się na pobladłej twarzy jego, a w oczach płonął ogień wzburzonych uczuć i myśli. Wszedł do

izby śmiało i prędko, ale gdy spotkał się wzrokiem ze spojrzeniem dziada, pochylił twarz i zwolnił nieco kroku. Niegdyś zbliżał się on do dobroczyńcy i ojca swego z ufnością i pieszczotą ulubionego dziecka.

Teraz jednak czuł, że pomiędzy nim a starcem tym, który wypiastował dzieciństwo i młodość jego, wznosiła się coraz wyższa i twardsza zapora.

Wiedział też, że zaporę tę wzniósł sam słowami i postępkami swemi; tęskno mu było za dawną czułością przygasłych oczu tych, które teraz patrzyły nań surowo i gniewnie; to też zbliżył się do dziada ze spuszczoną smutnie powieką, stanął przed nim w nieśmiałej postawie i proszącym, pokornym prawie głosem rzekł:

— Zejde! jabym chciał z tobą o jednej ważnej rzeczy pomówić!

Na widok nieśmiałości tej, z jaką ulubione mu niegdyś dziecko zbliżało się do niego, Saul mniej surowym stał się, a więcej smutnym.

— Mów! — odpowiedział krótko, lecz łagodnie.

— Zejde! czy pozwolisz mi zamknąć drzwi i okno, aby nikt rozmowy naszej posłyszeć nie mógł.

— Zamknij! — odpowiedział Saul i z pewnym niepokojem oczekiwał dalszej rozmowy z wnukiem.

Meir zamknął drzwi i okno, a blisko dziada stanąwszy, zaczął:

— Zejde! ja wiem, że słowami mojemi przyniosę tobie znowu zmartwienie i kłopot. Ale do kogoż udać się mam? Ty dla mnie byłeś ojcem i dobroczyńcą; do ciebie odrazu ciągnie mię serce w każdej zgryzocie mojej...

Głos jego zadrżał. Widać mu było z twarzy, że głęboka czułość serca ciągnęła go do kolan i w ramiona starca tego, który, zmiękczony widocznie, z rozbłysłem nagle okiem, odpowiedział:

— Mów wszystko! chociaż mam przyczyny gniewać się na ciebie, bo ty nie jesteś takim, jakim pragnie widzieć cię dusza moja; lecz nie zapomnę nigdy o tem, że jesteś synem syna mego, który prędko bardzo z oczu moich zniknął... Jeżeli ty kłopot jaki masz, ja go z głowy twojej zdejmę, a jeżeli tobie kto krzywdę jaką wyrządził, ja stanę naprzeciw krzywdziciela twego i ukarzę go za ciebie...

Na Meira słowa te wywarły wpływ ośmielający i pocieszający.

— Zejde! — rzekł śmielszym już głosem — na głowie mojej, dzięki tobie, kłopotu żadnego niema, i mnie nikt krzywdy żadnej nie wyrządził. Ale ja o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się i nie wiem sam, co z nim robić. Zataić go w sobie ja nie mogę, więc pomyślałem, że o sekrecie tym tobie, zejde, powiem, żebyś ty, z siwemi włosami swemi i powagą swoją, którą nad duszami ludzkiemi masz, grzechowi i wstydowi na przeszkodzie stanął...

Teraz już Saul wpatrywał się w twarz wnuka napół z ciekawością, napół z niezadowoleniem.

— Nu! — rzekł — lepiej daleko tym ludziom jest, którzy żadnych sekretów strasznych nie przenikają i nigdy o nich ust swoich nie otwierają. Ale ja boję się, że kiedy ty nie otworzysz serca swego przede mną, otworzysz je przed innymi ludźmi, i znowu z tego nieprzyjemności jakie wypadną. Mów! jaki to jest straszny sekret?

Meir odpowiedział:

— Sekret ten jest taki: Jankiel Kamionker trzyma w posesji od Kamińskiego dziedzica wielką gorzelnię jego... On w tej gorzelni wypędził 6.000 wiader wódki, ale nie sprzedawał jej przez całe lato. On jej nie sprzedawał dlatego, że cena niska była. Teraz cena podskoczyła wgórę, i on ją sprzedać chce, ale podatku, który od niej rząd bierze, zapłacić nie chce...

— Mów ciszej! — przerwał nagle Saul, w którego twarzy zdradzał się wzrastający niepokój.

Meir głos zniżył do szeptu prawie:

— Żeby podatku nie zapłacić, Kamionker wódkę tę wykradł ze dworu i przeszłej nocy przewiózł ją pod Karaimskie wzgórze, gdzie ją szynkarze z różnych stron targowali i rozkupywali... Ale on pomyślał sobie: a co będzie, jak urzędnik przyjedzie rewidować podwał i wódki nie znajdzie?... Wielka będzie odpowiedzialność za to i wielki sąd... Jak on tak pomyślał to dwóch ludzi najął... Zejde! on dwóch nędzarzy pieniędzmi skusił...

— Sza! — zawołał nagle przyciszonym głosem Saul. — Milcz, i niech żadne słowo więcej z ust twoich nie wyjdzie! Już ja końca mowy twojej domyśliłem się!

Ręce starca drżały, siwe brwi jego zsunęły się i zjeżyły.

Meir umilkł i pełnemi niespokojnego oczekiwania oczyma patrzał na dziada.

Saul milczał długo, potem, nie podnosząc spuszczonych powiek, niepewnym głosem wymówił:

— Twoje usta kłamstwo wyrzekły. To nie może być!

— Zejde! — zaszeptał Meir — to prawda jest taka, jak to słońce, co dziś na niebie świeci! A dlaczego to nie może być! Czy ty, zejde, nie słyszałeś, że wypadki takie przytrafiały się już zaprzeszłego roku i przeszłego roku w różnych stronach... Takie wypadki, zejde, przytrafiają się coraz częściej, a od nich każdemu prawemu Izraelicie serce ściska się od boleści, a czoło pali się od wstydu!

— Skąd ty to wszystko możesz wiedzieć? Skąd ty to wszystko tak dobrze możesz rozumieć? ja tobie nie wierzę!

— Skąd ja to wszystko mogę wiedzieć i rozumieć? Zejde! ja w twoim domu chowałem się. A do twego domu wielu zawsze ludzi przychodziło i przyjeżdżało: żydów i chrześcijan, kupców i panów, bogatych i biednych... Oni z tobą o innych rozmawiali, a ja słuchałem i rozumiałem. Czemuż ja teraz nie mam rozumieć?...

Saul milczał znowu. Najsprzeczniejsze uczucia malowały się na twarzy jego, głęboko zaniepokojonej. Nagle gniew na wnuka wezbrał mu w piersi.

— Ty zanadto rozumiesz! — zawołał — ty zanadto ciekawy jesteś! Dusza twoja, pełna niespokojności, niespokojność wszędzie roznosi! Ty mnie spokój mojej starości trujesz! Ja dziś szczęśliwy byłem, dopóki ciebie oczy moje nie zobaczyły! Jak ty wszedłeś, weszła z tobą zgryzota!

Meir pochylił głowę.

— Zejde! — rzekł smutnie — za co ty mnie łajesz? Ja nie ze swoim interesem do ciebie przyszedłem...

— A naco tobie do cudzych interesów mieszać się? — z wahaniem się w głosie wyrzekł znowu starzec.

— To nie jest cudzy interes! — żywiej odparł Meir. — Kamionker Izraelitą jest... on nasz... a naco on brzydkiemi postępkami swemi duszę Izraela psuje i sławę jego przed światem plami? Zejde! i dla ciebie interes ten cudzy nie jest! Syn twój, Abram, do interesu tego należy!

Saul podniósł się nagle z kanapy i znowu na nią opadł.

— Syn mój, Abram! — zawołał.

Potem bystrem, przenikliwem spojrzeniem przeszył twarz Meira.

— Ty nie kłamiesz?

— Ja widziałem i słyszałem... — szepnął Meir.

Saul zamyślał się długą chwilę.

— Nu! — rzekł zwolna — ty masz prawo skarżyć się

przede mną na stryja swego! On brat twego ojca, i z jego postępku spaść może wielkie nieszczęście i wielka hańba na ciebie i cały ród nasz. W rodzie Ezofowiczów takich paskudnych rzeczy nigdy nie bywało, i ja synowi memu zabronię do interesu tego należeć...

— Zejde! powiedz ty także Kamionkerowi i Kalmanowi, żeby oni tego nie robili!

— Ty głupi jesteś! — rzekł Saul — czy Kamionker i Kalman są synami mymi, albo mężami moich córek? Oni mię nie posłuchają!

— Jeżeli oni nie posłuchają — zawołał Meir — to ty, zejde, oskarż ich przed dziedzicem Kamiońskim... oskarż ich przed sądem!

Saul podniósł na wnuka wzrok nagle roziskrzony.

— Twoje rady głupie są! — zawołał z wybuchem — twoje serce napojone żółcią i piołunem przeciw narodowi własnemu! Co to! ty z dziada swego donosiciela chcesz zrobić! ty chcesz, żeby dziad twój głowy braci swych, Izraelitów, niebezpieczeństwu poddawał!

Chciał jeszcze coś mówić, ale w tej chwili otworzyły się drzwi, i do izby weszło kilku Izraelitów, przybyłych z sąsiedztwa na targ szybowski. Byli to poważni i zamożni kupcy lub dzierżawcy sąsiednich dóbr wiejskich.

Saul podniósł się nieco na ich powitanie, ale oni szybko ku niemu przystąpili, za ręce go ściskali i wraz z uprzejmemi pozdrowieniami oświadczali, iż celem przybycia ich do Szybowa były nietyle interesy, które tu dnia tego sprawiać mieli, ile chęć odwiedzenia mądrego i wysoce przez nich szanowanego reb Saula.

Reb Saul na grzeczności wzajemnemi grzecznościami odpowiadał; poważnym gestem wskazał krzesła, dokoła stołu stojące; a sam, nie opuszczając poczestnego miejsca swego na żółtej kanapie, w ręce chude i pomarszczone głośno klasnął.

Hasło to wywołało z sąsiedniej izby hożą dziewkę, służącą, która na srebrnej tacy kilka szklanek herbaty wniosła i przed gośćmi je ustawiła.

Oni za gościnność przyjęcia sędziwemu gospodarzowi z uśmiechami i ukłonami dziękowali; herbaty, której mocna woń rozeszła się po izbie, z wyraźną przyjemnością zakosztowali i wnet o interesach swych handlowych i sprawach familijnych żywe opowiadania i rozmowy wieść zaczęli.

Meir, widząc, że daremnie oczekiwałby teraz na możność

dalszego rozmawiania z dziadem, usunął się do wielkiej kuchennej izby, w której wrzało, jak w garnku. Tu także znajdowali się goście, całkiem tylko nie podobni do tych, których w bawialni ugaszczał naczelnik domu.

Na ławach, stojących u ścian, siedziało kilkunastu mężczyzn w ubogich znoszonych ubraniach, a córka Saula, Sara, i synowa jego, żona Rafała, uprzejmie z nimi rozmawiając, częstowała ich czarkami miodu, wielkiemi białemi chałami i dymiącym się w misach krupnikiem.

Siedzący na ławach ludzie odpowiadali uprzejmym gospodyniom domu wesoło, ale trochę nieśmiało, a za ofiarowane sobie pożywienie pokornie bardzo dziękowali.

Pochodzili oni bowiem z ubogiej klasy okolicznych pachciarzy, szynkarzy, faktorów, przekupniów, trudniących się drobnym handlem.

Ciemne twarze ich, chude ciała i zgrubiałe ręce objawiały życie ubóstwa, trosk i ciężkiej walki o byt.

Najdrobniejszy pieniądz, wyłożony za domem na konieczne pożywienie, byłby dla nich wydatkiem i uszczerbkiem znacznym; przybywając też na targi do Szybowa, dążyli oni wprost ku domostwu Ezofowiczów, którego drzwi szeroko i gościnnie otwierały się przed nimi zawsze, a w którem ugaszczanie ich chętne i dostatnie zwyczajem było, trwającym już parę setek lat.

Dwie kobiety więc, w jedwabnych spódnicach, w złotych kolcach i kwiecistych czepcach, z uśmiechami na rumianych ustach, krzątały się żwawo pomiędzy piecem kuchennym, z którego buchał jaskrawy blask ognia, a otwartemi oknami, u których obsiadali ławy pokorni i wdzięczni ich goście. Ale i za oknami jeszcze ukazywały się tłumnie nagromadzone twarze i wyciągające się ręce.

Tam już był zbiór braci najuboższych, na targ przybyłych, nie w celu handlu i zarobków, ale dla obudzenia miłosierdzia szczęśliwszych swych współwyznawców.

Z łachmanów, które ich okrywały, poznać można było żebraków, różnemi kolejami losu w ostateczne ubóstwo wtrąconych, a których miłosierdzie publiczne, jakkolwiek w gminie szybowskiej dość szeroko rozwinięte, ogarnąć sobą nie zdołało.

Ludziom tym dziewki służące rozdawały przez okno chleb, zsiadłe mleko i drobną miedzianą monetę.

Gwar dziękczynień ich i błogosławieństw wnikał do izby

i błogo snadź rozlegał się w sercach dwóch gospodarujących kobiet, bo uśmiechały się one coraz weselej i dumniej i z głębokich kieszeni swych wyjmowały coraz nowe garście miedzianych monet.

Ale i w innej stronie izby kuchennej wesołe i gwarne odbywały się sceny.

Gromadka dziatwy domowej, z kilkunastu chłopców i dziewcząt najróżniejszego wieku złożona, skupiła się tam pod ścianą, w odświętnych ubiorach i z odświętnemi łakociami przy ustach.

Starsi chłopcy milcząc przypatrywali się przybyłym i przybywającym wciąż obcym ludziom i ciekawie rozmów ich słuchali; dziewczynki zdawały się, przeciwnie, nic nie widzieć dokoła siebie, tak zajęte były barwnemi spódniczkami, w które je przybrano, sznurami paciorek, które otaczały ich szyje, i długiemi wstęgami, któremi pozwiązywano im płowe lub czarne warkocze.

Dziatwa najmłodsza pełzała po ziemi, wrzaskliwie śmiejąc się albo płacząc — a wszystko to żarliwie zajadało złociste obwarzanki albo wielkie kawały chleba, błyszczące grubą warstwą miodu.

Tuż obok gromadki tej pra- i pra-prawnuków, siedziała na ławie prababka Frejda. Dni, dzisiejszemu podobne, gwarem swym, tłumem napływających do domu obcych twarzy, wstrząsały drzemiącym jej umysłem i budziły w nim wspomnienia dawnej przeszłości.

W dniach takich przed pamięcią pra-starej kobiety migotały obrazy własnej przeszłości jej, obrazy dni, w których, szczęśliwą małżonką ukochanego Hersza swego będąc, tradycje i zwyczaje domu jego przyjęła za swoje i do utrzymania ich w całej świetności przykładała się całą siłą serca swego, głowy i rąk.

To też i dziś złotawe źrenice jej przytomniej, niż zwykle, spoglądały dokoła, a na wargach zaledwie widzialnych rozkwitał uśmiech doskonałego zadowolenia.

Wnuczki obudziły ją wcześniej, niż zwykle, podniosły z łoża, przyoblekły w najkosztowniejszą szatę, a teraz, przed wprowadzeniem jej do bawialni, gdzie zwykłe miejsce swe u okna na najparadniejszym w domu fotelu zająć miała, strój jej uzupełniały.

Czarnooka Lijka spinała zawój prababki diamentową gwiazdą; jedna z młodszych sióstr jej wkładała w jej uszy ol-

brzymie kolce z brylantów; druga owijała pomarszczoną jej szyję sznurami pereł i ciężki złoty łańcuch układała na piersi, aby jak najpiękniejsze tworzył wzory pośród śnieżnej bieli fartucha.

Czyniąc to wszystko, uśmiechały się młode dziewczyny, odchylały nieco głowy dla lepszego przyjrzenia się własnemu dziełu, niekiedy spoglądały figlarnie w złotawe źrenice prababki, albo głośne całusy składały na pomarszczonem jej czole.

Pachciarze, arendarze, ubodzy przekupnie spoglądali na grupę tę, złożoną ze stuletniej rodzicielki rodu i strojących ją hożych dziewcząt; kołysali głowami w podziwie nad wielką starością jej, bogactwem jej klejnotów i otaczającą ją miłością; z ust ich wychodziły cmokania i wykrzyki zachwytu, a oczy pełne były rozrzewnienia i czci.

Druga zato strona domu, ta, w której przed kwadransem rozlegały się żywe i wesołe rozmowy dojrzałych członków rodziny, pusta teraz była i cicha zupełnie.

Meir przeszedł wąski korytarz i, otworzywszy drzwi mieszkania stryja swego, Rafała, spotkał się w progu z wybiegającym stamtąd młodym swym bratem stryjecznym i przyjacielem, Chaimem.

Dziecinna jeszcze prawie twarz Chaima, ocieniona kędzierzawemi złotawemi włosy, ożywiona była i rozpromieniona niezmiernie.

— Gdzie stryj Rafał? — zapytał go śpiesznie Meir.

— Gdzie on ma być? — z nadzwyczajnym pośpiechem odpowiedział młody chłopak. — Poszedł z Berem woły na rynku kupować.

— A ty, Chaim, dokąd idziesz?

Chłopak zapytania tego nie usłyszał nawet. Niecierpliwie usunął z drogi brata i, wkładając na głowę czapeczkę, z wesołem nuceniem wybiegł z domu. Jego także rozweselił gwar i ruch dnia tego, i nęciły ku sobie tłumne widowiska i różnorodne targi miejskiego rynku.

Meir wyszedł na ganek i rozejrzał się po obszernym placu. Targ rozpoczynał się zaledwie, ale obok kilkudziesięciu wozów, które zebrały się po samym jego środku, zobaczył on Bera, zawzięcie już rozprawiającego z gromadką wieśniaków, u której targował kilka rosłych, u wozów stojących, wołów. Rafała Meir dostrzegł także.

Stał on na ganku jednego z domostw, otaczających rynek, wraz z kilku poważnymi kupcami, przybyłymi z sąsiedztwa,

i toczył z nimi ożywioną rozmowę, której treść poznać można było po gestach żywych, jakiemi poruszały się ręce ich, liczące jakby na palcach przewidywane na dziś wydatki i zyski.

Zbliżać się do dwóch tych ludzi, najpoważniejszych po Saulu w rodzinie, i chcieć z niemi rozpoczynać rozmowę, nie tyczącą się bezpośrednio spraw dnia dzisiejszego, daremnieby było. Meir wiedział o tem; daremnych prób nie czynił. Świat cały, tak pstro i ruchliwie otaczający go dnia tego, widział on jakby przez mgłę lub sen.

Dziwnem wydawało mu się, że nikt z pomiędzy ludzi tylu nie myślał o tem, o czem on nie mógł przestać myśleć, choćby chciał.

— Co mi do tego? — mówił sobie w duchu — co ja mogę? — dodawał i mętnym wzrokiem spoglądał dokoła, a ktokolwiekby wtedy spojrzał na niego, rzecby mógł, iż znudzony był, albo zmęczony.

Lecz w głębi piersi wrzało mu i kipiało. Nie zdawał sobie sprawy z uczuć swych, ale czuł, że czekać w milczeniu pory, w której wszystko w miasteczku uspokoi się i ucichnie, a za miasteczkiem błyśnie na niebie ognista łuna pożaru, niepodobna mu będzie.

— Co ten człowiek zawinił nam? — mówił do siebie.

Myślał o dziedzicu Kamiońskim.

Wzrok jego, niepewny, zwątpiały, błądząc dokoła rynku, padł na ganek, przyozdabiający dom kupca Witebskiego. Na ganku tym stał właściciel domu w rozwartym zprzodu półkrótkim surducie, z błyszczącym łańcuchem na atłasowej kamizelce.

Palił on cygaro i spoglądał na rozpoczynający się wśród rynku ruch targowy ze spokojną miną człowieka, który w ruchu tym żadnego udziału brać nie zamierza.

W istocie, handlując przeważnie drzewem, które w ogromnych ilościach skupywał u właścicieli kilku powiatów, Witebski spraw żadnych na targu szyboyskim mieć nie mógł. Zbyt wytworny był zresztą i przekonany o ważności prowadzonych przez się interesów, aby wystry motłoch ten, zajęty detaliczną sprzedażą zboża i bydła, mieszać się chciał.

Meir zbiegł ze schodów ganku i szybko zmierzał ku Witebskiemu, który, ujrzawszy go, uśmiechnął się uprzejmie i wyciągnął do niego szeroko rozwartą rękę.

— Aj! aj! — zawołał — rzadki gość! miły gość! Nu! ja

wiem, że ty do tego czasu przyjść tu nie mogłeś, ażeby rodzicom narzeczonej swojej pokłon oddać! Srogi zejde w bet-ha-midraszu siedzieć kazał i talmud czytać! Nu! nic to nie znaczy! Zejde dobry jest! kochany staruszek! On nie ze złego serca ciebie ukarał, i ty nie ze złego serca zgrzeszył! Zwyczajnie młody... poswawolił trochę... Nu! chodź do naszego salonu, a ja zaraz swojej żonie powiem, żeby przyszła i przyjmowała ciebie, jak kochanego zięcia!

W ten sposób przemawiając, światowy kupiec uśmiechał się wesoło, poglądał na przyszłego zięcia swego przyjaźnie, i za rękę trzymając, wiódł go z sobą do salonu. Tam przed zieloną rypsową kanapą zatrzymując się, figlarnie spojrzał mu w oczy i dodał:

— Że ty, Meirze, skromny jesteś i narzeczonej swojej wstydzisz się, to dobrze! ja to lubię! ja sam taki byłem, i nasi wszyscy młodzieńcy takimi powinni być! ale moja córka edukowana jest i na wielkim świecie żyła, gdzie zwyczaje inne są. Ona bardzo dziwi się i płacze, że narzeczonego swego nie zna, wtedy, gdy ślub i wesele za miesiąc już nastąpić mają. Nu! ja pójdę, przyprowadzę ją tutaj! Okna pozamykam, żeby nikt nie widział, że wy tu razem jesteście. Pogadajcie z sobą trochę... poznajcie się...

Mówiąc to, chciał odejść, ale Meir przytrzymał go za rękaw surduta.

— Reb Eli — rzekł — mnie teraz nie narzeczona i nie wesele w głowie siedzi! ja do ciebie z innym zupełnie interesem przyszedłem...

Witebski spojrzał przenikliwie w poważną i pobladłą twarz młodego człowieka i spochmurniał nieco.

— Nie ze swoim interesem ja do ciebie, Reb Eli, przyszedłem... — mówił dalej Meir, ale Witebski mowę mu przerwał:

— Jeżeli to nie twój i nie mój interes, to naco my mamy o nim mówić?

— Bywają na świecie takie interesa — odparł młody człowiek — które do wszystkich należą, i wszyscy o nich mówić i myśleć powinni.

Mówiąc tak, miał zapewne na myśli to, co w cywilizowanym języku nosi imię spraw publicznych. Nazwy tej nie znał, ale głęboko i gorąco czuł rzecz, którą ona wyraża.

— Ja dziś o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się...

Witebski podskoczył z fotelu, na którym usiadł był przed chwilą.

— Ja o żadnym strasznym sekrecie wiedzieć nie chcę! — zawołał — poco ty masz mi o nim mówić? ja nie ciekawy!

— Poto, Reb Eli, żebyś ty jemu na przeszkodzie stanął...

— A naco ja mam stawać? a co mnie do tego? a dlaczego ty do mnie z takiem gadaniem przyszedł?

— Dlatego, Reb Eli, że ty bogaty jesteś i pięknie mówić umiesz i z całym światem zgodę trzymasz, nawet z samym wielkim rabinem, który aż uśmiecha się, jak ciebie zobaczy. Twoje słowo wiele może, i żebyś ty chciał...

— Ja nie chcę! — przerwał Witebski ze stanowczością w głosie i chmurą na czole. — Ja bogaty jestem i zgodę ze wszystkimi trzymam, to prawda; ale ja tobie coś powiem, Meir...

Tu zniżył głos i dodał:

— Żebym ja w sekrety ludzkie wdawał się i interesom cudzym na przeszkodzie stawał, jabym ani bogaty nie był, ani zgody z nikim nie znalazł, i mnieby nie było tak dobrze na świecie... jak teraz jest...

— Rebe! — po chwili namysłu rzekł Meir — mnie bardzo miło słyszeć, że tobie na świecie dobrze jest; ale jabym nie chciał, żeby mi dobrze było przez krzywdę ludzką...

— Nu! a kto mówi o krzywdzie? — uśmiechając się, rzekł Eli — ja nigdy nie krzywdzę nikogo; ja handluję uczciwie, i wszyscy, z którymi handluję, kontenci ze mnie są i przyjaźń dla mnie mają... Ja, dziękować Bogu, wszystkim ludziom śmiało w oczy patrzeć mogę i na majątku, co go dla dzieci swoich zbieram, niema łzy ani szkody cudzej.

Meir z uszanowaniem głowę przed mówiącym pochylił.

— Ja wiem, Reb Eli, że tak jest, jak powiedziałeś. Ty interesa swoje uczciwie prowadzisz, a uczciwością swoją i tym rozumem, który ci Przedwieczny dał, honor domowi Izraela przynosisz. Ale mnie się zdaje, że kiedy człowiek sam uczciwym jest, to on na cudzą nikczemność obojętnie patrzeć nie powinien; bo kiedy on może przeszkodzić krzywdzie ludzkiej, a nie przeszkodzi, to tak jest, jakby on sam krzywdę tę sprawił. Ja dowiedziałem się, że człowiekowi niewinnemu przez jednego z braci naszych Izraelitów wielka krzywda stać się ma. Sam ja nic nie mogę, ale szukam ludzi takich, którzy mogą niewinnego od nieszczęścia ratować...

Tu, najniespodzianiej w świecie, przerwał mówiącemu głośny i wesoły śmiech Witebskiego, który wstał z fotelu i żartobliwie gościa swego po ramieniu poklepał.

— No, no! — rzekł — już ja widzę, że u ciebie, Meir, gorąca głowa! Ty chcesz z niej kłopot jakiś wyjąć i w moją głowę go włożyć! Nu! ja tobie bardzo pięknie za ten prezent dziękuję, ale go od ciebie nie wezmę! Daj pokój! poco my mamy życie sobie truć, kiedy dzisiejszy dzień może być dla nas bardzo wesoły. Ot, siadaj tu sobie na tym fotelu, a ja pójdę i narzeczoną twoją tobie przyprowadzę. Ty nie słyszałeś jeszcze jej muzyki!... aj! aj! jak ona gra! Dziś nie sabat, i ona będzie mogła pograć sobie trochę, a ty posłuchasz...

Mówiąc to z ożywieniem i figlarnością w głosie i wzroku, odejść chciał, ale Meir przytrzymał go znowu za rękaw odzienia.

— Reb Eli! — zawołał — wysłuchaj ty mnie przynajmniej...

Witebskiemu niecierpliwie trochę oczy błysnęły; śmiejąc się jednak, odpowiedział:

— Aj! aj! Meir! jakim ty swawolnikiem jesteś! Ty chcesz starszych od siebie ludzi gwałtem przymuszać do tego, czego oni robić nie chcą. Nu! ale ja ci to przebaczam i idę, żeby narzeczonej twojej tu zawołać...

Mówiąc to, posunął się znowu ku drzwiom, ale Meir raz jeszcze zastąpił mu drogę.

— Reb Eli! — zawołał — ja ciebie nie puszczę, póki ty mnie nie wysłuchasz! Bo do kogoż ja więcej udam się? Dziś wszyscy zajęci gośćmi i interesami swemi, ty jeden, Reb Eli, nic nie robisz i masz czas...

Umilkł, bo Witebski przestał uśmiechać się i, z chmurą niezadowolenia na pogodnem zazwyczaj czole, poważnym gestem dłoń mu na ramieniu położył.

— Słuchaj, Meir — rzekł — ja tobie coś powiem. Ty na niedobrą drogę wszedłeś. Wszyscy ludzie głośno o tem gadają, i są tacy, co bardzo na ciebie za to gniewają się; ale ja tobie pobłażam. Pobłażam ja tobie dlatego, że sam niezawsze tak myślę, jak wszyscy, i wiem, że niektóre rzeczy u nas, w Izraelu, inaczej być powinny, niż są. Nu! ja tak myślę, ale ja tego nigdy nie mówię i po sobie nie okazuję! naco ja mam mówić i okazywać? co ja pomogę? Jeżeli sam Pan Bóg rzeczy te takiemi zrobił, to ja, sprzeciwiając się Jemu, obróciłbym Go przeciw sobie; a jeżeli to ludzkie wymyślenia i omyłki są, to i beze mnie

przyjdą ludzie tacy, co je przerobią. Moja rzecz siebie, swojej familji i swoich interesów patrzeć. Czy ja sędzia? ja i nie rabin! więc ja sobie milczę, Panu Bogu i ludziom dogadzam, nikomu w drogę nie włażę. Ot, jak ja robię, i chciałbym, żebyś ty, Meirze, tak samo robił. Jabym i tobie rad swoich nie dawał i pozwalałbym tobie żyć, jak chcesz; ale kiedy ty mężem mojej córki masz zostać, to ja na ciebie oko już muszę mieć...

— Reb Eli! — przerwał Meir, któremu w rozognionych źrenicach migotać zaczynały łzy rozdrażnienia — nie gniewaj się na mnie za zuchwałe słowo, które ja tobie powiem. Ja córki twojej za żonę swoją nie pojmę i mężem jej nigdy nie będę!

Witebski osłupiał ze zdumienia.

— Nu! — zawołał po chwili — a to znów jaką ja nowość słyszę? Czy dziad twój nie umówił się ze mną o moją Merę, a potem czy nie przysłał od ciebie dla niej zaręczynowych prezentów?

— Dziad mój umówił się z tobą — drżącym głosem odpowiedział Meir — ale on to zrobił przeciw mojej woli.

— Nu! — z najwyższem już zdumieniem zawołał Witebski — a dlaczego? Co ty masz przeciw córce mojej?

— Ja, Reb Eli, przeciw niej nic nie mam, ale mnie serce do niej nie ciągnie. I ona także, Reb Eli, nie chce mnie... Ja, przechodząc koło waszych okien, słyszałem raz, jak ona płakała i skarżyła się, że ją chcą za prostego, ciemnego Żyda wydać. Nu! to prawda! ja prosty, nieedukowany Żyd... ale jej edukacja mnie także nie w guście... Poco na nią i na mnie łańcuchy nakładać? My już nie dzieci i wiemy, czego żąda dusza nasza, a czego nie żąda...

Witebski osłupiałem wciąż okiem na mówiącego patrzał. Obie ręce podniósł ku głowie i zawołał:

— Czy moje uszy dobrze słyszały? czy mój rozum dobrze te słowa zrozumiał? Ty nie chcesz mojej córki?! ty nie chcesz mojej pięknej i edukowanej Mery?!

Rumieniec wytrysnął mu na czoło. Łagodny i dyplomatyczny światowiec zmienił się w obrażonego i rozgniewanego ojca.

Lecz w tejże chwili ze stukiem i tuż przy rozmawiających roztworzyły się drzwi, prowadzące do dalszych pokoi mieszkania, i w progu, z twarzą w ogniu i płomiennemi oczyma, zjawiła się pani Hana.

Kończyła snadź ona przed chwilą toaletę swą, ale nie skończyła jej jeszcze, nie miała bowiem na sobie zwykłej jedwabnej sukni, tylko krótką czerwoną spódniczkę i luźny szary kaftan.

Przednia część jej peruki starannie już była ufryzowana i uczesana, ale ztyłu wisiał, nie spleciony jeszcze i sznurkiem tylko u głowy związany, warkocz.

W progu stanęła i krzyknęła:

— Ja wszystko słyszałam!

I nie mogła mówić dalej, tak była wzburzoną. Pierś jej dyszała szybko, z oczu sypały się iskry. Poskoczyła nakoniec ku Meirowi, ramiona szeroko roztworzyła i krzyknęła:

— Co to? ty córki mojej nie chcesz? ty, prosty, ciemny Żyd z Szybowa! ty nie chcesz za żonę swoją wziąć takiej pięknej panny, z taką wielką edukacją! Pfuj! głupiec! miszugiener! rozpustnik!

Witebski próbował miarkować uniesienie żony, przytrzymując ją za łokieć i sycząc jej w same prawie ucho:

— Sza! Hana! Sza!

Ale cała dystynkcja układu, cała dbałość o estetyczne wyglądanie osoby własnej opuściły w tej chwili najzupełniej panią Hanę. Miotała się wciąż przed Meirem, ściśniętą pięścią wygrażała mu przed samą prawie twarzą i krzyczała:

— Ty Mery nie chcesz? ty córki mojej nie chcesz? Aj! aj! jaka bieda! my przez to ze zgryzoty poumieramy! Ona sobie już męża nie znajdzie i po tobie oczy wypłacze! Oj! oj! tyle biedy, że jej głupi, ciemny Żyd szybowski za żonę wziąć nie chce! Ja ją do Wilna powiozę i za generała, za grafa, za samego księcia ją wydam! Pfuj! co ty sobie myślisz? że dziad twój, Saul, bogaty kupiec jest, i że ty sam po ojcu wielki majątek masz, to już ty wielki puryc, i tobie wszystko można! Ja pokażę twemu dziadowi i twojej całej familji, że my o was tyle dbamy, co o stary pantofel!

Eli okna i drzwi starannie zamykał, a pani Hana ku komodzie jesionowej, wpobliżu fortepianu stojącej, poskoczyła, szufladę odsunęła i z niej pudełka różne z kosztownościami wyjmować zaczęła.

— Na! — krzyknęła, rzucając pudełka na ziemię — na! masz nazad swoje prezenty! Zanieś je tej karaimskiej dziewczynie, z którą romans prowadzisz! Ona dla ciebie żoną będzie w sam raz!

— Sza! — rozpaczliwie już syknął ku żonie Witebski i pu-

delka z kosztownościami z ziemi podnosić zaczął. Ale wyrwała mu je z rąk pani Hana.

— Ja to sama dziadowi jego odniosę i zaręczyny zerwę — mówiła.

— Hana! — perswadował mąż — ty głupstw tam narobisz... ja sam pójdę i rozmówię się z Saulem.

Ale pani Hana nie słyszała nawet słów męża.

— Pfuj! — krzyczała — ten głupiec, ten warjat, ten rozpustnik mojej córki nie chce! jemu karaimska dziewczyna od mojej córki lepsza! Nu! to i chwała Bogu, że my jego pozbędziem się! ja Merę do Wilna powiozę i za wielkiego barona wydam!

* * *

Było już około południa, gdy Meir domostwo Witebskich opuścił, ścigany łajaniem i złorzeczeniami pani Hany, a cichemi wymówkami i pojednawczemi słowami Elego.

Na rynku wrzał już w całej pełni ruch targowy. Obszerna przestrzeń okryta była wozami, ludźmi, końmi i bydłem tak ściśle, że najmniejszy choćby przedmiot nie pomieściłby się już w tłumie tym gęstym, pstrym, krzyczącym tysiącami głosów i mrowiącym się tysiącami głów ludzkich i zwierzęcych.

Znajdował się wszakże w jednej stronie rynku kątek mniej nieco natłoczony.

Wznosiła się tam dość wysoka ściana licho pobielonej budowy jakiejś, a pod białawą ścianą tą siedział na ziemi starzec przygarbiony, w szarem, podartem, długiem ubraniu, z grubą czerwoną chustką, okręconą wkoło szyi. Nogi jego w obuwiu znoszonem i opylonem przykryte były całkiem prawie, zgromadzonemi dokoła w znacznej ilości, koszami i półkoszkami, z łozy uplecionemi kobiałkami i tym podobnemi okazami koszykarskiej roboty.

Był to Abel karaim.

Jakkolwiek dzień był letni i słoneczny, głowę okrywała mu wielka czapka, obłożona lisiem futrem, żółtem i puszystem; z pod niej spływały na plecy i ramiona jego gęste pasma białych włosów, a długa, żółtawa broda szerokim wachlarzem rozkładała mu się na piersiach.

Promienie słońca padały na twarz jego okrągłą, małą i zaledwie z pod ogromnego zarostu widzialną; sierść lisiego futra

opuszczała się na pomarszczone czoło, lecz od rażących blasków dnia nie chroniła oczu, których też nabrzmiałe i czerwone powieki mrużyły się, całkiem prawie zakrywając źrenice.

Obok starego Abla stała Golda, wysmukła, prosta, poważna, jak zawsze, z koralowym naszyjnikiem swym, spuszczonym nisko na szarą koszulę i z opływającym plecy kruczym warkoczem.

O kilka kroków, przed dwojgiem ludzi tych, stały rzędy wozów, obciążonych zbożem, drzewem i najrozmaitszemi przerobami drobnych produkcyj wieśniaczych; pośród wozów ryczały woły i krowy, beczały cielęta, rżały konie, uwijali się drobni faktorzy i przekupnie, z krzykiem wielkim targowali się o cenę towarów swych barczyści i łokciami wokoło siebie tłum rozpychający wieśniacy.

W tłumie tym nic więcej słychać nie było, prócz krzykliwego wymieniania liczb różnych, zaciętych targów, grubych śmiechów, wszczynających się kłótni, wrzaskliwego płaczu dzieci i piskliwych krzyków kobiet; a z całą wrzawą tą mieszał się stary, chrypiący głos Abla, prawiącego niezmordowanie izraelskie powieści.

Kipiąca dokoła niego wrzawa nie zastraszała go snadź, ale, owszem, podniecała; bo im głośniejszą stawała się, tem bardziej on głos swój wysilał i podnosił tak, że słowa jego przez wrzątek ten wzburzonych gwarów przepływały wyraźne, choć drżące.

— A kiedy Mojżesz zstąpił z góry Synaj — mówił, a raczej wyśpiewywał donośnie stary, drżący głos Abla — z oblicza jego biła światłość taka, że lud upadł na twarze i zawołał jako jeden człowiek: «Mojżeszu! powtórz nam słowa Przedwiecznego!» I stała się wtedy na niebie i na ziemi wielka cisza; grzmoty umilkły, błyskawice pogasły, i wichry pokładły się na ziemię, a Mojżesz zawołał do siebie siedmdziesięciu izraelskich starców, i kiedy oni otoczyli go, jak gwiazdy otaczają księżyc, powtarzać zaczął ludowi słowa Przedwiecznego...

W tej chwili wyłonili się z wrzaskliwego tłumu dwaj ludzie, poważnie, choć dość ubogo wyglądający, i przechodzili koło opowiadającego Abla. Szli śpiesznie, ale, wymówione imię Mojżesza dosłyszawszy, stanęli i spojrzeli na Abla.

— On znów opowiada! — rzekł jeden.

— On zawsze opowiada! — dodał drugi.

Uśmiechnęli się, ale dalej nie poszli. Owszem, kobieta ja-

kaś i dwóch czy trzech wyrostków obok nich stanęło. Kobieta stanęła w nasłuchującej postawie i zapytała:

— Co on takiego opowiada?

— Historję i zakon izraelskiego ludu — spokojnie odpowiedziała Gołda.

Wyrostki pootwierali usta; kobieta bliżej ku Ablowi pochyliła głowę; dojrzali mężczyźni uśmiechali się, ale stali i słuchali.

Abel mówił dalej:

— Kiedy lud usłyszał rozkazania Pana, jednym głosem krzyknął: «Pełnić je będziemy!» Wtedy Mojżesz oparł o górę Synaj dwanaście kamieni, wypisał na nich rozkazania Pana, a do ludu powiedział: — Izraelskie pokolenia wszystkie: starzy, młodzieńcy, kobiety i dzieci, i każdy człowiek z Izraelowego domu, i cudzoziemiec, co się pomiędzy wami znajduje, i ten, co ścina drzewo, i ten, co czerpie wodę, przychodźcie wszyscy zawierać przymierze z Jehową, abyście zaprzysięgli pełnić rozkazania Jego tak, jak On przysiągł dotrzymać wam obietnic swoich!

— Nu! — odezwał się pomiędzy otaczającymi głos jakiś — on piękne rzeczy pięknie opowiada.

— I ten, co ścina drzewa, i ten, co czerpie wodę... — powtórzył człowiek jakiś w nędznem ubraniu, westchnął przytem i rzucił okiem ku roziskrzonym obłokom.

Kobieta, z pochyloną ku Ablowi głową, przysłuchująca się słowom jego uważnie, wydobyła z kieszeni bezbarwnej spódnicy brudną chustkę i, rozwiązawszy węzełek, znajdujący się u jednego z jej końców, rzuciła na kolana Abla wielką miedzianą monetę.

Za kilku osobami temi stanęło teraz już kilka innych.

O kilka zaledwie kroków od nieruchomej gromadki tej zajadle kupczyli, kłócili się, krzyczeli ludzie, żądni zarobku i zysku: żydzi i chrześcijanie, niewiasty, mężowie i podrastające zaledwie dzieci; lecz tu, pod białawą ścianą wysokiego parkanu, kilkanaście jednostek, od szumiącego tłumu tego oderwanych, w milczeniu i skupieniu myśli, z uśmiechem na twarzach a westchnieniami w piersiach, mimowoli przerzucało się w świat inny, duchowy, wśród którego migotały obrazy i rozlegały się głosy prastarej, wspaniałej, świętej przeszłości.

Zdawać się mogło, że Abel czuł tę, zwróconą na siebie uwagę otaczającej go gromadki, i że mu wszystkie oczy te, w jego twarz wlepione, rozpalały serce i zapładniały pamięć.

Z za czerwonych, mrużących się powiek źrenice jego bły-

snęły srebrzyście, ze zmiętego czoła zsunęła się wtył nieco puszysta czapka lisia, a gdy podniósł głowę, żółtawe pasma długiej brody jego rozłożyły się szerzej jeszcze i podniosły aż na ramiona.

Wyglądał wtedy, jak stary, wpół ślepy lirnik, radujący i doskonalący pieśniami swemi duszę narodu. Śpiewnym też, przewlekłym a donośniejszym, niż kiedykolwiek, głosem mówić zaczął znowu:

— Kiedy Izraelici przeszli Jordan, Jozue położył na miejscu tem dwa wielkie kamienie i wypisał na nich dziesięcioro rozkazań Jehowy. Jedna połowa ludu oparła się o górę Geryzim, a druga o górę Hebal, a wszyscy usłyszeli mocne głosy, które wołały tak, aby je każdy człowiek z Izraelskiego domu uchem swojem słyszeć mógł: «Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto pokłon odda fałszywym bogom i kto czcić nie będzie ojca swego i matki swojej! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto zażąda majątku cudzego, albo ślepego wprowadzi na drogę błędną! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto krzywdzi cudzoziemca, sierotę i wdowę, kto kłamstwo włoży do ucha bliźniego, a o niewinnym powie: «niech umrze!» A kiedy mocne głosy do uszu Izraelitów wszystkich słowa te włożyły, lud cały odpowiedział tak, jakby wszystkie usta jednemi ustami i wszystkie głosy jednym głosem były: «Niech się tak stanie!»

— Niech się tak stanie! — zaszeptało wokoło Abla kilkanaście ust, które, przed kwadransem jeszcze, porwane wirem powszednich potrzeb i trosk, zapamiętale walczyły o szeląg straty lub zysku.

Przed skupioną gromadkę przebiła się teraz chrześcijańska wieśniaczka. Podjęła z ziemi jeden z koszy nagromadzonych dokoła Abla i o cenę jego zapytała. Gołda udzieliła jej odpowiedzi zwykłym swym spokojnym głosem.

Wieśniaczka targować się zaczęła, ale Gołda nie odpowiedziała już jej po raz drugi — nie dlatego, aby odpowiadać nie chciała, ale dlatego, że słów jej, dość grubo jednak i krzykliwie wymawianych, nie słyszała nawet.

Wzrok jej utkwił w jednym punkcie rynku; na czoło i twarz całą wybuchnął płomienny rumieniec, a na ustach poważnych rozkwitał uśmiech dziecięcy prawie i razem namiętny.

O kilkadziesiąt kroków od miejsca, na którem znajdowali się Abel i wnuczka jego, wynurzył się z tłumu Meir i, swobod-

niejszem nieco przejściem szybko postępując, zmierzał prosto ku nim.

Nie widział ich jednak; patrzał prosto przed siebie oczyma, w których malowały się pośpiech i niepokój. Minął Abla i Gołdę, nie spostrzegłszy ich nawet, i wszedł w bramę synagogalnego dziedzińca.

Przez synagogalny dziedziniec niewiele łatwiej było przejść dnia tego, niż przez plac targowy.

Meir dążył ku czarnej chatce rabina Todrosa; ku niej też parł się tłum ludzi różnego wieku i pozoru. Im bliżej było chatki tej, tem większy panował ścisk i natłok, a wśród natłoku tego tem mniej rozmawiano i ciszej, ostrożniej stąpano.

Nie było tu, jak na targowym rynku, krzyków, kłótni, śmiechów, roztrącań się wzajemnych, nie było też twarzy namiętnie rozognionych, ani oczu, połyskujących gorączką zysku, ani gestów porywczych i grubjańskich.

Gęsty tłum płynął ku niskiej lepiance w uroczystem milczeniu, przerywanem nieśmiałemi tylko szeptami.

Meir wiedział, gdzie i poco dążył tłum ten i z jakich żywiołów był złożony.

Stałych mieszkańców Szybowa nie było tu wcale, albo było niewielu bardzo; posiadając bowiem w bezpośredniej bliskości wielkiego rabina, nie potrzebowali oni oczekiwać dni szczególnych, aby móc cieszyć się radami, naukami i samym widokiem jego.

Lud, zalegający teraz synagogalne podwórze, składał się z mieszkańców bliskich, dalszych i dość nawet oddalonych okolic Szybowa.

Zamożnych kupców, ludzi w ubraniach, znamionujących dostatek i pewien wyższy stopień światowej ogłady, znajdowała się tu ilość pewna, ale bardzo nieznaczna.

Ogromną większość stanowiły ciała mizerne, obleczone w suknie zszarzane i ubogie, twarze blade, ciężką walką o byt napiętnowane, cierpiące i cierpliwe. Była to zresztą prawdziwa mozaika twarzy młodych, półdziecięcych, niewieścich i męskich.

W bliskości już chaty znajdując się, Meir zatrzymał się chwilę.

— Poco ja tam pójdę? — rzekł do siebie — on mnie teraz słuchać nie zechce!

— Nu, — dodał zaraz — a do kogóż ja pójdę?

Po chwilowym namyśle zmieszał się znowu z tłumem

i wkrótce znalazł się u roztwartych naoścież drzwi czarnej lepianki.

Za roztwartemi drzwiami, w ciasnej, ciemnawej sionce stał istny mur, z pleców ludzkich złożony, i panowało najgłębsze już milczenie, przerywane tylko trudnym oddechem kilkudziesięciu piersi.

Meir wśród muru tego torował sobie drogę, co przychodziło mu tem łatwiej, że większą część ludzi, tłoczących się w sionce, składali ubodzy i pokorni goście, tak uprzejmie przed parą godzin częstowani w zamożnej kuchni Ezofowiczów.

Spostrzegłszy członka rodziny, pod której dachem znajdowali częstą i chętną gościnność, rozstępowali się oni, jak mogli, aby mu przejście pomiędzy sobą umożebnić.

Z pośpiechem to jednak czynili i roztargnieniem wielkiem, gdyż wzrok ich skierowany był ku wnętrzu izby, sąsiadującej z sionką.

Ażeby dojrzeć i dosłyszeć, co się we wnętrzu izby tej działo, wspinali się oni na palce, wyciągali szyje i szeroko roztwierali oczy rozpromienione, zdumione, ciekawe, pożądliwe i zarazem trwożne.

Ile razy uszu ich dosięgnął ułamek jaki rozmów tam wiedzionych, na ustach ich, uwiędłych i bladych od biedy, choroby i pracy, rozkwitały uśmiechy błogości niewymownej, tak, jakby słowa i same nawet dźwięki głosu uwielbianego mędrca były wonną oliwą, gojącą wszystkie rany ich życia.

Izba, w której drzwiach roztwartych także stanął teraz Meir, wyglądała dość dziwnie.

W głębi jej, na ławie, umieszczonej pomiędzy ścianą a stołem, siedział Izaak Todros, w którego ubraniu i postawie nie znać było świąteczności żadnej.

Miał on na sobie tę samą, co zawsze, długą suknię, zszarzaną i podartą, a głowę jego przykrywała zrudziała czapka, na tył zsunięta w taki sposób, iż zmięty daszek jej sterczał nad czołem żółtem, ocienionem ogromną gęstwiną włosów kruczych, zlekka tylko przyprószonych siwizną.

Przygarbiony, jak zwykle, górną połową ciała naprzód podany, siedział on w nieruchomości zupełnej i tylko czarnemi oczyma wodził po twarzach i postaciach kilkunastu istot ludzkich, które, stłoczone u przeciwległej ściany, podnosiły ku niemu wzrok nabożny, zlękniony, błagalny.

Pomiędzy szczupłym, zgarbionym, nieruchomym mędrcem, siedzącym na ławie, a kilkunastu istotami temi, które dopu-

szczone już zostały przed oblicznością jego, znajdowała się przestrzeń kilku kroków, której nikt bez wyraźnego wezwania przekroczyć nie śmiał, i krzyżowały się dwa odmienne rodzaje świateł.

Jedno ze świateł tych, błękitne od pogodnych obłoków i złociste od słońca, wnikało tam przez otwarte okno; drugie, jaskrawe, rażące, dymne, buchało z komina, na którym paliło się szeroko rozniecone płomię.

U komina, na podłodze, okrytej grubą warstwą brudu, siedział nieodstępny uczeń i sługa rabina — mełamed nad mełamedami, pobożny i mądry Reb Mosze.

W grubej koszuli swej, opasany powrozem, siedział on na nagich swych piętach i, przykładając coraz drewek do ognia, sypał garście ziół suchych do wody, gotującej się w kilku garnkach.

Zajęty czynnością tą, jak się zdawało, aptekarską, pełnił on także urząd woźnego.

Wywoływał z pomiędzy ludu, znajdującego się w izbie i sionce, tych, na których, według mniemania i woli jego, przypadała kolej zbliżenia się ku mistrzowi.

Teraz wyciągnął gruby, czarny swój palec ku cisnącym się do ściany ludzkim postaciom i ochrypłym głosem zawołał:

— Szymszel, arendarz!

Wezwany, nosząc przeinaczone i zepsute z biegiem czasu imię Samsona, w najmniejszej mierze nie przypominał powierzchownością swą imiennika swego, poetycznego bohatera i potężnego atlety biblji.

Mały, suchy, ogniście rudy, wysunął się on z tłumu i, stanąwszy na środku izby, pochylił białą, piegowatą twarz swą aż prawie do samej ziemi.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia wspaniałość Przedwiecznego! — zawołał lękliwym i drżącym głosem.

Nietylko zresztą głos jego drżał, ale drżały mu także ręce i ramiona, a gdy podniósł nieco twarz swą, błękitne źrenice jego obiegać poczęły izbę z niepokojem i zmieszaniem, bliskiem obłędu.

Izaak Todros siedział jak skamieniały. Oczy tylko jego utkwiły w przerażonej twarzy stojącego przed nim ryżego człowieka, i po chwili dopiero, gdy człowiek ten, w przerażeniu swem do słowa przyjść nie mogąc, milczał ciągle,

mędrzec wydobył z siebie gardłowo-nosowy dźwięk i przeciągle zawołał:

— Nuu!

Szymszel podniósł ramiona i ze wsuniętą w nie głową mówić zaczął:

— Nassi! niech światłość twoja oświeci ciemności moje! Rabbi! ja wielki grzech popełniłem, i serce moje drży od strachu, kiedy usta moje przed tobą grzech ten opowiedzieć mają! Nassi! ja jestem nieszczęśliwy człowiek... żona moja, Ryfka, zgubiła duszę moją na wieki, i chyba ty, rabbi, nauczysz mię, jak ja ją teraz od wielkiego grzechu tego oczyścić mam!

Zająknął się tu pokorny pokutnik i po chwili dopiero zebrał się na odwagę i siły nowe.

— Nassi! ja i żona moja, Ryfka, i dzieci nasze, siedliśmy zeszłego piątku do sabatowej uczty. Na jednym stole stała u nas misa z mięsem, na drugim stole stał garnek z mlekiem, które żona moja, Ryfka, dla najmniejszych dzieci naszych zgotowała. Moja żona, Ryfka, czerpała mleko z garnka i łyżką nalewała je najmniejszym dzieciom na miski. A kiedy ona to zrobiła, u niej raz ręka zatrzęsła się, i kropla mleka z łyżki upadła na to mięso, co było w misie... Aj waj! głupia kobieta! co ona zrobiła! Ona mięso strefiła i zrobiła je nieczystem...

Znowu utknął w mowie swej trwożliwy Samson, a mędrzec, bez najlżejszego poruszenia w postawie, lub mrugnięcia okiem, zapytał:

— Nu, a co ty z tem mięsem zrobiłeś?

Zapytany głowę swą znowu bardzo nisko pochylił i, nie zmieniając postawy swej, wyjąkał:

— Rabbi! ja z niego jadłem, i żona moja, i dzieci moje z niego jadły!

Tym razem z płomiennych oczu Todrosa posypały się iskry.

— A dlaczego ty nieczystości tej na śmietnisko nie wyrzucił? — krzyknął — dlaczego ty obrzydliwością tą usta swoje i dzieci swoich zanieczyścił?!

Po chwili milczenia głos pokorny, drżący, po ziemi jakby czołgający się, odpowiedział:

— Nassi! ja biedny bardzo jestem, lichą karczmę w arendzie trzymam i zarobku z niej mam niewiele. A mam, Nassi, aż sześcioro dzieci i ojca starego, który przy mnie mieszka, i dwoje wnuków sierot, których ojciec i matka odumarli! Rabbi! mnie trudno bardzo wyżywić siebie i familję moją, i my raz w ty-

dzień tylko, w święty wieczór sabatu, mięso jemy! Koszerne mięso drogie... więc ja go każdego piątku trzy funty kupuję, a z tych trzech funtów jedenaścioro nas je i siły swoje wzmacnia! Rabbi! wiedziałem ja, że przez cały tydzień my już nic do ust naszych nie włożym, prócz chleba, cebuli i ogórków... to ja tego mięsa pożałowałem i, choć na niem była kropla mleka, jadłem z niego i jeść z niego pozwoliłem familji mojej...

W ten sposób żalił się i obwiniał zarazem mizerny Samson, a mistrz słuchał go z zachmurzonem i groźnem obliczem.

Potem mówić zaczął; mówił z gniewem i oburzeniem zrazu, a jednak nieruchomym i sztywnym pozostał. Szyję tylko ku wylękłemu i upokorzonemu Szymszelowi wyciągając, wpijał się weń coraz ognistszem i groźniejszem wejrzeniem.

Długo, obszernie i subtelnie tłumaczył, skąd pochodzi zakaz mieszania potraw mięsnych z mlecznemi, co o zakazie tym pisali różni tonaici i rabini wielcy, i jak pisanie ich tłumaczyli, objaśniali i komentowali późniejsi niezliczeni następcy ich; jak wielkim przestępcą jest człowiek taki, który, z zakazem tym rozmijając się, do ust swych wkładać śmie kęs mięsa, na który upadła kropla mleka.

— Grzech twój ogromny jest w obliczu Pana! — zagrzmiał nakoniec ku stojącemu wciąż w kornej postawie pokutnikowi — ty, dla łakomstwa swego, zerwałeś przymierze, które Jehowa zawarł z wybranym ludem swoim, przekroczyłeś jedno z 613-tu przykazań, które spełniać powinien każdy prawy Izraelita, i zasłużyłeś na to, aby na ciebie spadło przekleństwo, którem Elizeusz przeklął prześladujące go chłopięta i którem Jozue Nawin przeklinał miasto Jerychon! Ale za to, że ciało tylko twoje zgrzeszyło, a dusza pozostała wierzącą w światłość zakazu jedzenia mięsa z mlekiem, i za to, że ty z wielkim żalem do mnie przyszedłeś i przede mną upokorzyłeś się, ja ci ten ogromny grzech twój przebaczam i tylko rozkazuję, żebyście, ty i żona twoja, i dzieci twoje, przez cztery tygodnie ani mięsem, ani mlekiem ciał swoich nie karmili, a pieniądze, które wydajecie na mięso i mleko, ubogim rozdali. A kiedy cztery tygodnie przejdą, dusze wasze oczyszczone zostaną z wielkiego plugastwa, które na nich osiadło, i będziecie żyć w pokoju i pobożności razem ze wszystkimi braćmi Izraelitami. Wołajcie: niech się tak stanie!

— Niech się tak stanie! — zabrzmiały chórem głosy tych, którzy znajdowali się w izdebce, i tych, którzy napełniali sionkę, i tych jeszcze, którzy, tłocząc się dokoła lepianki, chciwemi oczyma zaglądali do wnętrza jej przez otwarte okno.

Mały, rudy Samson, oswobodzony od ciężaru, tłoczącego mu sumienie w sposób straszliwy, chociaż z innej strony obarczony pokutą czterotygodniowego postu, mającego do ostateczności obostrzyć i tak już wieczny post wszystkich dni jego, ze łzami rozrzewnienia w oczach i dziękczynnym szeptem na ustach, cofnął się ku sionce i zniknął w napełniającym ją tłumie.

Wtedy Reb Mosze wyciągnął znowu ku stojącym pod ścianą ludziom wskazujący palec i zawołał:

— Reb Gerszon, mełamed!

Na wołanie to z tłumu wypłynął człowiek krępy, zgarbiony, z czarnym włosem, rozrzuconym w nieładzie na wielkiej, schylonej głowie, z twarzą chmurną i zadumaną.

Był to kolega Reb Mosza, umysłowy przewodnik izraelskiej dziatwy, w miasteczku, blisko Szybowa położonem, mieszkający i nauczający.

Stanął on na środku izby z grubą księgą rozwartą w obu ręku i, według zwyczaju, pozdrowiwszy mistrza, zaczął w te słowa:

— Rabbi! dusza moja znalazła się dwa dni temu w wielkim kłopocie. Bachory moje czytały w świętej księdze, że wieczorne szemy odmawiać rozkazano jest do końca pierwszej straży. Nu! — zapytały mię bachory moje: — a co to takiego pierwsza straż? Kto, przed kim i gdzie tę straż trzyma? — Jak oni tak zapytali mię, usta moje oniemiały. A dlaczego one oniemiały? Dlatego, że ja nie wiedziałem, co im odpowiedzieć mam. Do ciebie, rabbi, przyszedłem, żeby na ciemny rozum mój spłynął promień twojej mądrości. Powiedz ty mi, rabbi, jakie to straże są, według których Izraelita każdy mierzyć powinien długość modlenia się swego? gdzie i przed kim są ustawiane, i co ja o tem powiedzieć mam bachorom moim?

Chmurny, zgarbiony człowiek mówić przestał, a zgromadzenie całe z ciekawością nadzwyczajną wlepiało oczy w zapytywanego mędrca i odpowiedzi jego czekało. Odpowiedź ta dała się słyszeć wkrótce.

Nie zmieniając postawy swej, naprzód podanej, Izaak Todros mówić zaczął:

— A jakie mogą być straże te, o które ty mnie zapytujesz?

Anielskie to są straże. A gdzie aniołowie straże te trzymają? W niebie je oni trzymają. A przed kim oni je trzymają? Trzymają je przed tronem Przedwiecznego! Kiedy dzień kończy się i zmrok zapada, aniołowie dzielą się na trzy wielkie chóry. Pierwszy chór staje u tronu Przedwiecznego i straż przed nim trzyma aż do północy, i wtedy jest pora odmawiania modlitw wieczornych. Drugi chór przychodzi o północy i trzyma straż aż do świtu; a o świcie, kiedy kolor biały od koloru bladobłękitnego odróżnić można, przychodzi chór trzeci i straż przed tronem Przedwiecznego trzymać zaczyna. Wtedy jest pora modlitw porannych.

Umilkł mędrzec. W tłumie ozwały się ciche cmokania i szepty, objawiające podziw i zachwyt.

Gerszon, mełamed, jednak nie ruszał się jeszcze z miejsca swego. Ze wzrokiem wlepionym w ciężką rozwartą księgę, ozwał się znowu:

— Rabbi! spuść na ciemny rozum mój jeden jeszcze promień swojej mądrości i rozprosz nim wątpienie, które ogarnęło duszę moją... Blisko miasteczka, w którem mieszkam, jest dwór bogatego jednego pana. Do dworu tego chodzą czasem niektóre bachory moje i różne rzeczy tam słyszą. Raz jeden bachor mój, wróciwszy ze dworu, opowiadał w miasteczku, że słyszał, jak we dworze mówiono, skąd pochodzi grzmot. Mówiono tam, że grzmot wylatuje z nieba wtedy, gdy dwie chmury spotkają się z sobą i wypuszczą z siebie siłę jakąś, która nazywa się elektryczność. Ja o takiej sile nigdy nie słyszałem i nie wiem, czy to prawda, że ona jest na świecie, i że z niej wielkie grzmoty powstają...

W czasie mowy tej Gerszona nieruchomy dotąd mędrzec uczynił parę niecierpliwych poruszeń, a po wargach jego, wąskich i surowych, przesunęły się szyderskie uśmiechy.

— To nieprawda! — zawołał — takiej siły na świecie niema, i z niej nie powstają grzmoty. Kiedy rzymski cesarz świątynię zburzył, i lud izraelski rozproszył się po całej ziemi, na świecie ryknął grzmot. A skąd on pochodził? On pochodził z piersi samego Boga, który nad gruzami świątyni swojej i nad niedolą swojego ludu głośno zapłakał. A teraz Pan Bóg często po wspaniałości świątyni swej i po minionem szczęściu ludu swego płacze, a kiedy On zapłacze, to łkanie Jego rozchodzi się po całym świecie wielkim grzmotem, a łzy Jego padają do morza i takie są ogromne, że morze od nich wzbiera i podnosi ziemię, która trzęsie się i ognie z siebie wypuszcza. Oto powiedziałem

ci, skąd powstają grzmoty i te wielkie trzęsienia, które ziemia znosi. Idź w pokoju i nauczaj bachorów swoich słów, które ode mnie usłyszałeś!

Z kornym pokłonem i dziękczynnemi wyrazami oddalił się i w tłum wpłynął ponury melamed z wielką swą księgą w ręku, a w tej samej chwili, kędyś pod samą ścianą, głośno zapłakało dziecię.

Reb Mosze zawołał:

— Chaim, pachciarz z Kamionki, i żona jego Małka...

Z tłumu wyszli: mężczyzna i niewiasta. Oboje mieli twarze zbolałe i zlęknione — niewiasta na ręku swych niosła blade, wynędzniałe dziecię.

Rzucili się do kolan mędrca i, wyciągając do niego, obwinięte w bezbarwne szmaty, zcicha płaczące dziecko, błagali go, aby udzielił ieków na trapiącą ich zdawna chorobę syna.

Todros pochylił się nad drobną, bladą twarzyczką i zatopił w nią bystre, uważne spojrzenie.

Reb Mosze zaś, u komina siedząc, wlepił wzrok w mistrza i, mieszając łyżką gotujące się w garnkach zioła, oczekiwał jego rozkazów.

W ten sposób długo i zkolei zbliżali się do uwielbianego mędrca, nauczyciela, lekarza i niemal proroka swego, ludzie najróżniejsi, zadający mu najróżniejsze pytania i zanoszący do niego prośby.

Był tam pomiędzy innymi strapiony małżonek jakiś, który, wiodąc z sobą żonę swą młodą i hożą, prosił wielkiego rabina, aby uczynił nad nią rodzaj «próby bożej», za pośrednictwem tak zwanej «wody zazdrości», po której wypiciu niewiasta, podejrzana o niewierność małżeńską, umrzeć musi natychmiast, jeśli jest winna, a zdwojoną pięknością i zdrowiem rozkwitnie, jeśli podejrzewano ją niesłusznie.

Ktoś inny zapytywał, co czynić trzeba, jeżeli pora modlenia się zaskoczy człowieka w podróży, a on ku wschodowi twarzy swej obrócić nie może tak, jak przykazano jest, bo ze strony tej wiatr wielki wielką chmurę kurzawy w oczy mu niesie.

Znaczna też była ilość takich, którzy, skarżąc się, płacząc i biadając nad nędzną dolą swoją, błagali mędrca, aby proroczem okiem swem rzucił w przyszłość i oznajmił: rychło-li nadejdzie radosny dzień Mesjaszowy, dzień wyzwolenia, spoczynku i obfitości?

Większość jednak ludzi, zgromadzonych w chatce i dokoła

niej, nic nie żądała, żadnych nie zanosiła próśb i nie zadawała pytań, lecz przybyła tu i dusiła się w ciasnocie niezmiernej dlatego tylko, ażeby móc odetchnąć tem samem powietrzem, którem oddycha pierś uwielbionego mędrca, napoić uszy swe słowami, wychodzącemi z ust jego, a oczy światłością, bijącą z jego oblicza.

Widać też było, że Izaak Todros czuł i rozumiał wysokość stanowiska swego. Sprawował on czynności swe z powagą niezachwianą, z niezmordowaną gorliwością i cierpliwością niezmąconą.

Nie odtrącał od siebie nikogo, nikomu niczego nie odmawiał; gromił, objaśniał, tłumaczył, opowiadał, pokuty zadawał, leków udzielał, postawy swej nieruchomej ani na chwilę nie zmieniając i zatapiając tylko w twarze zbliżających się do niego ludzi oczy swe surowe lub zadumane.

Parę razy, gdy w izdebce rozległy się najżałośniejsze skargi i prośby o prorocze przepowiednie dnia Mesjaszowego, czarne te, jak noc, i płomienne, jak namiętność, oczy zaświeciły wilgotną powłoką.

Kochał snadź lud ten, którego żałośliwe zwierzenia i jęki łzą oblewały mu surową źrenicę. Chwilami też bujne krople potu spływały po żółtem czole jego, a pierś, strudzona długiem mówieniem, ciężko oddychać zaczynała.

Podartym rękawem odzieży ocierał pot z czoła, wzmagał się na siły nowe i wiódł dalej dzieło nauczania, karcenia i pocieszania ludu.

Pracował ciężko myślą, pamięcią, wyobraźnią i piersią, z głębokiem poczuciem obowiązku, z żarliwą wiarą w zbawienność i świętość trudu swego, z najwyższą bezinteresownością człowieka, który nie potrzebował dla siebie nic, prócz czarnej lepianki, odziedziczonej po przodkach, szczupłej strawy codziennej, dostarczanej mu rękoma wiernych, i tej lichej, brudnej, podartej odzieży, która od dziesiątka lat już może osłaniała chude ciało jego.

Przez synagogalny dziedziniec tymczasem przechodził człowiek, śpieszący się widocznie i kogoś w tłumie szukający.

Był to Ber, zięć Saula. Przejrzał on bacznie mnogie twarze ludzi, otaczających lepiankę rabina, wparł się do natłoczonej sionki i, dostrzegłszy nakoniec stojącego w progu izby Meira, pociągnął go za rękaw od surduta.

Młody człowiek, obudzony z ołowianej zadumy, która po-

grążała go w nieruchomość kamienną, obejrzał się i zamyślonym wzrokiem spojrzał na stojącego za nim krewnego.

— Chodź stąd! — szepnął mu Ber do ucha.

— Ja nie mogę stąd iść — również cicho odpowiedział Meir. — Ja mam ważny interes do rabina i czekać tu będę, aż ludzie ci wszyscy rozejdą się, ażeby z nim pomówić...

— Chodź! — powtórzył Ber, i ujął za ramię opornego młodzieńca.

Meir targnął się niecierpliwie, ale Ber powtórzył raz jeszcze:

— Chodź! jeżeli zechcesz, przyjdziesz potem, jak ci ludzie rozejdą się... ale ja wiem, że nie zechcesz...

Wyszli obaj z natłoczonej chaty. Ber, śpiesznie idąc i milcząc, wiódł towarzysza swego w oddaloną stronę obszernego podwórza, kędy panowała samotność zupełna.

Tu, ścianą bet-ha-midraszu zakryci przed tłumem kupczącym na rynku i w znacznem oddaleniu od tego drugiego tłumu, który oblegał chatę rabina, pewnymi być mogli, że nikt rozmowy ich nie podsłucha.

Meir oparł się plecami o ścianę budowy; Ber stanął przed nim i, milcząc jeszcze, wpatrywał się w niego przez chwilę.

Powierzchowność Bera była jedną z tych, około których miljony ludzi obojętnych przejśćby mogły, nie zauważywszy jej nawet, lecz w której oko bacznego i myślącego człowieka odkrywało cechy zaciekawiające i ciekawości godne.

Czterdziestoletni, szczupły, ubrany ze staranną czystością, jakkolwiek ze ścisłą też wiernością starym przepisom i zwyczajom, z rzadkim, jasnopłowym zarostem i jasnemi miękkiemi włosy, nosił on na twarzy swej bladawej i delikatnie zarysowanej wyraz szczególnego zobojętnienia jakiegoś, lenistwa i senności, które znikały i ustępowały przed ruchliwem, nerwowem ożywieniem wtedy tylko, gdy rzecz szła o kombinacje i działania interesowe.

Poza zobojętnieniem jednak i sennością, baczne oko odkryćby mogło utajone, spodnie niby, warstwy uczuć i charakteru. Było coś marzycielskiego i cierpiącego zarazem w oczach jego wielkich, szeroko rozwartych, o błękitnej źrenicy, obleczonej szklistą powłoką.

Tęsknoty jakieś, zaznane i stłumione przemocą, pragnienia jakieś, niezaspokojone i w głębiny piersi zepchnięte, malowały

się w zarysie warg jego cienkich, pojętnych i noszących na sobie piętno kamiennej niby rezygnacji.

Niekiedy na czole białem i gladkiem powstawały mu dwie poprzeczne brózdy. Wywoływały je może wspomnienia jakieś odlegle, lecz wiecznie bolące, bo w chwili, w której zjawiały się, Ber dotykał dłonią piersi swej i krótkie, urwane westchnienie podnosiło mu ramiona.

Widać było, że w przeszłości człowieka tego odegrał się niegdyś dramat cichy, nikomu w całej swej pełni nieznany, lecz którego rozwiązanie, pogrążając w senność wolę i myśl jego, w piersi mu pozostawiło wiecznie zamierające i wiecznie odradzające się echa...

Teraz stał on naprzeciw młodzieńca, którego przemocą prawie wyprowadził z tłumu, i długo wpatrywał mu się w twarz szklistem swem, cierpiącem okiem.

— Meir! — rzekł nakoniec — dziad twój, Saul, miał godzinę temu długą rozmowę z synem swoim, Abramem. On gości swoich porzucił, ażeby z nim rozmawiać, i mnie rozmowy tej słuchać kazał, bo chciał, żeby słowa z ust jego wychodzące i słuchające ich sumienie syna jego świadka we mnie miały. Bądź już spokojny, Meir. Stryj twój do wielkiego grzechu tego i wstydu, które niezadługo staną się, należeć nie będzie...

— Staną się! — z uniesieniem przerwał Meir — one nie staną się! ja tak zrobię, że one nie staną się!

Uśmiech, niewesoły wcale, przeleciał po ustach Bera.

— Ty tak zrobisz! — zaśmiał się zcicha. — A jak ty to zrobisz? Ja domyśliłem się, że ty rabinowi o tem mówić chcesz, i szukałem ciebie, żeby ostrzec cię i nieszczęście od głowy twojej odwrócić. Ty myślałeś sobie, że jak ty rabinowi cały interes rozpowiesz, on zaraz zerwie się i krzyknie, aby nikt brzydkiej rzeczy takiej robić nie śmiał. Jeżeliby on tak zrobił, wszyscy byliby mu posłuszni, to jest prawda, — ale on tego nie zrobi...

— Dlaczego on tego nie zrobi? — zawołał Meir.

— Dlatego, że on na interesach takich nie zna się.

Uśmiechnął się znowu i mówił dalej:

— Żebyś ty jego spytał się, jakie jedzenie czyste jest, a jakie nieczyste? czy w sabat można świecę objaśniać i chustką do nosa biodra swoje opasywać? czy, siadając do jedzenia, błogosławić trzeba pierwej wino, albo chleb? albo żebyś ty jego zapytał się, jakie dusze ludzkie przechodzą z ciała do ciała? ilu Jehowa wypuścił z siebie sefirotów, i jak te sefiroty nazywają się?

i jak układać trzeba litery imion Boskich, żeby z nich słowa wielkich tajemnic ułożyły się, i kiedy nadejdzie dzień Mesjaszowy i co w tym dniu dziać się będzie?... on na te wszystkie zapytania twoje znalazłby odpowiedzi długie i uczone. Ale, jak ty jemu opowiadać zaczniesz o gorzelniach, podatkach, o dworach pańskich i tych zamiarach, które na nie źli ludzie mają, on wytrzeszczy na ciebie oczy i będzie słuchał, jak słucha człowiek głuchy, bo on wszystkiego tego nie rozumie i dla niego, za księgami temi, z których on mądrość swoją czerpie, cały świat jest jako pustynia, okryta ciemną nocą!...

Meir pochylił głowę.

— Ja czuję, że ty prawdę mówisz — rzekł — a jednak, żebym ja zapytał się jego, czy wolno jest dla własnej korzyści krzywdzić niewinnego człowieka?

Ber odpowiedział:

— Onby ciebie zapytał się: a kto jest niewinny człowiek? — Izraelita, czy Edomita?

— Edomita! — echowym głosem odpowiedział Meir.

Spojrzał wgórę, jakby namyślał się; wzruszył ramionami, jakby czemuś dziwił się wewnętrznie; a potem zatopił wzrok w twarzy Bera.

— Ber! — wyrzekł — czy ty Edomitów nienawidzisz?

Zapytany wstrząsnął przecząco głową.

— Nienawiść przykra jest sercu — odpowiedział. — Kiedyś... jak ja młody byłem... chciałem nawet pójść do nich i zawołać: ratujcie! Teraz kontent jestem, że nie zrobiłem tego i ze swoimi zostałem, ale nienawiści żadnej w sercu mojem dla nich nie mam...

— I ja nie mam — żywo potwierdził Meir. — A czy ty myślisz, — zapytał — że Kamionker ich nienawidzi?

— Nie — zaprzeczył Ber — on tylko doi ich, jak krowy, i ma dla nich wzgardę za to, że oni interesów swoich nie pilnują i pozwalają, żeby on ich oszukiwał.

— A Todros czy ich nienawidzi? — zapytał jeszcze Meir.

— Tak! — energiczniej, niż kiedy, potwierdził Ber. — Todros ich nienawidzi. A dlaczego on ich nienawidzi? Bo on nie żyje w tym samym czasie, co my wszyscy... on żyje ciągle w tym czasie, w którym rzymski cesarz świątynię jerozolimską zburzył i lud izraelski z Palestyny wygnał, i w którym Żydów palili na stosach i po całej ziemi gnali. On oddycha, je i chodzi teraz, ale myśli i czuje tak, jakgdyby żył dwa tysiące i tysiąc lat temu. On nic nie wie o tem, że od śmierci przodka jego,

Todrosa, co z Hiszpanji tu przybył, mnóstwo lat płynęło ciągle, jak wielka i bystra rzeka, i że na tej rzece pływali mądrzy i dobrzy ludzie, przynoszący światu mądre i dobre rzeczy, i że od tego dalekiego czasu świat zmienił się, a ludzie, którzy nienawidzili i prześladowali jedni drugich, ręce sobie do zgody podali... On nic nie wie, co na świecie dzieje się... nu! jak on ma wiedzieć? On od urodzenia swego nigdy z Szybowa nie wyjeżdżał, a oczy jego nie widziały innych książek, jeno te, które mu po dziadach, pradziadach zostały, i żadnego człowieka z innego rodu, jak tylko z narodu izraelskiego.

Meir słuchał i głową zlekka wstrząsał, jakby w myśli swej potwierdzał słowa towarzysza.

— To ja nie mam poco do niego iść... — rzekł po chwili namysłu.

— Ja dlatego szukałem ciebie, ażeby ci to powiedzieć — odparł Ber. — On nie zabroni Kamionkerowi krzywdzić dziedzica Kamiońskiego, bo jemu będzie zdawać się, że dziedzic Kamioński pochodzi z narodu Idumejczyków, który wojował z Jozuem, albo z narodu rzymskiego, który bałwanom kłaniał się i świątynię jerozolimską zburzył, albo z narodu hiszpańskiego, który pięćset lat temu bardzo Żydów udręczał... On nawet z tobą rozmawiać nie zechce, bo ty w jego oczach kofrimem, niedowiarkiem jesteś, i on do tego czasu na głowie twojej rozgniewanej ręki swej nie opiera tylko przez wzgląd na wielką familję twoją i tę miłość, którą lud dla dziada twego, Saula, ma. Ale żebyś ty Kamionkera przed nim skarżył, Kamionker popchnąłby go do zemsty nad tobą tak, jak go już popycha reb Mosze. Meir! bądź ty ostrożny! zguba twoja niedaleko! uciekaj ty od niej!

Meir na przestrogę tę nic nie odpowiedział.

— Ber! — wymówił — ja temu bardzo dziwuję się, ale mnie się zdaje, że w człowieku tym, głupim, złym i mściwym, mieszka wielka dusza... On bardzo cierpliwy, dni i noce siedzi nad księgami swemi... on litościwy! oczy jego łzami zachodzą, jak przed nim ludzie biedni skarżą się i płaczą... on wszystkim do siebie przystęp daje, naucza i pociesza każdego... dla siebie nic nie chce i tak mocno... Ber! on tak mocno wierzy...

Słuchając słów tych, Ber uśmiechał się i szklistym wzrokiem swym spoglądał ku obłokom.

— Ty, Meir, tak o rabinie mówisz — odparł zwolna — a co ty powiesz o tym biednym narodzie, którego ciało wyschło

od głodu, którego głowy, od kłopotów bolące i od pogardy, co na niego przez dwa tysiące lat pada, nisko pochylone, a który, jak spragniony do zdroju, biegnie do rzeki mądrości, żeby z niej pić? Ty nie pytaj o to, czy mądrość ta prawdziwa jest, albo fałszywa, ale ty patrz na to, jak on w biedzie, w nędzy, w małych interesach żyjąc, mądrości tej pragnie... i jak on mędrców swoich czci, a tego, co za święte przykazanie ma, wiernie trzyma się. Czy tobie zdaje sie, że naród ten, głupi, chciwy i brudny, wielką ma w sobie duszę?

Meir podniósł głowę. Rumieniec opromienił mu czoło, jak zwykle, gdy bywał wzruszony.

— Izrael wielką duszę ma w sobie, i ja go kocham nad spokojność moją, nad szczęście moje i nad życie moje. Nu!...

Tu zatrzymał się przez chwilę, porywczym gestem pochwycił ramię Bera i zapytał:

— I ja wiem, czego Todrosowi braknie, żeby on ze swoją wielką duszą wielkim człowiekiem był, i czego ludowi izraelskiemu braknie, ażeby on wielkość swoją przed światem pokazał... Trzeba, żeby myśli ich i pamięć wyszły z tych dawnych czasów, w których one zawsze mieszkają, a zamieszkały w nowych czasach, co teraz na świat przypłynęły, i trzeba, żeby o głowy ich uderzył skrzydłami swemi Sar-ha-Olam, ten anioł poznania, który jest książęciem świata!

Kiedy młody człowiek, z czołem i wzrokiem w ogniu, słowa te mówił, Ber wpatrywał się w niego głębokiem, radosnem i zarazem smutnem wejrzeniem.

Po chwili odezwał się:

— Kiedy ja na ciebie patrzę, Meir, i kiedy ja ciebie słucham, mnie się zdaje, że ja widzę siebie samego.. wtedy, kiedy mi tyle lat było, ile tobie jest teraz... Ja także tak, jak ty teraz, gniewałem się bardzo i smuciłem się... ja także chciałem...

Umilkł i dotknął dłonią piersi, bo na czole powstały mu owe dwie głębokie zmarszczki, a źrenice jego z za szklistej swej powłoki spojrzały kędyś daleko... w świat, czy w przeszłość...

W ten sposób rozmawiali z sobą dwaj ci ludzie: jeden o ścianę bet-ha-midraszu oparty, drugi blisko przed nim stojący. Rozmawiali z ożywieniem, z gwałtownemi niekiedy gestami.

Meira oczy płomienne były, a twarz blada; Bera czoło fałdowało się zmarszczkami, a wargi drżały lekko.

I ktokolwiekby z ludzi obcych światu temu, wśród którego

żyli, czuli i myśleli oni, patrzał teraz na nich, a treść rozmowy ich odgadywać chciał, rzekłby: kupują, sprzedają, targują się, o handlu mówią!

Albo ż ludzie tacy, jak oni, o czem innem myśleć, mówić, nad czem innem cierpieć mogą?

Mogą. Myślą, mówią, cierpią, tylko nikt w mowy ich nie wsłuchuje się, myśli nie rozumie, cierpień odgadnąć nie pragnie. Morze to jest ogromne i tajemnicze, niebadane przez tych nawet, którzy w niem toną!

— Chodź do domu — rzekł Ber do towarzysza swego — dziad twój, Saul, wkrótce z gośćmi swymi do stołu zasiędzie i rozgniewa się, jeżeli ciebie tam nie zobaczy. I tak już wielka burza nad głową twoją wisi. Hana Witebska odniosła prezenty zaręczynowe, które dziad od ciebie córce jej posłał, nagadała jemu przy gościach wiele nieprzyjemności i zaręczyny zerwała.

Meir uczynił niedbały ruch ręką.

— Ja tego chciałem — rzekł — dziada ja przeproszę... Moja głowa tem tylko zajęta, do kogo tu teraz iść...

Ber z rodzajem zdziwienia spojrzał na mówiącego.

— Jaki ty uparty jesteś! — zauważył.

Zmierzali już teraz obaj ku bramie podwórza.

Ber stanął nagle.

— Meir! — rzekł — ty tylko do urzędników nie chodź!

Meir powiódł dłonią po czole.

— Ja poszedłbym do nich — rzekł — ale mnie strach zdejmuje! Jeżeli prawdę wykryją, to Kamionkera srogo karać będą, a z Kamionkerem i tych nieszczęśliwych ludzi, których on skusił... Biedni ludzie! głupi ludzie! Ja ich żałuję...

Umilkł nagle i wpatrzył się w punkt jeden. Rynkiem, napół już opustoszałym, przejeżdżała zgrabna najtyczanka, przez cztery dzielne konie ciągniona, a na niej siedział mężczyzna młody, przystojny, w wykwintnem ubraniu.

Meir wskazał palcem najtyczankę, która zatrzymała się przed domostwem Kamionkera, i z oczyma szeroko rozwartemi od myśli jakiejś, która mu nagle w głowie zawrzała, drżącym głosem zawołał:

— Ber! czy ty widzisz? to dziedzic Kamioński!

* * *

Słońce zbliżało się ku zachodowi, kiedy na ganku domostwa Ezofowiczów ukazała się gromadka ludzi żywo, uprzejmie i wesoło z sobą rozmawiających.

Byli to dzisiejsi goście Saula, którzy, uczęstowani przy gościnnym stole jego, uściśnieniami rąk żegnali stojącego pośród nich starca, za łaskę, którą okazał im, dziękowali, i zkolei po dwóch lub trzech na oczekujące ich wozy siadając, długo jeszcze zwracali się twarzami ku stojącym na ganku gospodarzom opuszczanego przez nich domu.

W bawialnej izbie niewiasty domowe z pomocą dziewek służebnych sprzątały z długiego stołu liczne naczynia, chowały do szaf resztki pozostałych jadeł i napojów i zwijały starannie grubą, lecz dostatnią i czystą bieliznę.

Na rynku tymczasem targ miał się ku końcowi; przerzedzona znaczna ilość wozów i ludzi zajmowała jeszcze pewną część przestrzeni, ale zmniejszała się z każdą chwilą. Wzamian dwa czy trzy domostwa zajezdne, znajdujące się tuż przy placu, wrzały gwarem i hałasem.

Ciemne, przepaściste sienie domostw tych natłoczone były wozami i końmi wieśniaków, którzy pili, tańczyli, kłócili się i bawili w wielkich szynkowniach.

W szynkowni Kamionkera najtłumniej było i najhałaśliwiej. Nie dziw: obrotny handlarz trzymał w dzierżawie kilka okolicznych gorzelni i kilkanaście karczem, kierował czynnościami i rozporządzał losami całej armji swoich znowu dzierżawców i szynkarzy.

Kilkudziesięciu ludzi podobnych Samsonowi, który raz w tydzień kupował trzy funty mięsa, a jedenaście osób, familję jego składających, jadło z nich i siły swoje wzmacniało (Samsonowe iście musiały być siły te!), kilkudziesięciu biedaków takich zostawało w zupełnej od Kamionkera zależności.

Wspaniałomyślnym władcą nie był on dla nich; oni też nawzajem wspaniałomyślnymi nie byli dla tych tłumów wieśniaczych, które topiły rozum swój i dobrobyt swych rodzin w rozlewanem rękoma ich morzu alkoholu.

W ten więc sposób Kamionker trzymał w ręku swych losy setek, tysięcy może rodzin wieśniaczych, do czego pomagały mu podwójne końce kredek dzierżawców jego, szynkarzy, zkolei oczekujących od przedsiębiorcy głównego polepszenia, albo ostatecznego zniweczenia nędznych swych, brudnych, mozolnych istnień.

Nic więc dziwnego, że dokoła domostwa Kamionkera cisnął

się tłum największy wozów i koni, a w szynkowni jego piła i hałasowała największa ilość wieśniaków.

Kamionker przecież nie ukazywał się tłumowi temu i sam go nie ugaszczał.

Gospodarowała tam żona jego, Jenta, rozstawiając na stołach dzbany, butelki i czarki, a dopomagały jej dwie brzydkie, barczyste córki, sprzedające u końca jednego ze stołów obwarzanki, chały i śledzie.

I ktokolwiekby wtedy patrzał na postać Jenty, chudą, podaną naprzód, obleczoną w luźną, spłowiałą suknię, i na twarz jej uwiędłą, zgorzkniałą, żółto odbijającą od sterczącej przy rudym czepku czerwonej róży; ktokolwiekby widział postać tę i twarz, leniwo przesuwające się w atmosferze dusznej od tłumnych oddechów ludzkich i odurzającej wyziewami alkoholicznych napojów, przypuścićby nie mógł, że była to żona handlarza i przedsiębiorcy na wielką skalę, właściciela jednej z największych w prowincji fortun pieniężnych.

Trudnoby też było odgadnąć przedsiębiorcę i posiadacza kapitałów znacznych w rudym, małym człowieku, który w wyszarzanym, długim aż do ziemi surducie, z szyją, ukrytą w zwojach czerwonawej chusty, stał teraz w jednym z gościnnych pokoi domu swego, o kilka kroków zaledwie od progu.

Był to ten pokój właśnie, w którym świetniały żółte, odwieczne sprzęty z podartem i brudnem obiciem, a także stojące na oknach w glinianych wazonach czarne monstra roślinne.

Reb Jankiel Kamionker stał o kilka kroków od progu, a gość jego, dziedzic Kamioński, siedział na żółtym fotelu, paląc cygaro i półżartobliwym, półzamyślonym wzrokiem patrząc na reb Jankla.

Młody pan był wysoki, słusznej i silnej postaci; ciemne włosy miał nad otwartem czołem, a na całej twarzy, delikatnej, choć pozłoconej zlekka od skwarów letnich, wyraz łagodny, trochę dobroduszny i dość myślący.

Wesoła żartobliwość, która chwilami przebłyskiwała w oczach szlachcica, obudzona snadź była widokiem niepozornej postaci, piegowatej twarzy i długich ognistych pejsów reb Jankla. Zamyślał się zaś on dlatego zapewne, że niepozorny rebe z długiemi pejsami rozmawiał z nim o ważnym dla niego interesie.

Młody pan zresztą, z otwartem, myślącem czołem i łagodnemi usty, nic a nic nie wiedział o tem, z kim właściwie roz-

mawia. Stał przed nim żyd, dzierżawca jego gorzelni, i koniec na tem.

Kimże mógł on być więcej, niż żydem i dzierżawcą gorzelni?

Że mógł on być jeszcze czynnym i wpływowym członkiem pewnego silnie i odrębnie zorganizowanego społeczeństwa, doskonałym pobożnym, zostającym u prawowiernej części społeczeństwa tego we czci wysokiej, mistykiem, oczekującym nadejścia dnia Mesjaszowego z wiarą taką, z jaką oczekiwali go ludzie plemienia jego przed kilkunastu wiekami; że był on uczonym i bogaczem, przed którym powstawali z głębokim szacunkiem wszyscy biedacy i prostacy narodu jego, że nakoniec około niekształtnych, piegowatych, niedobrze umytych rąk jego obmotywały się nici licznych losów ludzkich: żydowskich i chrześcijańskich — o tem wszystkiem dziedzic Kamioński, z myślącem czołem i łagodnemi usty, najlżejszego nie miał wyobrażenia.

To też na myśl mu nawet nie przyszło zachęcić piegowatego, rudego Żyda, aby zbliżył się do niego o parę kroków więcej i usiadł w obecności jego.

Reb Jankiel także o zbliżaniu się i siadaniu w obecności szlachcica nie myślał.

Nie myślał o tem, bo w okolicznościach podobnych stanie pokorne było mu zwyczajem, po ojcach i dziadach odziedziczonym; a jednak bladobłękitne oczy jego połyskiwały niechętnie i złośliwie, ile razy młody pan zwrócił wzrok w inną stronę i wyrazu ich widzieć nie mógł.

Być może, iż reb Jankiel, nie myśląc wcale o tem i sprawy sobie z uczucia swego nie zdając, czuł przecież, jak od stojących w pokorze nóg jego ku sercu, które w codziennem życiu w wielkiej nurzało się dumie, płynął gryzący jad otrzymanej i wzajem oddawanej wzgardy, która, gdy na grunt złego serca upadnie, zasiewa nienawiść i zbrodnię.

— Nudzisz mnie, mój Janklu, z temi wiecznemi targami i kontraktami swemi! — niedbale i paląc cygaro, mówił dziedzic Kamioński. — Wstąpiłem do ciebie na chwilę tylko, żeby mi konie odpoczęły trochę, a ty mnie tu już na dobre złapałeś...

Reb Jankiel ukłonił się szybko i giętko.

— Ja za śmiałość moją bardzo wielmożnego pana przepraszam — rzekł z uśmiechem — ale gorzelnia pańska otworzy się za miesiąc, i ja chciałem pierwszeństwo u pana mieć...

— Dobrze! dobrze! — odparł szlachcic — dlaczegoż nie miałbym dać ci pierwszeństwa, skoro od trzech lat dzierżawisz już gorzelnię moją... ale poco tak śpieszyć... miesiąc czasu jeszcze...

— Co to szkodzi zawczasu o interesie pomyśleć? Ja woły już skupuję; a przy gorzelni wielmożnego pana sto wołów postawić trzeba. Sto wołów! czy to żart? ja takich dużych pieniędzy wydawać nie mogę, nie mając jeszcze od wielmożnego pana żadnej pewności. Jeżeli wielmożny pan pozwoli, ja jutro do dworu przyjadę, i kontrakt napiszem...

Młody pan wstał z fotelu.

— Dobrze — rzekł — przyjedź... nie wcześniej jednak, jak po południu, bo z rana mnie w domu nie znajdziesz.

— Wielmożny pan nocować będzie w sąsiedztwie? — zapytał Jankiel, i powieki drgnęły mu nerwowo.

— W bliskiem sąsiedztwie — odpowiedział szlachcic i chciał coś jeszcze mówić, ale za plecami reb Jankla, zwolna i nieśmiałą widocznie ręką poruszone, drzwi otworzyły się, a do pokoju wszedł młody Żyd, wysmukły, kształtny, czysto ubrany, z twarzą bladą i bardzo zmieszaną, a okiem gorejącem i śmiałem.

Na widok wchodzącego reb Jankiel instynktownym ruchem odskoczył wtył parę kroków. Po białej i piegowatej twarzy jego przebiegały drgnienia przestrachu.

— Czego ty tu przyszedł... — zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle.

Młody pan zato, z obojętnem na przybyłego spojrzeniem, zapytał:

— A czego chcesz, mój kochany? czy interes jaki do mnie?

— Do wielmożnego pana — odpowiedział młody człowiek, głosem zniżonym prawie do szeptu.

Uczynił zwolna kilka kroków naprzód, ale Jankiel zagrodził mu sobą drogę.

— Niech wielmożny pan nie pozwoli jemu rozmawiać z sobą! — krzyknął — niech wielmożny pan ust jemu otwierać nie pozwoli! To bardzo zły człowiek jest... on wtrąca się do wszystkiego...

Dziedzic Kamioński wyciągnął rękę i usunął z przed siebie gorączkowo gestykulującego człowieka.

— Pozwól mu mówić — rzekł — jeżeli ma interes jaki do mnie, czemużbym porozmawiać z nim nie miał..

Mówiąc to, patrzał na przybyłego, którego twarz, o pięknych, wyrazistych rysach, bladością wzruszenia powleczona, zaciekawiła go widocznie. Przytem obrażała go i rozśmieszała zarazem nagle powstała gwałtowność gestów i mowy Jankla.

— Wielmożny pan mnie nie zna, ale ja wielmożnego pana znam... — zaczął przybyły cichym wciąż, ciężkim głosem.

— Poco wielmożny pan znać ma łajdaka takiego, jak ty... — spróbował znowu wpaść mu w mowę Jankiel; ale dziedzic Kamioński uczynił ku niemu gest, nakazujący milczenie.

— Ja wielmożnego pana widziałem kilka razy u dziada mego, Saula Ezofowicza, którego syn, Rafał, u wielmożnego pana zboże zawsze kupuje...

— Więc jesteś wnukiem starego Saula?

— Tak, ja jestem jego wnukiem.

— A Rafał Ezofowicz to twój ojciec?

— Nie; ja jestem synem Benjamina, najmłodszego z synów Saula, który, dawno już temu, umarł.

Meir wyrażał się polszczyzną łamaną nieco, lecz dość znośną. W domu dziada swego słyszał on często rozmowy, prowadzone w tym języku przez przybywających tam za interesami dziedziców dóbr sąsiednich, a i stary Edomita, który uczył go czytania i pisania innego, niż hebrajskie, tym samym językiem mówił.

— Czy Rafał przysłał cię do mnie? — zapytał szlachcic.

— Nie; ja sam przyszedłem...

Milczał chwilę, jakby wzmagał się na siły i odwagę. Wzmógł się, podniósł głowę i śmielszym już nieco głosem zaczął:

— Ja przyszedłem, żeby wielmożnego pana ostrzec przed wielkiem nieszczęściem, które źli ludzie dla pana przygotowują...

Jankiel poskoczył znowu i, rozpościerając ramiona, zasłonił go przed Kamiońskim.

— Czy ty będziesz milczał? — krzyknął — poco ty masz wielmożnemu panu głowę turbować swojem głupiem gadaniem...

Zwracając się do szlachcica, rozpaczliwie mówił:

— To warjat jest, miszugener, łajdak...

Tym razem jednak nie Kamioński usunął już go z przed siebie, ale uczynił to Meir. Ze zdwojoną gorączką w oczach i przyśpieszonym oddechem odepchnął Jankla i śpiesznie mówić zaczął:

— Ten człowiek mówić mi nie pozwala: dlatego ja wielmożnemu panu prędko wszystko powiem. Niech wielmożny pan jemu nie ufa; on jest bardzo złym człowiekiem i nieprzyjacielem pana... on panu wielkie nieszczęście zrobi... niech pan jego strzeże się i niech pan domu swego strzeże, jak oka w swojej głowie... Ja donosicielem nie jestem i dlatego przyszedłem tu, aby wielmożnemu panu powiedzieć to przy nim... On będzie mścił się nade mną, ale niech mści się... ja musiałem zrobić to, co każdy prawy Izraelita zrobić powinien... bo napisano jest u nas: «Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jakgdyby był zrodzon z potomków Izraelowych», a w drugiem miejscu napisano jest: «Jeżeli milczeć będziesz, na głowę twoją spadną nieszczęścia Izraela!»

Przestał mówić, bo w piersi głosu mu nie stało. Widać było, że drżał cały i że kipiący zapał boleśnie walczył z nim z tajemną, dojmującą trwogą.

Kamioński spoglądał na mówiącego z zajęciem, ze zdziwieniem i uśmiechem.

Tak przywykł uśmiechać się, patrząc na Żydów, że i teraz drżąca postawa Meira, zagadkowe słowa jego, a szczególnie uczynione przezeń biblijne cytaty, piękne same w sobie, ale dziwnie brzmiące w niewprawnej i łamanej mowie Żyda, bardziej śmieszyły go, niż zadziwiały i zaciekawiały.

— Jak widzę, — zaczął — stary Saul ma wnuka uczonego w piśmie świętem i obdarzonego darem proroczym. Powiedzże mi jednak, mój młody proroku, jaśniej i wyraźniej, jakie to nieszczęście grozi mi, i dlaczego ten poczciwy Jankiel, który od trzech lat jest moim dobrym znajomym, powziął nagle taką nieprzyjaźń dla mnie?

Jankiel stał teraz tuż przy fotelu, na którym siedział dziedzic, i schylony trochę ku niemu, ze słodkim uśmiechem na ustach, szeptał:

— To warjat! jemu zdaje się ciągle, że on prorokiem jest i on wszystkim ludziom różne rzeczy zawsze przepowiada, a na mnie on zły za to, że ja z niego bardzo śmieję się i drwię...

— No, to już ja śmiać się ani żartować nie będę, żeby on i na mnie zły nie był — wesoło odparł szlachcic, a zwracając się ku Meirowi, z pewną jednak ciekawością, zapytał:

— Jakież to nieszczęście spotkać mnie może? Powiedz jasno i wyraźnie, a jeżeli powiesz prawdę, spełnisz dobry uczynek, i wdzięczny ci zato będę...

Meir dopowiedział:

— Wielmożny pan żąda ode mnie rzeczy bardzo trudnej... ja myślałem, że wielmożny pan zrozumie wszystko z kilku słów... mnie ciężko o tem mówić...

Powiódł dłonią po czole, na które wystąpiło kilka kropel potu.

— Czy wielmożny pan przyrzecze mi, że, kiedy ja powiem straszne słowo, ono wpadnie w ucho pana, jak kamień wpada w wodę, i że pan nie powtórzy słowa tego przed sądem, tylko sam użytek z niego zrobi? Czy wielmożny pan mnie da na to swoje słowo?

Bladość mówiącego zwiększała się, i głos drżał.

Młody pan walczył widocznie pomiędzy ciekawością a wesołym śmiechem, który go napastował.

— Daję ci słowo honoru — rzekł, uśmiechając się — że słowa twoje wpadną do ucha mego, jak kamień do wody.

Gorejące oczy Meira zwróciły się ku Janklowi; otworzył usta, ażeby coś powiedzieć, lecz drżały one gwałtownie i żadnego dźwięku wydać nie mogły.

Jankiel, korzystając z gwałtownego wzruszenia, które, zdaje się, odebrało na chwilę młodemu człowiekowi siłę i przytomność, nagłym i sprężystym ruchem rzucił się ku niemu, pochwycił go za przednie klapy surduta i z całej siły zaczął ku drzwiom popychać. Potem krzyczał:

— Co ty do domu mego przychodzisz, żeby memu gościowi głupiem gadaniem swojem głowę turbować? To jaśnie wielmożny gość jest... wielki pan, z którym ja trzy lata już handluję i przyjaźń trzymam... Idź stąd! idź stąd! idź!...

Meir usiłował wyzwolić się z rąk targających go i popychających, ale, jakkolwiek wyższy i silniejszy był on od Jankla, Jankiel posiadał większą giętkość i sprężystość ciała, a przytem dokonywał wysileń rozpaczliwych.

W ten sposób obaj posuwali się ku drzwiom, a młody pan spoglądał na zapasy te, od śmiechu się zanosząc.

Nad głową i ramionami miotającego się Jankla podnosiła się bledsza coraz twarz Meira. Nagle oblał ją płomienny rumieniec.

— Niech wielmożny pan nie śmieje się — zawołał przerywanym głosem — wielmożny pan nie wie, jak mnie trudno mówić... Niech wielmożny pan domu swego od ognia strzeże...

Przy ostatnim wyrazie zniknął w progu, a Jankiel zdyszany, zmęczony, z drgającą twarzą drzwi za nim zatrzasnął.

Kamioński śmiał się ciągle. Nie dziw. Zapasy małego, rudego Jankla z wysokim i silnym, lecz zbyt wzruszonym, aby dostatecznie bronić się mógł, młodym Żydkiem, rozśmieszający miały pozór.

Wśród zapasów tych długa odzież obydwóch zapaśników rozwiewała się szeroko; Jankiel z uniesienia i wysilenia wielkiego podskakiwał i przysiadał; Meir drżał cały tak, jakby się bardzo lękał, i niezgrabnemi ruchami odpychał napastnika.

Tworzyło to obraz śmieszny, tem śmieszniejszy, iż składali go ludzie, z których śmiać się ogólnym jest i odwiecznym zwyczajem.

Jakim zresztą sposobem młody szlachcic zrozumieć mógł tajemny, bynajmniej niekomiczny, sens odgrywającej się przed nim sceny?

Kiedy rozmawiał z Meirem, czy wiedział, kto właściwie stał przed nim?

Młody to Żydek był, łamanym i zabawnym językiem mówiący, wnuk kupca i sam przyszły kupiec zapewne. Kimżeby innym mógł być, jeśli nie młodym, dość zabawnym Żydkiem i przyszłym zapewne kupcem?

Że był on duchem szlachetnym, zbuntowanym przeciw głupotom i nieprawościom wszelkim, duchem aż do rozpaczy stęsknionym za swobodą i wiedzą; że, przychodząc tu, dokonywał aktu wielkiej odwagi i krokiem tym gubił całą przyszłość swoją: młody pan najlżejszego o tem nie miał wyobrażenia.

Alboż istnieją pomiędzy Żydami duchy szlachetne, zbuntowane przeciw złemu, wysoką tęsknotą rozebrane, odważne?

Po chwili jednak dziedzic Kamioński przestał się śmiać i, patrząc na Jankla, zapytał:

— Wytłumaczże mi teraz, co to takiego było, i co to za człowiek?

— Ach! co to było i co to za człowiek? — powtórzył Jankiel, który w mgnieniu oka pozór spokojności odzyskać zdołał. — Było to głupstwo, za które ja wielmożnego pana bardzo przepraszam, że ono pana w domu moim spotkało; a ten człowiek jest warjat... On bardzo zły był i ze złości zwarjował...

— Hm, — rzekł Kamioński — nie wygląda jednak całkiem na warjata. Ładną ma twarz i wcale roztropną.

— On-bo i niezupełny warjat... — zaczął Jankiel, ale przerwał mu Kamioński:

— Wnuk to Saula Ezofowicza? — zapytał z zamyśleniem.

— On wnuk Saula, ale dziadek bardzo jego nie lubi...

— Lubi czy nie lubi, ale rodzonego dziada pytać się o niego darmo...

— I owszem, niech wielmożny pan zapyta się... — wykrzyknął Kamionker, a oczy świeciły mu triumfem. — Niech pan i stryjów jego zapyta się... to ja zaraz pobiegnę i stryja jego, Abrama, tu przyprowadzę...

— Nie trzeba — rzekł krótko szlachcic.

Wstał i zamyślił się. Spojrzał potem na Jankla bystro i uważnie. Jankiel spotkał spojrzenie to śmiałem okiem. Milczeli obaj chwilę.

— Słuchaj, Janklu! — rzekł Kamioński — jesteś człowiekiem niemłodym, zamożnym kupcem, ojcem rodziny: powinienem więc ufać ci więcej, niż młodzikowi, którego pierwszy raz w życiu widziałem, i który zresztą naprawdę warjatem być może... Jednak w tem coś być musi... ja o młodego człowieka tego rozpytywać się muszę...

— Niech wielmożny pan rozpytuje się — ze wzgardliwem wzruszeniem ramion rzekł Jankiel.

Kamioński po dość długiej chwili namysłu zapytał:

— Czy wasz sławny rabin jest teraz w miasteczku?

— A gdzie on ma być? on od urodzenia swego nigdy z miasteczka nie wyjeżdżał.

— Stateczny człowiek — uśmiechnął się znowu Kamioński i wziął ze stołu zgrabną swą czapeczkę.

— No, Janklu — rzekł — prowadź mię do rabina... choćbym się nie dowiedział nic ciekawego, zyskam przynajmniej to, że choć raz w życiu rabina waszego zobaczę...

Jankiel z pośpiechem drzwi przed wychodzącym gościem otworzył i wraz z nim na plac, zupełnie już prawie pusty, wyszedł.

Przez plac przechodził w tej chwili Eli Witebski i, spostrzegłszy kamionskiego pana, z uśmiechem pełnym uprzejmości ku niemu pośpieszył.

Kamioński też powitał go grzecznie. Zewnętrznym wyglądem swoim przynajmniej światowy kupiec, bardziej od innych mieszkańców miasta tego, zbliżony był do tej odmiany rodu ludzkiego, która nosi nazwę ucywilizowanej.

— Wielmożny pan do miasteczka naszego zawitał. Czy za interesem jakim?

— Nie, przejeżdżam tylko.

— A dokąd wielmożny pan teraz dąży?

— Do rabina waszego, panie Witebski.

Witebski zdziwił się.

— Do rabina? a czego wielmożny pan od niego chce?

— Śmieszna historja, mój Witebski! Ot, powiedz mi, czy znasz wnuka Saula Ezofowicza?

— Którego? Saul ma wielu wnuków!

— Jak mu na imię? — przez ramię ku Janklowi rzucił pan.

— Meir! Meir! ten niegodziwiec! — zakrzyczał Kamionker.

Witebski skinął głową na znak zrozumienia.

— Nu! — zaczął z łagodnym i pobłażliwym uśmiechem — niegodziwcem on nie jest. Młody jeszcze, poprawić się może... Ale niespokojną głowę ma... to prawda...

— Cóż? miszugener trochę? — zaśmiał się pan, żartobliwym gestem palec do czoła swego przykładając.

— Nu, — odpowiedział Eli — warjatem on także nie jest... młody, porozumnieje jeszcze... ale on teraz wielkie głupstwa wyrabia... to prawda! On i mnie dziś nieprzyjemności wielkich narobił... aj! aj! co ja przez niego zmartwienia i kłopotu miałem i będę jeszcze miał!...

— Tak więc — rzekł Kamioński — rodzaj to jest półgłówka i złośnika, który sam nie wie, czego chce, i wszystkim przykrości sprawia?

— Pan zgadł! — odpowiedział Witebski i zaraz dodał: — ale on młody jeszcze, z niego kiedyś porządny człowiek może być...

— Co to znaczy, że teraz nie jest porządnym człowiekiem...

— Proszę wielmożnego pana tędy — rzekł w tej chwili Jankiel, wskazując dziedzicowi bramę synagogalnego dziedzińca.

— A gdzież jest mieszkanie waszego rabina?

Kamionker wyciągnął palec ku przytulonej do ściany świątyni ciemnej lepiance.

— Jakto! — zawołał szlachcic — w tej chacie?

I zmierzał ku chacie, ale z Janklem już tylko; Witebski bowiem, spostrzegłszy, że zanosi się na jakąś sprawę ważną,

może i przykrą, z ukłonami i uśmiechami szybko synagogalny dziedziniec opuścił.

Drzwi chaty rabina zamknięte już były, ale u otwartego jej okna stało jeszcze ludzi kilkunastu, zcicha pomiędzy sobą rozmawiających i od chwili do chwili we wnętrze chaty rzucających nieśmiałe spojrzenia.

Ale we wnętrzu chaty panowało już milczenie głębokie, i ktokolwiekby widział wprzódy, jak mozolne i niezmordowanie Izaak Todros pracował przez długi szereg godzin, przypuściłby niezawodnie, iż teraz używał on spoczynku w śnie lub bezczynności zupełnej.

Przypuszczenie takie byłoby grubą omyłką.

Z wyjątkiem kilku krótkich godzin nocnych, w których sypiał snem tak przerywanym i trudnym, jakim bywa zazwyczaj sen ludzi o wytężającym się wciąż umyśle i rozdrażnionych nerwach, Izaak Todros nie spoczywał nigdy.

Było to żyjące wcielenie pracy niezmordowanej, namiętnej, nieznającej, co to zniechęcenie, płynące ze zwątpienia jakiegokolwiek, albo trwożliwej o własne zdrowie i życie dbałości.

I teraz także, po całodziennem przebywaniu w upalnej i dusznej atmosferze, jaką sprowadził był w ciasnej chacie jego ogromny natłok ludzi, po długiem wysileniu myśli i piersi, rabin szybowski nie legł na twarde łoże swe, ani wyszedł za miasteczko, kędy świeżość i cisza owiałby mogły czoło jego, oblane potem i zmięte trudami mozołu; ale pozostał na tej ławie, na której siedział od wczesnego ranka, i tylko, księgę wielką przed sobą rozwarłszy, wczytywał się w nią pilnie, nabożnie, bezpamiętnie.

Księgę tę zresztą, jak wszystkie inne, które posiadał, przeczytał on już tyle razy, że umiał ją napamięć prawie, od początku do końca.

Czytał ją jednak ciągle, bo z za wyrazów błyskały mu coraz nowe sensy i tajemnice, a on ku ostatecznemu pojęciu sensów tych i odkryciu tajemnic dążył wszystkiemi siłami ducha swego, palącego się w ogniu mistycznych wiar, marzeń i pragnień.

Reb Mosze zato spoczywał, choć także niezupełnie. Siedział on w kątku izby na ziemi, łokcie opierał na podniesionych kolanach, brodę chował w dłonie, a wzrok zatapiał nieruchomo w twarzy mistrza, schylonej nad księgą.

Była to kontemplacja taka, z jaką mnich chrześcijański

wpatruje się w obraz świętego patrona zakonu swego, z jaką wpółdziki murzyn przygląda się fetyszowi, wystruganemu z drzewa, z jaką miłośnik i badacz natury spogląda w przestrzeń, usianą mirjadami świecących ciał niebieskich. W oczach reb Mosza, wlepionych w twarz wielkiego rabina, malowały się: uwielbienie, podziw i miłość.

Nagle otworzyły się drzwi izdebki, i za progiem jej ukazał się dziedzic Kamioński. Zatrzymał się tam chwilę i rzekł do idącego za nim Jankla:

— Zostań tu, panie Janklu, ja sam rozmówię się z panem rabinem.

Rzekłszy to, pochylił głowę, aby przestąpić próg drzwiczek, zbyt niskich dla wysokiej i okazałej jego postaci.

Przestąpił próg i pytającem okiem powiódł dokoła.

Naprzeciw niego, u czarnej od pyłu i brudu ściany, siedział na ławie człowiek w nędznem odzieniu, z czarnemi jak noc włosami i brodą, z twarzą pomarańczowego prawie koloru, którą podniósł przy wejściu jego z nad księgi o zżółkłych, odwiecznych kartach.

Nad czołem człowieka tego, niskiem i przerzniętem kilku grubemi poprzecznemi zmarszczkami, sterczał w półkole zmięty daszek czapki, na tył głowy zsuniętej, a oczy jego, czarne i gorejące, z osłupieniem zdumienia utkwiły w twarzy przybysza.

W kącie izby, nisko przy ziemi, szarzała druga jeszcze postać ludzka, ale na nią młody pan przelotne tylko rzucił spojrzenie.

Na myśl mu nawet nie przyszło, aby człowiek, siedzący na ławie, z dziurami na rękawach odzieży i osłupiałym wyrazem w oczach, był tym właśnie rabinem szybowskim, którego sława, rozchodząc się po świecie żydowskim na wiele mil dokoła, oderwanemi, niewyraźnemi echami wnikała w świat chrześcijański.

Zbliżył się tedy do człowieka tego i dość grzecznie zapytał:

— Czy mogę widzieć się z rabinem szybowskim?

Odpowiedzi nie było żadnej.

Siedzący na ławie człowiek wyciągnął tylko ku niemu długą, żółtą szyję i szerzej jeszcze otworzył oczy i usta. Osłupienie, a może i inne też nagle doznane uczucie, rzuciło na całą powierzchowność jego wyraz ogłupiałości, do idjotyzmu niemal posuniętej.

I nie dziw wcale, że Izaak Todros podobnie piorunującego doświadczył wrażenia na widok stojącego przed nim szlachcica. Pierwszy to był Edomita, który progi jego przestąpił, odkąd on sam w progach tych żył; pierwszy, którego zbliska ujrzały oczy jego, i który przemówił doń dźwiękami, rozlegającemi się w uszach jego obco zupełnie, niezrozumiale, a nieledwie dziko.

Gdyby anioł Metatron, niebieski patron i obrońca Izraelu, albo nawet wódz i naczelnik szatanów, zjawił się był przed nim, byłby on mniej zdumiony i przerażony; z nadprzyrodzonemi bowiem jestestwami wiązały go ścisłe, jakkolwiek nie bezpośrednie stosunki. Badał i znał pochodzenie ich, naturę, właściwości i czynności wszelkie.

Ale ten okazały, wysoki człowiek, w obrzydliwem ubraniu, które do kolan nie sięgało mu nawet, z białem, jak u niewiasty, czołem swojem i niezrozumiałą swą mową, z jakich stron przybywał? poco przychodził? czego chciał? Idumejczykiem-że był on? Filistynem? srogim Rzymianinem, który zwyciężył mężnego Barkochbę? albo co najmniej Hiszpanem, który mordował słynną rodzinę Abrabanelów, a i przodka jego, Todrosa, bezecnie z kraju swojego wygnał?

Kamioński oczekiwał chwilę odpowiedzi na pytanie swe, a nie doczekawszy się jej, zapytał powtórnie:

— Czy mogę widzieć się z rabinem szybowskim?

Tym razem, na dźwięk podniesionego nieco głosu jego, postać ludzka, szarzejąca w kącie izby, poruszyła się i powstała zwolna.

Reb Mosze, z otwartemi od zdziwienia usty i osłupiałym, w twarz przybysza utkwionym wzrokiem, wysunął się na światło i gardłowo, przeciągle wymówił:

— Ha?

Na widok człowieka tego, odzianego z pierwotną i niesłychaną już gdzie indziej prostotą, po całej twarzy kamiońskiego dziedzica drgnęły i rozbiegły się, szybko jednak powstrzymane, uśmiechy.

— Mój panie — zwrócił się do reb Mosza — czy człowiek ten głuchy jest i niemy? Dwa razy pytałem go już o szybowskiego rabina, a odpowiedzi żadnej nie otrzymałem.

Mówiąc to, wskazał Todrosa, który teraz zwolna zwrócił się ku mełamedowi i, wyciągając ku niemu szyję, zapytał:

— Wos sagt er? Wos wyl er? (co on mówi? czego on chce?).

Reb Mosze, zamiast odpowiedzi, szerzej jeszcze otworzył usta, a w tej chwili za otwartem okienkiem ozwały się szmery i szepty.

Kamioński spojrzał ku okienku i zobaczył, że było on całe napełnione twarzami, spoglądającemi wgłąb izby z zewnątrz. Twarze te były ciekawe i nieco przelęknione. Kamioński zwrócił się ku nim z zapytaniem:

— Czy tu mieszka rabin szybowski?

— Tu! — odpowiedziało głosów kilkanaście.

— A gdzież on?

Kilkanaście palców wskazało człowieka, siedzącego na ławie.

— Jakto! — zawołał szlachcic — człowiek ten jest tym waszym sławnym i mądrym rabinem?

Twarze, zapełniające okno, rozpromieniły się szczególną błogością jakąś i oczyma dawały znaki twierdzenia.

Widać było, że Kamionskiego ogarniała wielka chęć śmiechu, którą jednak powstrzymywał jeszcze.

— A to kto? — zapytał, wskazując Reb Mosza.

— Nu — odpowiedziało mu z okna parę głosów — to jego «melamed», bardzo mądry i pobożny człowiek!

Kamioński zwrócił się znowu do Todrosa.

— Szanowny panie rabinie — rzekł — chciałbym chwil kilka pomówić z panem bez świadków.

Todros milczał grobowo. Oddech jego tylko stawał się coraz śpieszniejszym, oczy coraz płomienniejszemi.

— Panie melamedzie! — rzekł szlachcic do bosonogiego człowieka w grubej koszuli — czy to może u was dzień taki, że rabinowi waszemu mówić nie wolno?

— Ha? — przeciągle zapytał Reb Mosze.

Kamioński, wpół śmiejąc się, wpół z gniewem, zawołał ku stojącym za oknem ludziom:

— Dlaczego oni nie odpowiadają?

Nastąpiło długie milczenie. Twarze, zapełniające okno, spoglądały ku sobie z widocznem zakłopotaniem.

— Nu! — ozwał się ktoś śmielszy — oni nie rozumieją tego języka, którym pan gada!

— A jakiż język do licha rozumieć oni mogą?

— Nu — odpowiedział ten sam co wprzódy głos — oni umieją tylko po żydowsku!

Kamioński szeroko roztworzył oczy. Nie chciał wierzyć uszom własnym. Śmiech go ogarniał, ale zarazem też i nieokreślony gniew jakiś.

— Jakto! — zawołał — oni nie rozumieją języka kraju, w którym żyją?

Milczenie.

— Nu — rzekł nakoniec ktoś z okna — nie rozumieją.

W głosie, który krótki wyraz ten wymówił, dźwięczała też głucha jakaś niechęć.

W tejże chwili Izaak Todros porwał się z siedzenia swego, stanął, wyprostował się, podniósł obie ręce nad głowę i śpiesznie bardzo mówić zaczął:

— Przyjdzie taki dzień, że Mesjasz w ptasiem gnieździe, które w raju zawieszone jest, obudzi się i na ziemię zejdzie. Wtedy po całym świecie rozpostrze się wojna ogromna, Izrael stanie naprzeciw Edomu i Izmaela, a Edom i Izmael, zwyciężeni, u nóg jego położą się, jako ścięte cedry.

Wymawiając wyrazy: Edom i Izmael, mówiący wyciągnął wskazujący palec swój ku stojącemu na środku izby Edomicie.

Gest ten jego groźny był i uroczysty; groźnie i namiętnie płonęły mu oczy; piersią pochwycił szybko powietrze i, z wybuchem głosu, powtórzył raz jeszcze:

— Edom i Izmael położą się u nóg Izraela, jako złamane cedry, a ogrom pomsty Pańskiej spadnie na nich i zetrze ich w proch.

Teraz kolej nierozumienia przyszła na stojącego pośrodku izby Edomitę.

Podobny on był wprawdzie do smukłego i silnego cedru, ale nie do takiego wcale, który wkrótce ulec ma katastrofie rozsypania się w proch. Przeciwnie, był on bliższy coraz katastrofie homerycznego roześmiania się, której szczęśliwie, choć z niemałem wysileniem, unikał dotąd.

— Co on mówi? — zapytał ludzi, tłoczących się w oknie.

Odpowiedzi nie było.

Wszyscy stali, z oczyma wlepionemi w mówiącego mędrca, a na ciemnej, okrągłej twarzy mełameda rozlewał się już wyraz niewysłowionego zachwytu.

— Moi kochani! — zawołał Kamioński — powiedzcie mi, co on mówił?

Głos jakiś z okna, gruby i ochrypły, ale dziwnem jakby szyderstwem, dziwną jakby żądzą odwetu nabrzmiały, odpowiedział pytaniem:

— Jasny pan nie zrozumiał?

Pytanie to naiwne, dziwaczne, niesłychane, położyło kres silnej woli młodego pana. Szafirowe oczy jego zaświeciły niepo-

skromioną wesołością, a z piersi wybuchnęła długa, głośna gama śmiechu.

Ze śmiechem tym zwrócił się ku wyjściu.

— Dzicy ludzie! — zawołał we drzwiach. Idąc synagogalnym dziedzińcem, śmiał się wciąż i coraz serdeczniej, a ludzie, którzy cisnęli się ku oknu rabina, poodwracali teraz głowy i ścigali go wejrzeniami, pełnemi zdumienia i dotkliwej, głębokiej obrazy.

Nie dziw: młody pan śmiał się, a pomimo śmiechu, w głębi piersi czuł suchy gniew i urazę, bo mędrcy izraelscy, których widział przed chwilą, wydali się mu ludźmi dzikimi i wysoce komicznymi, a nie rozumieli nawet języka ziemi tej, której powietrzem oddychali, a płodami żywili się od wieków.

Ludzie zaś, cisnący się do chaty rabina, ścigali go wzrokiem niechętnym, aż do nienawiści prawie, bo śmiechem swym zbluźnił on temu, co oni najgoręcej miłowali i czcili najwyżej.

Biedni mędrcy izraelscy i czciciele ich, którzy ścigali Edomitę nienawistnemi spojrzeniami!

Biedny Edomita, śmiejący się z izraelskich mędrców i ich czcicieli!

Lecz najbiedniejsza, o! najbiedniejsza ziemia, której synowie, po wspólnej wiekowej podróży, nie rozumieją wzajem mowy ani ust, ani serc swoich!

W bramie synagogalnego dziedzińca Jankiel Kamionker znalazł się obok młodego dziedzica.

— No, panie Jankiel — zawołał dziedzic — mądrego i uczonego rzeczywiście macie rabina!

Jankiel nie odpowiedział na to nic i zaczął zaraz mówić o przyszłorocznej dzierżawie gorzelni kamiońskiej. Zdawałoby się, że tak lekceważył wszystko, co zaszło, iż zapomniał już nawet o tem.

Kamioński nie zapomniał, ale jedynem wrażeniem, które pozostawiło mu wszystko, co słyszał i widział, było zdziwienie, połączone z wesołością.

Młody prorok, rozgniewany na proroka Jankiel z długiemi pejsami, rabin, nie znający żadnego innego języka prócz żydowskiego, i towarzysz jego, ubrany z pierwotną prostotą, — wydawali mu się naprzemian to niezrozumiałymi, to oburzającymi, to śmiesznymi.

Pilno mu było o doznanej w miasteczku żydowskiem przygodzie opowiedzieć krewnym i przyjaciołom, do których jechał.

Jakże głośno i serdecznie śmiać się będzie z opowiadania jego rumiany i dobroduszny pan Andrzej!

Z jak wdzięcznym uśmiechem na różanych ustach wysłucha go córka pana Andrzeja, prześliczna Jadzia, o której wdzięcznych uśmiechach od wielu już tygodni i miesięcy dziedzic Kamioński marzył, jak wierny o raju!

Myśląc o uśmiechu prześlicznej Jadzi, młody pan wskoczył na najtyczankę swą, a spojrzawszy ku zachodniej stronie nieba, zawołał:

— O! jakżeście mię długo tu zatrzymali!

Skinął potem głową ku Janklowi i krzyknął na furmana:

— Ruszaj!

Dzielna czwórka siwków porwała zgrabny kawalerski powozik, który jak błyskawica, przemknął przez plac miasteczka i zniknął w złotych kłębach kurzawy.

Na zachodniej stronie nieba gasły zwolna jaskrawe obłoki, przezroczysty zmrok sierpniowego wieczora spuszczał się na miasteczko i szarawym cieniem napełniać zaczynał bawialną izbę Ezofowiczów.

W izbie tej rozlegały się przed chwilą zgiełkliwe krzyki i kłótnie, wśród których wzbijał się najgłośniejszy i najzapamiętalej mówiący głos reb Jankla.

W sposób rozmaity: powolnie i gwałtownie, gniewnie i pojednawczo odpowiadali mu liczni członkowie rodziny, którą rudy Jankiel osypywał skargami, wyrzutami i groźbami.

Poczem skarżący się i grożący człowiek, drżąc cały od gniewu, a może i trwogi, wypadł z domostwa i pędem wielkim biegł ku mieszkaniu rabina, a kilku ludzi, w izbie pozostałych, siedziało i stało długo w milczeniu i bezruchu zupełnym tak, jakby gniewne lub kłopotliwe myśli, w głowach ich powstałe, każdego z nich przykuły do miejsca.

Saul siedział na żółtej kanapie, z głową schyloną i rękoma nieruchomo złożonemi na kolanach, i ciężko, boleśnie, głośno wzdychał. Dokoła niego, otrząsłszy się nakoniec z zadumy i wzruszenia, siedli na stołkach: Rafał, Abram i Ber. Przysunęły się też cicho i za mężami swymi usiadły żony Rafała i Bera, niewiasty lubione i poważane w rodzinie.

W kącie izby szarzała jedna jeszcze postać ludzka. Był to młodziutki Chaim, syn Abrama, a serdeczny przyjaciel Meira; obecności jego nikt nie spostrzegł.

Saul pierwszy przerwał milczenie.

— Gdzie on poszedł? — zapytał.

— Do rabina na skargę — odpowiedział Abram.

— On Meira przed sąd duchowny powoła — zauważył Rafał.

Saul zakołysał się i jęknął:

— Aj! aj! biedna głowa moja! tegoż ja doczekałem się na starość moją, ażeby wnuk mój przed sądem stawiony był, jak rozbójnik jaki albo oszust!

— On jako donosiciel przed sądem stanie — z uniesieniem zawołał Abram i prędko, gwałtownie mówił dalej:

— Tate, z Meirem coś zrobić trzeba! Ty myśl i rozkazuj, co z nim zrobić. Tak dłużej nie może być. On siebie i synów naszych zgubi, a całej familji naszej wstydu i szkód wielkich narobi. Tate! ludzie i tak już gadają, że ród Ezofowiczów ciągle wydaje z siebie ludzi takich, którzy zakon izraelski rękoma swemi podkopywać chcą i do domu izraelowego wprowadzać fałszywe bogi!

— To jest prawda. Ja sam słyszałem takich ludzi, którzy mówili, że ród Todrosów i ród Ezofowiczów są jak dwie rzeki, z których jedna płynie wtył, a druga naprzód. One ciągle spotykają się z sobą i walczą, która którą pod ziemię zepchnąć ma. Gadanie to ucichło było, i zapomnieli o niem ludzie. Teraz znowu zaczęło rozchodzić się po świecie. Winien temu Meir. Tak dłużej być nie może. Trzeba z nim coś zrobić. Ty, tate, myśl o tem i rozkazuj, a my rozkazania twoje do skutku przyprowadzimy.

Wśród niepewnych świateł szarej godziny widać było, jak na pomarszczone policzki Saula wybijały się ceglaste rumieńce.

— Co z nim zrobić? — zapytał po długiej chwili milczenia, a głos jego podobny był do stłumionego łkania.

— Trzeba jego bardzo srogo ukarać! — zawołał Abram.

Rafał wyrzekł:

— Trzeba jego jak najprędzej ożenić!

Ber, który milczał dotąd, ozwał się:

— Trzeba jego stąd wysłać.

Saul namyślał się długo, potem odpowiedział:

— Wszystkie wasze rady niedobre są. Karać bardzo srogo ja jego nie mogę. A coby na to powiedziała dusza ojca mego, Hersza, którego drogami on chce chodzić, a którego sądzić mnie nie wolno? Ożenić jego prędko ja także nie mogę, bo dziecko to nie takie jest, jak wszystkie. Harde i zuchwałe ono jest i w kaj-

dany okuć się nie da. On już zresztą tak splamiony i srogiemi naganami cały okryty, że jemu żaden bogaty i uczony Izraelita córki swojej za żonę nie da...

Tu głos Saula zadrżał znowu upokorzeniem wielkiem. Tegoż doczekał się, że wnuka jego, najulubieńszego niegdyś ze wszystkich, żadna już z dostojniejszych rodzin izraelskich za syna swego przyjąć nie zechce!

— Wysłać jego stąd — mówił dalej — ja także nie mogę... bo mnie strach, żeby on na szerokim świecie nie wygnał do reszty z serca i głowy swojej wiary swoich ojców... Ja jestem teraz tak, jak ten wielki i uczony rabin, o którym takie pisanie jest, że miał on syna bezbożnego bardzo, który pod sekretem od niego «chazar» (wieprzowinę) jadł. Ludzie radzili jemu, żeby on syna tego w świat wysłał i biedzie a tułaczce srogiej w ręce oddał. Ale on powiedział: niech syn mój przy mnie zostanie i na zmartwioną postępowaniem jego twarz moją patrzy ciągle, bo widok ten serce jego miękkiem i posłusznem zrobić może, a sroga bieda przemieni je w twardy kamień...

Umilkł Saul, i wszyscy milczeli.

Milczenie to przerywały tylko od chwili do chwili westchnienia dwóch niewiast, siedzących za mężami swymi. W izbie ciemniało coraz bardziej.

Po chwili, przyciszonym nieco i nieśmiałym jakby głosem, Ber mówić zaczął:

— Pozwólcie, ażebym ja dziś przed wami otworzył serce moje. Ja rzadko mówię, bo ile razy mówić chciałem, na mnie spadały dawne przypomnienia z mojej młodości, a głos mój odzywał się z pod nich, jak z pod ziemi, i najcichszy był ze wszystkich głosów w familji naszej. Ja więc przestałem mówić i doradzać, i patrzałem tylko żony mojej, dzieci i interesów moich. Ale teraz znów mówić muszę. Naco tu tak długo myśleć, co z Meirem zrobić? Dajcie jemu swobodę. Pozwólcie jemu iść w świat, a gniewem waszym, ani wtrąceniem go w biedę srogo nie karzcie go! Co on zrobił? On wszystkie przykazania synajowe wiernie pełnił i nauki świętej pilnie uczył się, a wszyscy bracia i wszystkie siostry w całej familji jego, i nawet ubogi, prosty lud, co w nędzy i ciemnocie żyje, kochają go, jak duszę własną. Czego wy od niego chcecie? za co wy jego karać macie? co on złego zrobił?

Przemówienie to Bera, wypowiedziane wpółleniwym a wpółnieśmiałym głosem, wywarło na wszystkich obecnych silne wrażenie.

Żona jego, Sara, przelękniona widocznie, ciągnęła go za rękaw od surduta i szeptała mu w ucho:

— Szaa! szaa! Ber! na ciebie będą gniewać się za zuchwałe słowa twoje!

Saul kilka razy podniósł głowę i kilka razy pochylił ją znowu. Możnaby rzec, że wdzięczność dla Bera walczyła w nim i z obrazą i gniewem. Porywczy Abram zawołał:

— Ber! twoje własne grzechy przez usta twoje przemówiły! Ty ujmujesz się za Meirem, bo sam byłeś taki, jakim on teraz jest!

Rafał wyrzekł ze zwykłą sobie powagą:

— Ty, Berze, mówiłeś o przykazaniach synajowych i powiedziałeś, że Meir przeciw nim nie zgrzeszył. To jest prawda. Tylko ty zapomniałeś, że zakon izraelski nietylko na tych dziesięciu przykazaniach stoi, co je Mojżesz na górze Synaj od Pana usłyszał, ale jeszcze i na 613-tu, które wielcy tanaici, amoraici, gaonowie i rabini w talmudzie zapisali. My posłusznymi powinniśmy być, nie dziesięciu, ale 613-tu przykazaniom, a Meir talmudowych przykazań wiele naruszył...

— On wiele grzechów popełnił — zawołał Abram — ale największy grzech jego jest ten, którego on dopuścił się dzisiaj. On brata swego, Izraelitę, przed cudzym człowiekiem oskarżył, głowę jego wielkim niebezpieczeństwom poddał i naruszył jedność i przymierze izraelskiego ludu! A co z nami stanie się, jeżeli my jeden drugiego przed *cudzymi* ludźmi skarżyć będziem? A kogoż my kochać i bronić będziem, jeżeli nie braci naszych, co są kością naszych kości i krwią naszej krwi? On więcej pożałował *cudzego* człowieka, niż brata swego Izraelity: niechże jemu za to...

Nagle namiętny i zapalczywy człowiek ten mowę swą urwał, umilkł i z otwartemi jeszcze usty nieruchomym, jak posąg, pozostał. Siedział on naprzeciw okna i w okno to wpatrywał się osłupiałym wzrokiem.

— Co to jest? — zawołał nakoniec drżącym głosem.

— Co to jest? — powtórzyli za nim wszyscy obecni i wszyscy, z wyjątkiem Saula, powstali z miejsc swoich.

W izbie, ciemnej przed chwilą, widno zrobiło się tak, jak gdyby na placu miejskim zapłonęło tysiąc pochodni i światło swe do wnętrza domostwa obfitemi strugami wlewało. Pochodnie to były w istocie, ale nie na placu miejskim, tylko kędyś o parę wiorst dalej płonące, i nie wnętrze domostwa Ezofowiczów

tylko, ale całą firmamentu połowę oblewające morzem jaskrawej światłości.

Wśród nagle rozbłysłego wokoło nich oświetlenia mężczyźni stali pośrodku izby nieruchomi, oniemiali, wpatrzeni w słupy ogniste, rozpływające się po niebie coraz szerzej... coraz wyżej...

— Jak *on* prędko zamiaru swego dokonał! — wyrzekł Abram.

Nikt nie odpowiedział.

W miasteczku, cichem przed chwilą, odzywać się zaczęły gwary i hałasy. Żadna w świecie ludność tak łatwo i prędko, jak izraelska, nie daje się porywać wrażeniom wszelkiego rodzaju. Tym razem wrażenie silne być musiało. Budził je żywioł potężny, roznoszący po ziemi zniszczenie, a po niebie prześwietne blaski.

To też słychać było, jak ze wszystkich ulic i uliczek miasteczka, z tętentem stóp śpiesznie biegnących, z szumami wzburzonych jakby strumieni, tysiączna ludność płynęła ku zamiejskim polom.

Za oknami Ezofowiczów plac czerniał cały od płynącego w jednym kierunku tłumu tego i wrzał gwarem najrozmaitszych zapytań i przypuszczeń. Lecz ponad gwarem tym rozległo się kilka donioślejszych głosów:

— Kamionka! Kamionka! — zawołali ludzie, lepiej od innych z miejscowością obznajmieni.

— Herste! herste! Kamioński dwór! — pochwycił cały chór głosów.

— Aj! aj! taki wielki dwór! taki piękny dwór!

Były to ostatnie wykrzyki, które, nad tłumem szumiącym za oknami wzbijając się, wniknęły do wnętrza domu Ezofowiczów.

Potem tłum ten przepłynął plac, oddalił się ku krańcowi miasteczka, a odgłosy stąpań i rozmów jego odzywały się zdaleka już tylko i niewyraźnie.

Wtedy stary Saul powstał z kanapy i z twarzą zwróconą ku oknu stał długo, nieruchomy i milczący.

Zwolna potem podniósł ręce, które drżały trochę, i drżącym też głosem wymówił:

— Za czasów ojca mego, Hersza, i za czasów moich nie działy się rzeczy takie na świecie i grzechów takich pośród Izraela nie było... z rąk naszych płynęły na kraj ten srebro i złoto, ale nie ogień i łzy...

Po chwili milczenia, w głębokiej jakby zadumie pogrążony, ze wzrokiem wciąż wpatrzonym w ogniste niebo, rzekł jeszcze:

— Ojciec mój, Hersz, z dziadem *jego* w wielkiej przyjaźni żył... oni często rozmawiali z sobą o ważnych interesach, a kamioński pan, co jeszcze opasywał się pasem złocistym i długą szablę u pasa nosił, do ojca mego, Hersza, mówił: «Ezofowicz! ty wielkie serce w sobie nosisz, i jak nasza strona górę weźmie, my ciebie na sejmie szlachcicem zrobim!...» Syn jego nie taki już był, jak ojciec; lecz ze mną grzecznie zawsze rozmawiał; ja w majątku jego wszystko zboże przez trzydzieści lat zakupywałem i w każdej jego potrzebie kieszeń swoją jemu otwierałem, bo do niej z ziemi tej, co własnością jego była, wiele zysków płynęło... Kamiońską pani... ona i teraz jeszcze żyje... lubiła bardzo matkę moją, Frejdę, i raz jej powiedziała: «Pani Frejda ma w domu swoim wiele brylantów, a u mnie jest tylko jeden...» Ona brylantem syna swego nazywała, który jeden u niej był, jak w oku źrenica... tego samego syna swego, którego dom teraz w płomieniach stoi...

Wskazujący palec wyciągnął ku ognistej łunie i, grozą, czy żalem, czy zdumieniem jakiemś zdjęty, umilkł, a stojący za nim Rafał zkolei przemówił:

— Kiedy ja ostatni raz w kamiońskim dworze byłem, stara pani siedziała z synem swoim na ganku i, jak ja o interesie mówić zacząłem, ona do niego powiedziała: «Pamiętaj, Zygmunt, żebyś ty nikomu zboża swego nie sprzedawał, tylko Ezofowiczom, bo oni są ze wszystkich Żydów najuczciwsi i najlepiej nam sprzyjają». A potem ona mnie się zapytała: «Czy stara Frejda żyje jeszcze, a syn jej, Saul, czy zdrów i czy dużo już wnuków doczekał się?» Potem patrzała na syna swego i powiedziała do mnie: «Panie Rafał! a ja żadnego jeszcze wnuka nie mam!» Ja jej grzecznie pokłoniłem się i powiedziałem: «Niech wielmożna pani sto lat żyje i prawnuków doczeka się!» Ja kłamstwa w ucho jej nie wkładałem! Ja jej szczerze tego życzyłem. A dlaczego jabym miał jej źle życzyć?

Przestał mówić Rafał, a po chwili Saul, nie odwracając twarzy, zapytał krótko:

— Rafał! wiele ty lat z młodym Kamiońskim handlujesz?

— Ja z nim handluję od tego czasu, jak on wyrósł i gospodarzem zrobił się... on innego kupca, jak tylko mnie jednego, znać nie chce...

— Rafał! czy ty od niego krzywdę jaką miałeś?...

Rafał po namyśle chwilowym odpowiedział:

— Nie; ja od niego krzywdy żadnej nigdy nie miałem. On trochę pyszny jest, to prawda, i interesów swoich nie bardzo pilnować umie... pohulać on sobie lubi, a kiedy Izraelita kłania się jemu, on głową zwysoka kiwa i za przyjaciela swego mieć go nie chce... ale u niego serce dobre jest, a słowo rzetelne, i w interesach on łatwiej skrzywdzić się da, niż sam kogo skrzywdzi...

Stojąca za mężem Sara splotła ręce i, wzdychając, a głową kołysząc, jęknęła:

— Aj! aj! taki młody pan, a takie już nieszczęście na głowę jego zwaliło się!

— Taki piękny pan i z taką piękną panną żenić się miał! — zawtórowała żona Rafała.

— A jak on ożeni się teraz, kiedy dom jego płomienie pożrą? — rzekł Saul i dodał ciszej:

— Na duszę Izraela spadł dziś wielki grzech!

Odpowiadając jakby słowom ojca, Rafał wymówił poważnie i zcicha:

— Na głowę Izraela spada dziś wielka hańba!

Z kąta izby, do którego najmniej dochodziły płynące z zewnątrz jaskrawe światła, wyszedł, wysunął się raczej Abram. Przygarbiony, z głową schyloną zbliżył się do ojca, drżąc na całem ciele, i rękę jego pochwycił i do ust ją swoich przycisnął.

— Tate — rzekł — ja tobie dziękuję za to, że ty mnie do tego należeć nie pozwoliłeś!

Saul podniósł głowę. Rumieniec opłynął mu pomarszczone czoło, energja płonęła w przygasłych oczach.

— Abram! — rzekł głosem, który brzmiał rozkazująco — niech tobie w ten moment dwa konie do wozu zaprzęgą. Siadaj ty na wóz i jedź prędko do tych państwa, u których Kamioński gości... Stamtąd pożaru nie widać... jedź prędko i powiedz jemu, żeby on jechał matkę swoją i dom swój ratować...

Zwrócił się do Rafała:

— Rafał! idź ty do karczmy Jankla i Lejzora... tam kamieńscy chłopi bawią się i piją... Popędź ich, żeby jechali prędko i dom dziedzica swego ratowali...

Posłuszni, jak małe dzieci, dwaj synowie Saula śpiesznie opuścili izbę; kobiety wybiegły na ganek domu, a wtedy Ber zapytał Saula:

— Tate! a co ty teraz myślisz o Meirze? Czy on źle zrobił, że Kamiońskiego ostrzegł?

Saul pochylił głowę, ale nic nie odpowiedział.

— Tate! — mówił Ber — ratuj ty Meira. Idź do rabina i do dajonów (sędziów), i do kahalnych, i proś, żeby nad nim sądu nie czynili...

Saul długo nie odpowiadał.

— Ciężko mi do nich iść — odrzekł nakoniec — a najciężej siwą głowę moją przed Todrosem pochylić... Nu — dodał po chwili — pójdę jutro... dziecko bronić trzeba... choć ono zuchwałe jest, a wiarę i obyczaj ojców swoich za mało szanuje i lubi...

* * *

Kiedy to działo się w domu Ezofowiczów, małą łąkę zamiejską pokrywał całkiem stłoczony, czarny, falujący i szemrzący tłum.

Z miejsca tego najlepiej można było oglądać widowisko straszne a świetne. Tutaj też zgromadziła się, ciekawością i żądzą wrażeń wiedziona, cała ludność miasteczka.

Łuna pożaru podnosiła się z za sosnowego boru. Oświetlony przez nią, stał on teraz różowy cały, a tak przezroczysty, iż, zda się, możnaby było przeliczyć wszystkie gałęzie, wieńczące wierzchołki gładkich drzew jego.

Szeroko, wpółokrąg rozlana łuna ta, szkarłatna u dołu, przechodziła wyżej wszystkie odcienie złocistości, aż u szczytu samego rąbkiem bladożółtym przerzynała na połowę sklepienie niebios i zlewała się z bladym jego błękitem.

Wobec gorejących, przeraźliwych blasków tych, gwiazdy świeciły mdło, jak pozłacane blaszki, a odpowiadał im tylko na drugiej stronie widnokręgu wysuwający się z za gaju ogromny, czerwony księżyc.

Wśród ludu, zalegającego łąkę, toczyły się liczne, skłócone rozmowy. Opowiadano tam, że Jankiel Kamionker, przy pierwszym zaraz błysku pożaru, wielkim pędem poleciał do gorejącego dworu, biadając i rozpaczając głośno nad prawdopodobną stratą wódki swej, której tam ilość wielką posiadał.

Znaczna ilość ludzi, opowiadania tego słuchających, uśmiechała się dwuznacznie; inni wstrząsali głową z pożałowaniem nad przypuszczalnemi a ogromnemi stratami Jankla. Większość

zachowywała o Janklu i wódce, zagrożonej zniszczeniem, milczenie zupełne.

Domyślano się snadź prawdy; tu i owdzie wiedziano nawet o niej na pewno, ale wtrącać się w sprawę, brzemienną wszechstronnemi niebezpieczeństwami, jednem choćby słowem nieostrożnem, nikt nie śmiał i nie chciał.

W dobrą godzinę po pierwszem błyśnięciu na niebie ognistej łuny zaturkotały w uliczce, przytykającej do łąki, z szybkością nadzwyczajną toczące się koła, i na łąkę wpadła najtyczanka, przez czwórkę koni w pełnym galopie unoszona.

Nie była to zwyczajna droga do Kamionki, nie było tu nawet żadnej drogi; ale, jadąc tędy, dziedzic gorejącego dworu skracał sobie znacznie przestrzeń, którą miał do przebycia. Nie siedział on w zgrabnym powoziku swoim, ale stał; ręką trzymał się poręczy kozła i, pochylony naprzód, oczy wlepiał w różowy od świateł bór, za którym matka jego przebywała w ogarniętym płomieniami domu jego ojców. Gdy jednak konie jego wpadły na łąkę, spostrzegł on tłoczącą się tam gęsto ludność i krzyknął do stangreta:

— Ostrożnie! ludzi nie rozjedź!

— Dobry człowiek! — rzekł ktoś z tłumu — w nieszczęściu takiem myślał jeszcze o tem, żeby ludziom nieszczęścia nie zrobić!

Ktoś inny westchnął głośno.

Kilka głów nachyliło się blisko ku sobie i zaszeptało. W tym szepcie ozwało się imię Jankla, wymówione cicho... bardzo cicho.

Było jednak miejsce jedno nie na łące, ale wśród przytykającej do niej uliczki, gdzie rozmawiano głośno. U chaty krawca Szmula, na stojącej pod oknami ławie stał Meir. Patrzał on stamtąd na łąkę czarną od ludu i na gorejącą za łąką łunę. Poniżej otaczało go kilkunastu młodych ludzi, zwykłych towarzyszy jego. Z twarzy ich odgadnąć można było, że byli wzburzeni do głębi.

Chaim, syn Abrama, który całą przedgodzinną rozmowę Saula i synów jego usłyszał z kątka, gdzie był ukryty, opowiadał ją przyjaciołom.

W uniesieniu nie hamował on głosu swego. Powtarzał każde słowo, które zamieniali pomiędzy sobą starsi członkowie rodziny, głośno i dobitnie, a towarzysze jego głośno też i dobitnie potakiwali. Młode i nieśmiałe zwykle serca te oburzenie i wstyd uczyniły śmielszemi nieco...

W chórze tym nie słychać było jednego tylko głosu, który jednak zazwyczaj odzywał się wśród niego pełnemi słodyczy i mądrości słowami.

Eljezer nie stał wśród towarzyszy swych, skupionych dokoła Meira, ale siedział dalej nieco, na ziemi, plecami oparty o ścianę chaty. Łokcie wspierał na kolanach i z nisko pochyloną głową twarz ukrywał w dłoniach. Zdawać się mogło, że skamieniał w postawie tej, pełnej żalu i wstydu. Czasem tylko zakołysał się w obie strony.

Widać było, że miękki, marzący, trwożliwy duch ten tonął teraz cały w morzu gorzkich, rozpacznych, a może i wzmacniających rozmyślań.

Nagle, brzegiem uliczki, pod cieniem chat i parkanów, przesunął się z szybkością nadzwyczajną wysoki i cienki cień ludzki; obok gromadki, skupionej u drzwi Szmula, dał się słyszeć oddech strasznie zmęczonej piersi jakiejś, głośny i połączony z powstrzymywanemi jękami.

— Szmul! — wymówili młodzi ludzie.

— Cicho! — stłumionym głosem zawołał Meir i z ławki na ziemię zeskoczył. — Niech usta wasze nie wymawiają imienia nędzarza tego, ażeby głowy jego niebezpieczeństwu nie poddać... Ja tu stałem, powrotu jego czekając... rozejdźcie się stąd i pamiętajcie o tem, że oczy wasze Szmula, wracającego z ognistej strony tamtej, nie widziały...

— Ty prawdę mówisz — szepnął Arjel — to jest biedny brat nasz!

— Biedny! biedny! biedny! — powtórzono dokoła.

Rozeszli się. Przy chacie nędzarza został tylko Meir, który u progu jej stanął, i Eljezer, którego nic ze skamieniałości, w jaką wpadł, obudzić nie mogło.

Szmul, wbiegłszy do izby, z której, prócz najmniejszych dzieci i ślepej matki, powychodzili wszyscy, na brudną podłogę upadł, czołem o nią uderzył, i wzdychając, łkając, przerywanemi wyrazami mówił:

— Ja nie winien! ja nie winien! Ja nie winien! ja nie podpalał i naczynia z oliwą tą w ręku swoich nie trzymał! On... Jochel... wszystko zrobił... ja stał na polu i pilnował... ale, kiedy przed oczyma memi ogień błysnął... aj waj! aj waj! ja wtedy poznał, do czego ja należał...

— Cicho! — ozwał się przy biadającym nieprzytomnie człowieku głos przyciszony i smutkiem nabrzmiały. — Zamknij usta swoje, Szmulu, a ja okno twojej chaty zamknę...

Szmul podniósł twarz i wnet ją znowu do ziemi przyłożył.

— Morejne! — zajęczał — morejne! córki moje więcej niż szesnaście lat mają, trzeba było zamąż je wydać! podatków ja za cały rok nie miałem już czem zapłacić!...

— Wstań i uspokój się — rzekł Meir.

Szmul nie słuchał. Ustami zmiatając pył z brudnej podłogi, zajęczał jeszcze:

— Morejne! ratuj mnie! Ja ze wszystkiem już ciało i duszę swoją zgubiłem!

— Ty duszy swojej nie zgubisz, i Przedwieczny na szali grzechów twoich położy nędzę twoją, jeżeli ty pieniędzy tych, któremi skusili cię źli ludzie, nie weźmiesz...

Tym razem Szmul twarz oderwał od ziemi. Twarz ta, wychudła, blada śmiertelnie, nerwowemi drganiami targana, objawiała wszechstronną, do ostatnich granic posuniętą, nędzę człowieka.

Spojrzał na Meira oczyma, w których malowały się naprzemian rozdzierający ból i śmiertelny przestrach, a trzęsącą się dłonią wskazując dokoła izbę swą, wyjęknął:

— Morejne! a jak ja bez pieniędzy tych dłużej żyć będę?

Dobre pół godziny upłynęło, zanim Meir opuścił izbę, w której coraz ciszej już obwiniał się, wyrzekał i rozpaczał Szmul. Wnikający z ulicy szeroki pas jaskrawego światła oświetlał w pełni jeden z kątów ciasnej sionki. W kącie tym, pod czarną, chylącą się ścianą, bielały dwie kozy, z których jedna stała, a druga leżała.

Pomiędzy kozami, na więzi zmiętej słomy, z rękoma wsuniętemi w podarte rękawy szarej surduciny, z głową, ozłoconą światłem pożaru, a wspartą o deskę, wystającą ostro z pod ściany, spał Lejbele.

Ani krzyk i wrzawa, ani rażące światłości niebios, ani jęki i wyrzekania ojca nie przerwały mu snu niewinności, którym wśród dwóch kóz, przyjaciółek swych, usypiało to dziecię nędzy, ciemnoty i występku...

Nazajutrz w miasteczku całem panował ruch niezwykły. O niczem innem nie mówiono tam, tylko o pożarze, który do szczętu prawie zniszczył dwór kamioński; o chorobie starej pani, którą przewieziono naprędce do dworu sąsiadów jakichś czy krewnych, i o ogromnych stratach kamińskiego pana, któremu,

oprócz zabudowań dworskich, spłonęła stodoła, napełniona zwiezionem już z pól zbożem.

Ażeby rozmawiać o wypadku tym, ludzie schodzili się w gromadki na placu, pośród uliczek, u progów domostw, a gdyby kto podsłuchiwał rozmowy ciche, żwawe, toczące się pośród gromadek owych, dosłyszałby tu i owdzie formułowane pytanie:

— A co z *nim* będzie?

Pytanie to tyczyło się nie Kamiońskiego, lecz Kamionkera. Kamiońskiego żałowano tu i owdzie, jak tu i owdzie ganiono Jankla — lecz był to człowiek całkowicie dla ludności szybowskiej obcy, nieznający jej i przez nią wzajem z twarzy tylko znany; Kamionker zaś zżył się z ludnością tą od pierwszych dni swego istnienia, posiadał wśród niej szeroką sieć stosunków interesowych i przyjaznych, a w dodatku, wobec niższej jej warstwy, obleczony był aureolą bogactwa i prawowiernej, żarliwej pobożności. Nie dziw też, iż przyganiający mu nawet lękali się o niego.

— Czy jego będą podejrzewać? — zapytywano tu i owdzie.

Ten i ów odpowiadał:

— Na niego żadne nie padłoby podejrzenie, gdyby Meir Ezofowicz purycowi złych myśli w głowę nie włożył...

— On zerwał jedność i przymierze izraelskiego ludu...

— On głowę brata swego niebezpieczeństwu poddał...

— A co to dziwnego? On kofer jest... niedowiarek...

— On na reb Mosza rękę swą śmiał podnieść...

— On z karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma...

I ci, co mówili, niechętne, groźne czasem spojrzenia rzucali na okna domostwa Ezofowiczów.

Domostwo to stało dnia tego milczące i martwe, jak nigdy. Okien nawet na plac wychodzących nie otworzono, choć zwykle przez wiosnę i lato całe bywały one otwarte tak ciągle i szeroko, że ktokolwiekby chciał tylko, mógłby od rana do wieczora patrzeć przez nie na życie licznej rodziny, która nic nigdy do ukrywania nie miała.

Dnia tego jednak nikt w domu tym nie pomyślał o otworzeniu okien, ani uprzątnięciu wielkiej izby bawialnej, starannie zwykle uprzątanej.

Kobiety chodziły z kąta w kąt, jak nie swoje, w czepcach zmiętych nieco od częstego chwytania się rękoma za głowę, sta-

wały przed ogniskiem kuchennem z twarzami opartemi na dłoniach i w zamyśleniu wzdychały.

Sara miała nawet oczy zapłakane. Nie dziw; mąż jej, Ber, przez cały ranek nosił na czole swem owe dwie grube zmarszczki, w których ona odgadywała nieznane i niepojęte dla niej cierpienie, a do niej słowa nie przemówił i siedział teraz w izbie bawialnej, z głową opartą na dłoni, milcząc i szklistym wzrokiem spoglądając zkolei na dwóch braci jej, Rafała i Abrama.

Rafał pochylał wprawdzie twarz nad rachunkową księgą, widać jednak było, że nie rachował, lecz o czemś ważnem bardzo głęboko myślał. Od chwili do chwili podnosił oczy z nad książki i spoglądał na Bera i Abrama.

Stary Saul, na żółtej kanapie siedząc, zdawał się także zatopionym w czytaniu grubej, nabożnej księgi. W rzeczywistości zaś mniej jeszcze, niż zwykle, czytaną rzecz rozumiał, a z twarzy jego poznać można było, iż dolegało mu coś srodze i głęboko.

U okna, na zwykłem swem miejscu, więc w poręczowym głębokim fotelu, siedziała prababka Frejda. Z pośród rodziny całej na niej jednej tylko nie znać było zmiany żadnej. Senny uśmiech z warg jej nie zniknął. Przymrużała powieki i podnosiła je, to budząc się, to usypiając znowu.

Zaraz po południu kobiety zasłały stół białym obrusem i poczęły ustawiać na nim stołowe naczynia.

Do izby wszedł Meir. Wchodząc, otwierał drzwi cicho i powoli, a potem stanął u ściany i spojrzeniem powiódł po wszystkich twarzach. Spojrzenie to było niespokojne, trwożne niemal i pełne głębokiego żalu.

Obecne w izbie osoby podniosły nań oczy i wnet je spuściły, ale przez to jedno mgnienie oka, na młodego człowieka, nieśmiało stojącego u ściany, spadł tłoczący ciężar niemych wyrzutów.

W wyrzutach tych była uraza gorzka za doświadczone troski i trwogi istnień spokojnych, których spokojowi on zagroził, srodze zagroził; była głęboka litość nad nim, ale także i daleka niewypowiedziana jeszcze groźba odrzucenia.

Jedna tylko prababka na widok wchodzącego podniosła całkiem mrużące się wprzódy powieki, uśmiechnęła się szerokim uśmiechem i szepnęła:

— Kindleben!

Do jej też twarzy przylgnęły oczy Meira, a błysnęła w nich

myśl jakaś paląca i niecierpliwa. W tej chwili rozległ się po izbie brzęk i stuk.

Z pośród gromadek ludzi, czerniejących tu i owdzie na placu i ku domowi Ezofowiczów niechętnie spoglądających, ktoś w jedno okno domu tego rzucił spory kamień, który rozbił szybę na drobne kawałki i, przeleciawszy tuż nad czołem Frejdy, upadł pośrodku izby.

Twarz Saula oblał ceglasty rumieniec; kobiety, nakrywające do stołu, krzyknęły; Rafał, Abram i Ber powstali z miejsc swych, jak poruszeni sprężyną. Wszyscy utkwili zrazu wzrok w rozbitej szybie, lecz wkrótce przenieśli go na prababkę Frejdę, która wyprostowała się nagle i, patrząc na kamyk, leżący pośrodku izby, bezdźwięcznym, lecz głośnym szeptem swym zawołała:

— Nu! to jest ten sam kamień! Oni jego rzucali w okno domu naszego, kiedy mój Hersz z reb Nochimem kłócił się i z cudzymi ludźmi przyjaźń chciał trzymać... to jest ten sam kamień... na kogo oni teraz jego rzucili?...

Kiedy mówiła to, wszystkie zmarszczki na twarzy jej drżały, a oczy po raz pierwszy rozwarły się szeroko.

— Na kogo oni teraz znów kamień rzucili? — zapytała i zatoczyła dokoła źrenicą, która pociemniała i błysła.

— Na mnie, alte bobe! — odpowiedział z pod przeciwległej ściany głos, drżący niewysłowionym żalem.

— Meir! — krzyknęła prababka nie bezdźwięcznym już szeptem, jak zwykle, ale donośnym, przeraźliwym niemal głosem.

Meir przeszedł izbę, stanął przed nią i obie jej małe, pomarszczone ręce ujął w swoje dłonie. Spuszczał ku twarz jej wejrzenie pełne czułości i zarazem pytań i próśb jakichś, nie wymawianych ustami, a ona podnosiła ku niemu złotawe swe źrenice, które niespokojnie migotać zaczęły.

Saul wstał z kanapy.

— Rafał! — rzekł — podaj mi płaszcz mój i kapelusz.

— Dokąd ty pójdziesz, tate? — zapytali jednogłośnie obaj synowie.

Stary, z rumieńcami na twarzy, drżącym głosem odpowiedział:

— Pójdę, ażeby głowę moją przed Todrosem pochylić... Niech on nad zuchwałem dzieckiem tem sądu nie czyni, dopóki nie zgaśnie ogień gniewu, który zapalił się w duszy ludu...

Po chwili siwy patrjarcha najdostojniejszej w gminie rodziny, długim czarnym płaszczem okryty i w wysokim świecącym kapeluszu na głowie, kroczył przez plac zwolna i poważnie. Stojące na placu gromadki rozstępowały się przed nim, a składający je ludzie kłaniali mu się nisko. Ktoś jednak wyrzekł głośno:

— Biedny ty jesteś, rebe Saulu, że masz takiego wnuka...

Saul na zaczepkę tę nie odpowiedział, tylko wąskie wargi jego zacisnęły się silniej.

Dobra godzina upłynęła, zanim Saul z odwiedzin swych powrócił. Znalazł on wszystkich starszych członków rodziny swej zgromadzonych w izbie bawialnej. Meir był tam także; siedział tuż przy fotelu prababki, której mała, sucha dłoń ściskała mocno połę odzieży jego.

Sara zdjęła płaszcz z ramion ojca.

— A co ty, tate, przyniosłeś nam stamtąd? — zawołał Rafał.

Saul oddychał ciężko i ponuro patrzał w ziemię.

— Co ja stamtąd przyniosłem? — odpowiedział po chwili milczenia. — Wstyd i gniew wielki przyniosłem. Serce Todrosa raduje się nieszczęściem, które przytrafiło się domowi Ezofowiczów... Uśmiechy, jak węże, pełzają po żółtej twarzy jego.

— A co on powiedział? — zapytało parę głosów.

— On powiedział, że bezbożnemu i zuchwałemu wnukowi memu za długo pobłażał... Reb Mosze i Kamionker, i cały lud proszą jego, żeby on nad Meirem sąd uczynił... na prośby moje on sąd ten do jutrzejszego wieczora odłożył i powiedział, jeżeli Meir upokorzy się przed nim, a ludu całego o przebaczenie grzechów swoich prosić będzie... na głowę jego lżejszy wyrok spadnie...

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku Meirowi.

— A co ty, Meir, powiesz na to? — zapytano chórem.

Meir myślał chwilę.

— Dajcie mi trochę czasu — może ja sobie do jutrzejszego wieczora ratunek jaki znajdę...

— A skąd ty ratunek ten mieć będziesz? — zawołano.

— Pozwólcie, żebym ja wam do jutrzejszego ranka nie odpowiadał — powtórzył Meir.

Kiwając głowami, umilkli wszyscy. Oznaczało to milczące przyzwolenie.

W sercach wszystkich obecnych uczucia obawy i gniewu

walczyły z uczuciem dumy. Gniewali się na Meira, lękali się o niego i o spokój, o pomyślność całego domu swego, ale zarazem przykra im była myśl, że jeden z członków rodziny ich upokorzyć się ma przed rabinem i ludem.

— Coto można wiedzieć! — rzekł Rafał do brata — może on sobie radę jaką znajdzie...

— Może matka jego pokaże się jemu w nocy i nauczy go, jak on ma czynić... — zcicha westchnęła Sara.

Spóźniony obiad odbył się w głuchem milczeniu, przerywanem tylko westchnieniami kobiet i płaczem dzieci, którym matki zabraniały śmiać się i szczebiotać.

Stroskani i posępnie wyglądający członkowie rodziny z zadziwieniem spozierali od chwili do chwili na starą Frejdę, objawiającą wciąż szczególną jakąś niespokojność.

Wprawdzie nie mówiła ona nic, ale nie zadrzemała w ciągu obiadu ani razu; owszem, poruszała się wciąż na krześle swem, spoglądając to na stłuczoną szybę, to na Meira, to na miejsce pośrodku izby, na które przed parą godzin upadł był kamyk, rzucony z ulicy.

— Co jej jest? — zapytywali siebie obecni zcicha i z niepokojem.

— Ona sobie coś przypomina — odpowiadano.

— Ona czegoś lęka się!

— Ona chce coś powiedzieć, ale nie może...

Gdy powstano od stołu, dwie prawnuczki chciały, według zwyczaju, wyprowadzić Frejdę do sąsiedniej izby i do spoczynku ułożyć; ale ona silnie stopami o podłogę wsparła się i palcem wskazała fotel swój, przy oknie stojący.

Po chwili osoby, napełniające obszerną izbę, wysuwać się z niej zaczęły jedna za drugą.

Rafał i Ber wyjechali na resztę dnia do sąsiedniego dworu jakiegoś, w którym mieli do załatwienia ważny dla nich i pilny interes.

Abram zamknął się w izbie swej, ażeby oddać się rachunkom, albo może i nabożnemu czytaniu.

Saul rozkazał córkom, aby w domu cicho było i, wzdychając ciężko, legł na łożu swem. Kobiety zgasiły ogień na kuchni, zamknęły zcicha drzwi bawialnej izby i wyszły na dziedziniec, gdzie doglądały bawiących się dzieci, szyły i wiodły z sobą ciche rozmowy.

Prababka pozostała w izbie bawialnej i — dziwna rzecz! — choć zapanowała wkoło niej cisza głęboka, nie usnęła, nie za-

drzemała nawet ani na chwilę. Siedząc w głębokim fotelu swym, patrzała na szybę rozbitą i poruszała wciąż ustami, jakby coś do samej siebie mówiła.

Czasem też kołysała głową, obciążoną barwistym zawojem; wtedy diamentowe spięcie zawoju zdawało się osypywać zżółkłe jej czoło potokiem iskier, a długie kolce dzwoniły po ogniwach złotego łańcucha.

Poruszała wciąż ustami, a wkrótce i rękoma też poruszać zaczęła. Mogło się zdawać, że z kimś niewidzialnym i z widmami może, wyłaniającemi się z własnej pamięci jej, toczyła żywą jakąś a trudną rozmowę. Nagle wstrząsnęła głową i wymówiła:

— Tak samo było, kiedy mój Hersz pisanie Senjora znalazł... Na niego wtedy źli ludzie kamieniami rzucali...

Umilkła, lecz łzy duże, szkliste opłynęły złotawe źrenice jej i nieruchome stanęły pod zmarszczoną, drgającą powieką.

Wtedy z ławy, umieszczonej pod przeciwległą ścianą, wstał Meir i, szybko przeszedłszy izbę, usiadł na niskim stołku, o który stara kobieta nogi swe wspierała, a splatając na kolanach jej ręce swe, zapytał:

— Bobe! gdzie jest pisanie Senjora?

Na dźwięk głosu tego, który zapewne, tak jak i twarz Meira, przypominał jej człowieka, gorąco miłowanego w dniach młodości i szczęścia, Frejda uśmiechnęła się. Nie spuściła jednak spojrzenia ku siedzącemu u kolan jej wnukowi, lecz z za łez, nieruchomo wciąż w oczach jej stojących, patrzała w przestrzeń i szeptać zaczęła:

— Kiedy on pierwszy raz pokłócił się z reb Nochimem i z całym ludem, przyszedł do domu swego, usiadł na ławie smutny bardzo i zawołał do siebie żony swej, Frejdy. Frejda była wtedy młoda i bardzo piękna; na głowie swej nosiła zawój, biały jak śnieg, a przy ogniu stojąc, który w kuchni palił się, dzieci i sług swoich doglądała. Ale kiedy usłyszała wołanie swego męża, poszła zaraz do niego, stanęła przed nim i przemówienia jego czekała. A on wtedy zapytał się: — Frejdo! gdzie jest pisanie Senjora?...

Szept starej kobiety umilkł. Natomiast młody mężczyzna, u kolan jej siedzący, zaciskając mocniej splecione swe ręce, zapytał znowu:

— Bobe! gdzie jest pisanie Senjora?

Głowa kobiety, obciążona barwistym zawojem, zakołysała się zlekka, a wąskie, żółte wargi szeptać znowu zaczęły:

— On pytał się: — Gdzie jest pisanie Senjora? Czy je Senjor pod ziemię schował? — Nie; on go pod ziemię nie schował, bo onoby tam zgniło, i zjadłyby je robaki. — Czy on je w ściany domu schował? — Nie! on wiedział, że ściany te ogień pożreć może? — To gdzie on je schował?... — Tak pytał się Hersz, a żona jego, Frejda, myślała długo nad słowami jego, a potem palcem pokazała szafę, w której były stare książki Senjora, i powiedziała: — Hersz, mój Hersz! pisanie to tam jest!... — Kiedy Frejda to powiedziała, Hersz uradował się bardzo, a usta jego wymówiły: — Ty, Frejdo, rozum w głowie swojej masz, a dusza twoja tak samo piękna, jak twoje oczy!...

Przy ostatnich wyrazach łzy, nieruchome dotąd, zsunęły się z jej źrenic i po zmarszczkach twarzy spadły na usta, które, uśmiechając się do sennych wspomnień młodości i szczęścia, szepnęły jeszcze:

— I powiedział on: — dobra i mądra żona droższa jest nad złoto i perły, przy niej serce męża spokojne!

Młody mężczyzna, u kolan jej siedzący i w twarz jej patrzący, wzrokiem pełnym próśb i pragnienia zapytał znowu:

— Bobe! a co Hersz z pisaniem tem zrobił?

Stara kobieta nie odpowiadała przez chwilę, poruszając ustami tak, jakby rozmawiała z kimś niewidzialnym, potem znowu opowiadać zaczęła:

— Hersz wrócił raz z dalekiej podróży, usiadł znów na ławie bardzo smutny i do Frejdy powiedział: — Wszystko przepadło! Pisanie Senjora trzeba schować, bo ono teraz nanic się nie przyda. — Frejda zapytała się: — Hersz! a gdzie ty pisanie to schowasz? — Hersz odpowiedział: — Ja schowam je tam, gdzie ono wprzódy było, a ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz...

Meira oczy zaiskrzyły się radośnie.

— Bobe! to pisanie tam jest?

I wskazał na szafę ze staremi, pamiątkowemi w rodzinie księgami. Ale Frejda nie odpowiedziała mu, tylko szeptała dalej:

— On powiedział: — Ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz, a kiedy dusza twoja rozwodzić się będzie z ciałem twojem, ty powiedz o nim temu synowi, albo wnukowi temu, który do męża twego, Hersza, najpodobniejszy będzie... A kto z synów i wnuków Frejdy najpodobniejszy jest do męża jej, Hersza? — Najpodobniejszy do niego jest Meir, syn Benjamina... on do niego taki podobny, jak podobne do siebie dwa ziarnka

piasku... To moje kindleben, to moje najulubieńsze! Frejda jemu o sekrecie tym powie!

Meir trzymał teraz w dłoniach swych obie ręce prababki i okrywał je pocałunkami.

— Bobe! — szeptał, wskazując szafę z księgami — czy tam jest pisanie Senjora?

Ale stara kobieta i teraz jeszcze nie odpowiedziała mu bezpośrednio, tylko szeptała dalej:

— Hersz powiedział Frejdzie: — Jeżeli na syna albo wnuka twego najulubieńszego starsi w familji ręce podnosić zaczną, i jeżeli na niego lud kamienie rzucać będzie, ty Frejdo, jemu o sekrecie naszym powiedz! Niech on pisanie Senjora weźmie, na sercu swojem położy, familję swoją i majątek swój rzuci, a z niem w świat idzie, — bo pisanie to droższe nad złoto i perły: ono jest przymierzem Izraela z Czasem, co mu nad głową rzeką wielką płynie, i z Ludami, co piętrzą się wokoło niego, jak wielkie góry...

— Bobe! na mnie starsi w familji ręce swe podnosić zaczęli... ode mnie odwrócił lud rozgniewaną twarz swoją... ja jestem ten wnuk twój najulubieńszy, o którym tobie mąż twój, Hersz, mówił... powiedz ty mnie: czy tam, między księgami temi, jest pisanie Senjora?

Szeroki, możnaby rzec, triumfujący, uśmiech roztworzył żółte wargi Frejdy.

Wstrząsała głową z uczuciem tajemnej radości jakiejś i szeptała:

— Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła... ona jego przed wszystkimi, jakby duszy swojej, broniła... Kiedy ona wdową została, przychodził do domu jej reb Nochim Todros i starą szafę ze staremi książkami chciał ogniowi na pożarcie dać... przychodził potem syn reb Nochima, reb Baruch Todros, i chciał starą szafę ze staremi książkami ogniowi na pożarcie dać... ale ile razy oni przyszli, Frejda starą szafę ciałem swem zasłaniała i mówiła: — To mój dom i wszystko, co w nim jest, moje jest! — A jak Frejda przed starą szafą stawała, przed Frejdą stawali synowie i synowie synów jej i mówili: — To matka nasza, my jej krzywdy uczynić nie damy! — Reb Nochim gniewał się i poszedł sobie... a reb Izaak nigdy już nie przychodził, bo wiedział od ojców swoich, że dopóki Frejda żyje... starej szafy nie poruszy nikt... Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła, i on leży sobie od tego czasu tam... i śpi sobie...

Przy ostatnich wyrazach stara kobieta wyciągnęła ku sza-

fie oszklonej, o kilka kroków przed nią stojącej, pomarszczony palec swój, a śmiech cichy, śmiech wewnętrznej radości jakiejś, jakiegoś dziecinnego prawie triumfu, piersią jej zatrząsł.

Meir jednym skokiem znalazł się przy szafie i silniejszą, niż kiedy, bo zgorączkowaną dłonią targnął zamek jej, skruszony przez starość i rdzę. Drzwi szafy roztworzyły się naoścież, a z głębin jej buchnęła chmura pyłu i, jak niegdyś biały zawój Frejdy i złote włosy Hersza, okryła białą powłoką odzież i głowę prawnuka ich...

Ale on na to nie zważał i chciwie ręce zatopił pomiędzy księgi te, z których czerpali mądrość swą dwaj przodkowie jego, a wśród których krył się, namiętnie dla niego upragniony, drogowskaz życia...

Ale na widok rozwartej szafy i wylatującej z niej chmury pyłu, Frejda pochyliła się też naprzód, ręce przed się wyciągnęła i zawołała:

— Hersz! Hersz! mój Hersz!

Nie był to już zwykły szept jej bezdźwięczny, ale okrzyk głośny, wyrywający się z piersi, nawskroś przeszytej radością i bólem wspomnienia.

Zapomniała o prawnuku... zdawało się jej zapewne, że urodziwy młodzieniec ten ze złotemi włosami, osypanemi kurzawą, był cudownem, z nieznanych światów przybyłem do niej zjawiskiem jej męża...

Meir zwrócił ku niej bladą twarz i gorejące swe oczy.

— Bobe! — spytał dyszącym głosem — gdzie ono jest? u góry? w dole? W tej książce? w tej? w tej?

— W tej! — zawołała kobieta, palcem wskazując księgę, na której zkolei Meir dłoń swą położył.

Po chwili zżółkłe od starości, lecz bujnem i wyraźnem jeszcze pismem okryte arkusze zaszeleściły pod grubą pergaminową okładką księgi. Trzymając je w dłoni, Meir upadł do nóg prababki, całował stopy jej, kolana i ręce; co chwila chwytał się za głowę, a niewyraźne jakieś jęki i śmiechy drżały mu w piersiach.

Frejda uśmiechała się też i drżącemi rękoma dotykała głowy prawnuka; lecz powieki jej zwolna przymykać się zaczęły, na twarz całą wracał zwykły od lat wielu wyraz cichej senności.

Zmęczoną mówieniem i wspominaniem długiem, wpatrzoną jeszcze w jasne widmo młodości, które stało przed nią w srebrzystych blaskach łzy, — stuletnią tą niewiastę ogarniało

znowu ciche, słodkie drzemanie — pierwsza niby łagodna fala snu wiekuistego.

Namiętne dziękczynienia i pieszczoty prawnuka budzić ją przestały.

Meir schował na piersi zżółkłe arkusze, i wkrótce słychać było szybki bieg jego po schodach, prowadzących do izby, u szczytu domu umieszczonej, a zamieszkanej przez Meira i młodszych jego braci.

Przez cały wieczór potem i przez noc całą, w sporem oknie, znajdującem się pod samym już wysokim i śpiczastym dachem domostwa, błyszczało mdławe światełko świecy, i widać było przesuwające się za szybami, wchodzące do izby i wychodzące z niej, ludzkie postacie.

Z rana, o świcie jeszcze, bocznemi drzwiami domu wyszło na dziedziniec kilku młodych ludzi, którzy wnet rozproszyli się w różne strony miasteczka.

Po miasteczku też, od samego już nieledwie wschodu słońca, obiegać poczęły wieści niewyraźne, niepewne, rozmaicie opowiadane i tłumaczone, ale zaciekawiające i wzruszające żywo wszystkie warstwy miejscowej ludności.

Zajęcia powszednie napozór szły zwykłym trybem, a jednak, na uboższych szczególnie uliczkach, słychać było nieustanny szmer ludzkich rozmów, który, łącząc się ze stukiem, zgrzytaniem i szelestem rzemieślniczych narzędzi, wydawał się głuchem jakby wrzeniem, szemrzącem na dnie mrowiska.

Niewiadomo skąd, z jakiej strony i z jakich ust wypływały i po wszystkich podwórzach, zakątkach, izbach i izdebkach rozpływały się wiadomości, domysły i przypuszczenia...

— Dziś, kiedy słońce zajdzie, a zmrok wieczorem spadnie na ziemię, zgromadzi się w bet-ha-kahole wielki sąd dajanów i kahalnych, z rabinem Izaakiem na czele, i sądzić będzie młodego Meira Ezofowicza.

— Jak on go sądzić będzie? jaki wyrok spadnie na głowę jego? co się z nim stanie?

— Nie, wielki sąd nie zasiądzie już dziś w bet-ha-kahole, bo kiedy słońce zajdzie i zmrok wieczoru spadnie na ziemię, zuchwały wnuk bogatego Saula przyjdzie do bet-ha-midraszu, aby w obecności ludu całego upokorzyć się przed wielkim rabinem, grzechy swe wyznać i tych, których obraził, rozgniewał lub zgorszył, o przebaczenie prosić.

— Nie, upokarzać się przed rabinem i grzechów swych wyznawać w pokorze przed ludem całym on nie będzie.

— Dlaczego nie będzie?

— Ach! ach! to wielki sekret, ale o nim już wszyscy wiedzą. To taki wielki sekret, że, słysząc o nim, wszystkie oczy pałają ciekawością gorączkową, wszystkie piersi drżą, aby co prędzej wchłonąć go w siebie.

— Młody Meir skarb znalazł!!

— Co to za skarb? Skarb to taki, który od trzystu, od pięciuset, od tysiąca może lat, nu! od tego czasu może, jak Żydzi do kraju tego przyszli, w familji Ezofowiczów ukrywa się!

— Skarb ten — to pisanie jakiegoś przodka ich, które on przed śmiercią swoją zrobił i dalekiemu potomstwu w dziedzictwie zostawił.

— A co w pisaniu tem jest?

— Nikt o tem z pewnością nie wie.

Wszyscy mieszkańcy ubogich uliczek o pisaniu tem słyszeli od ojców, dziadów i babek swoich, ale każdy z nich słyszał o niem inaczej. I teraz jeszcze żyli starzy ludzie tacy, którzy o pisaniu tem coś wiedzieli, ale każdy z nich wiedział co innego.

Jedni mówili, że pisanie to pochodziło od mądrego i świętego Izraelity, który żył bardzo dawno temu, a przez całe życie o tem tylko myślał, jak naród swój bogatym, mądrym i szczęśliwym uczynić.

Inni przeciwnie utrzymywali, że ów przodek Ezofowiczów, który żył dawno temu, bezbożnikiem był, odszczepieńcem przez gojów przekupionym, ażeby imię Izraela i zakon jego z powierzchni ziemi zetrzeć.

— W pisaniu tem stoi nauka: jak piasek w złoto zamieniać można, i co biedni ludzie robić powinni, żeby odrazu stać się wielkimi bogaczami.

— Nie, w pisaniu tem powiedziano jest, jakim sposobem człowiek może odpędzać od siebie djabłów, ażeby oni go nie dotykali się nigdy, a z liter Imienia Boskiego ułożyć taki wyraz, że kto go wymówi, ten będzie już mógł spojrzenie oczu swoich zapuścić wskroś nieba i wskroś ziemi...

— Nie, w pisaniu tem powiedziano jest, co Izraelici czynić mają, ażeby nieprzyjaciół swoich w przyjaciół zamienić i z ludami wszystkiemi, co im wrogie są, przymierze zgody zawrzeć.

A ktoś jeszcze słyszał o tem, że w pisaniu tem stoi nauka, jak wskrzesić Mojżesza i wezwać go, aby przyszedł znowu i lud swój z niewoli, ciemności i upokorzenia wy-

wiódł, a do krainy płynącej złotem, mądrością i chwałą zaprowadził.

— Dlaczego oni to do tego czasu nie szukali i nie ogłaszali ludowi pisania tego?

— Oni bali się; bo kto pisania tego się dotknie, tego ręce zapalą się wielkim ogniem i rozsypią się w proch.

— Nie, kto pisania tego dotknie się, temu wkoło serca okręcą się jadowite węże...

— Temu czoło poczernieje jak od sadzy...

— Od tego szczęście i spokój odbiegną...

— Na tego posypie się grad kamieni...

— Ten na czole swem nosić będzie krwawą kresę...

— Niegdyś... starzy ludzie, żyjący jeszcze, coś o tem pamiętają... ojciec bogatego Saula, wielki kupiec Hersz, pisania tego dotknął się.

— A co się jemu stało?

— Starzy ludzie mówią, że jak on tego pisania dotknął się, jadowite węże okręciły się koło serca jego i tak go we środku kąsały, że on od tego młodo bardzo umarł...

— A teraz pisanie to znalazł młody Meir?

— Tak, on je znalazł i czytać je będzie w bet-ha-midraszu przed ludem całym, jak tylko słońce zajdzie a zmrok wieczora ziemię okryje...

Pomiędzy ludźmi, w ten sposób rozmawiającymi, uwijał się reb Mosze, melamed; zjawiał się tu lub owdzie, znikał wkrótce i znowu ukazywał się na innej uliczce jakiejś, wśród innego podwórza, pod otwartem oknem innej chaty. Nadstawiał ucha, przysłuchiwał się; uśmiechy przelatywały po wypukłych jego ustach; ostre błyski strzelały mu z burych, okrągłych oczu.

Nie mówił przecież nic; pokornie, a czasem i natarczywie, zapytywany przez ludzi, do których się zbliżał, milczał, albo odpowiadał niewyraźnem tylko mruczeniem i posępnem wstrząsaniem głową.

Nie mógł mówić, bo o wypadkach i wieściach, które tak silnie poruszały umysł publiczny, nie rozmawiał jeszcze dnia tego z mistrzem swoim, z tym, któremu przez cześć najwyższą, przez wiarę fanatyczną, przez miłość namiętną i mistyczną, ciało i duszę swą w niewolę oddał.

Bez wyraźnego rozkazu uwielbianego i ukochanego mistrza tego nie mógł on ani sądów wydawać, ani haseł wykrzykiwać, ani nawet we własnej myśli swej o czemkolwiek roz-

strzygać. A nuż słowo albo czyn jego rozminęłyby się z wolą mistrza? Nuż popełniłby błąd jaki przeciw któremukolwiek z tysiącznych przepisów?!

Wprawdzie on je wszystkie napamięć umiał, ale w nich nietylko wyraz każdy, lecz każda litera coraz innym tłumaczeniom i zastosowaniom ulegać mogła.

I to również wiedział reb Mosze, że uczony był bardzo; cóż jednak znaczyła uczoność ta jego wobec uczoności rabina, której jasność oświecała cały świat ziemski i wnikała nawet aż do samego nieba!

Jehowa lubował się, patrząc na nią i sam siebie podziwiał za to, że mógł stworzyć dzieło tak doskonałe, jakiem był rabbi Izaak Todros.

Około południa tedy reb Mosze, z głową i uszami napełnionemi wszystkiem, co słyszał, wsunął się cicho do czarnej chaty rabina. Nie odrazu jednak mógł rozpocząć z nim rozmowę.

Todros rozmawiał ze starcem jakimś, którego opylona odzież świadczyła, że przybywał zdaleka, a który, wspierając się na kiju, stał przed nim z twarzą pokorną i razem radosną. Starzec ten prosił rabina o udzielenie szczypty ziemi, z Jerozolimy przywiezionej.

— Ja bardzo chcę — mówił drżącym od starości i wzruszenia głosem — pojechać do Jerozolimy, aby tam umrzeć i w ziemi ojców naszych pogrzebionym zostać. Ale biedny jestem i pieniędzy na drogę nie mam. Daj ty mi, rabbi, garstkę piasku tego, który tobie każdego roku stamtąd przywożą, ażeby wnuki moje mogły mi ją na piersi posypać, kiedy dusza moja rozwiedzie się z ciałem. Mnie z tą garścią ziemi lżej będzie spać w grobie; a prawdaż to jest, że do tych, którzy ją mają na sobie, nie zbliżają się robaki i ciał ich nie jedzą?

— To jest prawda — odpowiedział poważnie rabin i, wyjąwszy garstkę białawego piasku z worka, w którym drogocenny przedmiot starannie obwinięty był i obwiązany, owinął ją w szmatkę papieru i podał starcowi.

Starzec przyjął dar trzęsącą się od radości dłonią, złożył na nim długi, pobożny pocałunek i schował go na piersi, za połą łachmaniastej, cuchnącej odzieży.

— Rabbi! — rzekł — ja nie mam czem zapłacić tobie...

Todros wyciągnął ku niemu żółtą szyję swoją i przerwał szybko:

— Zdaleka widać przybywasz, skoro o zapłacie dla Izaaka

Todrosa myśleć i mówić możesz... Ja od nikogo za nie zapłaty żadnej nie biorę; a choć wiem, że bardzo dużo dobrego braciom moim czynię, o jedną tylko zapłatę zato błagam Przedwiecznego: ażeby On dolał choć jedną jeszcze kropelkę do tej mądrości, którą już posiadam, a której niesyta nigdy dusza moja pożąda.

Starzec chwiejnym krokiem, o kiju, zbliżył się do męża tego, tak już mądrego, a tak nieustannie i namiętnie łaknącego mądrości.

— Rabbi — westchnął starzec pobożnie — pozwól mi pocałować dobroczynną rękę twoją...

— Pocałuj — łagodnie odpowiedział mistrz, ale kiedy proszący schylał się przed nim, wziął w obie dłonie głowę jego, białemi jak mleko okrytą włosami, i głośny pocałunek wycisnął na sfałdowanej i zeschłej skórze jego czoła.

— Rabbi! — zawołał starzec z wybuchem szczęścia w głosie — ty dobry jesteś... ty ojciec nasz, mistrz i razem... brat!

— A ty — odrzekł Todros — błogosławiony bądź za to, że do późnej starości dochowałeś wierności zakonowi Pana i miłości dla ojczystej ziemi naszej, z której garść piasku wydała ci się droższą nad srebro i złoto...

Obaj mieli łzy w oczach, i widać było, że obaj także, widząc się dziś po raz pierwszy w życiu, przejęci byli wzajem dla siebie tkliwą, braterską i dziwnie jakoś smętną miłością.

Reb Mosze, który, czekając na skończenie rozmowy, usiadł na ziemi, przy czarnym otworze komina, miał także łzy w oczach i po chwili dopiero, gdy Todros pozostał sam jeden, przemówił zniżonym głosem:

— Nassi...

— Haa? — zapytał mistrz, pogrążony już w zwykłej swej zadumie.

— U nas w mieście wielkie dziś nowiny są.

— Jakie to nowiny?

— Meir Ezofowicz pisanie przodka swego, Senjora, znalazł i dziś je przed cały ludem czytać będzie...

Zaduma Todrosa pierzchnęła bez śladu. Wyciągnął ku mówiącemu szyję i zawołał:

— Skąd ty to wiesz?

— Nu! cały świat o tem gada. Przyjaciele Meira od samego rana po mieście chodzą i wiadomość tę pomiędzy lud puszczają...

Todros nic nie odpowiedział. Oczy błysły mu ostro, niemal dziko. Namyślał się.

— Nassi! czy ty jemu zrobić to pozwolisz?

Todros milczał jeszcze chwilę, potem odpowiedział stanowczym głosem:

— Pozwolę!

Reb Mosze aż drgnął cały.

— Rabbi! — zawołał — ty jesteś najmędrszy ze wszystkich ludzi, którzy na tym świecie żyli, żyją i będą żyć... ale czy mądrość twoja pomyślała o tem, że pisanie to odwrócić może duszę ludu od ciebie i świętego zakonu naszego?

Todros groźnie na mówiącego spojrzał.

— Ty nie znasz duszy ludu mego, kiedy tak myśleć i mówić możesz. Nie na to pradziad mój, i dziad, i ojciec, i ja sam, nad duszą tą z całych sił naszych pracowaliśmy, aby ją łatwo było od nas odwrócić...

— Niech on pisanie to przeczyta — dodał po chwili — niech obrzydliwość ta wyjdzie raz z pod ziemi, gdzie ukrywała się dotąd, ażeby można było ją ogniem gniewu spalić, a prochy jej kamieniem pogardy przycisnąć... Niechaj pisanie to czyta... on dopełni tem miary grzechów swoich, i spocznie wtedy na nim mściwa ręka moja!

Przez chwilę panowało milczenie. Mistrz myślał, wielbiciel jego patrzał mu w twarz, jak w tęczę.

— Mosze!...

— Co, nassi?

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać.

— Nassi! a jak je trzeba odebrać?

Rabin stanowczo i mrukliwie powtórzył:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać.

Człowiek skurczony u komina lękliwiej już nieco zapytał jeszcze:

— Nassi! a kto pisanie to z rąk jego wyrwać ma?

Todros wlepił w pytającego rozognione oczy i po raz trzeci wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać!

Mosze pochylił głowę.

— Rabbi — szepnął — już ja zrozumiałem wolę twoją. Bądź ty spokojny. Jak on obrzydliwość tę przed ludem całym

przeczyta, nad głową jego zaszumi taka burza, że on od niej złamie się i w proch upadnie.

Milczeli potem obaj długą chwilę. Rabin ozwał się znowu pierwszy:

— Mosze!

— Co, nassi?

— Kiedy on i gdzie obrzydliwość tę czytać będzie?

— On ją czytać będzie w bet-ha-midraszu, kiedy słońce zajdzie, a zmrok ziemię okryje...

— Mosze! idź ty zaraz do szamesa (posłańca synagogi) i powiedz mu, że rozkazanie moje jest, ażeby on szedł zaraz do dajonów i do kahalnych i ogłosił im, że, kiedy słońce zajdzie a zmrok ziemię okryje, oni wszyscy zebrać się powinni w bet-ha-kahole na wielki sąd.

Mosze powstał i zmierzył ku drzwiom, a rabin wstrząsnął kilka razy głową i, podnosząc rękę, zawołał:

— Biada zuchwałemu, silnemu i nieposłusznemu! Biada temu, którego naruszył trąd, i temu, który roznosi zarazę! biada mu!

Kiedy to mówił, po całej twarzy jego rozlało się morze ciemnej, nieubłaganej nienawiści. A przecież przed kwadransem jeszcze twarz ta pełna była tkliwej, braterskiej miłości; usta te wymawiały słowa łagodne i pocieszające; w oczach tych stały łzy rozrzewnienia!

Tak w jednem sercu tem mieścić się mogły zarazem łagodność i gniew, dobroć i mściwość, bezbrzeżna miłość i nieubłagana nienawiść; tak z jednego źródła tego płynąć mogły wzniosłe cnoty i posępne zbrodnie...

Tajemnic podobnych, zagadek podobnych spotka wiele ten, kto uważnie wpatrzy się w dzieje ludzkości. W ich to łonie wyraz: miłosierdzie dziwacznie plącze się z wyrazem: zemsta, — wyraz: bliźni — z wyrazem: wróg.

One to po wielekroć dały światu widok mężów, jedną ręką litościwie gojących rany ludzkie, a drugą rozpalających ogniste stosy i obracających koła tortur...

Skąd pochodzą tajemnice i zagadki szerokich serc i ognistych umysłów tych, tak srodze rozdwojonych i zbłąkanych?

O, czytelniku! gdyby nie istniały na ziemi żywioły pewne, wtrącające w straszliwe obłędy serca i umysły ludzkie, rabin Izaak Todros byłby może wielkim człowiekiem...

Bądźmy sprawiedliwi! Rabbi Izaak Todros byłby najpewniej wielkim człowiekiem, gdyby nigdy nie istnieli byli ci, któ-

rzy, posługując się ogniem, torturą i stokroć sroższą jeszcze od nich — pogardą, zbudowali dla plemienia jego, aż do dalekich, dalekich w przyszłości pokoleń, ciasne, ciemne, trwóg i niechęci pełne — moralne i umysłowe ghetto!

* * *

Słońce zaszło, i na ziemię spływał mrok wieczora. Wielkie synagogalne podwórze mrowiło się ludnością czarną, gęstą, szemrzącą. W łonie ludności tej wrzało coś i kipiało.

Wnętrze bet-ha-midraszu czerniało całe także masą stłoczonej ludności. Widać tam było głowy starców i płowe kędziory dzieci, długie brody, czarne jak krucze pióra, jasne jak len i ogniste jak wypolerowana miedź.

Głowy te poruszały się i falowały, szyje wyciągały się i podnosiły się brody, oczy pałały ciekawością i żądzą wrażeń. Wszystko to ukazywało się w półmroku.

Ogromna sala bet-ha-midraszu oświecona była jedną tylko lampką, zawieszoną u drzwi wchodowych, i jedną łojową świeczką, palącą się w mosiężnym lichtarzu, na stole z białego drzewa, za którym, tuż pod wysoką, nagą ścianą, stał drewniany stołek.

Było to miejsce, z którego przemawiali zazwyczaj do ludu wszyscy, którzy kiedykolwiek przemawiać do niego chcieli. W Izraelu bowiem człowiek każdy, od najdostojniejszego i najstarszego, do najniższego i najmłodszego, prawo głosu posiada, a bet-ha-midrasz jest niestartym śladem wysoce demokratycznego ducha, który przenikał niegdyś starożytne ustawy Izraela. Każdy, ktokolwiek tylko pochodzi z domu Izraelowego, posiada prawo wstępować w progi te, modlić się wśród nich, czytać, przemawiać, nauczać.

Ludzie, którzy, nie wewnątrz budowy, ale dokoła ścian jej, gromadnie stali, oglądali się często ku stojącemu naprzeciw bet-ha-kahołowi.

W miejscu tem posiedzeń administracyjnych i sądowych władz gminy, połyskiwać też zaczęły mdłe i nieliczne światła. Nad wchodowemi drzwiami zapalono tam lampkę, a na długim stole, szarzejącym niewyraźnie za dużemi szybami okien, ustawiono parę świec żółtych i kopcących.

Po chwili, na ganek bet-ha-kahołu wstępować zaczęli ludzie, całej ludności szybowskiej dobrze znani, a budzący pośród

niej szacunek głęboki. Pojedyńczo albo parami przebywali tam sędziowie gminy, siwi całkiem, lub siwiejący, poważni ojcowie rodzin licznych, zamożni kupcy lub właściciele posiadłości miejskich.

Liczba ich powinna była dosięgać dwunastu, tym razem przecież jedenastu ich tylko naliczono. Dwunastym dajonem w Szybowie był Rafał Ezofowicz. Pomiędzy ludem szeptano, iż stryj obwinionego należeć do sądu nie mógł; niektórzy mówili, że nie chciał.

Po dajonach przybywali kahalni, pośród których znajdowali się: «morejne» Kalman, z rękoma w kieszeniach sajetowego chałatu i z wiekuistym uśmiechem miodowej błogości na ustach, i Kamionker, którego twarz zżółkła i skurczyła się w dniach ostatnich, a wejrzenie posiadało trwożliwe i ostre błyski człowieka, zagrożonego niebezpieczeństwem.

Ostatni ze wszystkich ukazał się Izaak Todros. Wysunął się z niskich drzwiczek swej chatki i, szczupły, zgarbiony, przemknął w cieniu ścian, otaczających podwórze, tak szybko i cicho, że z tłumu nikt go prawie nie dostrzegł.

W tej samej chwili w głębi bet-ha-midraszu nad głuchym szmerem falującego ludu rozległ się czysty i silny głos męski:

— W imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba słuchaj, Izraelu!

Szmer ludu wzmógł się i przeszedł w gwar, nieledwie we wrzawę. Czuć w tem było niechęci trochę, a więcej jeszcze obawy, walczącej z ciekawością.

To też przez długą chwilę głos człowieka, mówiącego we wnętrzu napełnionej ludźmi budowy, mocował się z pochłaniającym go gwarem, a z pomiędzy słów jego nieliczne tylko wzbijały się nadeń i brzmiały wyraźnie.

Nagle ktoś z tłumu zawołał donośnie:

— Uciszcie się i słuchajcie! albowiem powiedziano jest: «Słuchajcie mowy wszelkiej, czynionej w imię Jehowy!»

— To jest prawda! — zaszemrano — on mówić zaczął w imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba!

I stała się cisza wielka, przerywana tylko poruszeniami tych, którzy, u drzwi i za oknami stojąc, wspinali się na palce, aby zobaczyć tego, który przemawiał.

Żaden widok niezwykły oczu ich nie uderzył. Za białym stołem, więc na tem samem miejscu, z którego często prze-

wiano do ludu, Meir Ezofowicz stał w postawie spokojnej i ze spokojną również twarzą.

Bledszy był wprawdzie, niż zwykle, i w oczach miał blask gorejącego wzruszenia, ale widać było, że wzruszenie to brało źródło nie w trwodze ni wątpliwości najlżejszej, lecz przeciwnie — w uczuciu potężnej wiary jakiejś i równie wielkiej, uszczęśliwiającej nadziei.

W ręku trzymał on kilku zżółkłych i bardzo starych arkuszy papieru, z których czytał i które podnosił niekiedy wysoko, jakby chciał ukazać oczom wszystkich, skąd brał słowa swoje.

— «Izraelu! — zawołał w chwili, gdy gwar ustąpił przed powszechną i głęboką ciszą — ty jesteś wielkim narodem! Ty pierwszy z pomiędzy narodów wszystkich zobaczyłeś w niebie Boga jedynego, a na ziemi usłyszałeś, w huku gromów i blasku błyskawic, dziesięć ogromnych słów, na których, jak na dziesięciu opokach, inne ludy, przez pokolenia wszystkie, budują wschody do słońca doskonałości! Izraelu! ślepe od urodzenia, albo pieprzem złości jest oślepione oko tego, kto, patrząc na oblicze twoje, nie zobaczy starej twej dostojności! Sucha od urodzenia, albo wichrem, z piekieł wiejącym, wysuszona jest źrenica ta, która na wielkie cierpienia, jakie ty przeniosłeś, nie wypuści z siebie łzy. Nieszczęsny jest ten, kto ustami swemi rzeknie na ciebie: nikczemny! Niech ulituje się nad nim i przebaczy mu Pan, albowiem niema w nim tej szali sprawiedliwości, na której ważą się zasługi i winy narodów, ani tego światła, mądrości, które pokazuje, jak z bólu i nędzy rodzą się grzechy! Izraelu! z ciebie narodził się Mojżesz, z sercem gorejącem miłością, jako krzak ognisty, Dawid ze złotą harfą, piękna Ester, płacząca nad biedą ludu swego; Machabeusze z potężnemi mieczami z ciebie powstali, prorocy, idący na śmierć dla prawdy serc swoich. Ty, kiedy w ziemi ojców swoich żyłeś szczęśliwy, brzydziłeś się niewolą brata, na polu swem dziesiąty snop zostawiałeś łaknącym, a głos dawałeś każdemu, co przemawiać do ludu chciał, i, przed Jehową jednym korząc się, mówiłeś: my wszyscy równi w obliczu Ojca naszego! A kiedy ty potem, nieszczęsny i zwyciężony, oblany krwią synów swoich, co ziemi przodków bronili, we łzach i prochu cały, pomiędzy obcemi narodami stanąłeś, ty wszystkie boleści i wszystkie pogardy przeniosłeś, — jedynemu Bogu swemu wiernym pozostałeś, a pamięci o przodkach swych nie zatraciłeś i wszystkie ludy, które kiedykolwiek gnębione i we łzach topione były, uczyłeś, jako bez broni obronić się można!

Rozumnym, czystym i miłosiernym stworzył cię Pan, ludu mój; ale oto drugi tysiąc lat już przemija, odkąd nie stało ci jednej rzeczy ważnej: ojczyzny!...»

Tu głos mówiącego zadrżał i umilkł na chwilę, drżenie też przebiegło po zgromadzeniu całem, a potem rozległ się szept głosów stłumionych:

— Słuchajmy! słuchajmy! Pisanie to jest mądrego i dobrego Izraelity, który opowiada chwałę ludu swego.

Słuchali, a Meir Ezofowicz czytał dalej:

— «Biada ludowi temu, któremu zabraknie ojczyzny! «I zejdą z okrętów wszyscy robiący wiosłem i wszyscy pływający po morzu — i przylgną do ziemi». Dusza narodu wszelkiego łączy się z ziemią swoją, jak dziecko z piersią matki, i od niej bierze pokarm swój, i zdrowie swoje, i lekarstwa na swoje choroby. Tak chciał i tak uczynił Pan. Ale ludzie poszli przeciw woli Jego; duszę twoją, Izraelu! oderwali od ziemi, do której ona przylgnęła. Jako żebrak, pukałeś ty do wrót cudzych domostw, i tych, którzy plwali na cię, o zmiłowanie prosić musiałeś; głowa twoja chyliła się pod rozkazaniami praw, przeciw którym krzyczała w tobie ze wstrętu natura twoja; język twój łamał się, żeby naśladować mowy cudze; podniebienie twoje gorzkniało od goryczy, które piłeś; oblicze twe czerniało od gniewu i upokorzeń, a w piersiach twych serce kurczyło się od strachu, ażeby nie zniknęło z powierzchni ziemi imię Izraela i jedynego Boga jego, Jehowy. Aż w udręczeniach i nędzach srogich opadła z ciebie stara wspaniałość twoja, i rozmnożyły się jako gwiazdy grzechy i nieprawości twe, a Jehowa, Bóg twój, patrząc na ciebie, zapytał z gniewem: «Jestże to ten sam lud mój wybrany, którego zaręczyłem z sobą w prawdzie i łasce? Azaliż on zakonu mego inaczej strzec nie umie, jeno słowami ust, które sprzeciwiają się uczynkom rąk jego? Azaliż zakon ten widzi on tylko w ofiarach, śpiewach, modłach i kadzidłach, a nie we wstępowaniu na tę wielką drabinę, którą objawiłem we śnie słudze memu, Jakóbowi, aby po wszystkie czasy wiedzieli ludzie o tem, jak wstępować trzeba do mnie, który jestem poznaniem i doskonałością!»

W tem miejscu głos czytającego pochłonięty znowu został przez głuchy gwar słuchaczy.

— Co on takiego czyta? — zapytywano siebie wzajem. — Pisanie to złego Izraelity jest, który na lud swój brzydkie słowa rzuca! A jakież są grzechy te i nieprawości, które rozmnożyły się pomiędzy nami, jak gwiazdy na niebie? A jakoż Pana świata

chwalić mamy, jeżeli śpiewy i modlitwy nasze nic w oczach Jego nie znaczą?

Bladość Meira zwiększyła się nieco, gdy uczuł, że głos jego ginąć zaczyna znowu we wzdymającej się fali głosów mrukliwych lub strwożonych.

Umilknąć nie było przecież w mocy jego. Czytał więc dalej, a w ludzie szemrzącym ciekawość przemogła wkrótce inne uczucia: uciszono się i słuchano.

Słuchano opowieści Michała Senjora: jako z rozkazu królewskiego i dla miłości tej, którą lud dla niego zrazu miał, stanął on na czele spraw jego i chciał wprowadzić go na drogę nową, u której końca widział świtające słońce nowego dnia; jako przeszkodzono mu w dziele tem, odwrócono od niego duszę narodu, okryto go sadzą potwarzy, obrócono go w proch mizerny, po którym deptały stopy nieprzyjaciół jego.

— «Szumiały w głowie mojej myśli — spowiadał się Senjor — których język mój wypowiadać nie miał już komu, bo opuścili mię wszyscy dawni przyjaciele i uczniowie moi! W piersi mej palił się płomień, przy którym grzać się nikt nie chciał, bo włożono w uszy ludu mego, że rozniecily go we mnie ręce szatana! Zmieniła się twarz moja, a oczy moje były, jak te smutne gwiazdy, które na świat patrzą z za grubej chmury! Członki moje rozpadały się od niemocy, sen śmierci ogarniać mię zaczął, a z ust moich wychodziły krzyki: Panie świata! nie opuszczaj posłańca swego! Daj mu głos taki silny, ażeby przemówić mógł do tych, którzy nie urodzili się jeszcze; bo ci, którzy żyją, słuchać mię już nie chcą!

«Otworzyłem księgę świętą i przeczytałem w niej: «Jeżeli ramię twoje opadnie w niemocy, walczyć będziesz jeszcze za prawdę twoją głosem swoim, miłością swoją i łzami swojemi!»

«Prawnuku mój! który pisania tego szukać będziesz i znajdziesz je, ogłoś ludowi mojemu, czego ja dla niego żądałem. Pierwszą rzeczą, której ja dla niego żądałem, było zapomnienie. Czy żądałem ja, żeby zapomniał on o Bogu swoim, Jehowie, i o tem, że on Izraelem jest — ludem, który swoją duszę ma i który w przyszłości swej wielkich mężów rodził i wielkie myśli z siebie wydawał?

«Nie, ja nie mogłem żądać, ażeby Izrael zapomniał o tem, bo mnie samemu wspomnienia te miód kładą na podniebienie i serce rozszerzają.

«Ale ja żądałem, żeby Izrael zapomniał krzywd i boleści,

których doznał od obcych narodów. «Krzywd nie pamiętaj! Nie mów: Odpłacę złem za złe». Mar Zutra, idąc spać, mówił codzień: «Przebaczam wszystkim tym, którzy mię zasmucili». Mar Zutra był wielkim człowiekiem.

«Kiedy zapomnisz ty, Izraelu, wtedy zbliżysz się do płomieni tych, które cudzemi nazywasz, a które do wszystkich ludzi należą. Cudze płomienie te, od których ty uciekasz w zawziętem pamiętaniu swojem, roznieca ręką swoją Sarha Olam, anioł poznania, który aniołem nad aniołami jest i książęciem świata.

«Święta jest nauka religji, ale i inne nauki któż stworzył, jeżeli nie Ten, w którym mieszka doskonałość poznania? — Smacznym owocem jest rajskie jabłko, lecz czyliż innemi płodami ziemi żywić się nam nie potrzeba?

«Przyjdzie taki czas, że świat cały pełen będzie wiedzy, jak pełna wody jest otchłań morza!» Słowa te, głoszone przez proroka, powtarzał mędrzec twój, którego wyklęli mędrcy twoi.

«Jak nazywał się mędrzec ten?

«On nazywał się Mojżesz Majmonides, on był prawdziwym prorokiem, który «oczy miał nie ztyłu głowy, lecz zprzodu», a patrzał nie na to, co było, ale na to, co będzie, i lud swój do cudzych płomieni pędził, bo wiedział, że przyjdzie czas, w którym ten, co płomieni tych w siebie nie weźmie, w proch i błoto upadnie, a imię jego pośmiewiskiem i wzgardą stanie się dla wszystkich narodów... On był drugim Mojżeszem... on był mistrzem moim, od którego przyszły do mnie wszystkie radości i boleści moje...»

Tu czytający opuścił na stół ręce, w których trzymał wciąż zżółkłe arkusze, a podnosząc twarz z wyrazem niewysłowionego zachwytu, powtórzył:

— On był mistrzem moim, od którego przyszły do mnie wszystkie boleści i radości moje...

Dziwna rzecz: mistrz przodka zmarłego przed trzydziestu laty był jeszcze mistrzem żyjącego dziś młodego potomka! Z jednego źródła spłynęły na obu boleści ich i radości. W sercach obu rozniecił on tę heroiczną i męczeńską — najwyższą ze wszystkich miłości ziemskich: — miłość idei; tylko że potomek, czytając słowa przodka, słowa, które rozpraszały i oświecały wszystkie dotychczasowe wątpliwości i niepewności jego, czuł samą tylko radość. Smutku ni bólu nie było w tej chwili ani śladu w sercu jego, wezbranem potężną, bo młodzieńczą wiarą i nadzieją.

Lecz w tłumie chrapliwy i zanoszący się głos jaki zawołał:

— Herste! herste! on cudze płomienie wychwala! On wyklętego kacerza drugim Mojżeszem nazywa!

Wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom, aby zobaczyć, kto słowa te wymówił.

Był to reb Mosze, który, u drzwi wchodowych na ławie stojąc, całą postacią swą wyniesiony nad tłum, falujący u bosych stóp jego, trząsł głową, śmiał się szydersko, a wzrokiem rozpłomienionym wpijał się w Meira.

Ale ciekawość ludu nie była jeszcze nasycona; pod łachmaniastą odzieżą wiele serc biło przyśpieszonem tętnem nieokreślonego, niepojętego im samym wzruszenia.

— On ustami prawnuka swego z grobu do nas przemawia! Słuchajmy tego, którego dusza mieszka już pomiędzy sefirotami! — ozwało się głosów kilka.

A starzec jakiś, zgarbiony i wspierający się na kiju, podniósł siwą głowę, mrużące się oczy zwrócił na Meira i jękliwym nieco głosem mówić zaczął:

— Jakże Izrael miał grzać się przy słońcu poznania, kiedy odpędzali go od niego nieprzyjaciele jego? Mieliśmy, rebe, niegdyś sławnych doktorów naszych i mędrców takich, którzy ministrami przy potężnych królach byli... ale kiedy nas potem odepchnięto od bram mądrości, myśmy odeszli i powiedzieli: Oto Izrael rozwód czyni z narodami cudzemi i stać będzie pośród nich osobno, jak starszy brat, którego młodsi bracia obrazili...

Meir patrzał na przemawiającego do niego starca z wpółłagodnym, wpółtriumfującym uśmiechem na ustach.

— Rebe! — odpowiedział — w pisaniu przodka mojego znajduje się odpowiedź na mowę twoją:

— «Znikną grzechy z powierzchni ziemi». «I grzeszników już nie będzie». A kiedy znikną grzechy, i przed wami otworzą się bramy mądrości, wchodźcie w nie prędkim krokiem i z wesołem sercem, bo nauka jest największym orężem Pana, który rządzi światem według wiecznych praw rozumu. «Na dzieła Stwórcy patrzeć nie chcą». O takich powiedziano w piśmie: «Głupcy nienawidzą poznania!»

«Drugą rzeczą, której ja dla ludu mego żądałem, jest: pamiętanie. Rawa zapytał Rabę, syna Mory: skąd wzięło się u ludzi przysłowie: «W studnię, z której pijesz, nie rzucaj błota». Raba odpowiedział: — Stąd, że w piśmie powiedziano też: «Nie od-

pychaj Egipcjanina, albowiem gościem byłeś na ziemi jego!» Eljezer, syn Azarji, mówił: «Egipcjanie przyjęli Izraelitów dla własnej swojej korzyści, a przetoż Przedwieczny dał im zato nagrodę». A jeżeli kraj ten, z którego studni pijesz wodę i z którego roli spożywasz chleb, przyjął cię, nie jako bydlę robocze, ażeby mu ziemię oralo, ale jako brata zmęczonego, ażeby na piersi jego odpoczął, jakąż ty mu nagrodę dasz, Izraelu?

«Nie jest powiedziano: «Odzierać będziecie cudzoziemcá z dobra jego», ale: «Dzielić się będziecie z cudzoziemcem dobrem waszem». Nie powiedziano też: «Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak pomiędzy szarańczą, która zboże objada z niw jego», ale: «Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak gdyby był zrodzon z potomków Izraelowych!»

«Kiedy ja urząd mój, przez samego króla mnie dany, w mocnych ręku trzymałem, znalazło się dwóch niecnych Izraelitów, którzy, do nieprzyjacielskiego obozu uciekłszy, sekrety królewskiego wojska ponieśli tam z sobą i wydali, przez co wielkie szkody i trudności zrządzili królowi w wojnie. Co ja z tymi niecnymi podwładnymi mymi uczyniłem? Ja rozkazałem po kraju całym przy dźwiękach trąb ogłaszać, że oni są zdrajcami względem Boga i zakonu Jego, i że odpycha ich od siebie na wieki wieków łono Izraelowe!

«Ja tak zrobiłem, bo gdy gniew na nich wezbrał w sercu mojem, zobaczyłem ja we śnie drugiego Mojżesza, który powiedział do mnie: «Odepchnij ich od łona Izraelowego, albowiem odepchnęli oni od siebie tych, na których ziemi gośćmi i przybylcami są!»

«Nietylko dla świętości dusz waszych żądałem ja od was, ażebyście pełnili rozkazania wdzięczności, ale dla szczęśliwości żywotów waszych na tej ziemi.

«Kiedy zasiadałem ja w wielkim synodzie izraelskim, który, z pozwoleniem króla i wszystkich wielce możnych panów tego kraju, zebrał się w pięknem i bogatem mieście Lublinie, namówiłem wszystkich mądrych i uczciwych ludzi, którzy zasiadali ze mną, abyśmy pomiędzy Izraelitów puścili taką odezwę, którąby rozumami i sercami ich zatrząść mogła tak, jak trzęsie ogrodnik drzewem, aby z niego dojrzałe owoce spadały.

«Powiedzieliśmy w odezwie naszej do wszystkich braci naszych: «Bądźcie pożytecznymi ziemi tej, na której mieszkacie, a będą was szanowali». Oto jest pierwszy krok do szczęśliwości, bo wzgarda jest gorzka, a szacunek słodki sercu ludzkiemu.

«Ale są jeszcze inne rzeczy, które ja w myśli mojej mam.

«Kto jest sługą ziemi swojej, ten naje się chleba dosyta!» A jakże dosyta nakarmi was ziemia ta, jeżeli wy z nią obchodzić się będziecie, nie jak wierne i pracowite sługi, ale jak przechodnie, o dzisiejszy tylko dzień dbający?

«Kiedy Abraham przybył nad granicę Tyru i ujrzał, jako tam ludzie usiewali ziemię i zasadzali drzewa, to zawołał: — «O! gdyby dana mi była cząstka tej ziemi!» A Pan rzekł: — «Potomstwu twemu ziemię tę ja oddam!» I oddał on ziemię synom człowieczym».

Rabbi Papa powiedział: «Nie prowadź handlu, ale uprawiaj ziemię; bo choć jedna i druga robota dobrą jest, ale pierwszą błogosławią ludzie!» «Kiedy przyjdziecie na ziemię tę, zasadźcie w niej wszelkie drzewo owoc rodzące!»

«Przyjdzie pora taka, w której znikną grzechy, a ludy świata zawołają do synów Izraela: «Bierzcie w ręce wasze pługi i idźcie uprawiać rolę, abyście żyli na niej spokojnie i chleb spożywali dosyta z synami i wnukami waszymi!» Ale fałszywi wasi mędrcy powiedzą wam: «Nie będą ręce nasze prowadziły pługów po ziemi wygnania».

«Prawnuku mój! który to czytać będziesz, powiedz ludowi twemu, aby zamknął uszy przed głosem fałszywych mędrców! Napełnij pierś twoją wielkim głosem i krzyknij: «Fałszywi mędrcy twoi gubili cię, Izraelu!»

Widać było, że czytający spełniał przykazane sobie rozkazy przodka z wiarą, zapałem i radością niewysłowioną. Czyliż sam on oddawna już w głębi duszy swej nie uczuwał wstrętu i żalu do mędrców fałszywych? Dlaczego fałszywymi mędrcami byli oni? — powiedzieć nie umiał.

Język jego skrępowany był niewiedzą, a oko, gorejące żądzą poznania, tłukło się o ściany ciemnicy, w której go zamknięto. Teraz wiedział już — wiedział — rozumiał. To też z głębi piersi głosem donośnym zawołał:

— Fałszywym mędrcom swym nie wierz, Izraelu!

Tłum zawrzał:

— O kim on mówi?

— Gdzież są w Izraelu fałszywi prorocy i mędrcy?

— On o wielkich rabinach naszych i uczonych mówi; usta jego wypuszczają z siebie obrzydliwe bluźnierstwa.

— On same tylko nagany rzuca w oczy ludu izraelskiego!

— On żąda, abyśmy uprawiali rękami naszemi ziemię wygnania!

— Rabbi Nochim, dziad rabbi Izaaka, mówił dziadom naszym: — Nie prowadźcie pługów po ziemi wygnania!

— A rabbi Nochim był mędrcem nad mędrcami; światłość mądrości jego oświecała ziemię całą!

— Hersz Ezofowicz kłócił się o to bardzo z reb Nochimem.

— Hersz Ezofowicz był wielkim grzesznikiem!

— Dlaczego nie przeczytał on nam, jak nędzarze czynić mają, żeby bogaczami stać się?

— Napisał on, żebyśmy byli sługami ziemi tej, na której mieszkamy! A kiedy Mesjasz przyjdzie i zabierze nas stąd do ziemi ojców naszych, my kraj ten porzucim! Naco nam być jego sługami?

— Gadali ludzie, że w pisaniu tem napisane stoi, jak piasek w złoto zamieniać...

— I jak djabłów odpędzać...

— I jak Mojżesza wskrzesić...

— Ludzie nieprawdę gadali! W pisaniu tem niema żadnych rzeczy mądrych i miłych Bogu!

Pytania te, sarkania i mnóstwo im podobnych krzyżowały się w tłumie wraz z szyderskiemi uśmiechami ludzi, zawiedzionych w ciekawości swej i nadziejach.

Melamed z ławy, na której stał, górując nad zgromadzeniem całem, rzucał w nie wciąż słowa obelżywe lub wybuchy grubego śmiechu, w którym czuć było jad nienawiści. Pod drugą ścianą, tuż naprzeciw melameda, widać było stojącego też na podwyższeniu Bera.

Dwaj ludzie ci, stojący naprzeciw siebie i górujący nad ruchliwym tłumem, przedstawiali w sobie dwie krańcowe sprzeczności.

Melamed trząsł głową, rozmachiwał rękoma, przysiadał, podskakiwał, śmiał się i krzyczał.

Ber stał niemy i nieruchomy; głowę odchylił nieco wtył i oparł o ścianę, a z oczu jego szklistych i w głęboką jakąś dal zapatrzonych, po twarzy, okrytej wyrazem cierpienia, zmieszanego z zachwytem, spływały, jedna za drugą, ciche, grube łzy.

W pewnem oddaleniu od tłumu, a bardzo blisko Meira, stała ściśle z sobą zwarta grupa kilkunastu młodych ludzi, którzy wszyscy wpatrywali się w twarz czytającego, jak w tęczę.

Oddychali oni szybko, uśmiechali się błogiemi jakiemiś uśmiechami, to znowu wzdychali, albo ręce wznosili wgórę i dotykali niemi to głów swych, to czół, to oczu.

Zdawać się mogło, że nie widzieli, ani nie słyszeli falującego i szemrzącego tłumu; że duchy ich, dawno tęskniące za prawdą i omackiem szukające jej pośród ciemności, rzucały się teraz całe w ognisty krąg głoszonych przed nimi idei...

W głębi tłumu, kędyś po samym środku sali, bardzo stary i trzęsący się głos mówił:

— O wszystkiem tem dużo gadali ludzie... dawno, dawno temu... w dniach młodości mojej!...

Głośnemu westchnieniu, które towarzyszyło słowom tym zgrzybiałego starca, będącego — któż wie? jednym może z dawnych przyjaciół Hersza, odpowiedziały stłumione chichoty. Byli to chłopcy podrostki, którzy tu i owdzie wspinając się na ławy, odrzwia i gzymsy, wychylali z pośród ramion starszych głowy w przekrzywionych jarmułkach, a potem zsuwali się z wysokości swych i znikali ze stłumionemi śmiechy.

W ręku Meira zżółkłe stare arkusze drżeć zaczęły. Na bladą dotąd twarz jego wybiły się ogniste rumieńce. Z pod przymrużonej nieco powieki cisnął na tłum spojrzenie, w którem były gniew i prośba, litość i niecierpliwość.

— Uciszcie się! — zawołał. — Pozwólcie, aby wielki mąż, który leży w grobie, powiedział wam przez usta moje wszystkie słowa swoje... aż do końca. On mnie wybrał za posłańca swego przed wami... ja wierny być muszę rozkazaniom jego...

Głos jego brzmiał przenikliwie, rozkazująco. Siła odwagi i przekonania malowała się w postawie jego i geście, z jakim wyciągnął rękę ku burzącemu się dokoła żywiołowi.

Mełamed krzyknął:

— Sztyl! niech czyta! niech obrzydliwość ta wychodzi z pod ziemi, gdzie ukrywała się do tego czasu, ażeby łatwiej było spalić ją ogniem gniewu i przycisnąć kamieniem pogardy.

— «Izraelu! — zaczął znowu wśród przycichającego gwaru głos młodzieńczy i silny — Izraelu! trzecia rzecz, które ja żądałem dla ciebie, jest «rozpoznanie».

«Byli u nas niegdyś mędrcy wielcy, których nazwa była Baale-Tressim, uzbrojeni. Czem oni uzbroili się? Uzbroili się oni wielkiem poznaniem Izraelowego zakonu. A przeciw czemu oni uzbroili się? Przeciw zgubie imienia Izraelowego. Oni powiedzieli:

«Nie zniknie z powierzchni ziemi dom Izraelowy, albowiem damy mu mocny opłot z wielkiego mnóstwa praw, które z zakonu Mojżeszowego wywiedziemy, a które odgrodzą go od narodów innych, tak, że stanie on pomiędzy niemi osobno i nie przepadnie wśród nich, jak przepada rzeka, kiedy wpływa do wielkiego morza».

«Tak powiedzieli sobie tanaici nasi, a sanhedryn, w którym zasiadali, i szkoły, w których nauczali, stały się podobne do wojennego pola, na którem leją kule i ostrzą oręże. Gamaljel, Eljezer, Jozue, Akiba, Jehuda świecą pomiędzy nimi, jak słońca pomiędzy gwiazdami; i następowali oni jedni po drugich przez całe pięćset lat i przez całe pięćset lat układali, tłumaczyli i pisali tę ogromną księgę, której dali imię talmud, a która przez długie wieki była dla synów Izraelowych opłotem przeciw morzu, co ich pochłonąć chciało.

«Z niej synowie Izraelowi przez długie wieki brali wszystką pociechę i wszystką światłość swoją, a w ciężkiem rozproszeniu swem nie byli rozłączeni, bo myśli ich i westchnienia dokoła niej zbiegały się, jak zbiegają się dokoła matki swej myśli i westchnienia rozproszonych po świecie jej dzieci.

«Księga, którą przez całe lat pięćset układali i pisali ludzie, co kochali bardzo i wiele uczyli się, i która narodowi całemu przez długie wieki dawała pociechę, nadzieję i jedność, nie może być księgą głupią i złą. Temu, kto o niej tak mówić będzie, powiedzcie: «Oczyść naprzód serce swe od złości, a potem otwórz ją i przeczytaj!»

«Lecz czyliż wszystko, co jest dobre, doskonałem być musi? Po niebie samem chodzą ciemne chmury, a w sercu, by najczystszem, wszechwidzące oko Pana odkrywa skazy. Azaliż Jehowa sam pisał księgę praw naszych? Azaliż pisali ją aniołowie? Ludzie ją pisali!

«Jestże jeden człowiek na ziemi całej i wiekach wszystkich, któryby nie wiedział, co to błąd? Jestże jedno dzieło ludzkie, któreby dla wszystkich czasów i pokoleń uczynione było? Zwalił się tron faraonowy, położyła się w gruzy Niniwa, padł Rzym, który świata połową władał, grecka mądrość ustąpiła przed inną mądrością.

«Pustynie leżą tam, gdzie ludne miasta kwitły, a miasta wznoszą się na dawnych pustyniach. Kruszą się dzieła ludzkie, by największe, a na ich miejscu wyrastają inne. Tak idzie świat.

«Izraelu! w pokarmie, który żywił duszę twoją przez długie

wieki, są ziarna i jest plewa; w bogactwie twojem są brylanty i jest piasek. Księgą wiary twej jest jako to jabłko granatu; człowiek głupi jadł z łupiną, od której wielki niesmak miał na podniebieniu i srogie we wnętrznościach bóle. Ale kiedy rabbi Meir głupiego tego człowieka zobaczył, zerwał z drzewa jabłko granatu, twardą i gorzką łupinę odrzucił, a soczyste i słodkie jądro zjadł.

«Ja pragnąłem uczyć was tak, jak uczył rabbi Meir człowieka, który jadł z łupiną jabłko granatu. Ja chciałem, żebyście osiągnęli dar rozpoznawania i dla księgi wiary naszej zrobili z rozumu waszego sito takie, któreby wyrzuciło plewy i piasek, a zostawiło wam ziarna i brylanty.

Odtrąciłeś mnie od siebie za to żądanie, ludu mój! znienawidziło mnie serce twoje, bo strach i nienawiść wielka zamieszkały w tobie przeciw rzeczom nowym. A przecież powiedziano jest:

«Nie patrz na naczynie, ale na to, co ono w sobie zawiera. Bywają dzbany nowe, napełnione winem mocnem, i dzbany stare, w których niema ani kropli».

— Meir! — szepnął Ber — rzuć ty okiem na lud!

I ciszej jeszcze dodał:

— Idź stąd! idź jak najprędzej!

Meir powiódł wzrokiem po falującej i wrzącej czarnej masie ludu. Uśmiech napół smutny, a napół gniewny przewinął mu się po ustach.

— Nie tego ja spodziewałem się! Spodziewałem się zupełnie czego innego! — rzekł zcicha i pochylił głowę. Wnet jednak podniósł ją i zawołał:

— Ja jestem posłańcem przodka mojego! On wybrał mnie na czytelnika ostatnich myśli swoich: ja woli jego posłusznym muszę być!...

Odetchnął głęboko i dodał głośniej jeszcze:

— On przeniknął pytania te, które szumieć miały w głowie prawnuka jego, i odpowiedź na nie dał! On przeniknął skrytości dusz, które łakną prawdy, i przysłał im przez ręce moje pociechę i naukę! Ja kocham go tak, jak gdyby wyhodował on mnie na kolanach swoich! Ja pokłon składam wielkiej duszy jego, która zarobiła sobie na nieśmiertelność i mieszka teraz w światłości Jehowy! Ja tak myślę, jak on myślał! tego żądam, czego on żądał! Ja taki sam, jak on, ja syn duszy jego!

Głos jego dźwięczny i donośny drżał westchnieniami i dziwniejszemi nad nie zachwyconemi uśmiechami jakiemiś; w oczach

płomiennych i głębokich stanęły wielkie łzy, a usta mu drżały, i czoło bladło coraz bardziej, i ręce mimowoli jakby wznosiły się w górę.

— W pisaniu przodka mego — wołał — napisano, że my stoim na miejscu, kiedy wszystkie narody naprzód idą ku poznaniu i szczęśliwości; że głowy nasze napełnione są takiem mnóstwem małych rzeczy, iż wielkie pomieścić się już w nich nie mogą; że nauka ta, która nazywa się kabałą, a którą wy za świętą macie, jest nauką przeklętą, bo topią się w niej rozumy synów izraelskich, i odprowadza ich ona od prawdziwego poznania... Napisano tam...

Tu głos mówiącego zmieszał się bardzo z krzykiem, śmiechami i jękami ludzi, że pojedyńcze tylko wyrazy dochodzić mogły uszu tych, którzy słuchać jeszcze chcieli.

Nie przestawał jednak mówić: owszem, mówił prędko, coraz prędzej, z piersią dyszącą, z oczyma, które to przymrużały się, to otwierały szeroko.

Zdawałoby się, że, widząc bezskuteczność wysileń swych, pragnął przynajmniej spełniać jak najdłużej to, co za posłannictwo swe uważał; że, zawiedziony w oczekiwaniach swych, zachował jeszcze jedną jakąś iskrę nadziei...

— Biada! biada! — wołali ludzie różnemi głosy — odszczepieństwo i zgorszenie nawiedziły dom Izraelowy! Usta dzieci plują bluźnierstwami na rzeczy święte!

— Słuchajcie! słuchajcie! — wołał Meir — daleko jeszcze do końca słów przodka mego...

— Zamknijmy mu usta i odpędźmy od miejsce, z którego przemawiają do ludu mędrcy Izraelowi!

— Słuchajcie! W pisaniu tem napisano, ażeby Izrael przestał spodziewać się Mesjasza z ciała i ze krwi...

— Biada! biada! odbierać on chce sercu Izraelowemu pociechę i nadzieję jego!

— Albowiem nie przyjdzie on na świat pod postacią człowieczą, ale spłynie, jako Czas, niosący ludom wszystkim poznanie, nasycenie, miłość i spokój...

— Meir! Meir! co ty robisz? ty gubisz siebie! patrz na lud! uciekaj! — rozległy się wpobliżu mówiącego stłumione szepty.

Ber stał tuż przy jego boku; Eljezer, Arjel, Chaim i kilku innych otoczyli go ścisłem kołem; ale on nie widział ich, ani słyszał. Krople potu występowały mu na czoło blade jak chusta,

lecz wysoko wzniesione, a w oczach błyskały mu naprzemian łzy rozpaczy i płomienie gniewu.

Nagle, w bliskości drzwi wchodowych, rozległ się głuchy stuk. Mełamed zeskoczył z ławy, na której stał, i bosemi stopami swemi po kilkakroć o podłogę uderzył.

Potem w kilku podskokach przesadził salę wśród tłumu, który rozstąpił się przed nim, i gwałtownym gestem ramienia, okrytego płóciennym rękawem, zrzucił ze stołu mosiężny lichtarz z żółtą świecą, której płomień zadeptali wnet inni. Jednocześnie ktoś wspiął się na ławę i zdmuchnął lampkę, palącą się u drzwi.

Gruby zmrok, tu i owdzie tylko rozwidniony blademi smugami księżyca, wnikającemi przez okna, ogarnął wielką salę, w której zagotowało się i wrzało teraz tak, jakgdyby napełniły ją rozszalałe jakieś żywioły.

Najbystrzejsze ucho nie rozróżniłoby już teraz wyrazów, które sypały się tam jak grad i mieszały się z sobą w chaos nierozwikłany.

Z brzmień tylko pojedyńczych wykrzyków, wzbijających się nad ten szum ogromny, rozpoznać można było: groźby, wyrzekania, przekleństwa i prośby.

Nakoniec z drzwi bet-ha-midraszu, naoścież roztwartych, wypłynęła na synagogalny dziedziniec gęsta, czarna fala ludzi i spotkała się tu z falą drugą, która stała dotąd zewnątrz budowy i spokojniejsza nieco była, choć także wzruszona i szemrząca.

Tu rozlewała się już na przestrzeni szerokiej powódź jasnych księżycowych świateł, a wśród niej wznosił się bet-hakahoł z zamkniętemi szczelnie drzwiami i okiennicami.

Na wschodach ganku tylko siedział tam «szames» z łokciami na kolanach i brodą w dłoni, nieruchomy jak posąg, oczekujący rozkazów, mających wyjść z wnętrza budowy tej, która, wśród wrzawy wzburzonego ludu, stała niema i zamknięta, jak grób.

Tłum rozproszył się na grup wiele, z których jedna przekroczyła wrota synagogalnego dziedzińca i z gwarem niezmiernym, niby olbrzymi i szamocący się ptak czarny, sunęła po białym od księżyca placu.

Liczną była ta grupa. Składali ją ludzie w nędznych ubiorach, z długiemi brodami i oczyma rozpalonemi złością; dzieci różnego wieku, nachylające się wciąż dla podniesienia kamienia lub garści piasku i błota; a po samym środku jej cisnęła się ku sobie i człowieka wśród niej znajdującego się osła-

niała gromadka dorosłych lub dorastających zaledwie młodzieńców.

Rozpychani i potrącani, walczyli oni chwilę jeszcze całą siłą piersi i ramion swoich; aż obezsileni, czy przelękli, pierzchnęli i zmieszali się z tłumem.

Wtedy na plecy człowieka, którego osłaniali dotąd, posypał się grad kamieni; dziesiątki rąk chwytały odzież jego i darły ją w szmaty; na odkrytą głowę jego padały garście żwiru i zlepki błota, zaczerpnięte z kałuży.

W uszach jego brzmiały chóralne, namiętne okrzyki, przed oczyma migotały twarze rozognione, podnoszące się i opadające ramiona; a za tem wszystkiem, jak za mgłą ognistą, milczący i zamknięty ukazywał się dom jego rodzinny.

Ku domowi też temu, niby ku portowi zbawienia, biegł on tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to ręce, szarpiące go za odzież i plączące się mu przed stopami ruchliwe gromady dzieci.

Z zaciśniętych ust jego nie wydzierał się jęk najlżejszy, ani wychodziło słowo żadne prośby lub skargi; możnaby rzec, iż nie czuł on wcale bólu spadających nań razów, ani trwogi przed temi gwiżdżącemi kamieniami, z który niejeden lada chwila ugodzić mógł weń śmiertelnie.

Piersią i ramionami odpychał on wprawdzie z rozpaczną siłą tłoczący go tłum, lecz zdawało się, że nie siebie bronił, ale skarbu, który unosił z sobą, bo co chwila dotykał dłonią piersi, jakby chciał przekonać się, że go posiada jeszcze przy sobie.

Nagle zastąpił mu drogę człowiek w długiej, zgrzebnej koszuli i, wywijając grubym kijem, który trzymał w ręku, z iskrzącemi oczyma zawołał do ludu:

— Głupcy! co wy robicie! Dlaczego wy jemu obrzydliwego pisania tego nie odbierzecie? Rabbi Izaak nakazał, abyście pisanie to wydarli mu i w ręce jego oddali! On je na piersi swej schował!

W mgnieniu oka młody człowiek, którego dotąd otaczano zewsząd tylko i z boków, ujrzał się zaskoczonym zprzodu. Kilkanaście rąk ciemnych, grubych sięgnęło ku jego piersi, rozgięło ramiona jego, które on zwarł był z całej siły, i targać go poczęło za przednią część odzieży.

Wtedy podniósł on ku niebu, wyiskrzonemu księżycowem światłem, twarz śmiertelnie bladą i z głębi piersi krzyknął:

— Jehowa!

W tej chwili uczuł u nóg swych prześlizgujące się, szczu-

płe, zwinne ciało jakieś, a gorące jakieś usta przylgnęły do jednej z opuszczonych rąk jego długim pocałunkiem. Dziwnie odbić się musiał w sercu jego pocałunek ten, wmieszany w zadawane mu ciosy, — ten objaw miłości wśród wrzących dokoła niego przekleństw i gróźb.

Ostatkiem sił odepchnął od siebie napastników i pochylił się ku ziemi, a zanim oni zdołali przyskoczyć znowu ku niemu i podnieść nań ręce, wyprostował się i w ramionach swych podniósł dziecię, którem zasłonił się, jak puklerzem, a ono przylgnęło piersią do piersi jego, oba ramiona zarzuciło mu na szyję i ku ludziom, groźnie podnoszącym ręce, zwróciło twarz, zalaną rzęsistemi łzami.

I z za łez czarne, ogromne oczy dziecka patrzyły ze szczególnym, przejmującym wyrazem gniewu, połączonego z błaganiem i strachem.

— To moje dziecko! to mój Lejbele! nie czyńcie mu nic złego! — ozwał się z pośród tłumu jękliwy i trwogi pełen głos krawca Szmula.

— Rebe! — zawołało kilka grubych głosów do melameda, uwijającego się wciąż przed tłumem z kijem w ręku. — Rebe! on zasłonił się dzieckiem! Dziecko to bardzo go kocha!

— Odbierzcie mu dziecko to! wydrzyjcie mu przeklęte pisanie! — krzyczał rebe.

Ale nie usłuchał go nikt. Szarpano jeszcze Meira ztyłu i z boków; kamień jeszcze jeden i drugi ugodził go w ramię i nad głową jego przeleciał; ale przed sobą ujrzał on już przejście wolne i kilku poskokami znalazł się na ganku rodzinnego domu, którego drzwi otworzył przed nim ktoś niewidzialny i wnet je za nim zamknął.

Meir postawił dziecię na ziemi w ciemnym korytarzu, a sam wbiegł do bawialnej izby, w której przy świetle lampy, palącej się przed kanapą, zastał zgromadzoną całą swą rodzinę.

Wbiegł i stanął nieruchomo u ściany. Oddychał prędko, wodził dokoła mętnym wzrokiem i milczał. Milczeli też przez chwilę wszyscy obecni.

Nigdy, odkąd ród Ezofowiczów istniał na świecie, żaden członek rodu tego nie wyglądał tak, jak wyglądał teraz blady i zdyszany młodzieniec ten, w opadającej z niego łachmanami odzieży, z głową osypaną prochem ulicy.

Czoło jego, zroszone potem śmiertelnego zmęczenia, przerzynała ukośnie czerwona kresa — ślad chropowatego kamienia

może, który się po niem prześliznął, albo, kto wie? ostrego narzędzia jakiegoś, które podniosła nań ręka czyjaś w ciemnej sali bet-ha-midraszu!

Miał on pozór ściganego przestępcy, miałby też pozór żebrzącego nędzarza, gdyby nie duma jakaś, która patrzała z uznojonego i zranionego czoła jego, i nie gorący blask w oczach, w których obok niewysłowionego bólu malował się upór niepokonanej woli.

Saul zakrył twarz obu dłońmi.

Kilka kobiet zaszlochało głośno; Rafał, Abram i inni dojrzali członkowie rodziny podnieśli się z miejsc swych, rozpłomienieni, groźni, i jednym głosem zawołali:

— Nieszczęsny!

Chcieli otoczyć go i mówić coś do niego, ale nie mieli czasu; rozwarły się bowiem z trzaskiem wielkim okiennice z zewnątrz zamknięte, zadzwoniły i w drobne odłamy posypały się szyby okien, kilkanaście kamieni wpadło do izby, uderzając ze stukiem w ściany i sprzęty, a za oknami zakipiała wrzawa namiętna, groźna, wśród której najwyraźniejszy i najnamiętniejszy brzmiał gruby głos mełameda.

Dopominano się o Meira i o pisanie Senjora; łajano ród cały, domostwo to zamieszkujący; odgrażano się pomstą Boską i ludzką; krzyczano na znieważenie zakonu i bluźnienie rzeczom dla Izraela świętym.

Ezofowiczowie stali, jak przykuci do miejsc swych, strachem i wstydem zdjęci.

Saul tylko odkrył twarz, wyprostował się dumnie i krokiem szybkim zmierzać zaczął ku drzwiom.

— Tate! gdzie ty idziesz? — z przestrachem krzyknęli za nim mężczyźni i kobiety.

Wyciągnął ku oknom wskazujący palec i drżącemi ustami rzekł:

— Stanę na ganku domu mego i powiem głupiej zgrai tej, żeby milczała i szła precz!

Zastąpiono mu drogę. Kobiety oplotły ramionami kolana jego.

— Oni cię zabiją! — jęczano.

Nagle, w jednej chwili wrzawa umilkła, i za oknami rozległ się tylko szept mnóstwem ust powtarzany.

— Szames! szames! szames!

W istocie z bramy synagogalnego dziedzińca wyszedł i przez plac ku domowi Ezofowiczów szybko posuwał się człowiek,

który przed kilku minutami stróżował nieruchomo, u drzwi niemego, jak grób, bet-ha-kahołu.

Grób otworzył się snadź i wypowiedział słowa zapadłego wyroku, a sługa synagogalny śpieszył, aby ogłosić go obwinionemu i jego rodzinie.

Ale i lud także brzmienia wyroku ciekawy był namiętnie. Dlatego uciszył się i stał, jak mur czarny, przyparty do okien, w których żadnej już prawie szyby nie było.

I ci wszyscy także, którzy pozostali byli na synagogalnym dziedzińcu, albo, rozsypani wśród placu, bezczynnie przypatrywali się burzliwej scenie, złączyli się w jedną ogromną masę i zalegli znaczną przestrzeń przed domem Ezofowiczów. Drzwi domu tego otworzono znowu i wnet zamknięto. Szames wszedł do bawialnej izby.

Wszedł, niespokojne trochę i nieufne spojrzenie rzucił dokoła, a potem pokłonił się Saulowi.

— Gut morgen! — rzekł zcicha, jakby czuł sam, iż zwykłe pozdrowienie to mieściło w sobie tym razem srogą ironję.

Nikt nie odpowiedział.

— Rebe Saulu! — zaczął znowu pewniejszym już nieco głosem — nie miej za złe słudze swemu, że przynosi w dom twój nieszczęście i wstyd. Spełniam rozkazy wielkiego rabina naszego i wszystkich dajonów i kahalnych naszych, którzy dziś na wnuka twego Meira sąd składali, a wyrok zapadły ogłosić mi kazali jemu i wam wszystkim.

Słowom tym odpowiedziało znowu głębokie milczenie. Po chwili dopiero Saul, który stał wsparty o ramię syna swego Rafała, rzekł przyciszonym głosem:

— Czytaj!

Szames rozwinął papier, który trzymał w ręku, i donośnym głosem czytać, a raczej wyśpiewywać zaczął:

«Izaak Todros, syn Barucha, rabin szybowski, wraz z dajonami i kahalnymi, trzymającymi sąd i rządy nad gminą izraelską miasta Szybowa, dowiedziawszy się i mając to stwierdzone przez mnogich świadków i przez dowody, niepodlegające żadnemu wątpieniu, że silny, zuchwały i nieposłuszny Meir Ezofowicz, syn Benjamina, dopuścił się srogich przestępstw i, nigdy niesłychanych w Izraelu, zbrodni następujących:

1) iż pomieniony Meir, syn Benjamina, zaniedbywał strzec sabatu, według praw i ustanowień izraelskiego zakonu, i zamiast oddawać się w dniu tym, jak prawemu Izraelicie przystoi, pobożnym czytaniom i rozpamiętywaniu niezliczonych przepisów

talmudu i niezgłębionych tajemnic kabały, ośmielał się strzec i bronić mieszkania odszczepieńca karaima, na dzieci izraelskie w gniewie ręce podnosić, a w miejscach ustronnych przeklęte księgi czytać i świeckie pieśni śpiewać;

2) iż Meir Ezofowicz, syn Benjamina, księgę przeklętą: *More Nebuchim* Mojżesza Majmonidesa, fałszywego mędrca, wyklętego przez mnogich a świętych rabinów i uczonych naszych, nietylko sam czytał, ale do czytania i rozważania zawartych w niej kacerstw i obrzydliwości towarzyszów i przyjaciół swych zachęcał;

3) iż Meir Ezofowicz, syn Benjamina, przed towarzyszami swymi i przyjaciółmi buntownicze mowy przeciw zakonowi i mędrcom izraelskim z ust swych wypuszczał, przez co dusze młodzieńców izraelskich psuł i trądem niewiary zarażał;

4) iż, pod pozorem litości nad nędzą i utrapieniem ludu, dawał mu rady zbrodnicze i głupie, mówiąc, żeby baczyli na to, co kahalni czynią z odbieranemi od nich pieniędzmi, — żeby rozróżnili w zakonie rzeczy Boskie od rzeczy ludzkich, — żeby rozsypali się po szerokich polach i prowadzili po nich pługi tak, jak to czynią ciemni i niscy chłopi chrześcijańscy;

5) że, mając już na twarzy swej i brodzie wyrosłe oddawna włosy, nie chciał pojąć sobie żony, sprzeciwiał się w tem woli rozkazania starszych, a przyrzeczoną sobie dziewczynę izraelską, Merę, córkę Elego, zuchwale odrzucił, przez co objawił wszeteczne swe postanowienie unikania prawych związków małżeńskich;

6) iż nieczystą przyjaźń trzymał z Gołdą, karaimką, wnuczką odszczepieńca, któremu rabin Izaak i kahalni z wielkiego tylko miłosierdzia w domu ojców jego żyć dozwalają, albowiem karaimi, jako dobrowolnie odpadli od łona Izraelowego, a świętości talmudu i kabały uznać niechcący, niegodni są, aby ich ziemia na powierzchni swej nosiła — Meir Ezofowicz, syn Benjamina, obcował często z nimi, z Gołdą karaimką w ustronnych miejscach schodził się, kwiaty z jej ręki przyjmować śmiał i głos swój dawał za towarzysza jej głosowi, razem z nią świeckie pieśni w sabat śpiewając;

7) iż nie oddawał czci przynależnej uczonym izraelskim, otwierał usta swe do zuchwałych sprzeczek z reb Moszem, ulubieńcem i uczniem rabina Izaaka, i na tegoż reb Mosza zbrodniczą rękę podnieść śmiał tak, iż, ręką tą popchnięty, reb Mosze przewrócił się na podłogę chederu, a na niego przewrócił się stół, i powstały z tego wielkie szamotania się i stukania, dla

reb Mosza strach i ból, a dla całego Izraela żałość i zgorszenie;

8) iż w niepojętej złości swej oskarżył on przed cudzym człowiekiem reb Jankla Kamionkera o zły względem tegoż cudzego człowieka zamiar, przez co zerwał jedność i przymierze izraelskiego ludu i głowę brata swego srogiemu niebezpieczeństwu podał, które, ażeby odepchnąć od siebie, musi teraz reb Jankiel wiele nieprzyjemności doświadczyć, trudów dokonać i pieniędzy utracić;

9) iż, nie znając granic dla zuchwałości i bezbożności swej, wydobył pismo przodka swego, Michała Senjora, z ukrycia — w którem oby było zgniło i rozsypało się w proch! — a nabrawszy do serca swego zbrodniczej śmiałości, przyszedł do bet-ha-midraszu, aby pismo to w obliczu ludu całego czytać, a przez to trząść srodze wiarą jego w stare prawa i obyczaje izraelskie; a że, jak nam o tem mówią świadkowie, których przyzwaliśmy, pismo to napełnione jest najzłośliwszemi radami i najsroższemi bluźnierstwami, jakie ucho Izraela słyszało kiedykolwiek — czytanie to przez Meira, syna Ezofowicza, dokonane, uważamy za największą zbrodnię z pomiędzy wszystkich wielkich zbrodni, których się on dopuścił, i na podstawie praw, w świętych księgach naszych zawartych, i władzy, która nam, wedle tychże praw, nad wszelkim synem domu Izraelowego udzielona jest, stanowimy:

«Jako jutro w wieczór rzuconą będzie na silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezofowicza, syna Benjamina, ustami rabina Izaaka, syna Barucha, wielka i przeraźliwa klątwa, dla której wysłuchania zwołany będzie przez szamesów cały lud z miasta Szybowa i okolic, a po której, gdy na głowę jego spadnie, odtrącony on zostanie od łona Izraelowego i z domu Izraela sromotnie wypchnięty. Wy zaś wszyscy, którzy trzymacie się waszego Boga i zakonu Jego, żyjcie w pokoju i szczęśliwości, wraz ze wszystkimi braćmi Izraelitami!»

Skończył czytać szames; papier, z którego czytał, w zanadrze włożył, schylił się niskim ukłonem i szybko izbę opuścił.

Nastąpiło parę minut grobowego milczenia, nieprzerwanego najlżejszym choćby szmerem ludu, który, za oknami czarnym murem stojąc, grobowo też milczał.

Meir stał dotąd nieruchomy, ze wzrokiem wlepionym w miejsce, na którem przed chwilą szames odczytywał wyrok

na niego, nagle podniósł w górę obie ręce, objął niemi swą głowę i krzyknął:

— Odtrącony od łona Izraelowego; z domu Izraela sromotnie wypchnięty!

Głos jego skonał w łkaniu ogromnem, które pierś mu rozdarło. Gwałtownym ruchem odwrócił się od obecnych, twarz ukrył w dłoniach, czoło oparł o ścianę i płakał głośnym, namiętnym, rozdzierającym płaczem.

Dość było usłyszeć jedno tylko z łkań jego, aby poznać, że ugodzony został w samo serce, że rozwód ten, który czynić z nim miał lud jego, targał i rwał w nim najmocniejsze, najgłębsze struny uczucia.

Wtedy zbliżyli się doń stryjowie jego, żony ich i córki, i różnemi głosy — gniewu i litości, groźby i prośby — wołać nań zaczęli, aby upamiętał się, upokorzył, pismo Senjora na publiczne spalenie oddał; a może przebłagany zostanie głos starszyzny, i wyrok, wydany przez nią, odwołany. Cisnęli się ku niemu mężczyźni, kobiety obejmowały go ramionami, a do łajań i wyrzekań mieszały się i pocałunki.

On nie przestawał płakać, nie odwracał twarzy i nie odrywał czoła od ściany, a na rozlegające się dokoła krzyki i prośby odpowiadał tylko przeczącem wstrząsaniem głową i krótkim wyrazem:

— Nie! nie! nie!

Wyraz ten, pośpiesznie wyrzucany z ust dławionych łkaniem, wymowniejszy był nad wszelkie długie mowy bo przechodził wszelkie możliwe intonacje ludzkiego głosu: rozpaczy, żałości, gniewu, błagania i miłości.

— Tate! — zawołał Rafał, zwracając się do Saula, który, odosobniony i nieruchomy, siedział na stołku, — tate! dlaczego ty nie powiesz jemu, dlaczego ty nie rozkażesz jemu, aby upokorzył się i upamiętał, nieszczęsne to pisanie w ręce nasze oddał, a my je rabinowi zaniesiemy i o zlitowanie nad nim prosić będziemy!...

Kiedy Rafał to mówił, Meir odkrył twarz i zwrócił ją ku dziadowi.

Saul podniósł też głowę, wyciągnął ręce, jakby szukał przed sobą punktu oparcia się jakiegoś, i powstał ze stołka. Szklisty dotąd wzrok jego stał się dziwnie ruchliwy i niespokojny, aż spotkał się z utkwionem w twarz jego spojrzeniem wnuka. Otworzył usta, ale nic nie powiedział.

— Mów, tate, mów! rozkazuj mu! — wołało głosów kilka.

Starzec zachwiał się na nogach. Okropna walka jakaś, srogie wahanie się ducha, pociąganego w dwa przeciwne kierunki, odbiły się na drgającej jego twarzy. Kilka razy próbował przemówić: nie mógł... aż nakoniec ciężkim szeptem zawołał:

— On jeszcze nie wyklęty... mnie jeszcze wolno... W imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba błogosławię cię, synu syna mego!...

I drżący cały, z brwiami zjeżonemi, a oczyma pełnemi łez, osunął się na stołek.

Obecni zamienili się spojrzeniami, pełnemi zdumienia i uszanowania; Meir poskoczył, upadł na ziemię przed dziadem swym, stopy i kolana jego całował i śpiesznie, gorąco, cicho szeptał mu coś o miłości swej dla niego, o pisaniu Senjora, o tem, że pójdzie sobie stąd i że wróci kiedyś... Podniósł się potem z klęczek i wybiegł z izby.

W tej chwili przed oknami domostwa nie było już nikogo. Czarna masa ludu odpłynęła na środek placu i stała tam nieruchoma prawie, i zcicha tylko, zcicha szemrząca.

Dziwna rzecz! Zaledwie szames odczytał słowa srogiego wyroku, gdy fala gniewu niemal wściekłego, wzdymająca dotąd pierś tłumu, opadła nagle.

Coś się w nim stało. Natura jego, wrażliwa i gotowa zawsze, nakształt harfy wielostrunnej, odpowiedzieć dźwiękiem na dotknięcie każde, drgnęła pod spadłem na nią nowem jakiemś uczuciem.

Byłoż to uszanowanie dla nieszczęścia i wstydu, które nawiedziły rodzinę starożytną, możną a dobroczynną! Byłaż to spokojność, następująca po nasyceniu się pomstą? groza, czy litość, czy wszystko to razem?

Tłum, który przed chwilą kipiał cały, przeklinał, groził, gotów był burzyć wszystko, co gniewowi jego na drodze stawało, umilkł nagle, usunął się i posmutniał.

Tu i owdzie tylko dawały się słyszeć śmiechy mściwej radości, albo słowa obelgi i potępienia, lecz w grupach, rozsianych po placu i schodzących w boczne uliczki, płynęły ciche, oderwane szepty:

— Jednak dobry on był i miłosierny...

— On dumny nie był...

— On głupie dziecko moje karmił i całował...

— On starego ojca mego z pod woza, który na niego przewrócił się, rękoma swemi wydobył...

— On nam, jak prosty robotnik, drzewo piłować pomagał...

— Twarz jego świeciła pięknością i rozumem...

— I cieszyły się wszystkie oczy, które na młodość jego patrzyły...

— Herem! herem! herem! — powtórzyło ust mnóstwo. Przytem głowy kołysały się w podziwie, twarze bladły od grozy, a z piersi wychodziły westchnienia...

* * *

Na pustych gruntach, oddzielających miasteczko od Karaimskiego wzgórza, po srebrnem tle księżycowego światła sunęły szybkie cienie trzech ludzkich postaci.

Pierwszy z nich należał do wysokiego, kształtnego młodzieńca; drugi — do dziecka, trzymającego ręce w rękawach odzieży.

Dwa cienie te znajdowały się tak blisko siebie, że łączyły się z sobą niekiedy; ale trzeci, rysujący kształty człowieka niskiego i krępego, sunął się zdala od dwóch pierwszych, przystawał, garbił się, a chwilami znikał całkiem za płotem jakimś, krzakiem lub drzewem.

Przystawanie to i ukrywanie się objawiało ostrożność człowieka, który spostrzeżony zostać nie chciał. Podpatrywanie to było jakieś, podsłuchiwanie, czyhanie na coś, lub na kogoś....

U otwartego okna karaimskiej chaty rozległo się ciche wołanie:

— Gołda! Gołda!

Z okna wychyliła się twarz, ubielona księżycem i opłynięta strugą czarnych włosów. W cichem powietrzu zabrzmiał szept namiętny.

— Meir! Meir! ja wielką wrzawę i okropne krzyki słyszałam! Serce moje drżało od strachu. Ale to nic! ty przyszedłeś!

Dwoje ramion, okrytych rękawami grubej koszuli, wyciągało się ku nadchodzącemu gestem trwogi i radości; korale dzwoniły na piersi, w której łkanie mieszało się ze śmiechem.

Nagle z ust dziewczyny wyrwał się krzyk przeciągły.

Meir stanął teraz tuż przed nią.

Zobaczyła odzież jego podartą i krwawą kresę, przerzynającą mu czoło.

— Och! — jękła z głębi piersi i ręce obie podniosła ku swemu czołu, a potem opuściła je i, schylona ku człowiekowi, który usiadł pod oknem na ławie, z powstrzymywanym oddechem i urywanym, śpiesznym szeptem jakimś, wodzić poczęła dłońmi po opylonych włosach jego i zranionem czole. W namiętnej pieszczocie jej było także coś z uczucia macierzyńskiego, pragnącego uspokajać, goić i pocieszać.

On siedział chwilę w postawie człowieka, który spoczywa po śmiertelnem znużeniu. Oparł głowę o ramę okna, wpółotwartemi usty z trudnością wciągał w pierś powietrze chłodnej nocy, a światło księżyca odbijało się w suchych źrenicach jego, które z wyrazem posępnych pytań jakichś tkwiły w osrebrzonych obłokach.

Po chwili wyprostował się i śpiesznie, półgłosem mówić zaczął:

— Gołda! ludzie szukać mnie może będą, a jak znajdą, to skarb mój ode mnie odbiorą. Ja skarb ten mój tobie, Gołdo, dam do schowania, a sam na całą noc pójdę w pola i lasy, aby tam głośno do Jehowy krzyczeć o zlitowanie.

Dziewczyna, która stała teraz wyprostowana już, poważna i uważna, odpowiedziała:

— Daj!

W ręku Meira zaszeleściły arkusze papieru. Podawał je dziewczynie, mówiąc:

— Schowaj ty na pierś swoją skarb mój i strzeż go, jak źrenicy swojej. To przedśmiertne pisanie przodka mego, które zdjęło do reszty ślepotę z oczu moich. To paszport mój, z którym ja pójdę w świat, który przede mną drzwi i serca mądrych ludzi otworzy. Tu cicho i bezpiecznie... nikt nie widzi i nie domyśli się... jak ja w świat iść będę, wtedy pisanie to od ciebie wezmę...

Gołda wzięła podany jej przedmiot.

— Bądź ty spokojny o skarb swój! — odrzekła. — Prędzej ja rozstanę się z życiem, zanim go w ręce inne niż w twoje, oddam. U mnie on bezpieczny... tu cicho i nikt nie domyśli się...

Meir wstał z ławy.

— Śpij spokojnie! — rzekł. — Ja pójdę... we mnie szumi taka burza płaczu... że muszę iść... iść... iść... Pójdę... pomiędzy drzewami leśnemi twarzą na ziemię padnę i z wiatrami, które tam

szumią, posyłać będę Jehowie głośne krzyki moje... Ja muszę przed Nim skarżyć się... muszę Jego błagać... muszę o wiele rzeczy Jego zapytać się... Pełną jest pierś moja krzyków mojej duszy... ja muszę je z siebie wydać... bo one za gardło mię chwytają i duszą.

Chciał odejść, ale Gołda pochwyciła go za rękaw odzieży.

— Meir! — zaszeptała — powiedz ty mi jeszcze, co tam stało się... za co ciebie ludzie bili i kaleczyli? Dlaczego ty w świat musisz iść?

Meir z posępnym błyskiem oczu odpowiedział:

— Bili mię i kaleczyli ludzie za to, że ja przeciw prawdzie mojej iść nie chciałem i na wszystko, na co lud mówi: zgoda! nie mówiłem: zgoda! W świat iść muszę dlatego, że jutro rzucona na mnie będzie wielka i przeraźliwa klątwa, i sromotnie wyrzucony zostanę z domu Izraelowego!

— Herem! — krzyknęła dziewczyna i splecione ręce swe gestem zgrozy na głowę swą zarzuciła. Tak stała chwilę, potem jednak zamyślony, lecz łagodny uśmiech rozlał się po jej twarzy.

— Meir! — szepnęła — zejde mój wyklęty jest... i ja wyklęta... ale miłosierdzie Pana większe jest, niż największa zgroza, a sprawiedliwość Jego głębsza od najgłębszego morza. Tak stoi w piśmie. Kiedy zejde mój to czyta, przestaje smucić się i mówi: Przeklęty szczęśliwszy jest od przeklinającego... bo przyjdzie czas, że sprawiedliwość Pańska wstąpi w serca ludzi, i błogosławić oni będą imiona przeklętych...

Meir patrzał długo na dziewczynę, mówiącą słowa te z ogniem zapału w zapadłych oczach, z twarzą jaśniejącą blaskiem natchnienia.

— Goldo — rzekł zcicha — ty jesteś połową duszy mojej... idź ze mną w świat... ja cię za żonę pojmę i, trzymając się za ręce, będziemy razem znosić przekleństwo ludzkie i starać się, żeby kiedyś na imiona nasze spłynęło błogosławieństwo.

Gołda stanęła cała w ogniu i w promieniach uszczęśliwienia niewysłowionego.

— O! Meir! — krzyknęła.

Chciała jeszcze coś powiedzieć — nie mogła. W radości bezprzytomnej, z piersią drżącą płaczem, śmiechem, westchnieniami i niewymienianemi dziękczynieniami, pochyliła się nisko i całą wysmukłą, giętką kibicią swą zawisła na jego ramieniu.

On szyję jej objął, głowę przycisnął do piersi i usta zatopił w jedwabistym gąszczu jej włosów...

Była to chwila... mgnienie oka. Dziewczyna wyprostowała się szybko i, oblana szkarłatem, z ustami drżącemi i piersią dyszącą, wymówiła zcicha:

— A zejde?

Meir patrzał na nią, jak człowiek nagle zbudzony ze snu. Ona szeptała dalej:

— Nogi jego za słabe są, ażeby mógł on pójść z nami! i on od ojców swoich odejść nie zechce! a jak ja jego porzucę? jak on będzie mógł żyć beze mnie? on mnie na rękach swych kołysał, prząść i czytać w biblji uczył, on duszę moją oświecał i serce radował temi pięknemi historjami, które opowiadał mi ciągle... ciągle... Jeżeli odejdę, któż usta jego karmić i poić będzie?... Kto w ciemne, zimowe noce położy się u nóg jego, aby ciałem swem zziębłe stopy jego ogrzewać? A kiedy dusza jego rozwód brać będzie z ciałem, kto na rękach swych siwą głowę jego zakołysze do snu wiecznego? Meir! Meir! I ty masz dziada, którego włosy białe są jako śnieg i który po tobie szaty swe rozedrze. Ale twój zejde ma synów i córki, synowe i zięciów, wnuków i prawnuków, domostwo bogate i wielkie znaczenie u ludzi... Mój zejde na świecie całym ma tylko biedną chatę swoją, starą biblję i wnuczkę swą, Gołdę...

Meir westchnął.

— Ty prawdę mówisz, Gołdo — rzekł — ale cóż ty uczynisz? co z tobą stanie się, kiedy oczy dziada twego zamkną się do snu wiecznego, a ty zostaniesz tu sama jedna, pośród wzgardy ludzkiej i ubóstwa swego?

Gołda usiadła, bo nogi drżały pod nią. Obu dłońmi powiodła po rozpalonej twarzy, a po chwili, z oczyma wzniesionemi wgórę, odpowiedziała:

— Przed drzwiami chaty tej usiędę, prząść wełnę i kozy moje paść będę i patrzeć na tę drogę, którą ty kiedyś powrócisz...

Był to ustęp z historji Akiby i pięknej Racheli.

Meir w rozmarzonej zadumie zapytał jeszcze:

— A jakże ty zrobisz, kiedy ludzie przyjdą, śmiać się z ciebie będą, i powiedzą: Akiba pije u źródła mądrości, a twoje ciało pożera nędza i oczy twoje gasną od łez?

Przytłumiony namiętnem wzruszeniem, lecz poważny głos odpowiedział:

— Ja im odpowiem: niech ciało moje pożera nędza, a oczy

wypływają ze łzami, ja wiary mężowi memu strzec będę... I żeby stanął on teraz przede mną i rzekł: Wróciłem, bo nie chciałem, żebyś płakała dłużej, ale ze źródła mądrości mało jeszcze piłem, powiedziałabym mu: Idź i pij jeszcze!

Meir wstał. Nie rozpacz już, ale siła i odwaga malowały się na twarzy i w postawie jego.

— Ja wrócę, Rachelo! — zawołał — Jehowa ujmie się za mną, i dadzą mi rękę pomocy ludzie. Ja pokażę im serce moje, spragnione poznania, i pisanie przodka mego, które zaręcza lud izraelski z innemi ludami przymierzem zgody... Ja długo, długo, chciwie pić będę ze źródła mądrości, a potem tu powrócę, biedny lud mój nauczać będę, a na twoją głowę, za wszystką nędzę i wzgardę, którą ty dla mnie przeniesiesz, złotą koronę włożę...

Gołda wstrząsnęła głową. Z twarzy jej można było poznać, że czuła się ogarniętą jakby snem cudownym. Śniło się jej, że była piękną Rachelą, witającą z długiej podróży męża swego, Akibę. Z marzącym uśmiechem na ustach, a ogniem namiętnym w oczach, szepnęła:

— Ja wtedy kolana twoje obejmę i oczyma, które znowu tak pięknemi staną się, jak przed wielu laty, w światłość twoją spojrzę i powiem: Mistrzu! chwała twoja jest moją koroną!

Patrzali na siebie długo przez łzy.

Miłość gorejąca na dnie ich źrenic wyglądała z za srebrzystej powłoki tak czystą i bohaterską, jak czystemi i bohaterskiemi były ich serca.

Wtem o uszy ich obił się przyciszony, dźwięczny jednak, śmiech dziecięcy. Zdziwieni, spojrzeli oboje w tę stronę, w której zabrzmiał.

Na progu otwartych drzwi chaty siedział Lejbele i trzymał w objęciu małe, białe jak śnieg, koźlę.

Koźlę to było kupione na targu za pieniądze, zebrane przez Gołdę ze sprzedaży koszy. Ujrzało je dziecię w głębi sionki, oświetlonej księżycem, wzięło w ramiona, wyniosło na próg chaty, a teraz, tuląc twarz swą do miękkiej jego sierści, śmiało się swawolnie i żartobliwie.

— Dziecko to zawsze przychodzi tu za tobą — rzekła Gołda.

— Ono dziś całowało mnie, kiedy wszyscy mnie bili, i ja niem od rąk silnych skarb mój zasłoniłem — odpowiedział Meir.

Gołda zniknęła z okna i wnet zjawiła się w progu chaty.

Pochyliła się nad dzieckiem tak, że rozplecione jej włosy spłynęły mu na głowę i ramiona; przytem ustami przylgnęła do czoła jego.

Lejbele nie przeląkł się wcale. Czuł się tu snadź bezpiecznym. Widział już nieraz tę kobietę, której ogniste oczy wpatrywały się teraz w twarz jego z wyrazem niewysłowionej słodyczy. Podniósł na nią spojrzenie jasne, wdzięczne, pojętne prawie.

— Pozwól mi pobawić się z koźlęciem — szepnął.

— Czy chcesz mleka? — zapytała.

— Chcę — odpowiedział — daj!

Wyniosła z sionki gliniany kubek, napełniony mlekiem, i sama poiła niem dziecię. Potem usiadła przy niem na progu i zapytała:

— Dlaczego ty porzucasz ojca i matkę, a idziesz za Meirem?

Dziecię zakołysało głową i odpowiedziało.

— On lepszy, niż tatele, i lepszy, niż mamele. On mnie karmił i po głowie mnie gładził, i z rąk reb Mosza mnie wyrwał...

— Czyj ty syn? — zapytała Gołda.

Lejbele milczał chwilę; podnosił wgórę oczy i kołysał głową. Widać było, że bił się z nieposłuszną, bo zgnębioną swą myślą.

Nagle wyciągnął palec w kierunku, w którym oddalał się Meir, i głośno zawołał:

— Jego!...

Zaśmiał się przytem, ale nie był to śmiech idjoty, był to objaw radości, którą uczuła biedna dusza dziecięca, gdy z wysileniem wielkiem udało się jej ująć w wyraz miłość swą i gorące swe, lubo nieokreślone żądanie.

Ale Gołda spojrzała w stronę, w którą poszedł Meir i westchnęła ciężko. Wstała potem, owinęła się starą jakąś chustką i, wstąpiwszy ku połowie wzgórza, usiadła pod karłowato rosnącą tam sośniną.

Chciała może z wysokości tej objąć okiem i szerszą przestrzeń i ujrzeć go, jak powracać będzie z dalekich pól i lasów.

Oparła łokcie na kolanach, twarz zakryła dłońmi i siedziała tak nieruchoma, jak posąg smutku, a tylko po kruczych włosach jej, które ogromnym płaszczem zakryły ją całą i spłynęły aż na wilgotną trawę, księżyc rozsypał miljony ruchliwych iskier.

W drzwiach chaty Lejbele usnął wkrótce, w śnie jeszcze trzymając przy piersi białe koźlę, które spało także.

* *
*

W tej samej prawie chwili otwierały się zcicha niskie drzwi chaty rabina i wchodził przez nie reb Mosze, przygarbiony, zawstydzony, znękany.

Przysiadł na ziemi u komina i lękliwie patrzał na Todrosa, który, siedząc u otwartego okna, opierał twarz na obu dłoniach, a wzrok wlepiał w księżyc.

— Rabbi! — szepnął nieśmiało.

— Rabbi! — powtórzył głośniej nieco — sługa twój winien jest w oczach twoich... obrzydliwego pisania nie przynosi on tobie, Rabbi! Burza była sroga, ale bronili go przyjaciele jego, potem on sam bronił się, a potem broniło go małe dziecko... Głupi lud szarpał go, bił, łajał i kamienował, ale pisania obrzydliwego z rąk mu nie wydarł. Nassi! sługa twój pełen wstydu jest i bojaźni, ale ty zlituj się nad nim i nie karz go piorunem wzroku swego...

Todros, nie spuszczając wzroku podniesionego ku księżycowi, wyrzekł:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wydrzeć i w moje ręce oddać.

— Nassi! pisanie to nie jest już w ręku jego!...

— A gdzie ono jest? — nie odwracając twarzy, lecz podniesionym głosem zawołał Todros.

— Rabbi! — ja przed obliczem twojem nie śmiałbym stanąć, gdybym nie wiedział, co z niem stało się... Ja szedłem za nim... cała dusza moja weszła w oczy i uszy moje... ja widziałem, jak on pisanie to karaimskiej dziewczynie do schowania dawał, i słyszałem, jak on je skarbem swoim nazywał... On mówił, że to paszport jest, z którym on w świat pójdzie, i który przed nim serca ludzkie otwierać będzie...

Todros drgnął.

— To jest prawda! to jest prawda! — szeptał gwałtownie. — Pisanie to będzie mu tarczą i orężem, o które stępią się narzędzia pomsty naszej...

— Mosze! — dodał podniesionym głosem — obrzydliwość tę trzeba z rąk karaimskiej dziewczyny wydrzeć...

Mełamed przypełzał do samych kolan mistrza i, podnosząc ku niemu twarz, wyrzekł zcicha:

— Rabbi! dziewczyna ta powiedziała, że prędzej pozwoli wydrzeć sobie życie, niż to pisanie...

Todros milczał chwilę, potem wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jej wydrzeć...

Mełamed długo milczał i myślał.

— Rabbi! — ozwał się potem cichym bardzo szeptem — a jeżeli jej co bardzo złego stanie się?

Todros nie odpowiadał chwilę, potem rzekł:

— Błogosławiona ręka, która z domu Izraelowego wymiata śmiecie...

Mełamed chciwie pochwycił krótkie te wyrazy i długo wyrozumiewał tajemny sens ich. Uśmiechał się.

— Rabbi! — rzekł — już ja rozumiem wolę twoją... spuść się na sługę swego... on znajdzie ludzi, których ręce uzbrojone będą w siłę, a serca w niewzruszoność...

— Rabbi! — dodał błagalnie — spuść ty na głowę moją łagodny promień twego oka... niech ja widzę, że gniew na sługę twego daleki jest od ciebie... Dusza moja bez łaski i miłości twojej jest jako studnia bez wody, albo ciemnica, nad którą nie świeci słońce...

Todros odpowiedział:

— Łagodny promień nie powstanie w oczach moich, ani gniew i smutek z serca mego nie wyjdą, dopóki obrzydliwe pisanie to będzie w ręku przeklętych...

Mosze jęknął.

— Rabbi! pisanie to jutro w nocy będzie w ręku twoich!

Księżyc oświecał obie twarze ludzi tych, z których jeden patrzał w niebo, a drugi w oblicze mistrza swego. Mistrz gorejącym wzrokiem szukał po niebie smug świetlistych, które oznaczają drogi aniołów, wiodących gwiazdy w wiecznej ich po przestrzeniach podróży; uczeń — odbicia nadprzyrodzonych świateł tych szukał w źrenicach mistrza.

W głowach obu tych ludzi szumiało imię anioła śmierci, którego na pomoc sobie wzywali, — a jednakże piersi obu ich pełne były miłości i uwielbienia bez granic.

IX.

Wzruszenie nadzwyczajne panowało wśród ludności miasteczka. Ze wszystkich stron gromadami lub sznurem ciągnęli ludzie ku wielkiej brunatnej świątyni, pod której trzypiętrowym,

omszonym dachem w oknach, podobnych do starożytnych strzelnic, błyskać poczynały długie i wąskie smugi światła. Na niebie występowały też gwiazdy, ale bladły przed świetnym blaskiem wschodzącego w pełni księżyca.

Wnętrze świątyni było salą ogromną, pomieścić w sobie mogącą kilkotysięczną ludność, a wysokością swą dorównywającą budowie o dwóch wielkich piętrach.

Ściany jej, zakreślające prawidłowy czworogran, gładkie zupełnie i białe jak śnieg, przerzynała tylko u góry ciężka galerja, o głębokich sklepionych niszach, tworzących rodzaj lóż, osłoniętych przezroczystą, lecz wysoką barjerą.

W dole ławy drewniane stały gęsto jedna za drugą, od drzwi wchodowych, aż ku miejscu, wyniesionemu nad poziom o kilka stopni i otoczonemu też drewnianą ozdobną barjerą.

Na wzniesieniu tem był stół, przeznaczony do rozwijania olbrzymiego arkusza tory (pięcioksięgu) w dniach, w których ustępy z niej obrządek nakazywał czytać ludowi; służyło ono za kazalnicę, z której w dni uroczyste rozlegały się religijne mowy i nauki; na niem stawały też chóry, złożone z dorastających dzieci i dorosłych młodzieńców, a łączących głosy swe z głosem kantora, intonującego modlitwy.

Wzniesienie to kilkunastu krokami tylko oddzielone było od głównego punktu, który uderzał powagą kształtów i świetnością barw, a był ołtarzem — jeżeli nazwy tej użyć można dla miejsca takiego, w którem przechowują się świętości nad świętościami, i które ściąga ku sobie najnabożniejsze spojrzenia i westchnienia wiernych.

Szczyt ołtarza tego sięgał sufitu, a złożony był z dwóch ogromnych tablic, których tło, z najczystszego lazuru, zakreślone było zgłoskami białemi, krętemi, podobnemi do sznurów arabesków wschodnich o bogatym i fantastycznym rysunku, a w których oko umiejętne wyczytywało dziesięć przykazań synajskich.

Lazurowe tablice, okryte białem, krętem pismem, dźwigane były przez dwa lwy z pozłacanego bronzu, które w ogromnych rozmiarach i wspaniałych postawach siedziały na dwu grubych, ciężkich słupach, jaśniejących najjaskrawszym szafirem, owiniętych śnieżnemi i misternie rzeźbionemi wieńcami z liści i gron winnych, a wspierających się mocno o kamienną podstawę, której szeroka powierzchnia zakreślona była aż do samej już ziemi mnogiemi ustępami pisma.

Słupy owe nakształt potężnych i silnych strażników stały z dwu stron głębokiej niszy, osłoniętej od góry do dołu oponą ze szkarłatnego jedwabiu, ozdobionego złotemi haftowaniami, z bogactwem olśniewającem oko.

Za oponą tą, spuszczoną zazwyczaj, a podnoszącą się w odpowiednich tylko okolicznościach, chroniła się świętość nad świętościami, tora, — olbrzymi zwój pergaminu, owinięty cenną materją, a związany wstęgą, ciężką i sztywną od haftów srebrnych i złotych.

Z szarego i mizernego pozoru miasteczka wnosząc, nikt nie mógłby domyślić się wspaniałości obrazu, jaki przedstawiało wnętrze starożytnej, przez wieki pobożnie przyozdabianej świątyni tej, w chwili, gdy w dość późnej, wieczornej godzinie, zapłonęła ona cała oświetleniem rzęsistem i po brzegi napełniła się ludem.

Siedm świeczników stupłomiennych, spuszczając się od sufitu na szczerosrebrnych sznurach, rzucało powódź światła w sklepiste głębie galerji, z za której przezroczystych krat wyglądała prawdziwa mozaika twarzy i szat niewieścich, i na gęste rzędy ustawionych poniżej ław, które obsiadywali mężowie dojrzali, brodaci, okryci cali miękką, wełniastą draperją białych opon (talesów), których skraje, na wieczny jakby i rozrzewniający znak żałoby po utraconej niegdyś ojczyźnie, otoczone były czarnemi szlakami; tu i owdzie zaś, u szyi bogaczy i dostojników gminy, połyskiwały szerokie taśmy srebrne, o wydatnych liściastych deseniach.

Lecz największy ze świeczników pałał bogatemi wisiorami, od chwili do chwili srebrzyście dzwonił przed niszą, zamkniętą pomiędzy dwoma potężnemi słupami.

Tam iskrzyły się złote hafty i frendzle szkarłatnej opony; z pod stóp wspaniałych lwów sypać się zdawały delikatne liście i ciężkie grona winne; tam, u samej góry, wydatnie od lazurowego tła odstawały białe szlaki krętych zgłosek; a w dole, przed ciosową podstawą, pełną napisów, ciągnących się nierównemi linjami, stał kantor i z głową, okrytą białym kapturem talesu, śpiewał te stare psalmy, których bezbrzeżna, zda się, melodja płynie pełną gamą ludzkich zachwytów, uwielbień, pragnień, błagań i mąk.

Nigdy jednak prześliczny głos Eljezera nie wypowiedział wszystkich uczuć tych z taką siłą i wyrazistością, jak tego wieczora; nigdy nie miał on takich wybuchów potężnych, takiego uroczystego brzmienia i takich drżeń głębokich, łkających, które,

opadając i cichnąc stopniowo, zdawały się tonąć i konać w morzu bezbrzeżnej jakiejś boleści czy prośby.

Zdawać się mogło, że wieczora tego w pierś jego weszła nadludzka prawie siła skargi i błagania, że u ramion wyrastały mu skrzydła, na których usiłował wznieść się aż do samych stóp Pana nad pany, aby tam ciało i duszę swoją złożyć w ofierze za zbawienie czegoś lub kogoś.

Olbrzymia sala od brzegu do brzegu i od szczytu do podstaw pełna była brzmień, płynących z piersi jego nieprzerwanym strumieniem; chóry, stojące na wzniesieniu, rzucały w nie od chwili do chwili potężne akordy, a zgromadzenie całe, porwane rozkoszą zachwytu, milczało grobowo z oczyma, wlepionemi w wyiskrzoną złotem szkarłatną oponę.

Ten i ów tylko, wskazując głową zachwyconego i zachwycającego piewcę, szeptał: — To jest anioł Sandalfon, który podaje Panu wieńce, splecione ze wszystkich modlitw ludzkich. — Ten i ów także smutnie wstrząsał głową i wzdychał: — On tak modli się za przyjaciela swego, którego głowę wykląć dziś mają!...

Nagle w cudowny śpiew kantora i uroczyste milczenie ludu wmieszał się stuk głuchy, lecz silny i powtarzający się kilka razy.

Głos Eljezera zerwał się, jak złota struna, targnięta grubjańską ręką; oczy ludu przeniosły się z ołtarza ku miejscu, w którem rozlegały się gwałtowne stukania.

Ze wzniesienia, otoczonego drewnianą barjerą, zniknął chór młodych śpiewaków, a na miejscu ich stał jeden tylko człowiek, szczupły przygarbiony z długą, żółtą szyją, podaną naprzód, z ciemną twarzą, obrosłą czarnym, jak noc, włosem i posępnie rozświeconą gorejącemi, jak żużle, oczyma. Trzymał on w obu rękach ogromną księgę i z całej siły uderzał nią o stół, dając przez to rozkaz powszechnego milczenia.

Milczenie też zupełne zapanowało w całej sali, a tylko w przedsionku słychać było szmery jakieś i stłumione wykrzyki.

Tam gromadka kilkudziesięciu ludzi różnego wieku i stanu otaczała człowieka, który z twarzą bardzo bladą, zaciśniętemi usty i suchem, palącem się okiem, stał ramieniem wsparty o odrzwia świątyni.

Był to Meir. W uszach jego rozlegały się szepty:

«Jeszcze pora! jeszcze czas! zlituj się nad sobą, nad familją

swoją! upokórz się! biegnij prędko, prędko i padnij do nóg rabina! O! herem! herem! herem!

On zdawał się nie słyszeć. Silnie zwarł na piersi ramiona. Ściągnięte brwi nadawały czołu jego, przerzniętemu czerwoną kresą, wyraz ponurej boleści i niezłomnej woli.

— W imię Boga ojców naszych! — zabrzmiał basowy a silny głos Izaaka Todrosa.

Po zgromadzeniu całem rozległ się szmer przytłumiony, dreszcz niby, przebiegający całe zbiorowe ciało to — i wnet skonał w ciszy głębokiej.

Izaak Todros zwolna, wyraźnie, oddzielając wyraz od wyrazu, mówić zaczął:

— «Siłą i potęgą świata, w imię świętego zakonu naszego i 613-tu praw, w zakonie tym zawartych, herem, którym Jozue Nawin przeklął miasto Jerychon, przekleństwem, którem Elizeusz przeklął prześladujące go chłopięta, szamtą, która używana była przez wielkie sanhedryny i sobory nasze, wszystkiemi heremami, przekleństwami, wypędzaniami i unicestwianiami, które używane były od czasów Mojżesza aż po dzisiejszy dzień, — w imię Boga Przedwiecznego, Pana świata i twórcy wspaniałości jego, w imię Matatrona, który jest aniołem stróżem i obrońcą Izraela, w imię anioła Sandalfona, który z modlitw ludzkich splata wieńce dla tronu Pańskiego, — w imię archanioła Michala, potężnego wodza wojsk niebieskich, — w imię aniołów ognia, wichru i błyskawic, siłą imion wszystkich aniołów, prowadzących gwiazdy i jeżdżących na niebieskich rydwanach, i wszystkich archaniołów, rozwijających skrzydła swe nad tronem Wszechpotężnego, — Imieniem tem, które ukazało się w krzaku ognistym, — i tem, którem Mojżesz rozdzielił wody na dwie połowy, Imieniem ręki, która nakreśliła tablice świętego prawa... niszczymy, wypędzamy, hańbimy, unicestwiamy i przeklinamy silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezofowicza, syna Benjaminowego...»

Zatrzymał się na chwilę i gwałtownym ruchem podniósł ręce nad głową.

Potem, wśród ciszy takiej, że słyszany byłby wśród niej szelest przelatującej muchy, coraz śpieszniej i coraz bardziej śpiewnym i zanoszącym się głosem, mówić, a raczej wołać zaczął:

— «Przeklęty niech będzie on przez Boga Izraelowego! Przeklęty niech będzie on przez silnego i strasznego Boga, którego imię z trwogą wygłaszają ludzie w dniu sądnym! Prze-

kłęty niech będzie on przez Matatrona, Sandalfona, Michała, archaniołów, aniołów i wszystkich mieszkańców nieba! Przeklęty niech będzie on przez wszystkich czystych i świętych, służących Bogu! Przeklęty niech będzie on przez każdą siłę wyższą na ziemi i niebie! Boże, Stwórco! wytęp i zniszcz go na wieki! Boże, podnosicielu, upokórz go! Gniew twój, Boże! niech rozpiorunuje się nad głową jego! Szatani niech idą na jego spotkanie! Złorzeczenia i jęki niech otaczają go wszędzie, gdzie się tylko obróci! Własnym mieczem niech pierś swą przeszyje, i niech skruszą się wszystkie strzały jego, a anioły Boże niech gnają go wciąż z miejsca na miejsce, aby nigdzie na spoczynek nie stanęła stopa jego! Drogi jego niech będą niebezpieczne i okryte grubą ciemnością, a wśród nich towarzyszką niech mu będzie rozpacz nadzwyczajna! Niech smutki i nieszczęścia trapią go ciągle, a on niech własnemi oczyma patrzy na uderzające weń ciosy i nasyca się ogniem Bożego gniewu! Niech nie przebaczy mu Pan! Przeciwnie! Gniew i pomsta Boża niech spłyną na człowieka tego; wpiją się weń i przenikną go aż do szpiku kości. Przekleństwem tem, jako szatą, niech owinie się on cały, ażeby zniknął z przed oblicza światłości, a imię jego aby starte zostało z pod niebieskiej przestrzeni».

Tu Todros umilkł na chwilę, zaczerpnął powietrza w pierś zmęczoną krzykami, które stawały się coraz bardziej urywane, głuche i ciężkie.

Twarz miał w ogniu całą, a ręce jego gwałtownemi ruchy miotały się nad głową.

— «Od tego momentu, — krzyknął znowu Todros — w którym przekleństwo na głowę jego spadło, niech nie waży się on przystąpić do żadnej świątyni izraelskiej na całym świecie, bliżej nad cztery łokcie odległości! Pod karą klątwy i odrzucenia od łona Izraelowego, niech żaden Izraelita nie przybliża się do niego bliżej, nad cztery łokcie odległości i niech nie waży się otworzyć przed nim domu swego, ani chleba, wody i ognia mu podać, chociażby widział go zesłablego, upadającego i zgiętego w lęk od tułactwa, głodu, choroby i nędzy! Przeciwnie! niechaj każdy, kto go spotka, pluje na twarz jego śliną ust swoich i przed stopy jego rzuca kamienie, aby on potykał się i upadał. Majątku żadnego niechaj nie używa. Wszystko, co prawem dziedzictwa spada na niego z ojca jego i z matki jego, i wszystko, co on własnemi rękoma dla siebie zebrał, niech oddane będzie pod rozporządzenie kahału, aby z mienia nieprawego uczynić pociechę i podporę słabych!

«O pomście tej i klątwie, która nań spadła, niech dowie się Izrael cały.

«Wy wszyscy, którzyście ją własnemi uszyma słyszeli, głoście słowa jej i przykazania na każdem miejscu, na które zaniosą was stopy wasze, a my wiadomość o niej roześlemy do wszystkich miast i gmin, w których mieszkają bracia nasi, od końca do końca świata.

«Tak niech się stanie! A wy wszyscy, którzy wiernymi zostaliście Panu waszemu i zakonowi Jego, szczęśliwie żyjcie!»

Skończył, a w tejże chwili działaniem mechaniki, umiejętnie stosowanej, przyćmiły się rzęsiste światła, gorejące w siedmiu olbrzymich świecznikach, i w czterech rogach sali rozgłośnie zabrzmiały, zawyły trąby.

Z urywanem tem, lub przeciągłem i ponurem wyciem mosiężnych instrumentów złączył się olbrzymi chór ludzkich szlochań, jęków i krzyków. Najgłośniejszy krzyk dał się słyszeć w przedsionku, a był tem przeraźliwszy, że wychodził z piersi męskiej i silnej.

Ruch się też tam zrobił wielki; słychać było szamotanie się jakieś, wypędzanie jakby, to przywoływanie. Meir zniknął w progu świątyni. Bliżej ołtarza, pomiędzy ławkami, kilku dojrzałych ludzi z chrzęstem rozdzieranych sukni upadło twarzami na ziemię.

— W prochu leżą możni Łzołowiczowie! — wskazując na nich, wołano skądinąd.

W górze, galerja rozlegała się szlochaniem i płaczliwem zawodzeniem niewiast, a w głębi sali, gromada ludzi licho ubranych, bez srebrnych u tałesów tasiem, wznosiła w górę twarde, czarne, spracowane ręce i załamywała je nad głowami.

Todros podartym rękawem odzieży ocierał spływający mu z czoła pot kroplisty, potem obu rękoma wsparł się o drewnianą barjerę i, pochylony naprzód, z piersią dyszącą i drgającemi wargami, patrzał na kantora.

Nie zstępował on z wyniesienia i na kantora patrzał dlatego, iż wedle obrządku po wyrazach strasznej klątwy, rzuconych na jednego człowieka, nastąpić powinny były słowa błogosławieństwa, zlewanego na lud cały. Słowa te, błogosławiące lud, wygłosić powinien był kantor.

Todros oczekiwał na to dokończenie spełniającego się aktu. Dlaczego kantor milczał tak długo i powinności swojej nie spełniał? Dlaczego nie pochwycił ostatnich słów jego: «żyjcie

szczęśliwi! żyjcie!» i nie wysnuł z nich natychmiast modlitwy błogosławiącej?

Eljezer stał, twarzą zwrócony ku ołtarzowi. Kiedy rabin wykrzykiwał klątwy, widać było, jak ramiona jego drżały pod okrywającym je tałesem.

Potem jednak drżeć przestał, znieruchomiał i z podniesioną głową patrzał kędyś wysoko. Nakoniec wyciągnął w górę obie ręce. Znak to był, że wzywa lud do milczenia i modlitwy. Trąby, które dotąd jęczały wciąż i wyły, umilkły; ustały też krzyki i jęczenia ludzkie.

Przyćmione światła zagorzały znowu, a wśród pełnego blasku ich i ciszy, przerywanej tylko tu i owdzie odzywającem się szlochaniem, głos dźwięczny jak srebro i czysty jak kryształ, zwolna, z powagą wielką, z wewnętrznemi łzami, które nadawały mu niezmierną moc błagania, mówić zaczął:

— «Ten, który błogosławił praojców naszych: Abrahama, Izaaka, Jakóba, Mojżesza, Aarona, Dawida, proroków Izraela i wszystkich sprawiedliwych świata... On niechaj spuści łaskę i błogosławieństwo swe na człowieka tego, którego niesprawiedliwy herem ten naruszył! Bóg przez miłosierdzie swe niech uratuje i osłoni go od wszelkiego złego i nieszczęścia, niech przedłuży czasy i lata jego, niech pobłogosławi wszelkiemu dziełu jego rąk i niech go od utrapienia ciemności i kajdan oswobodzi razem ze wszystkimi braćmi Izraelitami! niech taką będzie wola Jego!... Wołajcie: Amen!

Umilkł; w sali panowała przez kilka sekund cisza osłupienia; a potem rozległ się wielki, z kilkuset piersi wydobyty okrzyk: Amen!

— Amen! — zawołali Ezofowiczowie, powstając z ziemi, na którą runęli byli przed chwilą, i z rozdartych sukni swych pył otrząsając.

— Amen! — krzyknęła gromada ludzi, nędznie odzianych i spracowane dłonie załamujących nad głowami.

— Amen! — rozległo się na galerji, pełnej płaczących niewiast.

— Amen! — powtórzył nakoniec w bliskości ołtarza chór głosów młodzieńczych.

Rabin oderwał ręce swe od poręczy barjery, wyprostował się, zdumionemi oczyma powiódł dokoła i krzyknął:

— Co to jest? co to znaczy?

Wtedy Eljezer zwrócił się twarzą ku niemu i zgromadzeniu całemu. Kaptur tałesu opadł mu z głowy na ramiona. Białą

twarz jego okrywały rumieńce zapału, a błękitne oczy świeciły gniewem i odwagą. Podniósł rękę i zawołał donośnie:

— Rabbi! znaczy to, że uszy i serca nasze przekleństw takich słyszeć więcej nie chcą!

Słowa te były jakby hasłem bojowem.

Zaledwie wymówił je Eljezer, gdy po obu stronach jego stanęło tłumnym szeregiem kilkudziesięciu ludzi młodych i zaledwie dorastających.

Byli wśród nich wszyscy najbliżsi towarzysze i przyjaciele wyklętego, ale byli i tacy także, którzy dawniej zrzadka tylko i zdala go widywali, i tacy nawet, którzy przed kilku dniami jeszcze uporowi jego i zuchwałości dziwili się, wcale ich nie rozumiejąc.

— Rabbi! — rozległy się wołania — my przekleństw takich więcej słuchać nie chcemy!

— Rabbi! klątwa twoja zrodziła w duszach naszych miłość dla wyklętego!

— Rabbi! heremem tym obciążyłeś ty człowieka, który miłym był oczom ludzi i Boga!

Todros gwałtownym wysiłkiem wyrwał się ze stanu skamieniałości, w jaki rzuciło go zrazu zdumienie.

— Czego wy chcecie? — krzyknął — co wy gadacie? czy szatan opętał duchy wasze? Azaliż nie wiecie, że prawa nasze nakazują pomstę i klątwę na zuchwałych, którzy buntują się przeciw zakonowi?

Nie z pośród młodzieńców już, ale ze środka sali wyszedł głos poważny, który wymówił:

— Rabbi! azaliż nie wiesz, że kiedy w starożytnym sanhedrynie naszym wiódł się spór srogi o to, czy Izrael przyjąć ma za swoją naukę Szamaja, czy Hillela, ozwał się nad zgromadzonymi Bat-Kohl, głos tajemniczy, głos przez samego Boga posłany, który powiedział: Słuchajcie praw Hillela, albowiem łagodność w nich jest i miłosierdzie!

Podnoszono głowy i wspinano się na palce nóg, aby ujrzeć, kto słowa te wymówił. Wymówił je Rafał, stryj wyklętego.

W tejże chwili przez tłum przecisnął się Ber i, stając wśród młodzieży, zawołał:

— Rabbi! czy ty liczyłeś kiedy rozumy wszystkie, które zgniotła srogość twoja i ojców twoich Todrosów... i wszystkie dusze te, które napełnione były wielkiemi pragnieniami, a które

wy twardą ręką waszą strąciliście na zawsze w ciemności i potajemne cierpienia?

— Rabbi! — zawołał głos jakiś młodzieńczy, dziecięcy jeszcze prawie — czy ty i wszyscy, którzy z tobą stoją, będziecie zawsze odpychali nas od tych cudnych płomieni, bez których światłości schną ze smutku serca nasze, a podłym prochem czernią się nasze ręce...

— Dlaczego ty, rabbi, nie nauczasz ludu, aby z rozumu swego czynił sito takie, któreby oddzielić mogło ziarno od plewy i perły od piasku?

— Rabbi! ty i wszyscy, co z tobą stoją, zjadacie i nam jeść każecie jabłko granatu razem z twardą i gorzką łupiną. Ale przyszedł już taki czas, że uczuliśmy gorycz na podniebieniu naszem, a we wnętrznościach naszych powstał srogi ból...

— Nieszczęśni! opętani i potępieni! — z całej piersi swej krzyczeć zaczął Todros — alboż nie widzieliście oczyma własnemi, że lud cały nienawidził człowieka tego, gonił go po drogach jego, kładł mu na plecy silne swe ręce, kamienował go i krwawą kresą naznaczył mu czoło?

Śmiechy dumne, oburzone, wzgardliwe rozległy się tu i owdzie.

— Nie mów: zgoda! na wszystko, na co lud mówi: zgoda! — zawołało głosów mnóstwo, a jeden z nich ciągnął dalej:

— Przekleństwo, które wyrzekłeś, rabbi, zmiękczyło serce niejednego i ślepotę zdjęło z oczu wielu!

— Usta złośliwe rozdmuchały w sercach naszych gniew przeciw niewinnemu, ale dziś z oczu naszych płyną nad nim łzy, bo ty, rabbi, klątwą swoją zadałeś śmierć młodości!...

— Gorszą, rabbi, od śmierci jest klątwa ta, którą ty na niego rzuciłeś, bo on z nią pośród żyjących będzie jako umarły!

— A czyliż nie napisano jest w ustawach wielkich sanhedrynów naszych: Sąd, który raz przez lat 70 wyda jeden wyrok śmierci, nazwany będzie sądem morderców!

— W sanhedrynach nie zasiadali ludzie bezdzietni i twardego serca!

— Kto sieje nienawiść, zbiera żal.

Wołania te i mnóstwo im podobnych wychodziły z pośród gromadki, stłoczonej u ołtarza. Mieszały się tam głosy, podnosiły

się twarze, błyskały oczy rozognione, a rozgorączkowane ramiona rzucały na rabina i zgromadzenie całe wyzywające, zuchwałe groźby.

Todros nie odpowiadał już. Znieruchomiał całkiem, skamieniał. Z otwartemi usty i wysoko podniesioną powieką miał pozór człowieka, który przestał rozumieć to, co się wokoło niego dzieje.

Ale z tłumu wyskoczył i przed barjerą, oko w oko ze zbuntowaną gromadką, stanął mełamed.

Trzęsący się cały, rozsrożony, rozpostarł grube ramiona swe, jakby stojącego na wyniesieniu mistrza osłonić niemi pragnął, i krzyknął:

— Biada! Biada! biada zuchwalcom, nieoddającym czci temu, który zajęty jest oddaniem posług Panu świata!

Eljezer odpowiedział:

— Żaden mur nie wznosi się pomiędzy nami a Panem naszym! Ustanowiliśmy pomiędzy sobą ludzi takich, którzy uczyć się powinni zakonu i tłumaczyć go nieumiejętnym. Ale nie powiedzieliśmy im: oddajem wam w niewolę dusze nasze! albowiem każdemu synowi Izraela wolno jest szukać Pana w sercu swojem i słowa Jego tłumaczyć według rozumu własnego!

Inni wołali:

— Niema pomiędzy Izraelem wyższego i niższego! Jesteśmy wszyscy bracia równi przed Panem, Stwórcą naszym, i nikomu nie jest dane prawo okuwania w kajdany rozumów i woli naszej.

— Fałszywi mędrcy zgubili nas, bo uczynili rozwód pomiędzy Izraelem a ludami innemi, tak, że jesteśmy jako więźniowie w ciemnicy, których nikt nie nawiedza...

— Ale przychodzi czas, w którym wstrząśnie Izrael kajdanami swemi, i pospadają z wysokości swych duchy pyszne i ślepe, a duchy więzione wyjdą na wolność...

Teraz Izaak Todros powolnym ruchem wzniósł w górę obie ręce i powiódł niemi sobie po twarzy, jak człowiek, który usiłuje obudzić się ze snu. Potem oparł się znowu o barjerę i, z oczyma utkwionemi w górze, wydobył z piersi ogromne westchnienie:

— En Sof! — wymówił ciężkim, sennym jakby szeptem.

Była ta kabalistyczna nazwa Boga, która zawirowała w tej chwili w mózgu jego, przenikanym głuchą rozpaczą. Ale wnet, nakształt głośnego protestu przeciw naleciałościom, przez czas

przyniesionym, nakształt tęsknego wracania do najpierwotniejszego źródła izarelskiej wiary, rozległ się, kilkudziesięciu usty wydany, okrzyk:

— Jehowa!

Mełamed trząsł się cały, jak w febrze. Gwałtownym ruchem zwrócił się ku zgromadzeniu i wielkim głosem, śpiesznemi wyrazy, nawoływać je począł do obrony znieważonego mistrza, a ukarania zuchwalców.

Lecz im dłużej i zawzięciej przemawiał, tem większe i widoczniejsze ogarniało go zdumienie.

Nikt nie poruszał się.

Bogacze i dostojnicy gminy siedzieli na ławach swych z czołami w dłoniach i spuszczonemi oczyma, w pochłaniającej zadumie pogrążeni, a lud ubogi stał nieruchomy jak mur, i jak grób milczał.

Tu i owdzie widać było ludzi, kręto a szybko prześlizgujących się wśród tłumu i usiłujących w nim zniknąć.

O czem dumali ci, dlaczego milczeli tamci, a umykali i kryli się inni — któż odgadnie? a raczej któż przeliczy wewnętrzne drgania i chwiania się tłumu, żywiołu tego, do którego zastosować można, w zmienionej nieco formie, słowa poety: «Falo, niewierno falo, a jednak tak wierna!»

Zrozumiał nakoniec mełamed, że wołania jego próżne były.

Umilkł, lecz w zdumieniu najwyższem oczy roztwierał, bo dlaczego nie słuchano go? — zrozumieć nie mógł.

Ale przez zmąconą myśl Todrosa przemknął promień światłości, a w nim ujrzał on przelotny obraz strasznej dla siebie prawdy.

Szepnęło mu coś do ucha, że w młodych piersiach tych, które z zuchwałością dla niego niepojętą stanęły przeciw niemu, przebudziły się i krzyknęły wszystkie uśpione żądze i opory, których człowiek, przez niego wyklęty, przedstawicielem był i ofiarą!

Więc nie on jeden takim był w Izraelu, ale istniało wielu, wielu podobnych mu, a tylko tamten śmielszy był od tych, do walki pochopniejszy, bardziej porywczy i dumny!

I słyszał on jeszcze głos jakiś, szepczący mu do ucha, że nad młodemi głowami temi, których zuchwalstwo wprawiało go w odrętwienie, przeleciały i otarły się skrzydła anioła wieku — wieku, który — jak mu zdala, zdala bardzo i mglisto wiadomo

było — buntem i burzą tchnął, a obalał wszystko, cokolwiek stawać usiłowało pomiędzy ludźmi a Najwyższą Prawdą!

I słyszał on jeszcze szept jakiś, mówiący mu do ucha: że lud milczał i nie ujmował się za nim, i nie druzgotał tych, którzy przeciw niemu powstali, bo anioł wieku razem z burzą i z walką roznosił nad światem litość i przebaczenie, a kłątwy i nienawiść zmiatał skrzydłem swem ognistem i zarazem miękkiem...

Wszystko to niewyraźnie, chaotycznie, mglisto, mglisto bardzo, słyszał i widział Todros, ale dosyć było tego, aby serce, pełne kamiennej wiary i niezmiernej pychy, zdrętwiało mu w piersi.

— «Bat-Kohl!» — pomyślał.

Szepty własnej myśli, splątanej i przerażonej, wziął za szepczący mu do ucha głos nadprzyrodzony, głos tajemniczy i od samego Boga przysłany, który niegdyś, w uroczystych i krytycznych momentach życia, słyszeć się dawał starożytnym kapłanom i prawodawcom Izraela.

— «Bat-Kohl!» — powtórzył drżącemi wargami i zbladłą twarz powolnym ruchem zwracać począł na wszystkie strony.

Sala synagogi była już napół pusta.

Lud odpływał, odpływał zwolna, a milczał wciąż tak, jakby ogarnęła go bezdenna i nieprzezwyciężona zaduma, jakby milczeniem swojem dawał znak smutku ogromnego i wahania się ducha, który na żadną stronę przechylić się nie chciał, lub nie mógł...

Odeszli ubodzy i bogaci, wierni dotąd wielbiciele rabina, i ci, którzy zawsze zdala się od niego trzymali; galerja tętniła od chwli do chwili pod szybkiem stąpaniem spóźnionej niewiasty, i u ołtarza nie było już nikogo...

* * *

Jak niegdyś Józef Akiba w jasną noc miesięczną, wracając z długiej podróży, ze drżeniem szedł ku niskiej chacie swej pasterskiej, tak teraz ku rodzinnemu domowi swemu drżący i blady przybliżał się Meir.

Szedł on do rodzinnego domu swego, ale bez myśli zawitania doń.

Wiedział, że musi iść stąd, iść i po świecie, wśród tułaczki, odrzucenia i nędzy, ścigać cel ten, do którego tęsknił oddawna, ale który tak dalekim, tak dalekim był i do osiągnięcia trudnym.

Chciał spojrzeniem tylko pożegnać się ze ścianami domu, który był kolebką jego młodości... przestępować progu nie myślał.

Ale wśród rzędu okien ciemnych i cichych zobaczył jedno, w którem połyskiwały migotliwe światełka. Stanął i patrzył chwilę.

Za szybami rysowała się wyraźnie ciężka i nieruchoma postać prababki Frejdy, śpiącej w głębokim fotelu. Spływała na nią szeroka smuga księżycowego światła i tysiące iskier rozpalała w okrywających ją klejnotach.

Meir wstąpił zwolna na wysoki ganek i położył dłoń na klamce drzwi.

Wbrew zwyczajowi wszelkiemu drzwi były otwarte. Przeszedł wąski korytarz i stanął w rozwartych też naoścież drzwiach bawialnej izby.

Dom cały zalegała cisza grobowa. Czy spano tam tak głęboko? Było to niepodobieństwem.

Ale najlżejszy szelest nie powinien był przeszkodzić ostatniemu pożegnaniu prawnuka z prababką, ani odegnać go od jej kolan.

Meir ukląkł przed tą uśpioną i uśmiechającą się przez sen postacią niewieścią i na kolanach jej złożył swoją głowę. Po raz ostatni spoczywał pod dachem tym.

— Bobe! — rzekł zcicha. — Elte bobe!

Frejda spała cicho, jak dziecię. Na pomarszczonem czole jej, niby ulotne sny dziecięcia, igrały srebrne ogniki księżyca.

— Już ja ciebie nie zobaczę nigdy... nigdy...

Przycisnął do ust drobne, suche jej ręce, które tyle razy kołysały go i pieściły, a potem od wszelkich ciosów osłaniały i skarb ten mu oddały, który był zbawieniem i zgubą, życiem i śmiercią jego.

Poruszyła się lekko głowa Frejdy, diamentowe kolce jej zadzwoniły o perły i rozniecily w księżycowem świetle ognisko iskier.

— Kindleben! — szepnęła, nie otwierając oczu, uśmiechnęła się i znowu zasnęła.

Meir utonął w myślach.

Z czołem opartem o kolana prababki żegnał duchem

wszystkich i wszystko... Powstał nakoniec i powoli bardzo opuścił bawialną izbę...

W korytarzu ciemnym zupełnie uczuł, że ktoś objął go nagle silnemi ramionami, a zarazem, że ręka czyjaś wkładała mu za odzież ciężki jakiś przedmiot.

— To ja, Meir! ja, Ber. Dziad twój szukał w familji swojej człowieka odważnego, któryby tobie garść pieniędzy na drogę dał, i znalazł mnie.

Wszyscy w domu żałują ciebie... Kobiety płaczą, w łóżkach swoich leżąc... Stryjowie gniewają się na rabina i kahalnych... Dziad mało nie umiera z żałości... ale ciebie widzieć nikt już nie chce... U nas tak!... Rozum ciągnie w jedną stronę, a stara wiara w drugą... A przytem strach!

Ale ty, Meir, nie martw się bardzo! Ty szczęśliwy! ja tobie zazdroszczę! ty nie zląkłeś się tego, czego ja zląkłem się, i wyjdziesz na światłość!

Dziś przyjaciele twoi ujęli się za tobą, a lud milczał i za rabinem nie ujął się! To początek, ale koniec jeszcze daleko! Żebyś ty jutro pokazał się tutejszym ludziom, oniby znowu złości przeciw tobie do serc swych nabrali!

Idź ty! idź w świat! Młodość masz, wielką śmiałość masz! życie przed tobą! Kiedyś ty może powrócisz do nas i koniec położysz ciemnocie i grzechom naszym! U nasbo wiele brylantów jest, tylko je trzeba wysiać z plewy! Ty to kiedyś zrobisz, gdy tam, na świecie, uczonym i silnym staniesz się!

Teraz idź na wielką wojnę ze wszystkiemi przeszkodami, których mnóstwo stanie przed tobą!

Walcz ty z niemi!

Bądź Baal-Tressim, uzbrojonym, jak byli dawni wielcy mężowie nasi, i niech w każdym dniu twoim będą z tobą błogosławieństwa moje i wszystkich ludzi, którzy tak, jak ja, chcieli i nie mogli, pragnęli, a nie otrzymali, szli, a nie doszli!...»

Uścisnęli się.

Ber zniknął za drzwiami jakiemiś, zcicha otwartemi i zamkniętemi.

Zresztą nic w domu nie ozwało się i nie poruszyło. Grobowo milczące ściany rodzinnego domu wołać zdawały się ku wyklętemu: wychodź! wychodź!

Wyszedł.

Na świecie dniało. Place i uliczki miasteczka spały, owinięte szarą mgłą jesiennego prawie poranku. Mgły też spuszczały

się na puste grunta, po których szedł Meir śpiesznym już i pewnym krokiem.

Pilno mu było iść stąd, iść, iść, — a chciał pożegnać się z tą, która przyrzekła mu być wierną Rachelą, i odebrać od niej swój skarb.

Drzwi i okno karaimskiej chaty stały otworem.

— Gołdo! — zawołał zcicha — Gołdo!

Nikt i nic nie odpowiedziało.

Powtórzył wołanie.

We wnętrzu chaty panowała cisza nieskazitelna. Zbliżył się, spojrzał ku miejscu, na którem zwykle siadywał stary Abel. Nie było tam nikogo.

Wówczas zdjęła go trwoga jakaś, z której przyczyny nie zdawał sobie sprawy.

Spojrzał dokoła, po wzgórzu, po pustych gruntach. daleko, i pełnym głosem już zawołał:

— Gołda!

Szelest dość głośny dał się słyszeć wpobliżu. Pochodził on z wielkiego, głogowego krzaka, który rósł o kilka kroków od chaty, a z którego, z pośród zwikłanych gałęzi, podniósł się teraz, wilgotną mgłą zroszony cały, z mrużącą się do snu powieką, mały Lejbele.

Meir żywo przybliżył się ku niemu. Dziecię wydobyło się do reszty z uplotów głogu i wnet za surducik ręką sięgnęło.

— Gdzie Gołda? — zapytał Meir.

Lejbe nie odpowiedział, tylko podał mu, wydobyty z za odzieży, żółty zwój papierów.

Meir pochylił się ku dziecku.

— Kto ci to dał? — zapytał śpiesznie.

— Ona! — wskazując chatę, odparł Lejbele.

— A kiedy ona ci to dała? Dlaczego ona ci to oddała?

Dziecko odpowiedziało:

— Kiedy ludzie szli, ona z chaty wybiegła... obudziła mnie... za surducik mi to wsunęła i powiedziała: oddaj to Meirowi, jak on tu przyjdzie...

Meir drżeć zaczął.

— A potem? — pytał — potem?

— Potem, morejne, ona mnie w ten krzak schowała, a sama do chaty swojej pobiegła...

— A wielu było ludzi tych?

— Dwóch, morejne... trzech... dziesięciu... nie wiem!...

— A co ci ludzie zrobili? co oni zrobili?

— Ludzie przyszli, morejne, i krzyczeli na nią, żeby ona pisanie jakieś dała... długo krzyczeli... a ona krzyczała, że nie da! nie da! nie da... a koza w sieni tak biegała... biegała i beczała...

Meir coraz mocniej drżał, ale dłoń łagodnie opierał na głowie dziecka i pytał ciągle:

— A potem co było? co było?

— Morejne! ona potem prząśnicę swoją do rąk wzięła i przed zejdem swoim stanęła... ja z krzaka widziałem... Ona była taka biała, i prząśnica była biała, a ludzie byli czarni... i pomiędzy nimi koza biała biegała i coraz głośniej krzyczała...

— A potem... a potem...

Łzy nabiegły do oczu dziecka.

— Potem, morejne, już ja nie patrzyłem i schowałem się w krzak, i tak bardzo trząsłem się od strachu, bo w chacie był taki szum... taki szum i takie jęczenie... Potem ludzie poszli... i ją ponieśli... i dziada jej ponieśli, a koza pobiegła na górę, becząc, i nie wiem, gdzie się podziała...

Meir wyprostował się i spojrzał w niebo zmartwiałem prawie okiem.

Wiedział już wszystko.

— Gdzie ich ponieśli? — zapytał jeszcze głuchym głosem.

— Tam!

Wyciągnięte ramię dziecka wskazywało stronę, w której z oddali widać było łączkę zieloną — i liljową wśród niej sadzawkę... a za sadzawką były błota, moczary, grząskie, ruchome grunta, w których tak łatwo pogrążyć się i utonąć może martwe, sztywne ciało.

Tam, za tą sadzawką, z której wiosną wydobywała ona lilje wodne, podając mu je z pośród gęstwiny trzcin...

Tam, za tą łączką, wśród której po raz pierwszy wyznała mu swą miłość świeżą a płomienną, jak kwiat dziko wzrosły na bogatym gruncie; tam, w głębiach gaju tego, w którego gąszczach chórem wnet zaśpiewają ptaki swobodne, szczęśliwe w gniazdach swych, miłości pełnych, tam, kędyś, ukryta przed wszelkiem okiem ludzkiem — leżała ona

u nóg dziada swego, owinięta cała płaszczem swych czarnych włosów...

Przed chatą rozległ się trzykrotnie głos, wołający Jehowę, a potem u otwartych drzwi stał już tylko Lejbele i w podniesionej nieco ręce trzymał nieruchomo zwój papierów.

Meir wbiegł do wnętrza chaty.

Co mu tam opowiedziały źdźbła słomy, wyrzucone z nędznego posłania Abla i uścielające podłogę, i rozsypane wśród słomy tej a czerwieniejące, niby krwi krople, korale Gołdy? co opowiadała mu, leżąca na ziemi i na dwoje złamana przaśnica dziewczyny i stara bardzo stara biblja starca, na szmaty podarta?...

Była to długa, bolesna, krwawa opowieść, której młodzieniec słuchał, z czołem przyciśniętem do zimnej, dziurawej ściany, i z rękoma, załamanemi nad głową, — była to opowieść tak długa, że godziny płynęły, a on słuchał jej jeszcze i wtórował słowom jej rozpaczliwemi tętnami serca i głuchemi jękami, które od chwili do chwili wyrywały się z zaciśniętych i zsiniałych ust jego...

Kiedy stanął znowu w otwartych drzwiach chaty, słońce ozłacało już część widnokręgu. Jakże zmienionym ukazał się on przy świetle dnia!

Czoło jego, przerznięte czerwoną kresą, zmięte było i sfałdowane tak, jakgdyby przez noc tę i ten poranek przesunęły się po niem i zorały je długie, ciężkie, cierniste lata. Ponuro i rozpacznie gorzały mu oczy z pod wpółspuszczonych powiek, a ramiona zwisły bezwładnie, jakby w zniechęceniu, czy obezsileniu śmiertelnem...

Tak stał chwilę, i znać było, że wyobraźnią i pamięcią słuchał dźwięków głosu tego, który nigdy już do niego przemówić nie miał, aż czuł, że słaba ręka jakaś ciągnęła go za odzież, i usłyszał cichy głos, mówiący:

— Morejne!

Lejbele stał przed nim, oczy swe ogromne, czarne, smutne ku twarzy jego podnosił i wyciągał do niego rękę, trzymającą żółty zwój papierów.

Zdawać się mogło, że widok podawanego mu przedmiotu przypomniał Meirowi coś ważnego, obudził go ze snu, przywołał do czego, co dla niego święte i konieczne było.

Powiódł po czole obu dłońmi, a potem wziął z ręki

dziecka przedśmiertne pisanie Senjora, i gdy uczuł je w dłoni swej, podniósł głowę, a oko błysnęło mu znowu odwagą i wolą.

Patrzał na miasteczko, budzące się ze snu, i długo coś mówił cicho, myślą bardziej, niż słowami.

Mówił coś o domu Izraela, o starej wielkości jego i o wielkich jego grzechach, o tem, że nie opuści go nigdy i przekleństwa za przekleństwo nie odda, że poniesie do cudzych narodów przymierze zgody, że ze zdroju mądrości pić będzie i że wróci tu kiedyś...

— Kiedyś... kiedy... — powtarzał długo, myśląc o dalekiej, dalekiej zapewne przyszłości, a wzrokiem ogarniał ściany niskiej chaty, jakby żegnał w duchu na zawsze przelotny, gorący i czysty, a tak straszliwie przerwany, sen swój o miłości.

Potem zaczął powoli wstępować na wzgórze.

Dziecię, pozostałe u drzwi chaty, stało chwilę nieruchome, patrząc za odchodzącym.

Po chwili oczy dziecka, szeroko rozwarte, zachodzić poczęły łzami, a gdy Meir znalazł się u połowy wzgórza, załkało głośno, ale raz tylko, i potem iść także zaczęło. Szło zrazu śpiesznie, a znalazłszy się o kilkanaście kroków od odchodzącego, zwolniło kroku i, z rękoma wsuniętemi w rękawy odzieży, postępowało dalej zwolna i poważnie.

Tak jeden za drugim idąc: wyklęty młodzieniec i syn nędzarza, zniknęli za wzgórzem, kędy rozesłał się przed nim szlak drogi piaszczystej, wiodącej w świat szeroki i nieznany.

* *
*

Czy znieważony, wyklęty i ze wszystkiego odarty człowiek ten doścignął celu, którego tak namiętnie pożądał?

Czy na szerokim, nieznanym świecie znalazł on ludzi takich, którzyby przed nim drzwi i serca swoje otworzyli naoścież, a drogę mu utorowali ku zdrojowi mądrości?

Czy wrócił, lub wróci kiedykolwiek do rodzinnego miejsca swego, aby przynieść tam, wraz z przebaczeniem swem, światło to, mocą którego «cedr Libanu» powstanie tam, gdzie ściele się «niska tarnina»?

Nie wiem.

Zbyt niedawna to historja, aby koniec swój mieć już mogła.

Lecz dlatego właśnie, że historja ta i liczne, liczne historje podobne dalekie są końca swego, — czytelniku! — jakiegokolwiek plemienia krew płynie w żyłach twoich i na jakiemkolwiek miejscu tej ziemi cześć oddajesz Bogu, — jeżeli kiedy wśród drogi swej spotkasz Meira Ezofowicza, podaj mu szczerze, prędko braterską dłoń przyjaźni i pomocy.

ST. FRANCIS COLLEGE, ATHOL SPRINGS, N. Y.